

DANIELLE STEEL

Miłość silniejsza niż śmierć

*Dla Beatrix,
słodkiej i wyjątkowej,
która napelnia moje serce radością,
a duszę miłością i uwielbieniem.*

*Dzielna dziewczyno,
niechaj życie
oszczędza Ci zmartwień
i niepokoju,
niechaj Ci upływa wśród osób serdecznych,
łagodnych wiatrów, słonecznych dni,
a jeśli pewnego dnia
powieje gwałtowny wicher,
pamiętaj o naszej miłości.*

*I dla Johna,
którego bardziej niż ja
nikt nigdy nie kochał
i nigdy nie będzie kochał.
Nie ma na świecie miłości większej od tej,
którą wraz z sercem i całym moim życiem
dałam Ci na zawsze.*

Rozdział pierwszy

12 kwietnia

1912 roku

Ciszę panującą w przestronnej jadalni przerywało jedynie tykanie dużego ozdobnego zegara stojącego na kominku, czasami zakłócał ją także szelest nakrochmalonych lnianych serwetek. W olbrzymim, przeraźliwie zimnym pokoju siedziało przy stole jedenaście osób. Edwinie, gdy z trudem rozprostowywała zgrabiące od chłodu palce, błysnął w bladym świetle poranka pierścionek zaręczynowy. Uśmiechnęła się do własnych myśli i skierowała oczy w stronę rodziców siedzących przy drugim końcu stołu. Nie dała się nabrać na pozorną powagę ojca, który utkwiał wzrok w talerzu, w kącikach jego ust dostrzegła bowiem z trudem skrywane rozbawienie. Mogłaby przysiąc, że pod stołem trzymają się z matką za rękę. Ci dwoje zawsze byli pochłonięci sobą. Przy każdej okazji szeptali i uśmiechali się do siebie czule, przekomarzając się przy tym, nikogo zatem nie dziwiło, że mają aż sześcioro dzieci. Pomimo tego Kate Winfield w wieku czterdziestu jeden lat wciąż wyglądała jak młoda dziewczyna. Zachowała gibką, wciętą w talii figurę, a gdy spacerowała z najstarszą córką Edwiną, z daleka trudno je było odróżnić. Edwina odziedziczyła po matce wysoki wzrost, lśniące ciemne włosy i przepastne lazurkowe oczy. Były sobie bardzo bliskie, całą rodzinę zresztą łączyły więzy serdecznej przyjaźni. W domu Winfieldów nigdy nie było dość śmiechu, przekomarzanek, rozmów, pieszczot i figli, a każdy dzień przynosił nowe radości i psoty.

Edwinie trudno było zachować powagę, gdy widziała swego młodszego brata George'a wydechającego obłoki pary w arktyczną atmosferę jadalni, którą wuj Rupert, dla innych lord Hickham, lubił utrzymywać w temperaturze nieco niższej niż panująca na biegunie północnym. Dzieci Winfieldów nawykły do zupełnie innych warunków. Wychowały się przecież w łagodnym klimacie Kalifornii, pośród wygod i w gorących promieniach słońca. Winfieldowie przybyli do Anglii przed miesiącem aż z San Francisco, aby odwiedzić wujostwo przy okazji ogłoszenia zaręczyn Edwiny. Jednocześnie po raz drugi miały ulec odświeżeniu więzy rodzinne ze starym krajem. Dwadzieścia cztery lata wcześniej Elizabeth, siostra Kate, wyszła za mąż za lorda Ruperta, zostając wicehrabiną i

panią na Havermoorze. W wieku dwudziestu jeden lat spotkała o wiele starszego od siebie lorda Hickhama, bawiącego wraz z przyjaciółmi w Kalifornii, i zadurzyła się w nim bez pamięci. Prawie ćwierć wieku później jej siostrzeńcy i siostrzenice nie mogli sobie tego wyobrazić. Lord Hickham najwyraźniej nie był człowiekiem zbyt gościnnym, a już z pewnością niechętnie przebywał w towarzystwie gromadki rozbrykanych dzieci. Do wszystkiego podchodził z rezerwą, uśmiech zdawał się nigdy nie gościć na jego zafrasowanym obliczu. Co nie znaczy, że nie lubił swych krewnych, tyle że, jak przekonywała ciotka Liz, nie mając własnych potomków, nie był przyzwyczajony do dzieci.

Tłumaczyłoby to jego rozdrażnienie spowodowane psotą George'a: gdy wuj Rupert wybrał się z jego ojcem na polowanie, chłopiec wrzucił krewniakowi do piwa parę kijanek. Inna rzecz, że Rupert już dawno zrezygnował z posiadania własnych dzieci. Kiedyś, przed laty, chciał mieć spadkobiercę Havermooru oraz innych rozległych włości, z czasem okazało się jednak, że los zrządził inaczej. Pierwsza żona Ruperta zmarła przy porodzie po kilku wcześniejszych poronieniach, a gdy siedemnaście lat później ożenił się z Liz, ona także nie mogła mu dać potomka. Przy każdej kłótni winił ją za to, choć naprawdę nie marzył o tak licznej czeredce jak Bertrama i Kate, a gdyby już do tego doszło, na pewno chciałby, aby jego dzieci miały lepsze maniery. "To niesłychane - mówił do żony - żeby dzieciom na wszystko pozwalać. Cóż, to typowe dla Amerykanów. Żadnego poczucia godności, brak opanowania, ani śladu wykształcenia, nie mówiąc już o dyscyplinie." Odetchnął z ulgą na wieść o małżeństwie Edwiny z młodym Charlesem Fitzgeraldem. "Może dla niej nie wszystko jest jeszcze stracone" - z sarkazmem powiedział do Liz.

Hickhamowi mocno doskwierała siedemdziesiątka, toteż nie był zachwycony, gdy Kate listownie poprosiła siostrę o gościnę dla całej rodziny. Przyjazd Winfieldów do Havermooru, mający nastąpić po spotkaniu w Londynie z Fitzgeraldami i ogłoszeniu zaręczyn, napawał Ruperta obawą. "Co? Ze wszystkimi dziećmi?" - przeraził się, gdy Liz nieśmiało sondowała go przy śniadaniu. Zbliżało się Boże Narodzenie, ale goście mieli zawitać dopiero w marcu, Liz miała więc nadzieję, że w końcu uda jej się przekonać męża. Marzyła o spotkaniu z siostrą i jej dziećmi, marzyła o tym, by przeraźliwie puste dni jej życia małżeńskiego zapełniły się choć na krótko. W ciągu dwudziestu czterech lat pożycia z Rupertem w Havermoorze zniechęciła to miejsce. Tęskniła za szczęśliwymi latami

młodości, spędzonymi z siostrą w Kalifornii.

Rupert był człowiekiem trudnym we współżyciu i wyobrażenia Liz o małżeńskim szczęściu nigdy się nie spełniły. Z początku imponowały jej wytworne maniery męża, jego arystokratyczne pochodzenie i nadzwyczajna uprzejmość. Oczarował ją opowiadaniem o "cywilizowanym" życiu w Anglii. Dzieliła ich jednak ogromna różnica wieku - dwadzieścia pięć lat! Gdy Liz przybyła do Havermooru, zaskoczył ją ponury wygląd i opłakany stan dworu. W owym czasie Rupert posiadał dom w Londynie, ale wnet okazało się, że nigdy tam nie bywa. Po czterech latach, w ciągu których nie byli w nim ani razu, Rupert sprzedał londyński dom jednemu ze swych przyjaciół. Liz w nadziei, że dzieci poprawią ten stan rzeczy, zapragnęła mieć liczną rodzinę. Chciała słyszeć młode głosy rozpraszające bezdenny smutek ponurych pokojów, lecz po latach daremnego oczekiwania na dziecko utraciła wszelką nadzieję. Ożywiała się tylko w czasie rzadkich spotkań z rodziną Kate w San Francisco. W końcu i tej radości została pozbawiona, gdyż najpierw ze względu na stan zdrowia Ruperta musieli ograniczyć podróże, na koniec zaś pewnego ranka jej mąż oznajmił, że jest za stary na szwendanie się po świecie. Reumatyzm, podagra i podeszły wiek przywiązały go na stałe do domu, a że wymagał nieustannej opieki, Liz także nie opuszczała Havermooru. Częściej niż się do tego przyznawała, marzyła o powrocie do San Francisco, gdzie nie była od wielu lat. Tym bardziej więc zależało jej na przyjeździe Kate i dzieci, toteż była wdzięczna Rupertowi, gdy w końcu wyraził zgodę. "Niech przyjadą, byleby nie zostali tu na zawsze" - powiedział z przekąsem.

Spotkanie z dawno nie widzianą rodziną spełniło wszelkie oczekiwania Liz. Szczęśliwe, pełne radości dni upływały niepostrzeżenie. Ziściły się jej marzenia o długich spacerach z siostrą po ogrodzie. Kiedyś trudno je było odróżnić, a teraz Liz nie mogła się nadziwić, że Kate nadal wygląda młodzieńczo i ślicznie. I nie było wątpliwości, że wciąż jest zakochana w Bercie. Na ich widok Liz znów poczuła żal, że wyszła za Ruperta. Przez te wszystkie lata zastanawiała się, jak by się potoczyło jej życie, gdyby nie została lady Hickham, a wyszła za mąż w Stanach.

Ona i Kate jako dziewczęta były takie beztroskie i szczęśliwe pod opieką kochających rodziców! Obie wprowadzono do towarzystwa, gdy miały po osiemnaście lat, i przez krótki okres razem chodziły na prośzone kolacje, bale i przyjęcia, potem jednak - za szybko, zdecydowanie za szybko - pojawił się Rupert i zabrał Liz do Anglii. I chociaż

spędziła tu więcej niż połowę życia, nigdy nie czuła się na wyspie jak u siebie. Przez ten czas nie zdołała zmienić niczego, co Rupert ustalił w Havermoorze przed jej przybyciem, czuła się więc w posiadłości prawie jak gość, i to gość niezbyt mile widziany, skoro bowiem nie urodziła mężowi spadkobiercy, jej obecność tutaj wydawała się bezcelowa.

Jej życie tak bardzo się różniło od życia Kate! Wiedziała, że siostra nie potrafi jej zrozumieć - miała przecież przystojnego ciemnowłosego, młodego jeszcze męża i szóstkę cudownych dzieci, które niczym dary niebios w regularnych odstępach czasu przychodziły na świat w ciągu dwudziestu dwóch szczęśliwych lat ich małżeństwa. Trzej synowie i trzy córki Winfieldów, wszyscy pełni życia i zdrowi, odziedziczyli po rodzicach urodę, inteligencję i poczucie humoru. Wydawać się mogło, że Bóg obdarował zbyt szczerze Bertrama i Kate, mimo to patrząc na nich nikt nie miał wątpliwości, iż zasługują na te dary. Liz co prawda zazdrościła siostrze od lat, lecz obca była jej zawiść. Szczęście Kate i Berta uważała za oczywiste, tak byli dobrzy, mili i uczciwi. Na ich widok wzbierała w jej sercu tęsknota za tym, czego nigdy nie doświadczyła - za miłością dziecka i czulego, kochającego męża.

Życie z Rupertem uczyniło z niej osobę przygaszoną i zamkniętą w sobie. Niewiele miała teraz do powiedzenia, nie było też komu tego powiedzieć. Właściwie nigdy zbyt nie obchodziła męża, który całą uwagę poświęcał swoim posiadłościom, polowaniom na kaczki, kuropatwy i bażanty, a wcześniej także hodowli psów i koni. Żona zawsze znaczyła dlań niewiele, jeszcze mniej ostatnio, gdy podagra dawała mu się mocno we znaki. Potrzebował Liz, aby podała mu kieliszek wina, zadzwoniła po służbę, pomogła w przygotowaniu do snu, jego sypialnia wszakże znajdowała się daleko od jej pokoju, po drugiej stronie holu. Tak było od lat, odkąd lord Hickham pojął, że nie doczeka się od niej potomka. Dlatego też dla Liz przyjazd Winfieldów był niczym podniesienie żaluzji, zerwanie zasłon, wpuszczenie do zimnego dworu słońca i świeżego tchnienia kalifornijskiej wiosny.

Z miejsca, gdzie siedziały dzieci, dobiegły Liz i Kate odgłosy cichej czkawki, a następnie stłumiony chichot. Kobiety uśmiechnęły się do siebie. Od przyjazdu rodziny Liz jakby odmłodziła o dziesięć lat, obecność Winfieldów wyraźnie podniosła ją na duchu. Kate z przykrością patrzyła na przedwcześnie postarzałą siostrę, dręczyła się myślą o jej samotności i życiu w ponurym otoczeniu, w domu, którego nienawidziła, z mężczyzną,

który niewątpliwie nie darzył jej miłością ani teraz, ani nigdy przedtem. W dodatku Liz z każdą chwilą była smutniejsza, świadoma rychłego rozstania z bliskimi. Za niecałą godzinę już ich tu nie będzie i Bóg jeden wie, kiedy znowu przyjadą do Anglii! Kate zaprosiła ją do San Francisco, by pomogła w przygotowaniach do ślubu Edwiny, Liz wszakże wiedziała, że nie będzie mogła zostawić Ruperta na tak długo. Mimo to obiecała przyjechać do Ameryki w sierpniu.

Odgłosy czkawki znów dobiegły uszu Kate. Popatrzyła w stronę dzieci i zatrzymała wzrok na prawie sześciolatniej Alexis. George mówił jej coś na ucho, mała zaś ledwie hamowała chichot.

- Pss... - szepnęła Kate i uśmiechnęła się do nich, zerkając spod oka na Ruperta. Ich śniadania w Kalifornii wyglądały zazwyczaj jak piknik w święto Czwartego Lipca, ale tutaj musieli się zachowywać przyzwoicie.

Trzeba przyznać, że dzieci były nadspodziewanie grzeczne i stosowały się do wymagań Ruperta, który z wiekiem jakby nieco złagodniał. Kilka razy zabrał nawet szesnastoletniego Filipa na polowanie i choć chłopiec wyznał ojcu, że nienawidzi tych wypraw, wobec wuja był zawsze uprzejmy i starał się okazywać mu wdzięczność. Tyle że Filip starał się być miły dla każdego, bo taki już był: układny, taktowny i ujmujący, wydawał się jak na swój wiek nad wyraz dojrzały. Wyglądał na więcej niż szesnaście lat i był zdecydowanie najmądrzejszym, najbardziej odpowiedzialnym dzieckiem Winfieldów. Nie mówiąc oczywiście o Edwinie, ona jednak liczyła sobie dwadzieścia lat i niebawem miała założyć własną rodzinę, która powinna się w ciągu roku powiększyć. Kate nadal nie mogła uwierzyć, iż jej najstarsza córka już na tyle dorosła, że wychodzi za mąż i pewno urodzi wkrótce dziecko.

Winfieldowie wracali do domu, aby przygotować wesele. Do Stanów jechał z nimi także dwudziestopięcioletni Charles, narzeczony Edwiny, zakochany w niej po uszy. Spotkali się przypadkiem poprzedniego lata w San Francisco i odtąd niemal nie rozstawali. Ślub zaplanowano już na sierpień, dlatego wieźli całe jarde pięknego materiału w kolorze kości słoniowej, który Edwina i Kate kupiły w Londynie na suknię ślubną. W San Francisco krawcowa Kate wyhaftuje suknię maleńkimi perełkami, welon zaś uszyje Francuzka, która właśnie przybyła z Paryża do Londynu, a lady Fitzgerald przywiezie go w lipcu, przybywając na ślub.

Winfieldów czekało jeszcze załatwienie mnóstwa spraw. Bertram Winfield zaliczał się do najznacześniejszych obywateli Kalifornii - do jego rodziny należała jedna z największych gazet w San Francisco - z tego też względu na wesele Edwiny musieli zaprosić setki osób. Kate z córką od miesiąca opracowywały listę gości, która w końcu liczyła ponad pięćset nazwisk, kiedy zaś Edwina ostrzegła narzeczonego, że może się jeszcze wydłużyć, Charles się tylko roześmiał. "W Londynie byłoby o wiele gorzej - powiedział. - Dwa lata temu na ślubie mojej siostry zjawilo się siedemset osób. Dzięki Bogu byłem wtedy w Delhi."

Przez ostatnie cztery lata Charles podróżował po świecie. Spędziwszy dwa lata w wojsku w Indiach, wyruszył do Kenii, gdzie przebywał rok, podróżując i odwiedzając znajomych. Edwina uwielbiała słuchać opowieści o jego przygodach. Prosiła, by w podróż poślubną wybrali się do Afryki, Charles jednak uznał, że lepiej będzie spędzić miodowy miesiąc w jakimś bardziej cywilizowanym kraju. Jesienią zamierzali podróżować po Włoszech i Francji, po czym na Boże Narodzenie zjechać do Anglii.

Edwina zakochana była w Charlesie po uszy. Marzyła o licznej rodzinie, przynajmniej takiej jak jej własna, i o równie szczęśliwym życiu małżeńskim, jakie wiedli jej rodzice, aczkolwiek nawet między nimi czasami wybuchały spory. W domu aż drżały ściany, gdy matka naprawdę traciła cierpliwość, zawsze jednak łączyło ich głębokie uczucie, a po eksplozji gniewu następował okres czułości i wybaczenia. Wiadomo było, że cokolwiek się wydarzy, Kate i Bertram nadal będą się kochali. Tego właśnie oczekiwała Edwina od Charlesa. Nie potrzebowała do szczęścia męża, który byłby ważną osobistością, nie potrzebowała jego tytułów czy wytwornej posiadłości. Nie chciała nic z tego, co niegdyś pociągnęło ciotkę Liz do wuja Ruperta. Dobroć, poczucie humoru, inteligencja, umiejętność dzielenia radości z bliskimi, wspólne rozmowy i praca - tylko to się dla niej liczyło. Charles co prawda nigdy nie musiał zarabiać na utrzymanie i po ojcu miał odziedziczyć miejsce w Izbie Lordów, lecz Edwina wiedziała, że jej narzeczonego posiada te cechy charakteru, które ceniła. Ich życie zapowiadało się przyjemnie - będą się bawić i spędzać beztrasko czas w towarzystwie przyjaciół.

Charles, podobnie jak jego ukochana, pragnął mieć co najmniej pół tuzina dzieci. Winfieldowie mieli siedmioro, przy czym jedno, chłopczyk, który przyszedł na świat pomiędzy Edwiną a Filipem, zmarło przy narodzinach. Być może na Filipie można było

polegać dlatego właśnie, że zajmując nienależne mu miejsce najstarszego syna, poczuwał się do większej odpowiedzialności we wszystkim, co czynił. Dwunastoletni George miał w związku z tym łatwiejsze życie i uważał, że jedynym jego celem jest rozśmieszanie całego otoczenia. Przy każdej sposobności przekomarzał się z Alexis i maluchami, czuł się też zobowiązany kruszyć skorupę powagi starszego brata i robił to bez ustanku: a to ściągnął mu z łóżka prześcieradło, to znów włożył do butów nieszkodliwe węże... Podrzucona gdzieś mysz czy pieprz w porannej kawie pozwalały rozpocząć dzień jak należy. Filip z kolei uważał, że George przyszedł na świat głównie po to, by jemu zatruwać życie. Gdy starszy brat nieporadnie nawiązywał znajomości z dziewczętami, George natychmiast pojawiał się nieproszony, gotów służyć pomocą. Ten chłopiec nigdy nie przejawiał nieśmiałości ani w towarzystwie dziewcząt, ani w żadnej innej sytuacji. Podczas podróży statkiem Kate i Bertrama witano wszędzie słowami: "A, to wy jesteście rodzicami George'a!..." Kate aż cierpła skóra, kiedy się zastanawiała, co chłopiec znów przeskrobał, Bertram zaś śmiał się, rozbawiony psotami i żywotnością syna.

Najbardziej nieśmiała ze wszystkich dzieci była Alexis, następna w kolejności. Na świat spoglądała wielkimi niebieskimi oczami, a jej jasne loki wydawały się w słońcu prawie białe, czym się różniła od reszty rodzeństwa, które odziedziczyło po rodzicach ciemne włosy. Zupełnie jakby Opatrzność obdarowała George'a skłonnością do psot i odwagą, a Alexis czymś delikatnym i rzadkim. Gdziekolwiek się pokazała, ludzie oglądali się za nią, podziwiając jej urodę, ale dziewczynka natychmiast znikwała, by po godzinie ukazać się znowu, cichutko, jak gdyby spływała na niewidzialnych skrzydłach. Była najśłodsza córeczką Kate i ulubienicą ojca. Rzadko się pierwsza odzywała. Żyła szczęśliwa w gronie rodziny, chroniona przez wszystkich. Przed jej wzrokiem nic się nie ukryło, lecz mówiła niewiele. Lubiła godzinami przesiadywać w ogrodzie wijąc wianki, by ozdobić nimi matczyne włosy. Rodzice byli dla niej wszystkim. Częścią swych uczuć obdarowała Edwinę, ta jednak była mocniej związana z następnym z kolei dzieckiem, czteroletnią Frances.

W rodzinie nazywano ją Fannie. Miała słodkie okrągłe policzki, pulchne rączki i mocne nóżki. Była pogodną, zawsze zadowoloną istotką, a jej uśmiech poruszał najbardziej zatwardziałe serca. Równie pogodny był dwuletni Teddy, oczko w głowie matki. Właśnie zaczynał odkrywać świat wokół siebie. Główka cała w lokach i radosny, beztroski śmiech

zjednywały mu ogólną sympatię. Uwielbiał uciekać Oonie, swojej piastunce, bardzo bowiem lubił, kiedy go goniła.

Oona, miła Irlandka, opuściła swój kraj w wieku czternastu lat. Kate nie kryła zadowolenia, gdy znalazła ją w San Francisco. Obecnie Oona miała lat osiemnaście i była jej wielką pomocą przy dzieciach. Często robiła Kate wyrzuty, że psuje Teddy'ego, a Kate ze śmiechem przyznawała jej rację. Istotnie rozpieszczała czasami swoje dzieci, bo je wszystkie bez wyjątku bardzo kochała.

Mimo upływu czasu Kate nie mogła się nadziwić, że każde jej dziecko jest całkowicie inne, posiada odrębną osobowość i własne potrzeby. Różniły się wszystkim: reakcją na otaczający świat, aspiracjami, stosunkiem do niej, do życia i do siebie nawzajem - poczynając od nieśmiałości Alexis, poprzez silne poczucie odpowiedzialności tkwiące w Filipie, całkowity jej brak u George'a aż po spokojną pewność siebie Edwiny, zawsze troskliwej i łagodnej, myślącej przede wszystkim o innych. Kate odetchnęła z ulgą widząc ją po uszy zakochaną w Charlesie i czerpiącą z tego uczucia wiele radości. Zasługiwała na to. Od lat była prawą ręką matki i Kate uważała, że najwyższy czas, by Edwina rozpoczęła własne życie.

A teraz ogarniał ją żal, że córka wyjedzie na stałe do Anglii. Już po raz drugi w życiu czekało ją rozstanie z bliską osobą. Mogła mieć tylko nadzieję, że Edwina będzie szczęśliwsza od Liz, Charles bowiem w niczym nie przypominał Ruperta: był inteligentnym człowiekiem, łagodnym i mądrym, będzie więc na pewno wspaniałym mężem.

Mieli się tego dnia spotkać z Charlesem w dokach linii White Star w Southampton. Postanowił towarzyszyć im w drodze powrotnej do Stanów po części dlatego, że nie mógł znieść myśli o rozstaniu z Edwiną na długie cztery miesiące, a także dlatego, że Bert nalegał, aby podróż Charlesa była prezentem zaręczynowym dla córki. Wykupili bilety na nowiutki statek, na jego dziewiczy rejs, czym byli niesłychanie podekscytowani.

Jeszcze nie wstali od stołu w Havermoorze, a już Alexis zaczęła śmiać się w głos, gdy George szeptał jej do ucha jakieś niesamowite historie, wypuszczając przy tym kłęby pary w zimne powietrze jadalni. Bertram zachichotał obserwując dzieci. Rupert podniósł się wreszcie z miejsca, co oznaczało koniec śniadania. Bert podszedł do szwagra, by się z nim pożegnać. Tym razem Rupert niemal żałował, że Bertram odjeżdża. Lubił go, lubił także Kate, choć do dzieci odnosił się z rezerwą.

- Wspaniale nam było u ciebie, Rupercie. Zapraszamy do San Francisco - powiedział Bertram. Sam prawie uwierzył we własne słowa.

- Obawiam się, że dla mnie jest już trochę za późno - odparł Rupert.

- Jeżeli będziesz się dobrze czuł, przyjedź.

Raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie. Rupert, choć w sumie był zadowolony z ich wizyty, odczuwał ulgę, że wyjeżdżają.

- Musicie koniecznie opisać nam ten nowy statek. Na pewno jest wspaniały - powiedział. Przez chwilę wydawało się, że zazdrości Winfieldom podróży, natomiast Liz na samą myśl o przeprawie przez ocean była chora, chociaż z tęsknotą już teraz wyglądała chwili wyjazdu do Stanów. Poczyniła nawet pewne przygotowania, wybrała sobie bowiem suknię przy okazji pobytu w Londynie z Kate i Edwiną.

- Pewnie napiszesz o rejsie w swojej gazecie, prawda?-zagadnął Rupert Berta, który uśmiechnął się na te słowa. Wprawdzie niezmiernie rzadko pisywał do własnej gazety, nie licząc okazjonalnych artykułów wstępnych, ale tym razem musiał przyznać, że istotnie chyba zamieści coś na łamach pisma.

- Być może. Jeżeli napiszę, przyślę wam egzemplarz - obiecał.

Rupert objął Berta ramieniem i odprowadził do drzwi, podczas gdy Edwina i Liz razem z Ooną zapędzały kolejno dzieci do łazienki przed wyruszeniem do Southampton.

Pora była jeszcze wczesna. Słońce dopiero unosiło się nad widnokregiem. Przed sobą mieli trzygodzinną podróż do Southampton. Rupert polecił swemu szoferowi i dwóm stajennym, by odwieźli ich na miejsce wraz z resztą bagażu, większość kufrów bowiem wysłano już poprzedniego dnia.

W ciągu kilku minut Winfieldowie usadowili się w trzech samochodach. Edwina i Filip jechali z częścią bagażu i George'em, który oczywiście zajął miejsce przy kierowcy. W drugim samochodzie podróżowała Oona z Fannie, małym Teddym i pozostałym bagażem, natomiast silver ghostem, ulubionym autem Ruperta, jechali Kate z Bertramem i Alexis. Liz zaproponowała, że będzie im towarzyszyć, ale Kate uznała, że podróż jest zbyt długa i siostra czułaby się bardzo osamotniona w drodze powrotnej. Uścisnęły się zatem serdecznie. Liz przez długą chwilę mocno tuliła Kate, sama nie wiedząc, czemu jest tego ranka wyjątkowo niespokojna.

- Dbaj o siebie... Będzie mi ciebie brakowało... - powiedziała. Było jej wyjątkowo

ciężko rozstawać się z siostrą, jakby nie mogła znieść więcej pożegnań. Raz jeszcze uściskała Kate, ta zaś roześmiała się pogodnie i poprawiła na głowie stylowy kapelusz, który Bertram kupił jej w Londynie.

- Ani się obejrzysz, jak będzie sierpień, Liz - szepnęła siostrze do ucha. - I znowu będziesz w domu. - Pocałowała ją w policzek, po czym odsunęła od siebie, by spojrzeć na nią po raz ostatni. Jakże martwił ją zmęczony wygląd Liz! Ilekroć myślała o przenosinach Edwiny do Anglii, modliła się, by życie jej córki było lepsze niż to, które przypadło w udziale siostrze. Nie mogła pogodzić się z myślą, że Edwina odjedzie od niej tak daleko. Nie mniej ciężko było jej teraz zostawić Liz z Rupertem, który właśnie gderliwym głosem wydawał polecenia kierowcom, ponagając ich do wyjazdu, by Winfieldowie nie spóźnili się na statek. Mieli odpłynąć za niecałe pięć godzin.

- Wyprawacie w samo południe, prawda? - Gdy Rupert zadał to pytanie, było pół do ósmej rano dziesiątego kwietnia. - To wspaniały statek. Życzę jak najlepszej podróży i pomyślnych wiatrów!

Pomachał im ręką na pożegnanie. Stojąca przy nim Liz ze smutkiem patrzyła, jak odjeżdża pierwszy samochód, za nim drugi i wreszcie ostatni. Kate uśmiechała się wyglądając przez okno. Na kolanach trzymała Alexis, a siedzący obok Bertram obejmował ją ramieniem.

- Kocham was! - zawołała Liz, gdy auta przyspieszały z pomrukiem silników. - Kocham was!...

Jej słowa rozplynęły się w powietrzu. Otarła oczy nie rozumiejąc, dlaczego dręczy ją niepokój. "To niepoważne, zobaczę ich przecież już w sierpniu." Uśmiechnęła się do własnych myśli i weszła za mężem do domu. Rupert zamknął się w bibliotece, co często czynił przed południem, Liz zaś wróciła do jadalni. Posmutniałym wzrokiem patrzyła na opustoszałe miejsca przy stole, a gdy służba zbierała talerze, ogarnęło ją przejmujące uczucie samotności. Jeszcze przed chwilą pokój był pełen życia i ludzi, których kochała, teraz panowała tu dźwięcząca w uszach cisza. Znowu była sama. Tymczasem jej bliscy zmierzali do Southampton.

Rozdział drugi

Dotarłszy do portu w Southampton samochód wiozący Kate i Bertrama poprowadził kawalkadę pojazdów lorda Hickhama do miejsca, gdzie pasażerowie pierwszej klasy wchodzili na pokład. George, jadący z Edwiną i Filipem w drugim z kolei aucie, nie mógł z podniecenia usiedzieć na miejscu, czym doprowadzał rodzeństwo do rozpacz, aż wreszcie siostra kategorycznie przywołała go do porządku. Niewiele to jednak pomogło.

- Popatrz, popatrz Edwino! - zawołał George ujrzawszy cztery potężne kominy statku.

Filip bezskutecznie starał się go uspokoić. W przeciwieństwie do rozhukanego młodszego brata przeczytał wiele o statku, stąd wiedział, że wezmą udział w jego dziewiczym rejsie. Niemal identyczny "Olympic" pływał po morzach już od roku, ten wszakże, RMS "Titanic", był największym w świecie liniowcem, o połowę większym od innych. George'owi aż dech zapało na jego widok. Ojcowska gazeta nazwała go "Statkiem Cudów", a na Wall Street określono go mianem "Ulubieńca Milionerów". Czekający ich rejs był przywilejem tylko dla wybranych. Bertowi Winfieldowi udało się zarezerwować pięć z dwudziestu ośmiu luksusowych kabin na pokładzie B, jednym z wielu "cudów" odróżniających ten statek od innych. Kabiny te miały okna zamiast iluminatorów, a umeblowano je pięknymi francuskimi, holenderskimi i brytyjskimi antykami. Pokoje Winfieldów, połączone ze sobą, tworzyły jeden wielki apartament.

George miał zamieszkać z Filipem, Edwina z Alexis, Oona z Fannie i Teddym, Bertram i Kate zaś w największej kabinie, sąsiadującej z pokojem ich przyszłego zięcia, Charlesa Fitzgeralda. Poprzedzająca rejs podniosła atmosfera sprawiła, że George nie mógł doczekać się chwili wejścia na pokład. Gdy tylko samochody się zatrzymały, rzucił się w stronę trapu. Jego starszy brat był jednak szybszy i zaciągnął go z powrotem pod opiekuńcze skrzydła Edwiny, która pomagała matce utrzymać w ryzach gromadkę dzieci.

- A gdzież to się wybierasz, młody człowieku? - rzucił Filip tonem swego ojca, ignorując nieprzychylne spojrzenie brata.

- Niedługo będziesz przybierał ton wuja Ruperta - odparł George, lecz Filip pominął tę uwagę milczeniem. - Nie wolno ci się stąd ruszać, dopóki ojciec nie pozwoli wejść na pokład. - Filip zerknął na resztę dzieci i zauważył, że Alexis kurczowo trzyma się spódnicy

matki, a niania ledwo może się uporać z dwójką zapłakanych maluchów. - George - polecił - idź pomóc przy Teddym. Oona i mama muszą się zająć bagażem.

Ojciec właśnie odprawiał szoferów lorda Hickhama. Za takimi chwilami jak ta George wprost przepadał, panujący bowiem chaos pozwalał zwykle ulotnić się i robić to, na co przyszła mu ochota.

- Och, Filipie, naprawdę muszę? - Wyglądał na przerażonego perspektywą zajmowania się dziećmi, gdy wokół tyle się działo. Imponujący kadłub "Titanica" był tuż obok. George niecierpliwie czekał na moment, gdy zacznie penetrować sekrety statku. Czuł, że nie ma chwili do stracenia.

- Owszem, musisz - warknął Filip, popychając George'a w kierunku młodszego rodzeństwa, sam zaś poszedł pomóc ojcu. Kątem oka dostrzegł, że Edwina nie może sobie poradzić z Alexis.

- Nie bądź niemądra - przekonywała. Klęczała obok niej na nabrzeżu w nowym eleganckim kostiumie z niebieskiej wełny, który po raz pierwszy włożyła z okazji spotkania z rodzicami Charlesa. - Czego tu się bać? Popatrz! - wskazała ręką na wielki statek - to pływające miasto. Za kilka dni będziemy w Nowym Jorku i wsiądziemy do pociągu, który nas zawiezie do San Francisco - starała się mówić o czekającej ich podróży jak o wesołej przygodzie, lecz Alexis, którą najwyraźniej przerażał ogrom statku, z płaczem wyrywała się z jej objęć, szukając schronienia w fałdach matczynej spódnicy.

- O co chodzi, kochanie? - Kate popatrzyła na najstarszą córkę, starając się dosłyszeć jej słowa poprzez dźwięki orkiestry, która na specjalnie zbitym na tę okazję pomoście grała murzyńskie rytmy. Poza tym zaokrętowanie przebiegało całkiem zwyczajnie. Widocznie linie White Star zdecydowały, że nadmiar rozgłosu byłby nieelegancki: - Co się stało? - spytała Edwinę próbującą uspokoić Alexis.

- Boi się wejść na pokład - mruknęła Edwina dyskretnie. Kate przytaknęła jej ze zrozumieniem.

Alexis zawsze czuła lęk przed nowymi wydarzeniami, ludźmi i miejscami. Gdy płynęli do Europy na "Mauretanii", także była wystraszona i wciąż wypytywała matkę, co będzie, jeśli wpadnie do wody.

Szczupłą dłonią w cieniutkiej rękawiczce Kate pogładziła jedwabiste loki córeczki i pochyliła się, by szepnąć jej do ucha przeznaczone tylko dla niej sekrety. Słowa matki

wywołały uśmiech na twarzy dziewczynki, przypomniały jej bowiem, że za pięć dni będzie obchodzić swoje szóste urodziny. Matka obiecała jej aż dwa przyjęcia urodzinowe - pierwsze na statku, a drugie gdy dotrą do San Francisco.

- Czy już dobrze? - spytała szeptem Kate wystraszoną córkę, Alexis jednak pokręciła głową i wybuchnęła płaczem tuląc się do matki, bo na nowo przypomniła sobie o czekającej ich podróży.

- Nie chcę jechać! - szlochała, lecz zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, mocne ręce uniosły ją w górę i znalazła się w ramionach ojca.

- Ależ chcesz, cukiereczku. Chyba nie zamierzasz zostać w Anglii bez nas? Z pewnością nie, ty głuptasku. Teraz płyniemy do domu na najcudowniejszym statku, jaki dotąd zbudowano. A wiesz, co właśnie widziałem? Panienkę taką dużą jak ty. I założę się, że zanim dotrzemy do Nowego Jorku, będziecie najlepszymi przyjaciółkami. No, a teraz idziemy na pokład, dobrze? Zobaczymy, jak wyglądają nasze kabiny - oświadczył, trzymając ją mocno w ramionach.

Kiedy mała się uspokoiła, ujął żonę pod ramię i poprowadził rodzinę w stronę trapu. Na statku postawił Alexis, która wprawdzie mocno trzymała go za rękę, gdy po szerokich schodach wchodzili na górny pokład, ale już ciekawie zerkała przez okna sali gimnastycznej na szeroko rozreklamowanego elektrycznego wielbłąda.

Po całym "Titanicu" krążyły tłumy ludzi podziwiających wystrój wnętrza, wspaniałe boazerie i rzeźby, eleganckie wykończenia, wymyślne żyrandole, bogate obicia oraz pięć olbrzymich fortepianów. Nawet Alexis przycichła oszołomiona, gdy spacerowali po statku przed udaniem się na pokład B, gdzie mieścił się ich apartament.

- Prawda, że to robi wrażenie? - powiedział Bert do Kate, która uśmiechnęła się do męża. Bardzo się cieszyła, że odbędzie z nim podróż na pokładzie tego cuda. To zawieszono pomiędzy dwoma światami miejsce, gdzie wszyscy czuli się dobrze, bo o każdego troszczono się jak należy, wydało jej się przytulną, bezpieczną i romantyczną przystanią. Tym razem zamierzała powierzyć Oonie pieczę nad dziećmi i więcej czasu poświęcić mężowi. Bertram był zachwycony salą gimnastyczną, ale gdy zajrzał do klubu, Kate skrzywiła się i pogroziła mu palcem.

- Nawet o tym nie myśl. Chcę, żebyśmy więcej przebywali z sobą podczas tego rejsu. - Na krótką chwilę przytuliła się do Berta, który w odpowiedzi uśmiechnął się czule.

- Chcesz powiedzieć, że Charles i Edwina nie są tu jedyną zakochaną parą? - szepnął jej do ucha, wciąż jeszcze trzymając Alexis za rękę.

- Mam taką nadzieję - uśmiechnęła się Kate znacząco i koniuszkami palców delikatnie musnęła policzek męża.

- Słuchajcie no - zaproponował Bert - co byście powiedzieli na to, żeby teraz iść do kabin, rozpakować rzeczy, a później znowu pomyszkować po statku?

- A nie możemy od razu, tato? - nudził George, niezwykle podniecony, bo wszystko było takie nowe. Jednakże Bert nalegał, by wpieryw bezpiecznie umieścić najmłodsze dzieci w kabinach. Obiecał, że później sam oprowadzi go po statku, ale dla George'a pokusa była zbyt silna. Zanim Winfieldowie dotarli na pokład B, położony dwa piętra poniżej sali gimnastycznej, chłopiec zniknął. Zatroskana Kate poprosiła Filipa, aby poszukał brata.

- Zostaw go, Kate - mitygował żonę Bertram. - Nie mógł odejść daleko. Na statku nic mu się nie stanie. Przecież jest tak podniecony, że nie zszedłby z pokładu za nic w świecie. Jak się rozlokujemy w kabinach, pójde go poszukać.

Kate, niezbyt przekonana, przystała na propozycję męża, martwiła się jednak wyobrażając sobie kłopoty, w jakie syn może się wpakować. Dopiero na widok przepięknych kabin, które Bertram dla nich zarezerwował, zapomniała o wszelkich strapieniach.

Winfieldowie z radością powitali Charlesa, który zjawił się chwilę po nich.

- Czy to tutaj? - zagadnął wtykając głowę w drzwi saloniku. Ciemne włosy miał nienagannie przyczesane, a w błękitnych oczach na widok narzeczonej zatańczyły ogniki. Edwina zerwała się i pobiegła ku niemu.

- Charles! - wykrzyknęła ucieszona i zarumieniona z radości rzuciła się w jego wyciągnięte na powitanie ramiona. Jej włosy miały ten sam odcień co włosy Charlesa, ale błękit oczu był głębszy. Promieniała szczęściem, gdy przy akompaniamencie chichotów Alexis i Fannie Charles unosił ją w ramionach.

- Hej, panienki, a cóż was tak śmieszy? - Bardzo lubił bawić się z młodszymi siostrami Edwiny, a Teddy'ego uważał za najśłodsze dziecko na świecie. Zaprzyjaźnił się z Filipem i polubił nawet rozbrykanego George'a. Winfieldów uważał za wspaniałą rodzinę, siebie zaś za szczęśliwca, że spotkał i pokochał Edwinę. - Widziałyście już pieski? - zapytał dziewczynki ponad ramieniem ich siostry. Fannie pokręciła przecząco głową, a Alexis

spochmurniała. - Pójdziemy je odwiedzić po południu, jak się wyśpicie.

- Gdzie one są? - spytała zaniepokojona Alexis, myśląc o psach z obawą.

- Na dole, zamknięte w klatkach. Nie uwolnią się z nich -uspokoila ją Edwina. Alexis nie wyszłaby z kabiny przez cały rejs, gdyby wiedziała, że może spotkać błąkającego się po korytarzach psa.

Edwina zostawiła dzieci pod opieką Oony, po czym udała się z Charlesem do jego kabiny. Bertram zarezerwował mu piękny pokój. Z dala od ciekawskich spojrzeń dzieci narzeczonemu przytulił ją mocno i delikatnie pocałował w usta. Edwina wstrzymała oddech, zapominając o całym świecie w silnych ramionach przyszłego męża. Nie raz w podobnych chwilach zastanawiała się, czy potrafią poczekać na siebie aż do sierpnia. Oboje wiedzieli jednak, że za nic w świecie nie zawiedliby zaufania okazywanego im przez rodziców Edwiny, choć z pewnością trudno im będzie wytrwać aż do dnia, w którym połączą ich więzy małżeńskie.

- Czy zechciałaby pani pójść ze mną na spacer, panno Winfield? - z uśmiechem zapytał Charles narzeczoną.

- Z największą przyjemnością, panie Fitzgerald - odparła.

Charles rzucił płaszcz na łóżko i wyszli na pokład. Pogoda była nie najgorsza, jakby słońce także cieszyło się z ich radości. Nie widzieli się zaledwie kilka dni, lecz każda godzina rozłąki wydawała im się wiekiem. Edwina była zachwycona, że narzeczonemu jedzie z nimi do San Francisco. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogliby się na tak długo rozstać.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła mu do ucha, gdy wygodnymi schodami dotarli na pokład spacerowy położony wyżej.

- Ja też, kochanie - powiedział Charles. - Już niedługo nie będziemy się rozstawać ani na chwilę.

Edwina przytaknęła mu radośnie. Gdy mijali stoliki kawiarenki, na francuską modłę wystawione na pokład, odprowadzały ją pełne podziwu spojrzenia kelnerów, którzy wymieniali między sobą uwagi w szybkiej francuskiej mowie. Wielu pasażerów pierwszej klasy intrygowało to maleńkie "bistro", nowość nie spotykana na żadnym statku, jak zresztą wiele innych szczegółów na "Titanicu".

Narzeczeni doszli do połowy pokładu spacerowego, którego część osłonięto oszklonym dachem, aby można podziwiać ocean bez względu na kaprysy pogody.

- Myślę, kochanie, że znajdziemy na tym statku wiele zacisznych zakątków - powiedział Charles z uśmiechem. Mocniej przycisnął jej rękę ramieniem, a Edwina się roześmiała.

- Tak jak George. Udało mu się zgubić, zanim doszliśmy do kabiny. Ten dzieciak jest niemożliwy. Naprawdę nie wiem, czemu mama go nie udusi. - Na myśl o bracie Edwina spochmurniała.

- Nie robi tego, bo to uroczy urwis - wystąpił Charles w obronie chłopca. - On dobrze wie, na ile może sobie pozwolić.

Edwina musiała przyznać mu rację, choć chwilami naprawdę miała ochotę zamordować brata.

- Chyba tak. To niesamowite, jak bardzo różnią się on i Filip. Filip nigdy by sobie nie pozwolił na podobne zachowanie.

- Ja w jego wieku też nic takiego nie robiłem i może właśnie dlatego tak lubię George'a. On nigdy nie będzie żałował, że kiedykolwiek zrezygnował z czegoś. Myślę, że już wszystkiego popróbował.

Charles roześmiał się, a Edwina zawtórowała mu radośnie. Narzeczony objął ją ramieniem i obydwójce patrzyli, jak ogromny statek powoli odsuwa się od nabrzeża. Edwina modliła się w duchu, by ojciec miał rację i żeby się nie okazało, że George zszedł ze statku, aczkolwiek podobnie jak ojciec była przekonana, że brat nie zrobił tego. Tutaj, na pokładzie, działo się zbyt wiele, nie sądziła zatem, aby pociągnął go brzeg.

Gdy spoglądali w dół, przenikliwe gwizdki złąły się w jeden ostry dźwięk, który uniemożliwiał rozmowę. W powietrzu czuło się prawdziwie podniecający nastrój, potęgowany przez gwizdy rozlegające się ponad ich głowami. Charles wziął Edwinę w ramiona i pocałował.

W asyście sześciu holowników olbrzymi "Titanic" uwolniony z uwięzi odbił od brzegu, kierując się do Cherbourga, skąd miał zabrać resztę pasażerów, i dalej do Queenstown, a następnie przez ocean do Nowego Jorku. Nagle wśród osób znajdujących się na górnych pokładach zapanowało poruszenie, które zupełnie uszło uwagi innych. Pasażerowie pierwszej klasy z osłupieniem patrzyli, jak transatlantyk prześlizguje się z trudem obok liniowców amerykańskiego i brytyjskiego, unieruchomionych w porcie z powodu niedawnego strajku górników. Amerykański "New York" kotwiczył w sąsiedztwie

"Oceanica" należącego do linii White Star. Obydwa statki, spięte linami cumowniczymi, stały blisko siebie, pozostawiając "Titanicowi" bardzo wąskie przejście. Raptem rozległ się huk podobny do wystrzału z pistoletu - to pękły liny mocujące "New Yorka" do "Oceanica" i liniowiec ją powoli dryfował w kierunku "Titanica". Wydawało się, że lada chwila go staranuje, na szczęście zapobiegł temu błyskawiczny manewr jednego z holowników, z którego podano zerwaną linę na "New Yorka", tak że marynarze zdolali ją zamocować na moment przed zderzeniem.

"Titanic" wypłynął w końcu z portu, o włos uniknąwszy katastrofy. Manewr, który jej zapobiegł, wywołał naprawdę wielkie wrażenie wśród świadków wydarzenia - zdawało się, że oglądają pokaz nadzwyczajnych umiejętności załóg holowników, podczas gdy "Titanic" niewzruszenie parł naprzód. To pływające miasto miało długość czterech przecznic, czyli osmiuset osiemdziesięciu dwóch stóp, jak wcześniej poinformował ich Filip, i z pewnością niełatwo było nim manewrować.

- Czy było tak niebezpiecznie, jak mi się wydawało? - zapytała Edwina oszołomiona tym, na co przed chwilą patrzyła.

Charles poważnie skinął głową.

- Tak sądzę. Może wypijemy kieliszek szampana w Cafe Parisien, żeby uczcić szczęśliwy początek rejsu?

Edwina chętnie przystała na tę propozycję. Przytuleni skierowali się ku kawiarence, gdzie kilka minut później znalazł ich zziębnięty i rozczochrany George.

- Co tu robisz, siostrzyczko? - spytał, stając na tarasie kawiarni w czapce na bakier. Poła koszuli wysunęła mu się z wysmarowanych na kolanie spodni, ale twarz promieniała szczęściem nie do opisania.

- Mogłabym cię spytać o to samo. Mama szukała cię wszędzie. Co u licha robiłeś do tej pory? - gniewnie powiedziała Edwina.

- Przecież musiałem się rozglądnać - odparł patrząc na siostrę z politowaniem, że nie rozumie rzeczy tak oczywistej, po czym rzucił Charlesowi porozumiewawcze spojrzenie. - Cześć, Charles! Jak się masz?

- Świetnie, dziękuję. A jak tam statek, w porządku? Podoba ci się?

- Genialny! Wiesz, że ma cztery windy i wszystkie wjeżdżają aż na dziewiąte piętro? Jest też boisko do squasha i basen. Poza tym wiozą do Nowego Jorku nowiutkiego renaulta.

A jakie tu mają kuchnie!... Nie udało mi się dostać do sterowni, sprawdziłem za to drugą klasę. Wygląda całkiem przyzwoicie. A żebyś wiedział, jaką dziewczynę tam zobaczyłem!... - opowiadał chłopiec ku oburzeniu siostry i widocznemu rozbawieniu przyszłego szwagra. Nie przejmował się niczym, a rozchełstany ubiór zupełnie mu nie przeszkadzał.

- Widzę, że wszystko dokładnie obejrzałeś - pochwalił go Charles, na co George napuszył się jak paw. - Byłeś już na mostku?

- Nie - chłopcu nieco zrzęda mina. - Nie miałem nawet czasu, żeby dokładnie mu się przyjrzeć. Byłem wprawdzie na górze, ale jest tam taki tłum, że nie można się połapać, co się dzieje. Będę musiał wrócić tam później. Masz ochotę popływać po lunchu? - zapytał Charlesa.

- Bardzo bym chciał. Oczywiście jeżeli twoja siostra nie ma innych planów.

Jednakże Edwina rozgniewała się na dobre.

- Chyba trzeba cię ułożyć do poobiedniej drzemki razem z Fannie i Teddym. Jeżeli myślisz, że możesz ganiać po statku jak jakiś łobuziak, to dostanie ci się ode mnie albo od rodziców.

- Och, Edwino - jęknął George - ty nic nie rozumiesz. Tu się dzieją takie ważne rzeczy!

- Równie ważne jest przyzwoite zachowanie. Niech no tylko mama cię zobaczy! - nieubłagane straszyla brata Edwina.

- Co tam znowu? - rozległ się za plecami Edwiny głos ojca, w którym dosłyszec można było nutkę rozbawienia. - Witaj, Charles, czołem, George. Widzę że byłeś bardzo zajęty.

Na twarzy chłopca widniała smuga sadzy, lecz George promieniał taką radością i zadowoleniem, że ojciec spoglądał na niego wyraźnie ucieszony.

- Tu jest cudownie, tato.

- Cieszę się, że to słyszę - dobiegły ich słowa Kate, która natknawszy się na bliskich, rzuciła okiem na syna i dodała gniewnie: - Bertram! Jak możesz mu na wszystko pozwalać. Przecież on wygląda jak ulicznik!

- Słyszysz, George? - spokojnie rzekł Bert do syna. - Czas się doprowadzić do porządku. Myślę, że powinieneś pójść do kabiny i zmienić ubranie, zanim mama naprawdę

się rozgniewa.

Starał się mówić surowo, lecz wydawał się bardziej rozbawiony niż zagniewany, toteż chłopiec uśmiechnął się doń porozumiewawczo. Kate jednak nie żartowała: kazała George'owi natychmiast wziąć kąpiel i przebrać się.

- Oj, mammo... - George na próżno spoglądał błagalnym wzrokiem na Kate, która podwinęła rękaw sukni, ujęła syna mocno za rękę i energicznie poprowadziła pod pokład, gdzie zostawiła go z Filipem.

Filip przeglądał właśnie listę pasażerów w nadziei, że odnajdzie na niej znajome nazwiska. Na pokładzie znajdowali się Astorowie, pan Isidor Straus z małżonką-właściciele sieci sklepów Macy's - a także wiele innych nie mniej sławnych osób. Filip zauważył na wykazie imiona paru swoich rówieśników, których dotychczas nie miał okazji poznać, ponadto na statku spotkał już kilka młodych dam, które mu się spodobały i miał nadzieję, że będzie je często widywał w czasie rejsu. Dalszą lekturę listy pasażerów przerwało mu przybycie George'a z matką. Kate poprosiła najstarszego syna o dopilnowanie, aby jego młodszy brat się umył i zachowywał jak należy. Filip przyrzekł uczynić zadość jej życzeniu, ledwie jednak matka wyszła, George jął marudzić, by wymóc na nim ustępstwa, i kombinować, jak się uwolnić spod kurateli brata. Chciał jak najszybciej zwiedzić maszynownię i mostek, a później wrócić do kuchni, pełnej niezwykłych urządzeń, których nie pozwolono mu dotknąć. Poza tym nie sprawdził jeszcze jednej windy docierającej, jak podejrzewał, dalej niż pozostałe.

- Szkoda, że nie cierpisz na chorobę morską - powiedział Filip ponuro, gdy Kate wróciła do reszty towarzystwa na pokładzie spacerowym.

Rodzice zjedli lunch w towarzystwie Edwiny i Charlesa, po czym dołączyli do Filipa, George'a, Oony i maluchów, gdy te obudziły się po południowej drzemce. Alexis wydawała się mniej przerażona statkiem i zafascynowanym wzrokiem patrzyła na tłum spacerowiczów. Poznała także dziewczynkę, o której wspomniał ojciec. Nazywała się Lorraine, mieszkała w Montrealu, wiekiem bliższa była Fannie, liczyła sobie bowiem trzy i pół roku, i miała młodszego braciszka Trevora. Bawiła się lalką bardzo podobną do wytwornej Pani Thomas, którą Alexis dostała przed rokiem na gwiazdkę od cioci Liz i nie rozstawała się z nią ani na chwilę. Lalka Lorraine niewiele się wprawdzie różniła od zabawki Alexis, lecz jej płaszcz i kapelusz były mniej eleganckie od tych, które przysłała

ciocia Liz. Pod czarnym welwetowym płaszczem Pani Thomas miała różową jedwabną sukienkę, uszytą przez Edwinę, na nogach zaś wysokie buty zapinane na guziczki. Tego popołudnia Alexis zabrała ją ze sobą na spacer z rodzicami po pokładzie.

"Titanic" przycumował w Cherbourgu późnym wieczorem, gdy Alexis i jej młodsze rodzeństwo byli już w łózkach. George znów gdzieś się zapodział, Kate i Edwina przebierały się, a Charles, Filip i Bertram czekali na nie w palarni. Do kolacji zasiedli w głównej sali jadalnej na pokładzie D. Panowie włożyli białe krawaty, panie wystroiły się w eleganckie suknie szyte w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku. Kate miała na sobie olśniewającą kolię z pereł i brylantów, która niegdyś należała do matki Bertrama.

W rześście oświetlonej, nadzwyczaj wytwornej sali restauracyjnej, zdobionej rzeźbioną boazerią, lśniącymi okuciami z mosiądzu i kryształowymi żyrandolami, trzystu pasażerów pierwszej klasy przypominało postaci z bajki. Edwina rozglądała się wokół, z uśmiechem zerkając na przyszłego męża, i myślała, że jeszcze nigdy nie przeżyła równie pięknych chwil.

Po kolacji długo siedzieli w przyległym saloniku, słuchając utworów granych przez orkiestrę, aż wreszcie Kate ziewnęła i zmęczona po długim, pełnym wrażeń dniu zadeklarowała chęć powrotu do kabiny. Edwina i Charles postanowili zostać jeszcze trochę.

W południe następnego dnia po raz ostatni przed podróżą przez Atlantyk statek zacumował w Queenstown, by zabrać pasażerów trzeciej klasy. Winfieldowie z pokładu spacerowego przyglądali się wsiadającym, gdy naraz Oona krzyknęła, mocno przytrzymując się poręczy:

- O Boże, proszę pani! Moja kuzynka!

- Jesteś pewna? Z tej odległości... - z powątpiewaniem rzekła Kate, świadoma, że Oona, dziewczyna uczuciowa i nie pozbawiona wyobraźni, łatwo mogła ulec złudzeniu. - Niemożliwe, żebyś ją rozpoznała.

- Poznałabym ją wszędzie - zarzekła się Oona. - Jest starsza ode mnie o dwa lata, a zawsze byłyśmy jak siostry. To ta z rudymi włosami! Jest z nią córeczka, widzę je obie... Proszę pani, mogę przysiąc!... Odkąd pamiętam, zawsze mówiła o wyjeździe do Ameryki! Proszę pani!... - w oczach dziewczyny pojawiły się łzy. - Jak ją odnajdę w takim mrowiu?

- No cóż, poprosimy intendenta, żeby sprawdził listę pasażerów trzeciej klasy, i jeżeli to rzeczywiście twoja kuzynka, na pewno ją znajdziemy. Jak się nazywa?

- Alice O'Dare, a jej córeczka to Mary. Będzie teraz miała pięć lat.

Ta ostatnia informacja zastanowiła Kate. Skoro ta dziewczyna jest dwa lata starsza od Oony, to ma dwadzieścia lat i... pięcioletnią córkę. Kate ciekawiło, czy Alice jest mężatką, lecz nie chciała pytaniem urazić Oony zakładając, zresztą słusznie, że Mary wychowuje się bez ojca.

- Czy będę mogła bawić się z tą dziewczynką? - zapytała cichutko Alexis. Czuli się już o wiele lepiej. Po nocy spędzonej w przytulnym łóżeczku "Titanic" nie wydawał jej się tak przerażający, stewardzi byli dla niej nadzwyczaj mili, tak że z wolna zaczynało jej się na statku podobać.

- Zobaczmy, córeczko - odparła Kate. - Najpierw musimy się upewnić, że to na pewno ona.

Oona przez cały dzień chodziła podekscytowana, a gdy istotnie znalazła nazwisko kuzynki na liście pasażerów, zaśmiała się uszczęśliwiona. Alice O'Dare - widniało czarno na białym. Poszła podzielić się swą radością z Edwiną, która przebierała się akurat do kolacji.

- Panno Edwino, miałam rację!... To naprawdę moja kuzynka. Ja to czułam. Nie widziałam jej cztery lata, ale ona nic a nic się nie zmieniła.

- Skąd wiesz? - uśmiechnęła się Edwina.

- Jak położyłam dzieci spać, została z nimi stewardesa, a ja poszłam do trzeciej klasy, żeby poszukać Alice. Intendent znalazł ją na liście pasażerów, więc musiałam się z nią zobaczyć... Pani Winfield wiedziała o tym - dodała usprawiedliwiająco. - Powiedziałam jej i pozwoliła mi pójść.

- Ależ, Oono, nie tłumacz się przede mną. - Czasami Edwina, nie będąca już dzieckiem i jeszcze nie pani domu, nie bardzo wiedziała, jak się zachować wobec służby. Bywało, że zarówno Oona, jak i młodsze rodzeństwo uważali, że o wszystkim donosi matce. - Kuzynka pewnie bardzo się ucieszyła na twój widok. - Popatrzyła z sympatią na dziewczynę, czując się o wiele od niej starsza i dojrzała.

Oona odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się zadowolona.

- Wciąż jest śliczna, a Mary to słodka dziewczuszka. Miała ledwie rok, jak ją widziałam ostatni raz. Wygląda zupełnie jak Alice w dzieciństwie. A włosy to ma czerwone jak ogień! - roześmiała się wesoło.

Edwina odpowiedziała jej uśmiechem. Chowała właśnie brylantowe kolczyki matki do szkatułki.

- Wybiera się do Nowego Jorku? - zapytała.

Irlandka skinęła głową, wciąż radośnie uśmiechnięta.

- Tak. Ma tam ciotkę i kuzynów. Ale namawiam ją, żeby przyjechała do Kalifornii. Obiecała, że się postara. Zrobię co tylko się da, żeby jej pomóc.

Edwina spojrzała życzliwie na Oonę, uszczęśliwioną ze spotkania kuzynki na statku. Nie byłaby jednak sobą, gdyby natychmiast nie pomyślała o czymś, co z pewnością przysłoby do głowy jej matce.

- Czy po powrocie umyłaś dokładnie ręce? - zapytała.

- Oczywiście - odparła Irlandka, odrobinę urażona pytaniem, choć rozumiała troskę chlebobawców. Dla nich trzecia klasa była jak zaraza, była miejscem, którego nikt z nich nigdy nie oglądał, o którym nawet nie chcieli słyszeć. Na "Titanicu" wszakże również tam warunki były lepsze, niż się Oona spodziewała. Oczywiście nie dało się trzeciej klasy porównać z luksusem kabiny, w której ona podróżowała, lecz wszędzie było czysto i przyzwoicie. A najważniejsze, że razem z Alice dopłyną do Ameryki. -Ależ mamy szczęście, prawda, panno Edwino? Żeby płynąć tym samym statkiem... Nie do wiary, nigdy nie myślałam, że tak nam się złoży...

Zadowolona i uśmiechnięta wróciła do kabiny dzieci, a Edwina przyłączyła się do rodziców i Charlesa czekających na nią w salonie. Tego wieczoru mieli zjeść kolację w eleganckiej restauracji "A la Carte". Edwina, spoglądając z miłością na narzeczonego, pomyślała, że ona i jej rodzina są wybrańcami losu wiodącymi wspaniałe życie w otoczeniu ukochanych osób, zwiedzającymi przepiękne miejsca, nie wspominając już o podróży luksusowym statkiem, którym właśnie wracali do domu. Stojąc obok Charlesa w jasnoblękitnej satynowej sukni, z włosami upiętymi nad czołem i z zaręczynowym pierścieniem błyszczącym na palcu, zrozumiała, że nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa, a kiedy wsparta na jego ramieniu szła lekkim krokiem do holu, przysłuchując się pogodnym przekomarzaniom rodziców poczuła, że ten wieczór będzie szczególny - będzie preludium do wymarzonej przyszłości.

Rozdział trzeci

Na "Titanicu" czas upływał przyjemnie na rozrywkach, których statek dostarczał bez liku. Zamknięty świat, który oddano podróżnym na czas przeprawy przez ocean, był nierealnie beztroski i radosny. Oprócz rozkoszy podniebienia pasażerom oferowano grę w squasha, kąpiel w basenach, a nawet turecką łaźnię.

Filip i Charles spędzili już kilka miłych godzin na boisku do squasha, z rana zdążyli popedałować na rowerach gimnastycznych i dosiąść mechanicznych koni, natomiast Edwina wypróbowała elektrycznego wielbłąda. George spędzał czas w windach, zawierając coraz to nowe znajomości. Cała rodzina spotykała się dopiero na lunchu. Później Oona układała Teddy'ego, Alexis i Fannie do poobiedniej drzemki, a Kate i Bertram spacerowali po pokładzie, mogąc wreszcie spokojnie porozmawiać, na co od lat nie mieli czasu.

Kolację pasażerowie spożywali w ogólnej jadalni lub w wytwornej restauracji "A la Carte". Tam też drugiego dnia podróży kapitan Smith przedstawił Winfieldów państwu Astor. Na podstawie paru uwag rzuconych przez panią Astor, dużo młodszą od męża, Kate zorientowała się, że niebawem przyjdzie na świat ich dziecko. Astorowie sprawiali wrażenie bardzo zakochanej pary. Gdziekolwiek ich spotykała, rozmawiali ze sobą czule lub trzymali się za ręce. Raz natknęła się na nich w pobliżu ich apartamentu, gdy całowali się namiętnie.

Kate polubiła także Strausów. Nigdy wcześniej nie widziała dwojga ludzi równie zgodnych i wciąż okazujących sobie tak wiele miłości pomimo tylu przeżytych wspólnie lat. W rozmowie z panią Straus Kate odkryła, że dama ta posiada rzadko spotykane poczucie humoru.

Pierwszą klasą podróżowało w sumie trzystu dwudziestu pięciu pasażerów, w tym sporo ciekawych i sławnych osobistości. Kate ucieszyła się z poznania Helen Churchill Candee, autorki kilku powieści i osoby o szerokich horyzontach, stale pochłoniętej wieloma sprawami. Sporo owych "spraw" odwzajemniało zainteresowanie pisarki - Kate wielokrotnie spotykała piękną panią Candee w otoczeniu co najmniej pół tuzina mężczyzn, i to najatrakcyjniejszych. Do grona tego, choć był równie przystojny, nie zaliczał się oczywiście Bertram Winfield.

- Spójrz, jak by mogło wyglądać twoje życie, gdybyś nie wyszła za mnie - drażnił się

z żoną, gdy mijali leżak Helen Candee otoczony wianuszkami adoratorów, którzy z zapartym tchem czekali na każde słowo spływające z jej warg. Odeszli już dość daleko, a uszu Kate wciąż dolatywał egzaltowany śmiech pisarki. Słowa męża bardzo ją rozbawiły. Kate Winfield nie przyszłoby nawet do głowy, że mogłaby wieść życie takie jak Helen Candee. Przecież ona poza dziećmi i mężem świata nie widziała!

- Obawiam się, kochanie, że marna byłaby ze mnie "femme fatale".

- A to czemu? - wydawał się dotknięty, jak gdyby skrytykowała jego wybór. - Jesteś niespotykane piękną kobietą.

- Oj, ty głuptasku! - pocałowała go w policzek i potrząsnęła głową, przybierając dziewczęcy wyraz twarzy. - Myślę, że przyszłam na świat, żeby biegać z chusteczką i wycierać domownikom nosy. Chyba zostałam stworzona do roli matki.

- Cóż za niepowetowana strata... Mogłabyś mieć pół Europy u swych stóp, tak jak niezrównana pani Candee - przekomarzał się z nią Bert, w pełni odwzajemniający uczucia żony.

- Ja wolę mieć tylko ciebie u stóp, Bertramie Winfield. Cóż bym poczęła z tłumem nadszkakujących mi mężczyzn?

- Zdaje się, że powinienem być wdzięczny losowi - zauważył z uśmiechem Bert. Pomyślał o latach, które spędzili razem, wspólnie dzieląc zarówno radosne chwile, jak i troski. Los pozwolił im być nie tylko kochankami, ale i przyjaciółmi.

- Mam nadzieję, że Edwina i Charles będą równie szczęśliwi jak my - powiedziała cicho Kate, wyrażając na głos nurtujące ją myśli.

- Ja też mam taką nadzieję. - Pomimo przejmującego chłodu, który panował tego popołudnia, Bert zatrzymał się i tuląc żonę czule ją pocałował. - Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię Kocham - szepnął jej do ucha.

Kate popatrzyła na męża z uwagą. Wydawał jej się poważniejszy niż zazwyczaj i bardzo napięty. Delikatnie pogłaskała go po policzku.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Nie najgorzej - odrzekł - ale uświadomiłem sobie, że czasem nie zaszkodzi wypowiedzieć na głos to, co się myśli.

Spacerowali po pokładzie trzymając się za ręce. Było niedzielne popołudnie. Rankiem wysłuchali mowy kapitana Smitha i zmówili modlitwę "za tych co na morzu".

Dzień był bezwietrzny, ale robiło się coraz chłodniej, toteż prawie wszyscy pasażerowie schronili się pod dachem. W pobliżu sali gimnastycznej Winfieldowie znów ujrzeli panią Candee, tym razem w towarzystwie młodego Hugh'a Woolnera. Minąwszy ich, postanowili wejść do salonu na herbatę, bo na zewnątrz bardzo się już ochłodziło. Zauważyli tam Johna Jacobsa Astora pijącego herbatę w towarzystwie swej młodej żony Madeleine, a po chwili w głębi sali zobaczyli George'a i Alexis siedzących przy stoliku z dwiema starszymi paniami.

- Popatrz no na niego! - skrzywił się Bert. - Bóg jeden wie, co wyrosnie z tego chłopca. Czasami skóra mi cierpnie na samą myśl o tym.

Zostawiwszy żonę, poszedł przedstawić się damom, które gościły jego dzieci. Podziękował im za uprzejmość i poprowadził swe latorośle do stolika, przy którym czekała na nich Kate.

- Coście tu robili? - zapytał po drodze, mocno zaskoczony, ponieważ z miny Alexis wnioskował, że najwyraźniej odpowiadało jej towarzystwo dwóch obcych osób, a to nieczęsto jej się zdarzało. - Gdzie Oona? - indagował.

- Poszła na dół do swojej kuzynki, a maluchy zostawiła ze stewardesą. Obiecałem jej, że zaprowadzę Alexis do ciebie - z zadowoloną miną odpowiedział George.

- George zabrał mnie do sali gimnastycznej i na basen - pochwaliła się Alexis. - A potem jeździliśmy windami, tam i z powrotem, aż George uznał, że ktoś powinien nas poczęstować ciasteczkami. No i udało nam się znaleźć te panie. Były bardzo miłe - opowiadała z rozpromienioną buzią o swej przygodzie jak o czymś zupełnie oczywistym. - Powiedziałam im, że jutro są moje urodziny.

Istotnie nazajutrz wypadają jej urodziny. Kate już poprzedniego dnia zamówiła tort, który miał być niespodzianką, a szef piekarzy, Charles Joughin, obiecał, że przyozdobi go białą polewą i różyczkami z lukru.

- Miło mi, że tak przyjemnie spędziliście czas - rzekł wciąż rozbawiony Bert i Kate także się roześmiała. - Ale wolałbym, żebyście następnym razem poszli na podwieczorek z nami, zamiast wpraszać się do obcych pań.

George mrugnął do rodziców porozumiewawczo, a Alexis przytuliła się do Kate, która delikatnie ją pocałowała. Dziewczynka uwielbiała bliskość matki, jej ciepło i miękkość, muśnięcia włosów i zapach perfum. Istniała między nimi szczególna więź, co nie

znaczyło, że Kate mniej kochała pozostałe dzieci - po prostu zdarzały się chwile, kiedy Alexis miała specjalne prawa u matki. Kate traktowała wszystkie swoje dzieci jednakowo, lecz czuła, że Alexis potrzebuje jej bliskości bardziej niż inne. Jakby nie przecięto pępowiny pomiędzy matką a córką, przez co być może pozostałą nierozzerwalnie złączone. Czasami przychodziło Kate do głowy, że one dwie nigdy się nie rozstaną, ogarniało ją też niekiedy przemożne pragnienie, by zatrzymać Alexis przy sobie na zawsze. Owo pragnienie wzmagало się zwłaszcza teraz, gdy Edwina miała wyjechać do Anglii i opuścić ją na stałe.

Do salonu weszli Edwina i Charles, wracający ze spaceru po pokładzie. Gdy podchodzili do stolika, Edwina wciąż rozcierała zmarznięte dłonie.

- Ależ ziąb na dworze - powiedziała z uśmiechem, który ostatnio nieustannie gościł na jej twarzy.

Kate pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała osoby równie szczęśliwej. Ona podobnie się czuła, gdy wychodziła za Bertrama. Tych dwoje było dla siebie stworzonych. Podobną opinię wyraziła pani Straus, przekonana, że tę piękną parę czekają długie lata w szczęściu.

- Ciekawe, dlaczego jest tak zimno. Zrobiło się zimniej niż rano - zwróciła się Edwina do ojca. Usiedli z rodzicami, zamawiając herbatę i tosty z masłem, które kelner przyniósł po krótkiej chwili.

- Trzymamy kurs na północ. Jeżeli w nocy dobrze wytyżymy oczy, to może uda nam się wypatrzyć małe góry lodowe - odparł Bertram.

- Czy to niebezpieczne? - zatroskała się Edwina.

Ojciec uspokajająco potrząsnął głową.

- Nie dla takiego statku jak nasz. Słyszałaś, co się mówi o "Titanicu"? Jest niezatapialny. Jedna mała góra lodowa nie wystarczy, żeby go posłać na dno, a poza tym gdyby groziło nam niebezpieczeństwo, kapitan z pewnością podejmie właściwe środki ostrożności.

Tego dnia płynęli z prędkością dwudziestu trzech węzłów, co jak na statek pasażerski było całkiem niezłym tempem. Po południu, gdy Winfieldowie siedzieli przy podwieczorku, "olbrzym" otrzymał trzy ostrzeżenia o górach lodowych z innych statków: z "Caronii", "Baltica" i "Ameriki", lecz kapitan Smith nie kazał ograniczać prędkości. Uważał, że byłoby to zbędne, choć na wszelki wypadek polecił bacznie obserwować ocean. Był

jednym z najbardziej doświadczonych kapitanów linii White Star. Spędziwszy lata całe na statkach, odbywał ostatni rejs, po którym zamierzał przejść na emeryturę.

Radiogramy z ostrzeżeniami widział także Bruce Ismay, szef linii White Star płynący na "Titanicu". Omówił sytuację z kapitanem, po czym schował je do kieszeni.

Tego wieczora Kate osobiście ułożyła dzieci do snu, ponieważ Oona, poprosiwszy stewardesę, by posiedziała przy malcach, znów poszła na pokład trzeciej klasy do kuzynki. Kate nie miała nic przeciwko jej wizytom u krewnej. Lubiła zajmować się dziećmi, a nawet wołała, gdy nikt jej nie wyręczał. Zauważyła, że robi się coraz zimniej, otuliła więc malców dodatkowymi kocami.

Przed wyjściem do restauracji zajrzała na chwilę na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza i poczuła, że na zewnątrz panuje chłód nie do zniesienia. Idąc na kolację rozmawiała z mężem o Filipie, który znalazł sobie przedmiot westchnień - śliczną pannę, niestety, pasażerkę z drugiej klasy. Mimo że nie mieli praktycznie żadnej szansy na spotkanie, wpatrywał się w nią ze swojego pokładu, ona zaś zerkała nań z dołu, wstydliwie wznosząc oczy. Filip co dzień przystawał w tym samym miejscu licząc, że znów ją zobaczy, aż Kate zaczęła się obawiać, że syn przeziębii się, tkwiąc pod gołym niebem na przejmującym zimnie. Jednakże panna czy też jej rodzice wykazali więcej rozsądku - nie pokazała się. Filip chodził markotny przez całe popołudnie, a wieczorem zrezygnował z kolacji.

- Biedak - powiedziała Edwina ze współczuciem do matki, gdy zajmowali miejsca przy stole. Ojciec zatrzymał się jeszcze przy Benjaminie Guggenheimie, potem przystanął, by zamienić kilka słów z W. T. Steadem, znanym dziennikarzem i pisarzem, który przed kilkoma laty pisywał do gazety Winfieldów. Wreszcie i on zasiadł z resztą rodziny.

- Z kim rozmawiałaś, kochanie? - spytała zaciekawiona Kate. Rozpoznała Steada, ale nie wiedziała, kim był drugi mężczyzna.

- Z Benjaminem Guggenheimem. Poznałem go przed laty w Nowym Jorku - wyjaśnił dość niechętnie Bert.

Kate zastanowiła dziwna reakcja męża. Może powodem była olśniewająca blondynka towarzysząca Guggenheimowi? Coś jej podpowiadało, że nie jest jego żoną.

- Czy to pani Guggenheim? - zagadnęła, pragnąc się upewnić.

- Nie sędzę - uciął krótko Bert, po czym spytał Charlesa, który z nich właściwie

ocenił dystans przebyty tego dnia przez statek. Zakład i niewielką kwotę wygrał Charles, przewidziawszy, że "Titanic" pokona pięćset czterdzieści sześć mil.

Przyszli teściowie i zięć mieli w czasie rejsu wyśmienitą okazję, aby się bliżej poznać. Jak dotąd Bertowi wszystko w Charlesie się podobało. Oboje z Kate byli przekonani, że małżeństwo ich córki będzie udane.

- Czy ktoś miałby ochotę na krótki spacer? - zapytał Bert, gdy opuszczali salon po wysłuchaniu wieczornego koncertu, okazało się jednak, że jest zbyt zimno na przechadzkę. Powietrze było mroźne, a niebo iskrzyło się gwiazdami.

- O Boże, ależ ziąb. - Kate zadrżała z zimna. Choć była w futrze, chłód ją przeniknął do szpiku kości.

Noc była kryształowo jasna. Nikt z pasażerów nie wiedział, że gdy jedli kolację, radiooperator znowu otrzymał ostrzeżenie z dwóch statków o znajdujących się w pobliżu górach lodowych, nikt nie podejrzewał, że coś wisi w powietrzu. Było wpół do jedenastej, kiedy Winfieldowie wrócili na pokład B. Charles i Edwina usiedli jeszcze w saloniku przy butelce szampana, rodzice zaś szykowali się do snu, cicho rozmawiając.

Gdy Kate i Bertram byli w łóżku i gasili światło, wybiła godzina jedenasta. Mniej więcej w tym samym czasie płynący niedaleko "Californian" przekazał "Titanicowi" wiadomość o napotkanej przed chwilą górze lodowej. Radiooperator "Titanica", niejaki Phillips, przesyłał akurat prywatne depesze pasażerów do stacji na Cape Race w Nowej Fundlandii, ostro więc odpowiedział koledze z "Californiana", aby mu nie przeszkadzał, ma bowiem pełne ręce roboty, o górze lodowej zaś już słyszał. Tym razem nie uznał za konieczne przekazać informację kapitanowi-przecież czytał wcześniej podobne depesze i niezbyt się nimi przejął. "Californian", jakby urażony, wyłączył się nie podając współrzędnych góry lodowej, a Philips tymczasem niestrudzenie wysyłał telegramy do Cape Race.

Kate i Bertram pogrążyli się we śnie, ich młodsze dzieci spały już od dawna w kabinie obok, natomiast Edwina i Charles, przytuleni na kanapce w saloniku, szeptali o swych marzeniach i nadziejach. Zbliżała się północ. Młodzi wciąż rozmawiali, gdy naraz przez statek przeszło lekkie drzenie i coś zgrzytnęło, jakby otarli się o przeszkodę. Pomyśleli jednak, że skoro nie nastąpił silniejszy wstrząs, to nic wielkiego nie mogło się stać. Jeszcze chwilę gawędzili, zanim Edwina uświadomiła sobie, że ucichł towarzyszący

im dotychczas monotonny szum, a wraz z nim zniknęło wrażenie wibracji. Najwyraźniej statek się zatrzymał. Charles zaniepokoił się nieoczekiwanym postojem.

- Myślisz, że coś się stało? - zatroskała się Edwina.

Charles wyjrzał przez okienko na lewą burtę, lecz nie zauważył nic niezwykłego.

- Nie sądzę. Słyszałaś, co twój ojciec mówił o statku. Jest niezatapialny. Może maszyny wyłączono, żeby odpoczęły, albo zmieniamy kurs. Na pewno nic się nie stało. - Wziął jednak płaszcz, po czym czule pocałował ją w usta. - Sprawdzę, dlaczego stoimy, i zaraz ci powiem.

- Ja też idę.

- Edwino, jest strasznie zimno. Poczekaj tutaj.

- Daj spokój. W jadalni wuja Ruperta było zimniej.

Charles uśmiechnął się na te słowa i pomógł jej włożyć futro matki. Był pewien, że wszystko jest w najlepszym porządku, doszło najwyżej do awarii maszyn, która niewątpliwie zostanie szybko usunięta i wkrótce popłyną dalej.

Na korytarzu napotkali zaciekawionych pasażerów, jak oni ubranych w wieczorowe stroje, białe krawaty i futra narzucone na suknie balowe lub w szlafrokach, spod których wystawały gołe nogi. Wyglądało na to, że sporo osób, łącznie z Johnem Jacobem Astorem, wyczuło, że coś się stało i chce poznać prawdę. Spacer po pokładzie niczego wszakże nie wyjaśnił, nie rozwiał niczyich wątpliwości. Nie doszli do niczego ponad to, co już wiedzieli, mianowicie że statek się zatrzymał, a olbrzymie kominy wysyłają kłęby pary w niebo roziskrzane gwiazdami. Oznak niebezpieczeństwa nie było jednak żadnych.

Wreszcie steward oznajmił zaintrygowanym pasażerom, że uderzyli w "kawalek lodu", ale nie ma się czym przejmować. John Jacob Astor wrócił do żony, Charles i Edwina również udali się do apartamentu. Powiedziano im, że jeśli chcą zobaczyć ten odłamek lodu, to jest on w strefie rekreacyjnej trzeciej klasy. Z pokładu spacerowego widać było tam pasażerów, którzy wśród wybuchów beztronskiego śmiechu rzucali śniegowymi kulami.

Była za pięć dwunasta, kiedy narzeczeni weszli do saloniku, gdzie zastali wyraźnie zaniepokojonego Bertrama.

- Czy coś nie w porządku ze statkiem? - zapytał ich szeptem, ponieważ Kate spała.

- Nic na to nie wskazuje - odparł Charles kładąc płaszcz na krześle, podczas gdy Edwina wyplątywała się z obszernego futra matki. - Zderzyliśmy się z lodem, ale nikt się

tym nie przejmuję. Zdaje się, że załoga szybko uporała się z kłopotami. Z pokładu nie widać nic, co by budziło obawy.

Charles nie wyglądał na zdenerwowanego, więc i Bertram odetchnął z ulgą. Było mu głupio, że nie potrafi ukryć obaw, ale miał przecież pod opieką rodzinę i chciał być pewien, że nic jej nie zagraża. Życzył młodemu dobrej nocy, poprosił Edwinę, by nie ociągała się długo z pójściem do łóżka, i dokładnie trzy minuty po północy ułożył się przy śpiącej smacznie Kate. Przez moment miał wrażenie, że podłoga się przechyla, pomyślał jednak, iż padł ofiarą złudzenia.

Było to w chwili, gdy głęboko pod pokładem palacze rozpaczliwie próbowali ugasić ogień w kotłach, a woda rwącym strumieniem zalewała pomieszczenie pocztowe. "Titanic" istotnie uderzył w "kawałek lodu", tyle że ów "kawałek" był górą lodową. Jego pięć podobno wodoszczelnych grodzi zalewała woda, która przedostawała się przez dziurę w kadłubie wyrwaną przez lód. Na mostku kapitan Smith, szef linii White Star, Bruce Ismay, oraz budowniczy statku, Thomas Andrews, stali w osłupieniu, próbując ocenić grożące statkowi niebezpieczeństwo.

Andrews czarno widział najbliższą przyszłość, nie wyobrażał sobie bowiem, aby przy pięciu grodziach wypełnionych wodą "Titanic" zdołał długo utrzymać się na powierzchni. Wybudowany przezeń niezatopialny statek tonął. Wiadomo było, że nie od razu pójdzie na dno, lecz nikt nie potrafił określić, jak długo potrwa agonია.

Pięć minut po północy na usilne naleganie Thomasa Andrewsa kapitan Smith zebrał na mostku oficerów i polecił, by dopilnowali zdjęcia pokrowców z łodzi ratunkowych. Nie przeprowadzono dotąd próbnych ćwiczeń, nikt bowiem nie przypuszczał, żeby zaszła konieczność ewakuacji. Przecież ten statek miał być niezatopialny, nie należało zatem bez potrzeby niepokoić pasażerów. Teraz stewardzi pukali do wszystkich kabin pierwszej klasy. Kiedy Charles otworzył drzwi salonu, Bert w jednej chwili zerwał się na równe nogi. Zrazu dobiegł go tylko dźwięk rozmowy, potem zaczął rozróżniać słowa. Steward przemawiał do pasażerów głosem spokojnym i stanowczym, jak do dzieci, które trzeba nakłonić do posłuchu, ale zbytnio nie nastraszyć.

- Proszę, żeby wszyscy włożyli pasy ratunkowe i wyszli na pokład. Natychmiast! - powiedział z naciskiem.

Nie było słyhać ani bicia dzwonów, ani wycia syren czy innych sygnałów

alarmowych. Dokoła panowała cisza, oczy stewarda mówiły wszakże wyraźnie, że należy się zastosować do jego poleceń. Edwina poczuła, że coś popycha ją do działania. Tak było zawsze, gdy ktoś z rodzeństwa potrzebowało jej pomocy. I wiedziała, że musi natychmiast pomóc matce.

- Mam czas, żeby się przebrać? - zapytała stewarda, który przecząco pokręcił głową i zanim wszedł do następnego apartamentu, rzucił jej przez ramię:

- Nie sądź. Niech pani zostanie w tym, co ma na sobie, i założy pas ratunkowy. Będzie trzymał ciepło. To tylko środki ostrożności, ale proszę się do nich stosować. Muszę iść dalej.

Steward zniknął, Edwina zaś poszukała wzrokiem oczu Charlesa, który uspokajająco ścisnął jej rękę. Bert tymczasem pospieszył obudzić żonę. Oona już wróciła z pokładu trzeciej klasy, ale podobnie jak reszta rodziny pogrążona była w głębokim śnie.

- Pomogę ci budzić dzieci - zaproponował Charles Edwinie.

Zaraz też udał się do kabiny Filipa i George'a, przygotował im pasy ratunkowe i pokazał, jak je zapiąć. Starał się nie przestraszyć ich zbyt, lecz nie bardzo mu się to udało. George mimo wszystko zachowywał się tak, jakby alarm był tylko niezłą zabawą, Filip natomiast wyglądał na mocno załęknionego, gdy wkładał na ubranie pas ratunkowy.

Edwina najpierw delikatnie obudziła Alexis, muskając ustami jej policzek i potrząsając nią lekko, potem wzięła Fannie na rękę, na koniec zaś ostrożnie szarpnęła Oonę za ramię. Kiedy tłumaczyła jej, co się stało, Irlandka patrzyła na nią oszalałymi ze strachu oczami.

- Gdzie mama? - zapytała Alexis z przerażeniem w głosie i ukryła się z powrotem w łóżku.

Edwina poleciła Oonie obudzić Teddy'ego i zastanawiała się, co powinna teraz zrobić, na szczęście w tejże chwili z sypialni wyszła Kate, naciągając szlafrok na nocną koszulę. Była zaspana, lecz wydawała się całkiem spokojna. Lęk ogarnął ją dopiero wtedy, gdy Alexis przypadła do jej kolan.

- Co tu się dzieje? - Kate z obawą popatrzyła na męża, córkę i Charlesa. - Czy coś się stało? - Czowała się tak, jakby zbudziła się w samym środku przedstawienia nieświadoma wcześniejszego przebiegu akcji.

- Nie mam pojęcia-uczciwie przyznał Bertram. - Wiem tylko, że zderzyliśmy się z

lodem, ale podobno to nic poważnego. W każdym razie tak poinformowano Charlesa godzinę temu. Teraz kazali nam wyjść w kamizelkach ratunkowych na pokład i zebrać się na wyznaczonych stanowiskach przy szalupach.

- Ach, tak... - mruknęła Kate, rozglądając się po kabinie. Jej wzrok padł na nogi Edwiny w srebrnych pantofelkach na cienkich obcasach. W takim obuwiu stopy przemarzłyby jej na pokładzie w pięć minut. - Edwino, zmień buty - poleciła. - Oono, włóż płaszcz i natychmiast zapnij kamizelki ratunkowe Teddy'emu i Fannie.

W energicznych działaniach pomagał jej Charles, Bertram tymczasem poszedł naciągnąć spodnie na piżamę i zmienić kaptcie na skarpetki i buty. Włożył także sweter, którego dotąd nie nosił, na to płaszcz i pas ratunkowy, zabrał też dla Kate ciepły wełniany kostium. Gdy wracał do dzieci, zauważył, że przechył statku się zwiększa, i po raz pierwszy, odkąd się obudził, poczuł strach.

- Pośpieszcie się - powiedział starając się, by jego głos brzmiał naturalnie.

Filip i George byli już gotowi. Edwina miała na sobie botki i płaszcz narzucony na wieczorową suknię z niebieskiej satyny. Charles pomagał jej ubierać Fannie, Teddy'ego i Alexis. Kate wciągnęła na szlafrok grubo kostium podróżny, który przyniósł jej Bert, włożyła spacerowe buty, na ramiona zarzuciła futro.

- Musisz się ubrać - syknęła Edwina do Oony. Nie chciała straszyć dzieci więcej niż potrzeba, pragnęła jednak uświadomić dziewczynie powagę sytuacji.

- Och, a co z Alice?... Muszę po nie iść! - Oona, bliska łez, załamywała ręce w rozpacz i bezradnie kręciła się w koło.

- Nie ma mowy. Wkładasz ubranie i idziesz z nami! - ostro powiedziała Kate. Nie wypuszczała z dłoni rączki Alexis, która choć przerażona, stała spokojnie wiedząc, że wszystko będzie dobrze, skoro są z nią rodzice. Wszyscy zdążyli się już ubrać oprócz Oony sparaliżowanej strachem.

- Ale przecież ja nie umiem pływać!... Nie umiem pływać!... - wołała histerycznie Irlandka.

- Nie bądź głupia. - Kate chwyciła ją za ramię i gestem poleciła Edwinie, by wyprowadziła rodzeństwo na pokład. - Nie będziesz musiała pływać, Oono. Wystarczy, że pójdziesz z nami. Ale najpierw musisz się ubrać.

Naciągnęła dziewczynie przez głowę wełnianą sukienkę i uklękła, by pomóc włożyć

jej buty, na koniec dopilnowała, żeby zabrała kamizelkę ratunkową i po chwili obie dołączyły do pozostałych.

Korytarze zatłoczone były pasażerami zdążającymi na pokład, ubranymi w to, co kto miał pod ręką, w kamizelkach ratunkowych. Większość okazywała zaniepokojenie, choć niektórzy śmiali się i mówili, że uważają całe to zamieszanie za jakiś niedorzeczny żart. Było kwadrans po północy, gdy radiooperator wysłał pierwsze sygnały wzywające pomocy. Poziom wody pod pokładem podnosił się błyskawicznie, o wiele szybciej, niż przypuszczał kapitan Smith. Zaledwie przed półgodziną zderzyli się z górą lodową, a już boisko do squasha było zalane po sam sufit. O tym jednak trener, Fred Wright, nie wspomniał Filipowi, gdy spotkał go w drodze do szalup.

- Czy nie powinnam była zabrać biżuterii? - zatroskała się naraz Kate. Pomyślała o tym dopiero teraz, ale nie chciała już wracać do kabiny. Obrączkę ślubną miała na palcu, a tylko na niej naprawdę jej zależało.

- Nie martw się - pocieszył ją Bert z uśmiechem i ścisnął jej dłoń. - Kupię ci nowe błyskotki, jeżeli... jeżeli tamte gdzieś się zapodzieją... - Nie chciał powiedzieć "jeżeli tamte stracisz" z obawy przed znaczeniem tych słów.

Nagle dotarło do niego, co grozi jego żonie i dzieciom, i ogarnęło go przerażenie. W drodze na pokład łodziowy Bert zerknął przez otwarte drzwi sali gimnastycznej, gdzie ujrzał Astorów spokojnie siedzących na mechanicznych koniach. Czekali tam niewątpliwie dlatego, że Astor obawiał się, by jego żona nie poroniła pod wpływem niskiej temperatury. Obydwoje mieli na sobie kamizelki ratunkowe, a trzecią, dodatkową, Astor trzymał na kolanach.

Minąwszy salę gimnastyczną Winfieldowie skierowali się ku lewej burcie, gdzie właśnie jęła przygrywać orkiestra. Przy dźwiękach melodii marynarze zdejmowali pokrowce z ośmiu drewnianych szalup ratunkowych. Na prawej burcie również szykowano osiem łodzi, cztery na dziobie i cztery na rufie. Poza tym na statku znajdowały się jeszcze cztery płócienne łodzie składane. Widok ten nie napawał otuchą, toteż gdy Bert ujął dłoń żony, poczuł, jak mocno bije mu serce.

Kate dźwigała na rękach Fannie, Filip - małego Teddy'ego. Alexis starała się trzymać jak najbliżej matki. Przystanęli w końcu zbici w gromadkę, nie mogąc uwierzyć, że na tym olbrzymim, nie mającym sobie równych statku marynarze spuszczaają szalupy

ratunkowe, do których będą wsiadać w samym środku mroźnej nocy. W tłumie słychać było głuchy pomruk zaniepokojenia.

Kate zauważyła, że Filip rozmawia z poznanym na początku rejsu Jackiem Thayerem z Filadelfii. Owego feralnego wieczoru rodzice chłopca byli na przyjęciu, które na cześć kapitana wydawali państwo Widenerowie, także z Filadelfii. Jack nie poszedł na przyjęcie i teraz próbował odnaleźć rodziców wśród pasażerów stojących na pokładzie. Chłopcy chwilę rozmawiali przyjaźnie, po czym Jack przeszedł do następnej grupy ludzi, wciąż rozglądając się za rodzicami.

Z dala od reszty pasażerów Kate dojrzała Allisonów z Montrealu wraz z małą Lorraine, która jedną ręką kurczowo uczepliła się matki, w drugiej zaś ścisnęła swą ukochaną lalkę. Pani Allison stała przytulona do męża, a guwernantka trzymała w ramionach małego chłopczyka, zawiniętego w koc, by uchronić go przed lodowatym powiewem północnego Atlantyku.

Załadunkiem szalup przy lewej burcie kierował drugi oficer Lightoller, na razie jednak panował zupełny chaos. Ponieważ na "Titanicu" nie przeprowadzono podczas rejsu ćwiczeń ratunkowych, oprócz członków załogi nikt nie wiedział, do której łodzi jest przydzielony. Marynarze zresztą także nie bardzo się orientowali, co mają robić. Na chybił trafił ściągali pokrowce z szalup, wrzucając do środka latarnie i pudełka sucharów. Tłum nieufnych pasażerów wciąż trzymał się z dala, gdy marynarze opuszczali na wyciągach łodzie do pozycji umożliwiającej wsiadanie. Orkiestra zaś niestrudzenie wygrywała murzyńskie rytmy.

Alexis zaczęła płakać. Kate, mocno ściskając jej rączkę, pochyliła się nad córką i przypomniała, że przecież to już dzień jej urodzin, wobec czego później dostanie prezenty, być może nawet tort.

- Jak wrócimy na statek, będziesz miała piękne przyjęcie urodzinowe - obiecała, przygarniając ją do siebie i mocniej tuląc w ramionach Fannie. Poszukała wzrokiem oczu męża.

Bert wsłuchiwał się w rozmowy stojących obok pasażerów, pragnąc się zorientować, czy ktoś wie coś, o czym on jeszcze nie słyszał. Wszyscy wiedzieli jedynie, że mają natychmiast wsiadać do łodzi ratunkowych, w pierwszej kolejności kobiety i dzieci. Orkiestra grała coraz głośniejsze. Kate pod maską uśmiechu skrywała przerażenie, które ją

ogarniało, gdy patrzyła na szalupy.

- Na pewno nic straszego się nie dzieje, skoro orkiestra tak ślicznie przygrywa, prawda? - powiedziała wesoło do dzieci. Wymieniła z Bertem długie spojrzenie, które jej zdradziło, że on również się boi, lecz przy dzieciach nie chcieli mówić o swoich obawach.

Charles, który rozprawiał z kilkoma młodzieńcami, stał tuląc Edwinę mocno ściskając jej rękę, zapomniała bowiem o rękawiczkach, toteż rozgrzewał zmarznięte dłonie narzeczonej. Kiedy pierwsze szalupy znalazły się na stanowiskach, zaproszono do nich kobiety i dzieci, lecz mimo nalegań Lightollera nikt się nie kwapił do wsiadania. Wciąż jeszcze nie wierzono w realne niebezpieczeństwo. Panie wahały się, dopóki sprawy nie wzięli w swe ręce ich mężowie. Panowie Kenyon, Pears i Wick pierwsi poprowadzili żony do łodzi i pomogli im wsiąść, chociaż błagały, aby nie kazali im samym wyruszać w lodowate piekło nocy.

- Nie bądźcie niemądre, moje panie - powiedział mąż którejś na tyle głośno, by go wszystkie usłyszały. - Niedługo spotkamy się na statku przy śniadaniu. Cokolwiek się wydarzyło, na pewno szybko usuną awarię. A pomyślcie, jaką przeżyjecie przygodę! - mówił jowialnym tonem.

Ktoś z pasażerów roześmiał się niepewnie i wreszcie kilka kobiet z wahaniem ruszyło w stronę szalup, większość z pokojówkami. Panom nakazano bez ogródek, aby się cofnęły - najpierw miały wsiadać tylko kobiety i dzieci. Lightoller nie dopuszczał nawet myśli, że jakiś mężczyzna mógłby teraz zająć miejsce w łodzi. Pomimo kobiecych głosów, że mężowie pomogliby wiosłować, gdyby płynęli razem z nimi, oficer nie chciał o tym słyszeć. Tylko kobiety i dzieci. Gdy po raz kolejny powtórzył te słowa, Oona spojrzała na Kate i wybuchnęła płaczem.

- Nie mogę, proszę pani. Nie mogę... Nie umiem pływać... A do tego Alice... i Mary - łkała cofając się krok po kroku.

Kate zrozumiała, że dziewczyna ucieknie. Zostawiła na chwilę Alexis i zaczęła pocieszać Oonę, podchodząc do niej powoli. Kiedy była od niej na wyciągnięcie ręki, Irlandka z głośnym okrzykiem rzuciła się ku przejściu na pokład trzeciej klasy.

- Mam iść za nią? - zapytał Filip matki, gdy wróciła do dzieci.

Fannie marudziła, Teddy'ego trzymała teraz Edwina. Kate spojrzała pytająco na Bertrama, lecz on pokręcił głową. Nie chciał, aby się teraz rozdzielali. Skoro Oona była na

tylko nierozsądna, żeby uciec, to będzie musiała wsiąść do szalupy na innym pokładzie i później ich odnajdzie. Oni muszą trzymać się razem, bo gotowi są jeszcze pogubić w tłumie.

Kate patrzyła nań niepewnie.

- Może byśmy poczekali? - rzekła. - Nie chcę cię tu zostawiać. Przecież w każdej chwili mogą odwołać alarm i niepotrzebnie będziemy narażać dzieci...

Kiedy to mówiła, pokład przechylił się mocniej. Teraz Bertram już wiedział, że to nie są ćwiczenia. Sytuacja była poważna i wszelka zwłoka mogłaby się okazać fatalna w skutkach. Nie wiedział natomiast, że na mostku Thomas Andrews zawiadomił właśnie kapitana, iż mają niewiele ponad godzinę czasu na ewakuację, a łodzie ratunkowe nie pomieszczą nawet połowy pasażerów. Czyniono rozpaczliwe wysiłki, by połączyć się z "Californianem", który płynął w odległości zaledwie dziesięciu mil, lecz pomimo starań radiooperatora nie udawało się nawiązać kontaktu.

- Chcę, żebyś wsiadła do szalupy, Kate - powiedział cicho Bertram.

Spojrząwszy w oczy męża Kate przeraziła się. Nigdy dotąd nie widziała go tak bardzo zdenerwowanego. Instynktownie odwróciła się do Alexis, która stała przy niej jeszcze przed chwilą. Kate wypuściła jej rękę, kiedy usiłowała zatrzymać Oonę, lecz teraz córki nie było. Rozglądając się wkoło, zerknęła też w stronę Edwiny, by sprawdzić, czy Alexis jest z nią. Edwina rozmawiała z Charlesem, obok nich stał George, zmęczony i zmarznięty, o wiele mniej podekscytowany niż pół godziny wcześniej. Wyraźnie się rozpoznał, gdy wystrzelone ze statku rakiety rozjaśniły niebo. Było trzydzieści pięć minut po północy. Niewiele ponad godzinę wcześniej "Titanic" zderzył się z górą lodową.

- Bert, co znaczą te race? - szepnęła Kate, gorączkowo szukając wzrokiem Alexis. Może mała rozmawia z córką Allisonów, może jak zwykle porównują swoje lalki?

- To znaczy, Kate, że sytuacja jest poważniejsza, niż sądzimy - wyjaśnił Bert. - Ty i dzieci musicie natychmiast wsiąść do łodzi.

Kate wiedziała, że tym razem mąż mówi poważnie. Mocno ścisnął jej dłoń, do oczu napłynęły mu łzy,

- Nie wiem, gdzie się podziała Alexis - powiedziała z paniką w głosie. Bert gorączkowo rozejrzał się po tłumie zgromadzonym wokół nich, nigdzie jednak nie spostrzegł córki. - Pewnie się gdzieś schowała. Trzymałam ją za rękę, dopóki nie pobiegłam

za Ooną... - Oczy jej zwilgotniały. - O Boże, Bert, gdzie ona jest? Dokąd mogła pójść?

- Nie martw się, znajdę ją. Ty zostań tu z resztą dzieci - uspokajał ją.

Przeciskał się przez tłum, sprawdzając każdą grupę, zaglądał w każdy kąt, biegał od jednych do drugich, nigdzie jednak nie widział Alexis. Pośpieszył wreszcie z powrotem do żony, która dźwigając na jednej ręce najmłodsze dziecko, drugą próbowała utrzymać przy sobie George'a. Zwróciła na męża zatroskane spojrzenie z niemym pytaniem, lecz Bert przecząco potrząsnął głową.

- Jeszcze jej nie znalazłem - powiedział. - Ale przecież nie mogła odejść daleko. Nigdy się od ciebie nie oddalała. - Był mocno zaniepokojony, ale starał się ukryć to przed żoną.

- Pewnie gdzieś zabląkała się w tłumie. - Kate z trudem hamowała łzy. Nie była to najodpowiedniejsza chwila, żeby zgubić sześciolatnie dziecko. Pasażerowie "Titanica" właśnie zaczęli zajmować miejsca w łodziach.

- Na pewno gdzieś się schowała - przekonywał Bert, starając się ukryć rozpacz. - Wiesz, że boi się wody.

Kate przypomniała sobie, jak Alexis bała się wejść na statek i jak Bert ją zapewniał, że nikomu nic się nie może przytrafić. Mylił się jednak, bo oto znaleźli się w niebezpieczeństwie, na dodatek mała zniknęła, a Lightoller przy dźwiękach grającej nie opodal orkiestry wciąż wzywał do łodzi kobiety i dzieci.

- Kate... - powiedział prosząco Bert, choć pojął już, że nie nakłoni żony do opuszczenia statku bez Alexis, a nie wiadomo, czy w ogóle zdecyduje się ona na ten krok.

- Nie mogę... - Kate rozglądała się wokół, a wybuchające nad nimi race rozbrzmiewały jak armatnie wystrzały.

- No to wyślij tymczasem Edwinę. - Na czoło Bertrama wystąpiły grube krople potu. To, czego doświadczała, stawało się niewyobrażalnym koszmarem, Pokład wciąż przechylał się pod ich stopami i nikt już nie miał wątpliwości, że "niezatapiający" statek pogrąża się w wodzie, i to szybko. Bert przysunął się do żony, delikatnie wyjął jej z ramion Teddy'ego i ucałował loki wystające spod wełnianej czapeczki, którą Oona włożyła małemu, gdy go obudzono. - Edwina weźmie teraz malców, a ty wsiądziesz z Alexis do następnej łodzi - zaproponował.

- A ty? - spytała niepewnie Kate. Jej twarz, już biała w niesamowitym świetle rakiet,

pokryła się jeszcze większą bladością. Orkiestra przeszła akurat z melodii murzyńskich na walce. - A George i Filip?... A Charles?

- Mężczyzn na razie nie wpuszczają do łodzi - odparł Bert. - Słyszałaś, co mówił ten człowiek. Najpierw wsiadają kobiety i dzieci. Filip, George, Charles i ja dołączymy do was później.

W pobliżu stała spora grupa mężczyzn, którzy żegnali żony i dzieci zajmujące miejsca w łodziach. Było pięć po pierwszej i zdawało się, że jest coraz zimniej. Kobiety błagały Lightollera, by razem z nimi pozwolił wsiąść ich mężom, lecz oficer nie chciał o tym słyszeć. Zdecydowany spełnić swój obowiązek, z surową miną zagradzał mężczyznom drogę do łodzi.

Kate szybko podeszła do Edwiny.

- Ojciec chce, żebyś wsiadła do łodzi z Fannie i Teddym. I z George'em - dodała po chwili, pragnąc, żeby syn przynajmniej spróbował wydostać się ze statku. Ostatecznie był jeszcze dzieckiem, miał dopiero dwanaście lat.

- A co z tobą? - wystraszyła się Edwina. Patrzyła na matkę przerażona, że zostawi ją i resztę bliskich na statku, który sama miała opuścić z George'em i dwójką najmłodszego rodzeństwa.

- Wsiądę z Alexis do następnej łodzi - rzekła spokojnie Kate. - Mała na pewno schowała się gdzieś w pobliżu i boi się pokazać, bo obawia się przeprowadzki do łodzi - próbowała żartować. Traciła panowanie nad sobą, lecz nie chciała, by jej zdenerwowanie udzieliło się najstarszej córce. Gorąco pragnęła, aby Edwina wsiadła wreszcie do szalupy. Że też w takiej chwili Oona musiała ich opuścić! Kate zastanawiała się przez chwilę, co się teraz dzieje na pokładzie trzeciej klasy. - George pomoże ci, póki do was nie dołączymy - dodała.

Chłopiec aż jęknął z rozpaczy. Ogromnie chciał zostać z mężczyznami do samego końca, ale Kate stanowczo wzięła go za rękę i zaprowadziła do Berta, który stał z Filipem i Charlesem.

- Znalazłeś Alexis? - zapytała męża.

Rozglądała się nerwowo dookoła, nigdzie jednak nie dostrzegła córki. Naraz gorąco zapragnęła, by reszta dzieci znalazła się jak najszybciej w szalupie i żeby ona mogła pomóc Bertramowi w poszukiwaniu Alexis. Bert wszakże zajęty był czym innym. Ósma łódź,

którą Lightoller zamierzał za chwilę opuścić na wodę, miała dość wolnych miejsc, by mogli je zająć również mężczyźni, ale nikt nie chciał rozpoczynać utarczki z oficerem. Ten niewysoki, energiczny człowiek zagroził użyciem broni, gdyby mężczyźni próbowali wsiąść do łodzi, i nikt nie miał ochoty sprawdzić, czy spełni swą groźbę.

- Jeszcze cztery osoby! - zawołał Bert.

Edwina z rozpaczą w oczach popatrzyła na rodziców, potem utkwiała wzrok w stojącym za nimi Charlesie.

- Mamo, zaczekam na ciebie... - W oczach Edwiny pokazały się łzy. Przez chwilę wyglądała jak bezbronne dziecko, matka więc czule przytuliła ją do siebie. Teddy z płaczem wyciągał do matki tłuste rączki.

- Nie, kochanie, pójdziesz z Edwiną... Mamusia cię kocha... - rozszlochała się Kate, całując buzię i rączki małego. Potem ujęła w dłonie twarz Edwiny, patrząc na nią z miłością oczami pełnymi łez. Nie były to łzy strachu, lecz smutku. - Niedługo znów będziemy razem. Bardzo cię kocham, moja słodka dziewczynko. Cokolwiek się stanie, opiekuj się dziećmi. - A po chwili dodała szeptem: - Chcę, żebyście byli bezpieczni. Znajdę was... - zakończyła, Edwina nie była jednak pewna, czy matka wierzy sobie samej. Poczula, że opuszczenie statku bez niej jest ponad jej siły.

- Och, mamo... - przywarła do Kate, trzymając w ramionach małego Teddy'ego. Obydwoje szlochali rozpaczliwie, aż wreszcie silne męskie ramiona uniosły ich, George'a i Fannie i jeszcze tylko na chwilę Edwina przywarła zrozpaczonym wzrokiem do twarzy rodziców i Charlesa. Nie zdążyła pożegnać się z narzeczoną, więc teraz krzyknęła: - Kocham cię!

Charles w odpowiedzi przesłał jej dłonią pocałunek i rzucił swoje rękawiczki. Złapała je, zanim upadły na pokład, i nie odrywając od niego oczu wsiadła do łodzi. Patrzył na nią dziwnie intensywnie, jakby chciał zachować pod powiekami jej obraz.

- Odwagi! Niedługo będziemy z wami! - zawołał.

W tejże chwili szalupę opuszczono na wodę i Edwina z twarzą mokrą od łez straciła z oczu najbliższych. Kate, do ostatka machająca im ręką, słyszała płacz Teddy'ego. Stała na pokładzie obok męża, mocno ściskając jego dłoń. Próbowwała ukryć łzy, które płynęły jej po twarzy.

Porucznik Lightoller zawahał się przez moment, gdy przyszła kolej na George'a, lecz

Bert powiedział szybko, że chłopiec nie ma jeszcze dwunastu lat, i nie czekając na decyzję oficera, sam usadowił syna w łodzi. Ujął mu dwa miesiące w obawie, że gdyby podał dokładny wiek chłopca, marynarz nie wpuściłby go do łodzi. George prosił, by pozwolono mu zostać na "Titanicu" z ojcem i Filipem, Bert uznał, wszakże, iż Edwina może potrzebować jego pomocy przy dwójce najmłodszych.

- Kocham was, dzieci - szepnął Bert. Patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli mu z oczu, a zanim to się stało, krzyknął jeszcze: - Mama i ja niedługo będziemy z wami! - Potem odwrócił się do stojących na pokładzie pasażerów, by ukryć przed dziećmi łzy.

Kate wydała nieomal zwierzęcy żaloszny jęk, gdy łódź z jej bliskimi opuszczano na wodę. W końcu odważyła się spojrzeć w dół, ściskając Bertrama za rękę. Dostrzegła Edwinę trzymającą Teddy'ego i Fannie oraz patrzącego w ich kierunku George'a. Mocniej zabiło jej serce, gdy szalupa zatrzęszczała groźnie.

Był to delikatny i niebezpieczny manewr. Kierujący nim oficer wyglądał jak chirurg przeprowadzający skomplikowaną operację. Jeden nieprzemyślany ruch, nieostrożny gest i łódź wywróci się dnem do góry, a pasażerowie znajdą się w lodowatej wodzie!

Na pokład docierały z dołu ostatnie nawoływania, wypowiedane gorączkowo zapewnienia miłości. Kiedy łódź znajdowała się w połowie drogi, uszu Kate dobiegł krzyk Edwiny. Popatrzyła w dół i zobaczyła, że córka wskazuje coś na dziobie. Spojrzawszy w tamtym kierunku, Kate zrozumiała, o co jej chodzi: aureola blond włosów była wprawdzie zwrócona do niej bokiem, ale nie mogło być wątpliwości - na dziobie siedziała skulona Alexis! Kate poczuła ogromną ulgę.

- Widzę ją! - zawołała uszczęśliwiona do Edwiny.

Córeczka była bezpieczna w łodzi ratunkowej wraz z czwórką jej skarbów. Teraz jeszcze oni musieli się uratować - Kate z mężem, Filip i Charles. Mężczyźni rozmawiali cicho, nawzajem podtrzymując się na duchu i przekonując, że wkrótce opuszczą pokład.

- Bogu niech będą dzięki, Bert. Alexis się odnalazła. - Pomimo grozy sytuacji Kate czuła wyraźną ulgę. - Ale dlaczego wsiadła do łodzi bez nas? - dziwiła się.

- Może ktoś ją do tego nakłonił, jak od nas odeszła, a była zbyt wystraszona, żeby zaprotestować. W każdym razie jest bezpieczna. Teraz na ciebie kolej, moja droga.

Bert mówił z udawaną surowością w głosie, by ukryć własny strach, lecz Kate nie dała się oszukać. Za dobrze go znała.

- Nie rozumiem, dlaczego nie miałabym zaczekać na ciebie, Filipa i Charlesa. Dzieci są bezpieczne z Edwiną.

Myśl o dzieciach, samotnych w kruchej łupince na morzu, była przerażająca, teraz jednak wiedząc, że Alexis jest pod opieką starszej siostry, Kate zapragnęła zostać z mężem. Dreszcz zgrozy przeszedł ją, kiedy sobie uświadomiła, jak by się czuła, gdyby Edwinie nie udało się zwrócić jej uwagi na Alexis i ona, oszalała z rozpaczy, bezskutecznie szukałaby małej na statku.

Tymczasem łodzie ratunkowe z wolna oddalały się od statku. Gdy szalupa, w której znajdowała się piątka Winfieldów, obracała się wokół własnej osi na lodowatej wodzie, Edwina tuliła do siebie Teddy'ego i próbowała zmieścić na kolanach również Fannie, lecz nie mogła sobie poradzić, bo ławki umocowane były zbyt wysoko. Zastanawiała się, jak dać znać Alexis, że są tutaj. Nie mogła jednak przepychać się między stłoczonymi rozbitkami, w końcu więc poprosiła, by z ust do ust przekazano to małej. Kiedy wreszcie dziecko odwróciło ku niej głowę, Edwinie zaparło dech ze zgrozy: śliczna dziewczynka płakała, ponieważ jej matka została na pokładzie. Tyle że to nie była Alexis! Edwina mocniej przytuliła marudzącą Fannie.

W tym momencie Alexis siedziała cichutko w kajucie. Wymknęła się, gdy matka, biegnąc za Ooną, wypuściła jej rączkę. Dziewczynka wróciła do kajuty, jak zamierzała od samego początku, zostawiła bowiem na łóżku swoją śliczną lalkę, a bez niej nie chciała opuścić statku. Tu, w kabinie, miała lalkę i spokój. Nie było tak strasznie jak na pokładzie. Nie będzie musiała wsiadać do łodzi ratunkowej i nie wpadnie do okropnej czarnej wody. Zostanie tutaj z Panią Thomas i zaczeka, aż wszyscy wrócą. Przez okna dobiegały dźwięki murzyńskich melodii zmieszane z pomrukiem tłumu, w korytarzach natomiast panowała głucha cisza. Dawno już ucichł tupot stóp pasażerów biegnących na pokład.

Zgromadzili się tam wszyscy. Nad ich głowami bez ustanku wybuchały race, podczas gdy radiooperator rozpaczliwie próbował nawiązać łączność z najbliższymi przepływającymi jednostkami. Pierwsza odpowiedź nadeszła o godzinie 0.18 z "Frankfurtu", następne z "Virginiana" i "Birmy", ale płynący najbliższe "Californian" milczał jak zaklęty, odkąd Philips w odpowiedzi na ostrzeżenie o górze lodowej rzucił opryskliwie, aby mu nie przeszkadzano. Radio na "Californianie" ucichło wtedy, jakby obsługujący je człowiek poczuł się urażony, w rzeczywistości zaś zostało wyłączone zaraz po nadaniu

tamtego komunikatu. Był to jedyny statek, z którego mogła nadejść skuteczna pomoc, lecz w żaden sposób nie dało się z nim skontaktować. Nawet rakiety nie pomogły. Dostrzeżono je wprawdzie na "Californianie", sądzono jednak, że "Titanic" uroczyście świętuje swój dziewiczy rejs. Nikomu nie przyszło do głowy, że statek tonie.

Dwadzieścia pięć minut po północy odezwała się "Carpathia" płynąca w odległości 52 mil. Jej kapitan obiecał, że natychmiast skierują się na miejsce katastrofy. Krótco potem odbiór wiadomości potwierdził "Olympic" - bliźniak "Titanica", niestety, oddalony o pięćset mil.

Dotąd wysyłano przez radio standardowe zakodowane wezwanie o pomoc, teraz kapitan Smith polecił Philipsowi nadać nowo wprowadzony sygnał SOS w nadziei, że odbierze go jakiś radioamator i przekaże dalej. W tych dramatycznych chwilach każda pomoc była na wagę złota.

Pierwszy sygnał SOS wysłano kwadrans przed pierwszą. Alexis siedziała wtedy sama w kajucie, nucąc kołysanki lalce. Wiedziała, że gdy rodzice wrócą, dostanie burę, liczyła jednak, że nie będą się na nią zbyt gniewać, bo przecież właśnie obchodzi urodziny. Teraz ma już sześć lat, a jej lalka jest o wiele starsza. Lubiła mówić, że Pani Thomas ma z4 lata, a więc jest dorosła.

Kiedy Lightoller przygotowywał do spuszczenia na wodę następną łódź, próbowali wsiąść do niej także mężczyźni, oficer był wszakże nieubłagany i nadal pozwalał opuszczać pokład tylko kobietom i dzieciom. W łodziach dla pasażerów drugiej klasy również zajęte były prawie wszystkie miejsca. Niektórzy podróżujący trzecią klasą usiłowali się przedostać na pokład drugiej lub nawet pierwszej, ale nie znając drogi, nie wiedzieli, jak tam dojść. Na dodatek załoga powstrzymywała ich grożąc bronią, obawiano się bowiem rabunków i zniszczeń. Marynarze zagradzali drogę zdesperowanym ludziom, którzy krzyczeli i płakali błagając, by ich przepuścić do łodzi w pierwszej klasie. Młoda Irlandka w towarzystwie rówieśnicy z kilkuletnią córeczką prosiła, aby pozwolono im przejść, gdyż ona płynie pierwszą klasą, ale marynarz nie dał wiary jej słowom i twardo obstawał przy swoim.

Podczas gdy Lightoller obsadzał pasażerami następną szalupę, Kate i Bertram weszli do sali gimnastycznej, aby się ogrzać i uciec chociaż na chwilę od rozdzierających scen pożegnania. Filip z Jackiem Thayerem i Charlesem zostali na pokładzie, by pomagać

kobietom i dzieciom we wsiadaniu do łodzi. W sali gimnastycznej Winfieldowie ujrzeli oboje Astorów, którzy nadal siedzieli na mechanicznych koniach i trzymając się za ręce cicho rozmawiali. Nie wydawali się poruszeni niebezpieczeństwem. Co jakiś czas pokojówka lub lokaj przynosili im wieści o rozwoju sytuacji.

- Myślisz, że dzieciom nic się nie stanie? - spytała zatroskana Kate.

Bertram uspokoił ją. W jego mniemaniu były bezpieczne. Przestał się o nie martwić, kiedy szalupę spuszczone na wodę, zwłaszcza że znalazła się także Alexis. Teraz trapił się tylko o Filipa i Kate. Chciał, aby opuścili statek jak najszybciej. Miał nadzieję, że w końcu oficer kierujący akcją ratunkową zgodzi się, by Filip wsiadł do którejś z szalup, nie liczył natomiast, że on i Charles dostaną się do łodzi. Tego obaj byli świadomi.

- Myślę, że dzieciom nic nie grozi - powtórzył uspokajająco. - Chociaż na pewno długo nie zapomną tej przygody... Zresztą ja też - dodał po chwili, patrząc z powagą na Kate. - Myślę, że statek zatonie - dorzucił. Był o tym przekonany co najmniej od godziny, choć nikt z załogi nie chciał tego powiedzieć na głos, a orkiestra wciąż grała, jakby to, co się działo, było zabawą, świetną, aczkolwiek nieco zwariowaną. Naraz podjął decyzję. Popatrzył stanowczo na Kate, ujął jej szczupłą dłoń w swe ręce i ucałował koniuszki palców. - Chcę, żebyś wsiadła do następnej łodzi, Kate. Zobaczę, może uda mi się przekonać załogę, żeby razem z tobą zabrali Filipa. Ma dopiero szesnaście lat, więc w zasadzie jest jeszcze dzieckiem.

- Dlaczego nie możemy poczekać, aż pozwolą wsiadać do szalup mężczyznom? - spytała Kate. - Odpłynęlibyśmy razem. I tak nie pomogę Edwinie, bo przecież będziemy w różnych łodziach. Ona doskonale poradzi sobie beze mnie.

Kate co prawda ciężko przeżyła rozstanie z dziećmi, była jednak pewna, że są bezpieczne. Musiała w to wierzyć. Przecież Edwina była dla nich jak druga matka. Martwiła się teraz tylko o najstarszego syna, o męża i o narzeczonego córki. Niechby już znaleźli się w łodzi, bo wtedy dopiero odzyska spokój. Czuła, że uda im się wyjść cało z opresji. Przecież ewakuacja przebiegała spokojnie, a łodzie odbijały od statku nie całkiem wypełnione, co niewątpliwie oznaczało, że miejsca starczy dla wszystkich. Wydawało się, że nie ma potrzeby się śpieszyć, bo czasu jest dosyć. Wokół panowała atmosfera złudnego spokoju, która zdawała się świadczyć, że nic im nie grozi.

Prawdę znano jedynie na mostku kapitańskim. Po pierwszej maszynowni była

całkowicie zalana wodą. Nie ulegało wątpliwości, że statek tonie, pytanie tylko, jak długo utrzyma się na powierzchni. Kapitan już wiedział, że nie potrwa to długo. Phillips nieustrudzenie nadawał rozpaczliwe wezwania o pomoc, ale na "Californianie", na którym radio wciąż milczało, nadal uważano eksplodujące nad "Titanikiem" rakiety za oznakę szampańskiej zabawy. Zauważono wprawdzie, że transatlantyk wygląda jakoś dziwnie, jeden z oficerów zwrócił nawet uwagę na niezwykle przechył statku, nikomu wszakże nie przyszło do głowy, że olbrzym tonie. Z "Olympica" przysłano depezę z zapytaniem, czy "Titanic" zdąży w jego kierunku. Nikt nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, nie rozumiał, że transatlantyk szybko nabiera wody. Nikomu do głowy nie przyszło, iż ów cud techniki, olbrzym nie mający sobie równych, rzeczywiście idzie na dno, choć świadczyło o tym dobitnie jego zwiększające się z każdą chwilą zanurzenie.

Po wyjściu z sali gimnastycznej Bert i Kate zauważyli, że atmosfera na pokładzie wyraźnie się zmieniła. Pasażerowie nie nawoływali się już tak wesoło, mężowie nerwowo dodawali otuchy żonom nakłaniając je, by bez nich opuszczały statek, a gdy nie chciały się zgodzić, wielu siłą pchało je w ramiona marynarzy, tak że niejedna kobieta znalazła się w łodzi ratunkowej wbrew swej woli. Na lewej burcie oficer nadal wpuszczał do łodzi wyłącznie kobiety i dzieci, lecz przy prawej pozwalano wsiadać także panom, zwłaszcza jeżeli mogli się przydać przy obsłudze szalupy, pomoc przy wiosłowaniu liczyła się bowiem ogromnie. Ludzie nie kryli łez, wokół rozgrywały się dramatyczne sceny. Większość dzieci już była w łodziach, Kate cieszyła się zatem, że również swoją piątkę zdołała wyprawić. Wierzyła, że Filip opuści statek razem z nimi.

Kątem oka dostrzegła Lorraine Allison trzymającą się kurczowo matczynej ręki i widok małej przypomniał jej Alexis. Znowu opadły ją obawy, zaraz się jednak uspokoiła. Przecież Alexis bezpiecznie odpłynęła z rodzeństwem! Pani Allison zatrzymała Lorraine przy sobie i dotąd odmawiała opuszczenia statku, lecz małego Trevora wysłała z piastunką jedną z pierwszych łodzi. Kate widziała wiele rodzin, które się rozdzielały. Żony z dziećmi opuszczały statek w przekonaniu, że ich mężowie popłyną nieco później. Dopiero kiedy spuszczone prawie wszystkie łodzie, stało się jasne, że na pokładzie zostało prawie dwa tysiące osób, których nie ma jak ewakuować z tonącego statku. Wtedy pasażerowie pojęli to, o czym kapitan, budowniczy "Titanica" i dyrektor linii White Star wiedzieli od samego początku, że na statku nie ma wystarczającej liczby szalup. Ale któż by przypuszczał, że

"Titanic" może potrzebować łodzi ratunkowych?

Kapitan stał na mostku, a Thomas Andrews, dyrektor naczelny firmy, która zbudowała statek, pomagał pasażerom wsiadać do łodzi. Gdy Bruce Ismay, szef White Star, poprawiwszy kołnierzyk koszuli wsiadł do jednej z nich, nikt nie ośmielił się zaprotestować. Razem z garstką wybrańców został opuszczony na powierzchnię oceanu, zostawiając za sobą na zgubę dwa tysiące osób na tonącym "Titanicu".

- Kate... - rzekł Bert z naciskiem, gdy przygotowywano kolejną łódź. - Chcę, żebyś tą odpłynęła.

Kate wszakże ze spokojem pokręciła głową i spojrzała mężowi w oczy, tym razem stanowczo. Dotąd bez szemrania podporządkowywała się jego decyzjom, lecz teraz zamierzała postawić na swoim. Nic nie było w stanie jej przekonać.

- Nie zostawię cię samego - powiedziała cicho. - Chcę, żeby teraz odpłynął Filip, ale ja zostaję z tobą. Opuścimy statek razem, kiedy nadejdzie nasza kolej.

Plecy miała sztywno wyprostowane, jej spojrzenie wyrażało determinację. Bert pojął, że nic nie zmieni decyzji Kate. Kochał go, żyła z nim przez dwadzieścia cztery lata i ani w głowie jej było teraz go zostawiać. Nie opuści męża!

- A jeżeli nie uda nam się razem dostać do łodzi? - spytał Bertram.

Odkąd wszystkie dzieci, oprócz Filipa, opuściły statek, wyzbył się paraliżującego niepokoju o rodzinę i przestał ukrywać przed Kate powagę sytuacji. Teraz chciał, by razem z najstarszym synem wsiadła do szalupy. Nie myślał o śmierci wiedząc, że jego rodzinie nic nie grozi. Ciężko mu było rozstać się z Kate, lecz wiedział, że powinna wrócić do dzieci. Potrzebowały jej, dlatego musiał zadbać o nią, dopóki było to możliwe.

- Nie chcę, żebyś tu zostawała, Kate - powiedział.

- Kocham cię - rzekła na to, w tych słowach zawierając wszystko, co ich łączyło.

- Ja też cię kocham - szepnął. Przez długą chwilę tulił ją do siebie. Pomyślał, że postąpi jak inni i siłą wepchnie ją do szalupy, nie potrafił się jednak na to zdobyć. Zbyt mocno ją kochał, zbyt długo razem żyli. Potrafił uszanować jej decyzję, nawet jeżeli miała kosztować ją życie. To, że chciała umrzeć razem z nim, bardzo wiele dlań znaczyło.

- Jeżeli ty zostaniesz, to ja też - oświadczyła Kate wyraźnie, gdy ją przytulał. Bert gorąco pragnął uratować żonę, ale nie potrafił jej do niczego zmusić. - Skoro masz umrzeć,

chcę umrzeć z tobą.

- Kate, zastanów się!... - próbował ją mimo wszystko przekonać. - Nie mogę na to pozwolić. Pomyśl o dzieciach...

Ona wszakże podjęła już decyzję. Dzieci kochała bezgranicznie, lecz teraz należała tylko do niego. Przecież był jej mężem! Dzięki Bogu Edwina jest na tyle dorosła, że w razie jej śmierci zaopiekuje się rodzeństwem. Wciąż jeszcze wydawało jej się, że wokół nich rozgrywa się jakiś nierealny, koszmarny melodramat i w głębi ducha wierzyła, iż w końcu dla wszystkich znajdzie się miejsce w szalupach, a przed lunchem powrócą na "Titanica". Tę nadzieję próbowała tchnąć w Bertę, ale on przecząco pokręcił głową.

- Nie sądzę. Myślę, że jest o wiele gorzej, niż nam powiedziano.

Istotnie tak było, ba! o wiele gorzej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. O 1.40 marynarze na mostku wystrzelili ostatnią rakietę i równocześnie spuszczone na wodę ostatnią łódź ratunkową. A w luksusowym apartamencie na pokładzie D mała Alexis wciąż bawiła się Panią Thomas. O tym jednak nikt nie wiedział.

- Kate, odpowiadasz przecież za nasze dzieci - usiłował przekonać żonę Bert. - Musisz opuścić statek.

Ale Kate jakby nie słyszała. Popatrzyła mu w oczy, mocno ściskając jego dłonie, i powiedziała:

- Bertramie Winfield, nie opuszczę cię, rozumiesz?

Niedaleko od nich pani Straus dokonała właśnie takiego samego wyboru, tyle że ona była starsza i przynajmniej nie musiała się martwić o małe dzieci. Pani Allison, chociaż miała dzieci, też postanowiła zostać z mężem i córeczką, by razem z nimi dzielić los. Powoli do wszystkich pasażerów docierała okrutna prawda.

- A co z Filipem? - Bert na krótko oderwał myśli od Kate, choć wciąż miał nadzieję, że żona zmieni zdanie.

- Może uda ci się przekupić załogę i wpuszczą go do łodzi - powiedziała Kate.

Na pokładzie łodziowym pasażerowie sadowili się właśnie w szalupie numer 4, ostatniej, która miała opuścić "Titanica". Jak w ukropie uwijał się przy niej drugi oficer pilnując, aby pomieściła jak najwięcej kobiet i dzieci. Bert podszedł doń po mocno już przechylonym pokładzie. Zdecydowany był zrobić coś, czego nigdy by nie uczynił w innych okolicznościach. Obserwująca go Kate zobaczyła, że Lightoller, spojrzawszy na ich

syna, stanowczo pokręcił głową. Filip wciąż stał obok chłopca Thayerów, który rozmawiał z ojcem.

Bert po chwili wrócił do żony.

- Nie chce o tym słyszeć, dopóki na pokładzie są kobiety i dzieci - powiedział.

Ewakuowano teraz pasażerów drugiej klasy, wszystkie dzieci z pierwszej opuściły już pokład. Tylko mała Lorraine Allison stała uczepona ręki matki i tuliła lalkę łudząco podobną do tej, którą wszędzie ze sobą zabierała Alexis. Na myśl o córeczce Kate uśmiechnęła się do małej, lecz wnet odwróciła głowę. Sceny na statku były zbyt poruszające, by mogła się im spokojnie przyglądać.

Bert i Kate naradzali się gorączkowo, jak wydostać z opresji Filipa i Charlesa, a później, jeżeli to będzie możliwe, jak ratować siebie.

- Chyba nie pozostało nam nic innego, jak trochę poczekać - rzekł w końcu Charles. Przez cały ten czas nie stracił nic ze swych dobrych manier ani humoru. - Ale pani powinna wsiąść do łodzi. Nie ma sensu zostawać z mężczyznami. - Uśmiechnął się do niej serdecznie i nagle dostrzegł uderzające podobieństwo pomiędzy nią i Edwiną. - Nam nic się nie stanie, za to kobiety, jeśli będą zwlekały, mogą mieć potem kłopoty. Wie pani, jacy są mężczyźni... Na pani miejscu próbowałbym zabrać ze sobą Filipa.

Pozostawało pytanie, jak to zrobić. Chłopcu w wieku Filipa, który dostał się do łodzi w kobiecym przebraniu, grożono bronią i w końcu odpłynął w szalupie tylko dlatego, że nie starczyło czasu, by go wysadzić. Ale teraz atmosfera stawała się coraz gorętsza i Bert nie miał pojęcia, jak by się zachował Lightoller, który swe obowiązki traktował nadzwyczaj poważnie. Nikt tymczasem nie wiedział, że przy prawej burcie sytuacja wyglądała zupełnie inaczej - tam wpuszczano także mężczyzn. Z powodu ogromu statku ludzie znajdujący się z jednej strony pokładu nie orientowali się, co dzieje się gdzie indziej.

Kate wciąż stanowczo odmawiała opuszczenia Bertrama. Filip podszedł do Jacka Thayera i rozmawiał z nim, a Charles usiadł na leżaku i spokojnie zapalił papierosa. Nie chciał przeszkadzać rodzicom Edwiny teraz, kiedy się spierali. Z rozpaczliwą tęsknotą pomyślał o ukochanej. On już stracił nadzieję, że zdoła się uratować.

Kiedy personel sprawdzał kabiny pasażerskie, woda sięgała już do poziomu C. Do Alexis, która wciąż bawiła się lalką, dobiegały dźwięki muzyki, od czasu do czasu odgłos kroków, gdy korytarzem przechodził ktoś z załogi lub pasażerów drugiej klasy, poszukując

wyjścia na pokład łodziowy w klasie pierwszej. Mała nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie rodzice wrócą. Była zmęczona zabawą w samotności i zaczynała tęsknić za mamą, nadal jednak nie miała ochoty wsiadać do łodzi. Pogodziła się już z myślą, że dostanie burę. Tak było zawsze. Wszyscy krzyczeli na nią, gdy uciekała, zwłaszcza Edwina.

Usłyszała ciężkie kroki i uniosła głowę zastanawiając się, kto to może być - ojciec, Charles, a może Filip? Ale w drzwiach pokazała się twarz zupełnie obcego mężczyzny, najwyraźniej zaskoczonego jej widokiem. Był to steward, który po raz ostatni sprawdzał, czy kabiny na pokładzie B zostały opuszczone, wkrótce bowiem miała je zalać woda. Dziewczynka beztrudno bawiąca się lalką wprawiła go w osłupienie.

- Coś takiego!... - zawołał rzucając się za nią, bo Alexis próbowała ukryć się w następnej kabinie i już zamykała za sobą drzwi. Mocno zbudowany rudobrody steward okazał się jednak szybszy. - Chwileczkę, młoda damo, co ty tu robisz? - Zastanawiał się, w jaki sposób odłączyła się od rodziny i dlaczego nikt jej nie szuka. Wydało mu się to dziwne. - Chodźmy stąd - rzekł rozglądając się po pomieszczeniu, Alexis nie miała bowiem na sobie ani czapki, ani płaszcza, które zdjęła wróciwszy z Panią Thomas do apartamentu.

- Nie chcę nigdzie iść! - zaprotestowała i rozplakała się, kiedy rosły mężczyzna brał ją na ręce wraz z lalką, którą kurczowo do siebie tuliła, i okrywał ściągniętym z łóżka kocem. - Chcę tu zaczekać!... Chcę do mamusi...!

- Znajdziemy twoją mamusię, maleńka. Ale teraz nie mamy czasu do stracenia.

Pobiegł z zawiniątkiem w ramionach, a gdy dotarł na poziom pokładu spacerowego, stojący tam marynarz krzyknął doń:

- Ostatnia zaraz odbija! Pędź na spacerowy, dopiero zaczynają ją opuszczać... Pośpiesz się, człowieku!

Wbiegając na pokład spacerowy steward ujrzał, że Lightoller i jeden z marynarzy mocują się z blokami łodzi numer cztery zwisającej za burtą, tuż pod otwartym oknem.

- Zaczekajcie! Mam tu dziecko! - zawołał. Alexis krzyczała i wyrywała się, na próżno wzywając matkę, która była przekonana, że Alexis bezpiecznie odpłynęła. - Zaczekajcie!...

Lightoller już opuszczał łódź, gdy steward z Alexis w ramionach podbiegł do otwartego okna. Popatrzył przez ramię, ale było za późno, by zatrzymać wodowanie szalupy, która zabierała ostatnie kobiety godzące się na opuszczenie pokładu, wśród nich

młodą panią Astor i matkę Jacka Thayera. John Jacob Astor pytał Lightollera, czy ze względu na stan żony nie mógłby jej towarzyszyć, lecz oficer był nieugięty, toteż Madeleine Astor odpływała z pokojówką. Jej mąż wraz z innymi nieszczęśnikami zostawał na statku.

Steward popatrzył w dół. Szalupa zwisała dokładnie pod nimi, tyle że dużo poniżej poziomu pokładu. Pomyślał, że na "Titanicu" małą czeka pewna śmierć, szybko zatem podjął decyzję. Pocałował Alexis w czoło, jakby była jego własną córką, i rzucił ją do łodzi modląc się, żeby ktoś złapał dziewczynkę i żeby spadając nie zrobiła sobie krzywdy. Kilku pasażerów doznało kontuzji przy wsiadaniu do szalup, Alexis wszakże miała więcej szczęścia - jeden z wiosłarzy wyciągnął ramiona i złapał ją w powietrzu. Kiedy leżała owinięta w koc krzycząc ze strachu, na pokładzie stała nic nie podejrzewająca Kate i cicho rozmawiała z mężem.

Rosły steward upewnił się, że Alexis umieszczono bezpiecznie obok kobiety z dzieckiem, po czym Lightoller z marynarzami skończyli opuszczać łódź na lodowatą czarną wodę. Alexis siedziała sparaliżowana strachem, tuląc lalkę i zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś zobaczy mamę. Zaczęła krzyczeć, gdy szalupa uderzyła o taflę wody i obok wyłonił się z mroku monumentalny kadłub statku. Marynarze żwawo robili wiosłami, by jak najdalej odpłynąć od "Titanica", toteż cielsko olbrzyma jęło się z wolna oddalać. Alexis znalazła się na ostatniej łodzi ratunkowej z prawdziwego zdarzenia, opuszczonej na wodę o 1.55.

O drugiej marynarze jeszcze się mocowali z czterema składanymi łodziami. Trzech nie udało się uwolnić z zaczepów, wreszcie odczepiono składak D. Nikt nie miał wątpliwości, że jest to ostatnia szansa na opuszczenie statku. Załoga otoczyła łódź, do której znów wpuszczano tylko kobiety i dzieci, ktoś przyniósł dwoje porzuconych niemowląt. Na koniec Bertowi udało się przekonać Lightollera, by wpuścił Filipa do łodzi. Przecież chłopiec miał zaledwie szesnaście lat! Ostrożnie spuszczone na wodę również tę łódź i wkrótce jak inne zniknęła w ciemnościach.

Na tym zakończyła się akcja ratunkowa. Ci, którym nie udało się ewakuować, mieli pójść na dno razem ze statkiem. Do świadomości Berta z trudem przebijała się myśl, że Kate zostaje z nim do końca. Ponieważ nie chciała odpłynąć z Filipem, próbował wepchnąć ją do łodzi, lecz uczepiła się męża z całych sił i nie dała się od niego oderwać. Teraz, gdy

zbliżały się ostatnie chwile ich życia, trzymał ją w ramionach.

Strausowie spokojnie spacerowali pod rękę, Benjamin Guggenheim wraz ze służącym stał niewzruszony na pokładzie odziany w strój wieczorowy, Bert i Kate czule się całowali i trzymając się za ręce rozmawiali spokojnie o dniu, w którym się spotkali. I o dniu ich ślubu... I o narodzinach dzieci.

- Dzisiaj są urodziny Alexis - powiedziała cicho Kate, patrząc na Berta. Wspomniała ową słoneczną niedzielę sprzed sześciu lat, gdy w ich domu w San Francisco Alexis przysłała na świat. Kto mógł wtedy przypuszczać, że ich przeznaczeniem będzie śmierć w morskich odmętach? Z ulgą myślała, że ich dzieci się uratują, ale serce jej pękało na myśl, że nigdy więcej ich nie ujrzy.

- Czemu nie zabrałaś się razem z dziećmi? Przecież one cię potrzebują! - czynił jej wyrzuty Bert. Ogarnął go ogromny smutek, gdy sobie uświadomił, że nie musiało do tego dojść. Gdyby popłynęli innym statkiem... gdyby "Titanic" nie zderzył się z górą lodową... gdyby... gdyby...

- Nie mogłabym żyć bez ciebie - wyznała Kate, przytuliła się do męża i wspięła na palce, by go pocałować.

Długą chwilę trwali w uścisku, gdy tymczasem część pasażerów zaczęła skakać do wody, między innymi Charles. Pokład łodziowy znajdował się teraz tylko dziesięć stóp nad poziomem wody. Niektórym udało się dotrzeć do łodzi ratunkowych, ale Bert wiedział, że Kate nie umie pływać, nie było więc sensu opuszczać pokładu. Zrobią to, gdy będą musieli. Wciąż mieli nadzieję, że gdy statek pójdzie na dno, im uda się jakoś uczeplić pływających w pobliżu łodzi i przetrwać do nadejścia pomocy.

Podczas gdy Winfieldowie rozmawiali, inni wciąż próbowali zdjąć z uchwytów dwie składane łodzie. Udało się wyplątać je z lin, lecz opuszczenie ich na wodę okazało się niemożliwe, ponieważ pokład był nachylony pod zbyt dużym kątem. Wtedy Jack Thayer poszedł w ślady Charlesa, cudem jakimś dotarł do składaka i tam znów spotkali się z Filipem. Łódź pod ciężarem nowych rozbitków nabierała coraz więcej wody, tak że trzeba było w niej stać, aby nie zamoczyć się całkowicie. A powyżej znajdowali się rodzice Filipa, mocno objęci ramionami.

Kiedy woda wtargnęła na statek, Kate wydała cichy okrzyk, zaskoczona brutalnym chłodem oceanu. Zaczęli się pogrążyć. Bert próbował utrzymać żonę na powierzchni, lecz

toń nieodparcie ich wciągała. Kate zdążyła krzyknąć: "Kocham cię", uśmiechnęła się i już jej nie było. Wyśliznęła mu się z rąk, a on, uderzony chwilę później przez spadające szczątki bocianiego gniazda, podążył za nią. Znajdujący się w pobliżu Charles podzielił ich los.

Zniknęły w falach budka radiotelegrafisty i mostek kapitański, tylko składana łódź unosiła się na powierzchni niczym dmuchany materac. W wodzie znalazły się setki ludzi. Dawno ucichły murzyńskie melodie, a ostatnie ich dźwięki brzmiały w uszach tonących niczym requiem, którego echo doleciało do rozbitków w łodziach. Te żałobne tony mieli zapamiętać na zawsze.

Z łodzi ratunkowych ujrzano, jak rufa statku podnosi się i wystrzeliwuje w niebo niczym olbrzymia czarna góra. Światła wydawały się jaśnieć bardzo długo, potem zgasły i pojawiły się jeszcze na chwilę, wreszcie znowu zniknęły, tym razem na dobre. Wszystko otoczyła przerażająca ciemność, w której rysowała się tylko widmowa rufa "Titanica", wciąż stercząca ku niebu. Z wnętrza olbrzymiego kadłuba dobywały się niesamowite dźwięki, jak gdyby wszystko się poobrywało i uderzało z trzaskiem o siebie, wreszcie rozległ się straszliwy łomot, a po nim okrzyki rozpaczki rozbitków. Przedni komin złamał się w pół i z przeraźliwym grzmiotem uderzył w wodę w fontannie iskier. Zawinięta w koc Alexis, leżąca dotąd spokojnie obok nieznanym kobiety, zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Kiedy Edwina patrzyła na trzy sterczące z rufy gigantyczne śruby okrętowe, odcinające się na tle nieba, ze statku wydobył się odgłos, jakiego dotąd nigdy nie słyszała. Zdawało się, że potężna jakaś siła rozrywa kadłub, że "Titanic" przełamuje się na pół (później wyjaśniono, że nie było to możliwe). Edwina bez słowa oglądała to koszarne widowisko. Nie wiedziała, gdzie są Charles, Filip, Alexis ani rodzice, czy którekolwiek z nich zdołało się uratować. Mocno ścisnęła dłoń George'a, który tym razem nie znajdował słów, by wyrazić, co czuje. Przytuliła go do siebie i płacząc obserwowali z łodzi ratunkowej agonie "Titanica".

Aż w końcu olbrzym zanurzył się w oceanie, rufa zniknęła, a pozostali przy życiu rozbitkowie jęknęli z niedowierzaniem. Tragedia się dokonała - "najbezpieczniejszy na świecie" statek zatonął. Nastąpiło to 15 kwietnia 1912 roku o 2.20 nad ranem, dokładnie dwie godziny i czterdzieści minut po zderzeniu z górą lodową. Edwina, tuląc do siebie George'a, Teddy'ego i Fannie, spoglądała na bezmiar oceanu i modliła się, by jej najbliżsi

przetrwali.

Rozdział czwarty

"Carpathia" odebrała ostatnią wiadomość z "Titanica" o 1 .50, gdy woda w jego maszynowni sięgała kotłów. Później nic już nie było wiadomo o tonącym transatlantyku. Na "Carpathii" płynącej całą parą do miejsca, gdzie według podanych współrzędnych powinien znajdować się "Titanic", obawiano się, że statek ma poważne kłopoty, ale nikt nie przypuszczał, że olbrzym pójdzie na dno, zanim do niego dotrą.

O czwartej nad ranem, po dopłynięciu do miejsca, w którym powinien spotkać "Titanica", kapitan Rastron z niedowierzaniem przecierał oczy. Nigdzie nie było śladu statku. Olbrzym zniknął, jakby jakaś siła uniosła go w przestworza.

Uważnie przeczesywano wody oceanu, lecz dopiero po dziesięciu minutach zauważono zielone błyski w oddali. Nadzieja, że to światła "Titanica" migocące na horyzoncie, wnet się rozwiała, gdy kapitan Rostron i jego załoga pojęli, co świeci na wodzie: to szalupa ratunkowa wysyłała sygnały, i to z całkiem bliska. Kiedy "Carpathia" podpływała do łodzi, Rostron wiedział już, że "Titanic" zatonął.

Tuż po czwartej panna Elizabeth Allen jako pierwsza weszła na pokład "Carpathii". W milczeniu przyglądano się okrętowaniu nieszczęsnych rozbitków. Kiedy liniowiec niespodziewanie zmienił kurs, a wyraźnie podekscytowana załoga jęła wykonywać czynności odbiegające od rutynowych, pasażerowie zorientowali się, że stało się coś niedobrego. Z początku żywili obawy, że to ich statek ma kłopoty, ale szybko z zasłyszanych strzępów informacji pojęli, iż są w błędzie. Niebawem rozeszła się przerażająca wiadomość, że "Titanic" ma kłopoty, że "najbezpieczniejszy" transatlantyk tonie, idzie na dno. A teraz w promieniu czterech mil widziano na wodzie szalupy ratunkowe. W niektórych ludzie wołali i wymachiwali rękami, na innych panowało głuche milczenie i tylko wstrząśnięte twarze rozbitków mówiły, że stało się coś strasznego. Tego, co się wydarzyło, nie sposób było opisać, niepodobna było oddać słowami bezsilnej rozpacz, którą czuli ludzie patrzący, jak olbrzymia rufa unosi się ku czarnemu niebu, ku gwiazdom, po czym pogrąża się w lodowatej toni, na zawsze zabierając ze sobą mężów, braci i przyjaciół.

Kiedy "Carpathia" znalazła się blisko ich łodzi, Edwina podała George'owi Teddy'ego i umieściła Fannie bliżej braci. George nie był już w stanie wiosłować, dłonie

miał zdrętwiałe z zimna, więc teraz ona, wciąż w rękawiczkach Charlesa, przejęła od brata wiosło. Obok niej siedziała hrabina Rothes, która przez ostatnie dwie godziny, podobnie jak George, niezmiernie robiła wiosłem. Edwina dotąd uspokajała najmłodszego brata i pocieszała Fannie, która od opuszczenia statku płakała za matką i wciąż pytała o Alexis. Jej najstarsza siostra miała nadzieję, że matka odnalazła Alexis, że nie uwierzyła, iż mała jest już w łodzi ratunkowej. Wmawiała sobie, że reszta jej rodziny i narzeczoncy znajdują się w pobliżu, w innej szalupie. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłoby być inaczej.

Widząc nadciągający liniowiec, rozbitkowie jęli się nawoływać licząc, że odnajdą najbliższych. Część szalup płynęła w zwartym szyku, inne pojedynczo. Wreszcie łódź z Winfieldami - wioząca dwadzieścia osiem osób: kobiety z dziećmi i czterech marynarzy - także przybiła do burty "Carpathii", gdzie zwieszała się drabinka sznurowa oraz lina zakończona pętlą, na której miano wciągać na pokład słabszych. Jeden z marynarzy zawołał, że mają kilkoro małych dzieci, z liniowca opuszczono więc worek pocztowy. Edwina trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami pomogła marynarzom włożyć do niego Fannie, która uspijona kołysaniem łodzi, teraz się znowu rozkrzyczała.

- Nie bój się, kochanie. Zaraz dostaniemy się na pokład tego dużego statku, a potem odnajdziemy mamusię i tatusia - uspokajała Edwina młodszą siostrę i równocześnie próbowała zagłuszyć niepokój dręczący ją o los bliskich. Kiedy patrzyła na ciemną główkę wystającą z worka pocztowego, oczy zapiekły ją od łez na wspomnienie tego, co przeszli. Poczuli, że George ściska jej rękę, i odwzajemniła uścisk nie patrząc na brata. Wiedziała, że jeżeli na niego spojrzy, nie pohamuje łez, a jeszcze nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Dopóki nie dowie się, że reszta jej rodziny także wyszła cało z katastrofy, musi opanować ból i zająć się Fannie, Teddym i George'em. O niczym innym nie wolno jej teraz myśleć.

Na nogach miała sportowe buty, odziana była w jasnobłękitną sukienkę i grube palto matki. Tak zmarzła w głowę, aż wydawało jej się, że ściska ją lodowa obręcz, dłonie zaś miała jak sople lodu. Kiedy worek opuszczono z powrotem do szalupy, przy pomocy stewarda umieściła w nim Teddy'ego, którego posiniała twarzyczka świadczyła, iż mocno przemarzł. Podczas tej strasznej nocy obawiała się, że jej mały braciszek nie przetrzyma arktycznego chłodu, starała się zatem go ogrzać, tuliła do siebie i rozcierała mu ramionka, nogi i policzki. Teraz, gdy pomyślała, że przyjdzie jej wspinać się po drabince, zdała sobie

sprawę, że nie ma dość siły, by się na niej utrzymać. Ze strachem pomyślała o stanie młodszego rodzeństwa.

Nałożyła pętlę liny na George'a, który wyglądał jak małe bezbronne dziecko. Nigdy dotąd nie był tak przygaszony. Potem nadeszła kolej Edwiny, również wciągniętej na linie. Początkowo, gdy ją podnoszono, zamknęła oczy, ale wnet spojrzała w dół. W promieniach wschodzącego różowo słońca widziała bezkres oceanu z plamkami małych gór lodowych, a gdzieś tam kołyszące się na wodzie szalupy, pełne rozbitków niecierpliwie czekających wejścia na pokład. Żadna łódź nie była nawet w połowie wypełniona pasażerami, toteż Edwina miała nadzieję, że w jednej z nich odnajdzie swoich bliskich i znajomych, z którymi zaledwie kilka godzin wcześniej rozstała się na "Titanicu".

- Pani nazwisko? - zapytała Edwinę współczująco uśmiechnięta stewardesa, która witała rozbitków na pokładzie "Carpathii".

Stojący obok marynarz okrył ją kocem. Pod pokładem czekała na rozbitków kawa, herbata i brandy, lekarz okrętowy i jego asystenci sprawdzali kolejno stan zdrowia każdego, kto wszedł na statek. Tych, co nie mogli się poruszać o własnych siłach, układano na noszach. Edwina zauważyła, że ktoś litościwie podsunął już George'owi filiżankę gorącej czekolady. Rozglądała się, szukając wzrokiem pozostawionej na "Titanicu" rodziny. Niestety, jak dotąd na próżno... Fala wyczerpania ogarnęła ją ze zdwojoną siłą, tak że nieomal straciła mowę.

- Edwina Winfield - udało jej się wyszeptać w odpowiedzi na pytanie stewardesy.

Patrzyła, jak inni rozbitkowie wciągani są na pokład tak samo jak ona. Na wodzie pozostało jeszcze kilka łodzi, toteż modliła się, by na którejś odnaleźli się jej bliscy.

- A pani dzieci? - pytała dalej stewardesa.

- Moje dzieci?... Ach... - zrozumiała. - To moje rodzeństwo. George, Frances i Theodore.

- Czy jeszcze z kimś pani podróżowała? - indagowała stewardesa.

Ktoś podał Edwinie kubek parującej herbaty. Czowała na sobie spojrzenia przynajmniej tuzina oczu. Jej jasnoniebieska wieczorowa suknia powiewała na wietrze. Ogrzewając kubkiem dłonie, odpowiedziała:

- Płynęłam z rodzicami, Kate i Bertramem Winfieldami, a także z bratem Filipem, siostrą Alexis i moim narzeczonym, Charlesem Fitzgeraldem.

- Czy coś pani wiadomo o ich losie? - zapytała ze współczuciem stewardesa, prowadząc Edwinę do głównego salonu, który zamienił na tymczasową salę szpitalną i poczekalnię dla rozbitków z "Titanica".

- Nic nie wiem... - Edwina popatrzyła na nią oczyma pełnymi łez. - Musieli wsiąść do innej łodzi. Kiedyśmy opuszczali pokład, mama szukała mojej młodszej siostry, a ja nawet z początku myślałam... - łzy ściskające gardło nie pozwoliły jej dokończyć.

Stewardesa pogłaskała ją po ramieniu i cierpliwie czekała, aż Edwina się uspokoi. Salon był wypełniony drżącymi z zimna kobietami. Niektóre dostały torsji, większość płakała przyglądając się swoim dłoniom zmaltretowanym wiosłowaniem i mrozem. W drugiej części pomieszczenia kuliły się zbite w gromadkę dzieci i rozszerzonymi przerażeniem oczami spoglądały na matki, cicho popłakując.

- Pomoże mi pani ich odnaleźć? - spytała Edwina z błaganiem w swych wielkich niebieskich oczach. Pamiętając o tym, jak żywy jest George, nie spuszczała brata z oczu, tym razem wszakże nie sprawiał kłopotu. Jedna z pielęgniarek zajęła się skostniałym z zimna Teddym. Mały zaczynał popłakiwać, co znaczyło, że dochodzi do siebie, jego twarzyczka powoli traciła siny kolor. Przerażona Fannie przywarła do spódnicy Edwiny.

- Chcę do mamy... - wołała cicho.

Stewardesa odeszła, by porozmawiać z innymi rozbitkami. Obiecała wrócić do nich, jak tylko będzie miała chwilę czasu albo dowie się czegoś o rodzicach Edwiny.

Nieprzerwanie okrętowano rozbitków z następnych łodzi. Przyszła kolej na te cztery, które płynęły powiązane. Mężczyźni ze składaka B, gdy zaczął tonąć, zostali wyłowieni przez szalupę numer 12 - na niej właśnie znalazł się Jack Thayer. Kiedy wyciągano go z wody, kurczowo trzymał się przewróconej płóciennej łodzi. Był skrajnie wyczerpany, nie poznawał nikogo i nie dostrzegał, co dzieje się wokół. Jego matka znajdowała się w tej samej szalupie, lecz nie widzieli się, ponieważ umęczeni, przemarznięci rozbitkowie resztki sił koncentrowali na walce o własne przetrwanie, jakby koszmar trwał nadal.

Edwina pozostawiła dwoje młodszych dzieci pod opieką George'a pijącego gorącą czekoladę i wyszła na pokład, by obserwować akcję ratunkową. Na pokładzie stało kilka kobiet z "Titanica", między innymi Madeleine Astor, która niewielką miała co prawda nadzieję, że mężowi udało się uratować, chciała jednak zobaczyć wszystkich rozbitków wchodzących na pokład. Może jednak?... Nie mogła się pogodzić z myślą, że go utraciła.

Stojąc przy samej burcie Edwina modliła się gorąco, by wśród tylu obcych pojawili się jej najbliżsi. Patrzyła na mężczyzn wspinających się po sznurowej drabince lub jak kobiety wciąganych na linie, gdy byli zbyt słabi, na dzieci windowane w worku pocztowym. Uderzyła ją głucha cisza towarzysząca rozbitkom wchodzącym na pokład. Nie było słyhać żadnego dźwięku. Ludzie, głęboko wstrząśnięci tym, czego doświadczyli, przemarznięci, przerażeni, jakby nie rozumiejący, co się stało, nie potrafili wykrztusić ani słowa. Nawet dzieci nie płakały, czasem tylko zakwiliło głodne niemowlę.

W jadalni znalazło przytułek kilkoro najmłodszych oczekujących na matki. Kobieta z szalupy numer 12 opowiadała, że złapała niemowlę, które ktoś w ostatniej chwili rzucił jej z pokładu, lecz nie miała pojęcia, kim była ratująca dziecko osoba. Przypuszczała, że to kobieta z trzeciej klasy, której udało się przedostać na pokład łodziowy, w ten sposób próbowała ocalić swoje maleństwo. Niemowlę leżało teraz w jadalni pośród kilkorga innych i cicho płakało.

W salonie rozgrywały się sceny nad wyraz przejmujące. Uratowane kobiety siedziały zbite w niewielkie gromadki, oplakując mężów, a stewardesy, pielęgniarki i lekarze usiłowali wyciągnąć z nich potrzebne informacje. Znajdowała się tam również garstka mężczyzn, bardzo nieliczna na skutek działań oficera Lightollera, który do końca nie chciał dopuścić mężczyzn do łodzi ratunkowych, mimo że przynajmniej dla części znalazłoby się miejsce. Kilku udało się przeżyć dzięki mniej rygorystycznemu przestrzeganiu poleceń surowego oficera przy prawej burcie, innym dzięki własnej przemyślności. Wielu zginęło w wodzie próbując się dostać do spuszczonej na morze łodzi - taki los spotkał większość tych, co skoczyli z pokładu. Kiedy "Titanic" zniknął w falach, zrazu na miejscu katastrofy rozbrzmiewały rozdzierające serce krzyki, potem wokół zapanowała cmentarna cisza.

Edwina ujrzała wchodzącego do salonu Jacka Thayera, a po chwili usłyszała krzyk jego matki, gdy ta zauważyła syna i podbiegła ku niemu z płaczem. Usłyszała, jak pani Thayer pyta Jacka:

- Gdzie ojciec?

Ujrawszy Edwinę chłopiec skinął jej głową. Podeszła do niego powoli, jakby bojąc się tego, co może usłyszeć, a jednak z nadzieją na dobrą wiadomość.

- Czy ktoś z mojej rodziny był z tobą?

- Niestety, chyba nie, panno Winfield. Pan Fitzgerald skoczył do morza w tym czasie co ja, ale potem już go nie widziałem. Udało mi się wejść do składaka, którym płynął Filip, tyle że jak uderzyła w nas fala, on wypadł za burtę i nie wiem, czy go wyłowili. Pani rodziców widziałem ostatni raz jeszcze na pokładzie. - Nie powiedział jej jednak, iż wydawało mu się, że byli zdecydowani pozostać razem do końca i jeżeli nie będzie ratunku, pójść na dno ze statkiem. - Przykro mi, ale nie wiem, co się później z nimi stało... - słowa uwięzły Jackowi w gardle. Ktoś podał mu kieliszek brandy. - Bardzo mi przykro...

Edwina kiwnęła głową. Twarz miała zalaną łzami, które płynęły jej z oczu niepohamowanym strumieniem.

- Dziękuję - szepnęła.

Nie chciała wierzyć, że jej najstraszniejsze obawy mogą okazać się prawdziwe. To niemożliwe. Liczyła w głębi ducha, że usłyszy od Jacka, iż jej najbliżsi żyją, są bezpieczni i czekają w pomieszczeniu obok, a nie że utonęli lub że nie wie, co się z nimi stało. Tymczasem... Nie, to nieprawda, że Filip, Charles, rodzice, Alexis... To niemożliwe!... Nie pogodzi się z tym nigdy.

Z zadumy wyrwała ją pielęgniarka. Lekarz chciał porozmawiać z Edwiną o stanie Teddy'ego. Gdy podeszła, mały leżał, wciąż drżąc z zimna, z rączkami zmarzniętymi na kość. Opatulony w koc, apatycznie spoglądał na nią wielkimi oczyma. Podniosła go i przytuliła. Od lekarza usłyszała, że w najbliższych godzinach zadecyduje się los dziecka.

- Nie! - powiedziała głośno. Jej ciało przebiegł dreszcz. - Nie! Jemu nic nie jest... czuje się dobrze...

Nie mogła dopuścić, by coś mu się stało, nie teraz, kiedy... O, nie! tego by nie zniosła. Dotąd jej rodzinie tak się szczęściło, tak im się wszystko wybornie układało! Żyli w spokoju i miłości, a teraz oto niektórzy odeszli na zawsze. Jakże więc ten lekarz może mówić, że Teddy gotów nie przeżyć przemarznięcia? Tuliła go mocno, starając się przekazać mu własne ciepło. Próbowwała nakarmić go gorącym bulionem, lecz nie mógł nic przełknąć. Kołysząc główką w tył i przód, kurczowo przylgnął do Edwiny.

- Nic mu będzie? - spytał George, gdy ich ujrzał, wpatrując się niespokojnym wzrokiem w siostrę, która przyciskała do serca ich maleńkiego braciszka. - Będzie zdrow, Edwino? Powiedz! - nalegał.

- O Boże! Mam nadzieję... - Popatrzyła na George'a i przygarnęła go do siebie, a

potem objęła opatuloną kocem Fannie.

- Kiedy mama będzie z nami? - dopytywała się mała.

- Niedługo, kochanie, już niedługo... - Edwina ze ściśniętym gardłem patrzyła na rozbitków przybywających nieprzerwanie do wykwintnego salonu "Carpathii", oszołomionych przeżyciami upiornej nocy.

Mocniej przytuliła Teddy'ego i na próżno starając się nie myśleć o tych, których utraciła, cicho zapłakała.

Rozdział piąty

Mimo że ręce miał zgrabiące od mrozu i ledwo poruszał palcami, Filip nie chciał, by go wciągano na statek na linie, lecz samodzielnie wyszedł po drabinie. Zmyty przez falę z pokładu składaka, został wyłowiony przez rozbitków płynących szalupą numer 12. Długo leżał wyczerpany na jej dnie, prawie nie dostrzegając, co się dzieje wokół, potem wszakże, zrozumiawszy, że jest uratowany, poczuł wielką radość.

Pasażerowie tej łodzi jako ostatni weszli na "Carpathię". Było to o ósmej trzydzięci rano. Filip wspinał się po drabinie na samym końcu, tuż przed marynarzami z "Titanica" wyznaczonymi do obsługi szalupy. Stanąwszy na pokładzie, pozwolił sobie na łzy nie mogąc uwierzyć, że to, co się stało, wydarzyło się naprawdę. Był uratowany i z tego się cieszył, lecz został sam jak palec - bez rodziców i rodzeństwa. Modlił się żarliwie, by oni także wyszli cało z katastrofy.

Na drżących z osłabienia, przemarzniętych nogach zszedł powoli do jadalni, gdzie zobaczył rozkołysane morze obcych, aż na chwilę ogarnęło go wrażenie, że znowu patrzy z szalupy na ocean pokryty bryłami lodu. Pomimo że zaledwie siedemset pięć osób zdołało się uratować, a ponad tysiąc pięćset poniosło śmierć w lodowatej toni, Filipowi wydawało się, że w jadalni są tysiące ludzi. Zupełnie zagubiony, nie wiedział, jak się zabrać do poszukiwania bliskich. Błądził wśród rozbitków i dopiero po godzinie natknął się na Jacka Thayera.

- Widziałeś kogoś z mojej rodziny? - zapytał zrozpaczony.

Włosy miał jeszcze wilgotne, w podkrążonych oczach czaiło się przerażenie. To, co się stało, było najtragiczniejszym wydarzeniem jego krótkiego życia i chyba już nigdy los nie doświadczy go równie okrutnie. Dokoła krążyli niekompletnie odziani rozbitkowie okryci kocami, niektórzy w strojach wieczorowych, inni w koszulach nocnych, z głowami obwiązanymi ręcznikami, instynktownie szukając bliskości towarzyszy niedoli. Każdy ludził się nadzieją, że wśród żywych odnajdzie bliskich, toteż wszyscy bez ustanku wodzili wzrokiem po nieznajomych twarzach.

Jack Thayer z roztargnieniem skinął głową Filipowi, pochłonięty szukaniem ojca.

- Spotkałem twoją starszą siostrę - powiedział, uśmiechnął się smutno i dodał: - Cieszę się, że ci się udało.

Chłopcy objęli się serdecznie ramionami i przez chwilę tak stali, hamując łzy cisnące im się do oczu. Nie mogli uwierzyć, że koszmar, który przeżyli tej nocy, już się skończył, że są bezpieczni na pokładzie "Carpathii".

Kiedy się rozstawali, Filipa znów ogarnął lęk.

- Był jeszcze ktoś z Edwiną? - zapytał.

- Nie wiem. Chyba było przy niej jakieś maleństwo.

- To na pewno Teddy - ucieszył się Filip. - A inni?

Jack jednak nic więcej nie wiedział.

Filip z mozołem jął się przeciskać przez tłum rozbitków, kierując się w stronę pokładu w nadziei, że tam spotka siostrę. Niestety, na próżno się łudził, toteż przerażony myślą, że mógłby już nigdy nie zobaczyć osób, które kocha, wrócił do salonu, gdzie naraz dostrzegł tył głowy Edwiny i jej szczupłe ramiona, a obok niej stojącego ze spuszczoną głową George'a. O słodki Boże! Płacząc z radości Filip przepychał się ku nim. Dotarłszy do siostry bez słowa wziął ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie. Kiedy ją przytulił, Edwinie na moment zabrakło tchu, po chwili zaś wybuchnęła płaczem.

- O mój Boże, Filip... Filip - powtarzała, nie mogąc wykrztusić nic więcej. Zabrakło jej odwagi, by zapytać, czy wie coś o pozostałych. Wokół słychać było ciche łkanie tych, którzy nie mieli szczęścia odnaleźć swych bliskich. Dopiero po dłuższej chwili Filip pierwszy zdecydował się zapytać o resztę rodziny. Już wcześniej widział George'a, a teraz za plecami Edwiny spostrzegł zawiniętą w koc Fannie i Teddy'ego, który opatulony pledami leżał w prowizorycznej kołysce skleconej naprędce z kilku desek.

- Nic mu nie jest? - zapytał cicho.

Edwina przecząco pokręciła głową. Do oczu znowu napłynęły jej łzy, Teddy bowiem oddychał ciężko, a wargi miał ciemnogrnatowe, prawie czarne. Filip zdjął płaszcz i okrył braciszka, po czym uściśnął dłoń Edwiny, by dodać jej otuchy. W końcu pięciorgu z nich udało się uratować. Być może przed końcem dnia odnajdą się pozostali.

Teddy i Fannie spędzili noc w szpitalnych łóżkach pod troskliwą opieką. Lekarz obawiał się, że dziewczynka odmroziła dwa palce dłoni. George spał jak zabity na koi w korytarzu. Późną nocą Edwina i Filip stali na pokładzie, w milczeniu patrząc na bezkresne morze. I tak żadne nie mogłoby usnąć. Dziewczynie zdawało się, że coś w niej umarło, że nigdy już nie zazna snu, nie zdoła się oddać marzeniom. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co

się stało. Łudziła się w głębi ducha, że gdy wczesnym rankiem przeredzi się tłum w salonie, zobaczy rozmawiających w rogu rodziców i stojącego obok nich Charlesa. Nie mogła się pogodzić z myślą, że zginęli, że nie ma już rodziców, nie ma Alexis i Charlesa, że w sierpniu nie będzie ich ślubu, a materiał na suknię ślubną poszedł na dno wraz z jej marzeniami. Ciągle zdawało jej się, że katastrofa "Titanica" jest tylko koszmarnym snem i że niebawem się z niego przebudzi. Uporczywie powracały do niej pytania: czy matka do końca trzymała Alexis za rękę?... czy śmierć była straszna?... czy szybka?... czy bolesna?... Stali obok siebie na pokładzie, zatopieni w myślach. Wyobraźnia podsuwała Edwinie straszliwe obrazy, lecz nie mówiła o nich, by nie przerazić brata. Cały ten dzień spędziła z Fannie i Teddym. Filip dawał baczenie na George'a, ale ten, spokojniejszy niż zwykle, nie sprawiał kłopotu. Obydwaj, poważni i zadumani, czekali na bliskich, którzy już nigdy nie mieli się pojawić, na tych, których nade wszystko kochali.

"Carpathia", zanim wyruszyła w dalszą drogę do Nowego Jorku, raz jeszcze opłynęła miejsce katastrofy. Nie natrafiono jednak więcej na rozbitków.

- Filip? - głos Edwiny zabrzmiał w ciemnościach miękko i smutno.

- Tak? - odwrócił ku niej głowę, patrząc na siostrę wzrokiem człowieka znacznie starszego niż szesnastoletni chłopiec. Filip w ciągu tych kilku godzin, które spędził w łodzi ratunkowej, postarzał się o wiele lat.

- Co my teraz pocniemy? - Myśl o życiu bez tych, którzy odeszli, była straszna. Zawalił się ich świat. Teraz Edwina, jako najstarsza, musi zatroszczyć się o tych, którzy przeżyli. - Chyba pojedziemy do domu - cicho rzuciła w otaczającą ich ciemność.

A cóż innego mogli zrobić? Edwina postanowiła tylko, że przedtem zabierze Teddy'ego do lekarza w Nowym Jorku... Jeżeli dziecko dożyje! Powiedziano jej, że ta noc zadecyduje o wszystkim. Myśl, że Teddy mógłby umrzeć, była nie do zniesienia. Nie mogą do tego dopuścić. Po prostu nie mogą! Teraz skupiła się na tym, aby go uratować. Ostatnie dziecko jej najdroższej matki musi żyć! Gdy tej nocy trzymała braciszka w ramionach, wsłuchując się w jego ciężki oddech, pomyślała o dzieciach, których nigdy nie będzie miała - o dzieciach Charlesa... Wraz z nim umarły wszystkie jej marzenia. Ogarnęła ją nieutulona tęsknota za narzeczoną i Edwina gorzko zapłakała.

Filip ułożył się do snu przy George'u w korytarzu, a późną nocą zajął do Edwiny, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Był zmęczony i smutny. Bez ustanku się

zastanawiał, czy rodzice próbowali wyskoczyć ze statku, nim zatonął, i czy udało im się przeżyć choć chwilę po katastrofie. A może dopłynęli do szalupy, lecz nikt nie podał im pomocnej dłoni i umarli w lodowatej wodzie? Setki ludzi pozostawiono na pewną śmierć w oceanie. Choć wołali o ratunek, nikt im nie pomógł. Utrzymywali się na powierzchni, jak długo mogli, po czym szli na dno za innymi...

Kłębiące się w głowie myśli nie pozwalały Filipowi zasnąć. Wreszcie dał za wygraną i przyszedł do Edwiny. Długą chwilę siedzieli w milczeniu. Podobnie było na całym statku, jakby rozbitkowie uznali, że w ciszy i skupieniu łatwiej stawią czoło cierpieniom. Wszędzie widać było pojedyncze osoby wpatrzone w bezmiar oceanu albo małe grupki, także pogrążone w milczeniu.

- Zastanawiam się... - zaczął Filip, lecz w tonącym w ciemnościach pomieszczeniu trudno mu było znaleźć właściwe słowa. W kajucie obok przebywali inni pasażerowie "Titanica", wśród nich około tuzina nie zidentyfikowanych dzieci.

- Wciąż myślę o ich ostatnich chwilach... - Filipowi załamał się głos i chłopiec odwrócił głowę, aby ukryć wzruszenie. Edwina delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Daj spokój... To niczego nie zmieni - rzekła, aczkolwiek ona także przez całą noc rozmyślała o tym samym: o rodzicach i o tym, dlaczego jej matka wolała zostać na statku, i o Charlesie, i o Alexis... Co się z nią stało? Czy ją odnaleźli? Czy utonęła razem z nimi? Filip dowiedziawszy się, że nie ma jej z Edwiną, wpadł w przerażenie, rodzice bowiem do końca byli przekonani, że dziewczynka opuściła bezpiecznie pokład w szalupie z najstarszą siostrą.

Chłopiec westchnął głęboko i popatrzył na Teddy'ego. Maleństwo spało głęboko, spod koca wystawały miękkie loczki. Śmiertelnie bladym Filipem wstrząsały co chwila ataki kaszlu, lecz nie zwracał na nie uwagi. Twierdził, że kaszle już od dwóch dni, Edwina zaś wspomniała słowa matki, która wyraziła obawę, że chłopiec się przeziębi wyczekując w lodowatych powiewach wiatru, aż na pokładzie drugiej klasy pokaże się "jego wybranka". Edwina pomyślała, że dziewczyna pewno utonęła, bo jak inni pasażerowie drugiej klasy nie miała szansy na ratunek.

- Jak on się czuje? - zapytał Filip, spoglądając na najmłodszego brata.

- Nie pogorszyło mu się... - Edwina uśmiechnęła się czule i pochyliła nad maleństwem, by pogłaskać je po główce i ucałować. - Wydaje mi się, że oddycha lżej. Oby

tylko nie przyplątało się zapalenie płuc - dodała.

- Posiedzę przy nim, a ty się prześpij - zaproponował Filip, lecz Edwina tylko westchnęła.

- I tak nie mogłabym zasnąć - odparła.

Nie potrafiła zapomnieć o porannym przeszukiwaniu miejsca, gdzie zatonął "Titanic". Kapitan Rostron chciał mieć pewność, że na morzu nie ma już nikogo, dlatego "Carpathia" kilkakrotnie okrążyła miejsce katastrofy. Natrafiono jednak tylko na pływające po powierzchni oceanu leżaki, kawałki drewna, kamizelki ratunkowe, dywan przypominający dokładnie ten, który Edwina miała w kabinie, wreszcie na zwłoki marynarza unoszące się na fali. Wspomnienie tych scen przejmowało Edwinę grozą. Zaledwie poprzedniego wieczoru Widenerowie wydawali przyjęcie na cześć kapitana Smitha, a teraz, dwadzieścia cztery godziny później, nie było ani statku, ani kapitana, ani pana Widenera i jego syna Harry'ego, nie było ponad tysiąca pięciuset pasażerów! Edwina wciąż się zastanawiała, jak mogło dojść do takiej tragedii. Myślała o Charlesie, o tym, jak bardzo go kochała. Dopiero co zachwycił się jej błękitną atlasową suknią, mówił, że jest dokładnie koloru jej oczu, komplementował jej fryzurę. Upięła wtedy swoje czarne lśniące włosy wysoko, podobnie jak pani Astor. Suknię nadal miała na sobie, tyle że mocno sfatygowaną. Po południu nieznajoma kobieta podarowała jej czarną wełnianą sukienkę, lecz Edwina była tak zajęta przy dzieciach, że nie zdążyła się przebrać. Jakie to zresztą miało teraz znaczenie? Przecież Charlesa już nie ma, przecież i ona, i jej młodsze rodzeństwo zostali osieroceni!

Przez większą część nocy brat i siostra siedzieli razem, snując wspomnienia z przeszłości bądź z niepokojem dumając o czekającej ich przyszłości, aż wreszcie Edwina wysłała Filipa do łóżka, aby George się nie wystraszył, gdyby po przebudzeniu nie znalazł brata obok siebie.

- Biedny George, tyle wycierpiał - powiedziała Edwina.

Istotnie chłopiec przez cały czas trzymał się nad podziw dzielnie, a w ciągu ostatniej doby był dla Edwiny niemalą pomocą i jak umiał, dodawał jej otuchy. Gdyby jego siostra nie była tak nieludzko zmęczona, pewnie by się zaniepokoiła niezwykle jak na niego spokojem.

Kiedy Filip odszedł, Edwina usiadła przy Teddym i Fannie, dotykała pieśczośliwie

ich twarzyczek, przyglądała im włosy. Od czasu do czasu, gdy Teddy budził się spragniony, dawała mu pić, a gdy Fannie płakała przez sen, tuliła ją czule. Czuwając przy rodzeństwie modliła się żarliwie, tak samo jak z rana podczas nabożeństwa na statku. Nie wszyscy rozbitkowie przyszli na nie, wielu bowiem było zbyt wyczerpanych, wielu chorych, a dla wielu ceremonia ta byłaby zbyt bolesna. Jedno nieoczekiwane zderzenie z górą lodową spowodowało, że wiele kobiet spośród tych, które przeżyły, zostało wdowami. Zginęły tysiąc pięćset dwadzieścia trzy osoby - mężczyźni, kobiety i dzieci. Uratowało się zaledwie siedmiuset pięciu pasażerów.

Edwina zapadła wreszcie w krótką drzemkę. Obudziła się, gdy Teddy poruszył się niespokojnie i spojrzał na nią oczami, które tak bardzo przypominały oczy matki.

- Mama!... - zawołał, krzywiąc usta do płaczu. Wyglądał teraz dużo lepiej, a gdy Edwina się pochyliła, aby go pocałować, uśmiechnął się do niej, zaraz jednak znów zaczął płakać za matką.

- Mamusi tu nie ma, kochanie. - Nie wiedziała, jak mu wytłumaczyć nieobecność matki. Był za mały, żeby zrozumieć nieodwracalność wydarzeń, nie chciała go jednak okłamywać obiecując, że matka wnet się pojawi.

- Ja też chcę do mamy - zawtórowała bratu Fannie, która także się przebudziła.

- Bądź grzeczną dziewczynką - przekonywała małą Edwina, całując ją i tuląc.

Wstała i umyła Teddy'emu buzię, po czym mimo protestów chłopczyka zostawiła go pod opieką pielęgniarki i poszła z Fannie do łazienki. Dopiero spojrzawszy w lustro pojęła, jakie niezatarte piętno wycisnęły na niej tragiczne przeżycia. Postarzała się mocno w ciągu jednej nocy, tak że nie poznawała swego odbicia. Pożyczony grzebień i ciepła woda trochę pomogły, mimo to wracając do jadalni czuła, że nadal wygląda okropnie. Ale gdy popatrzyła po twarzach innych rozbitków, spostrzegła, że wcale nie lepiej się prezentują. Ludzię wciąż mieli na sobie niestosowne, nieraz wręcz nieprzyzwoite strzępy ubrań uzupełnione pożyczonymi, nie pasującymi do siebie częściami garderoby, całość robiła więc niezwykle dziwaczne wrażenie. Pasażerowie "Titanica" zajmowali każdy wolny skrawek przestrzeni - w kabinach ulokowano ile osób się dało, reszta pozostała w korytarzach i w wielkim salonie. Niektórzy przebywali w pomieszczeniach załogi, inni spali na fotelach, a nawet na gołej podłodze. Dla nich nic nie miało już znaczenia. Żyli, choć wielu wolałoby umrzeć, gdy zrozumieli, że ich bliscy utracili życie.

- Jak się ma Teddy? - zapytał George na widok siostry, a gdy uśmiechnęła się w odpowiedzi, chłopiec odetchnął z ulgą. Jeszcze jedno nieszczęście byłoby ponad jego siły.

- Chyba lepiej. Obiecałam, że zaraz do niego wrócę.

Miała przy sobie Fannie, dla której chciała znaleźć coś do jedzenia, zanim pośpieszy z powrotem do małego.

- Pobędę z nim, jak chcesz - zaofiarował się George. Nagle spojrzał za plecy siostry i uśmiech zamarł mu na ustach. Wyglądał, jakby zobaczył ducha, aż zaskoczona Edwina pochyliła się nad nim i dotknęła jego ramienia.

- George, co się stało?

Nie odezwał się, po chwili zaś wskazał ręką w stronę, w którą spoglądał. Coś tam leżało na podłodze obok materaca. Bez słowa podbiegł, podniósł ów przedmiot i podał go Edwinie. Była to Pani Thomas, lalka Alexis! Dziewczynki jednak nigdzie w pobliżu nie było, a osoby znajdujące się obok nie potrafiły im nic powiedzieć. Nikt nie pamiętał ani lalki, ani dziecka, które ją zostawiło.

- Ona musi tu gdzieś być!

Edwina gorączkowo rozglądała się dokoła. W pobliżu bawiło się kilkoro dzieci, lecz żadne z nich nie było Alexis. Nagle serce w niej zamarło, wspomniała bowiem, że córka Allisonów miała podobną zabawkę. Podzieliła się wątpliwościami z Filipem, lecz ten stanowczo pokręcił głową. To była lalka Alexis. Rozpoznałby ją wszędzie, a George i Fannie również nie mieli co do tego wątpliwości.

- Nie pamiętasz, Edwino? Sama uszyłaś jej sukienkę ze szmatek.

Istotnie, Edwina teraz dopiero przypomniawszy sobie i do oczu napłynęły jej łzy. Czyżby okrutny los oszczędził lalkę, a skazał Alexis?

- Gdzie Alexis? - Fannie spoglądała na rodzeństwo ogromnymi oczyma, które ich ojcu tak bardzo się podobały. Cieszyło go to niezwykle podobieństwo córki do matki.

- Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą Edwina i trzymając lalkę w drżących ze wzruszenia rękach, nadal rozglądała się wokół. Niestety, nigdzie siostry nie widziała.

- Może gdzieś się schowała? - podsunęła Fannie, wykazując się dobrą znajomością zwyczajów siostry, lecz tym razem Edwina się nie uśmiechnęła.

- Nie wiem, Fannie. Mam nadzieję, że ją znajdziemy.

- A mama i tata też się gdzieś schowali?

Mała zupełnie nie pojmowała, w jakiej znajdowali się sytuacji. Ze łzami w oczach Edwina pokręciła przecząco głową, nieprzerwanie rozglądając się za Alexis.

Po godzinie bezowocnych poszukiwań musiała niestety wrócić do Teddy'ego. Zabrała lalkę siostry, a kiedy Teddy ujrzał zabawkę, spojrzął na Edwinę ucieszony.

- Lexie? - wyseplenił. - Lexie?

On także zapamiętał lalkę, z którą Alexis rzadko się rozstawała. Pielęgniarka przechodząca obok uśmiechnęła się. Jakie to piękne dziecko, pomyślała, i jak wzruszająco wygląda z siostrą.

- Siostro - zatrzymała ją Edwina - jak mogłabym... - urwała nie wiedząc, jak sformułować pytanie. - Nie udało mi się odnaleźć sześćioletniej siostry. Obawiam się, że została na "Titanicu" z naszą matką, ale... - mówiła z trudem, co pielęgniarka doskonale rozumiała, Delikatnie dotknęła ramienia Edwiny i podała jej listę rozbitków.

- Mamy tu spis tych, których udało nam się uratować, łącznie z dziećmi. Możliwe, że wczoraj w zamieszaniu nie udało się pani odszukać dziecka. Może być na statku? Widziała ją pani w którejś z łodzi?

Edwina zaprzeczyła, potem pokazała pielęgniarce lalkę.

- Znalazłam tutaj jej zabawkę... Nigdy się z nią nie rozstawała... -Posmutniała, bo przejrząwszy pobieżnie listę upewniła się, że Alexis nie ma na "Carpathii".

- Jest pani pewna, że to jej lalka?

- Absolutnie. Sama uszyłam dla niej tę sukienkę.

- Może inne dziecko zabrało zabawkę?

- To możliwe - zgodziła się Edwina, choć dotąd nie dopuszczała do siebie takiej myśli. - Czy na statku są dzieci, które nie odnalazły rodziców? - zapytała.

Wiedziała, że w szpitalu przebywa kilkoro nie zidentyfikowanych maleństw, zaraz jednak pomyślała, że Alexis jest na tyle duża, iż potrafiłaby powiedzieć, jak się nazywa. Oczywiście gdyby zechciała... i gdyby była przytomna... Edwina zaczęła się zastanawiać, czy jej siostra nie błąka się zagubiona, nieświadoma, iż jej rodzeństwo także jest na statku. Wyjawiała swe przypuszczenia pielęgniarce, która odpowiedziała, że to mało prawdopodobne.

Późnym popołudniem, gdy Edwina przechadzała się po pokładzie, starając się zatrzeć w pamięci obraz tonącego "Titanica" i jego rufy sterczącej nad horyzontem, ujrzała

pokojówkę pani Carter, pannę Serepeca, która wyprowadziła dzieci na spacer. Lucille Carter i jej brat William, równie wystraszeni jak pozostałe dzieci na statku, szli po bokach pokojówki, trzecie dziecko zaś trzymało się z tyłu, kurczowo uczeplone jej ręki. Nagle odwróciło się i Edwina zobaczyła jego buzię. Aż zaparło jej dech! To była Alexis! Rzuciła się ku małej i chwyciła ją w ramiona. Tuląc ją z całych sił, płakała rozdzierająco. Wreszcie ją odnalazła!

Gdy Edwina trzymała przerażoną siostrę w objęciach, panna Serepeca usiłowała wyjaśnić, jak Alexis znalazła się na "Carpathii". Otóż kiedy dziewczynkę wrzucono do szalupy, zajęła się nią pani Carter, która widząc potem, że na "Carpathii" mała nie ma nikogo bliskiego, zdecydowała się otaczać ją opieką przez całą podróż do Nowego Jorku. Pokojówka dodała półgłosem, że od zatonięcia "Titanica" Alexis nie powiedziała ani słowa. Nie wiadomo, jak ma na imię i nazwisko, bo nie odpowiadała na żadne pytania. Pani Carter miała nadzieję, że ktoś z rodziny upomni się o dziecko w Nowym Jorku, a teraz z pewnością ucieszy się na wieść, że matka dziewczynki jest na statku. Gdy panna Serepeca to mówiła, Alexis rozejrzała się, szukając wzrokiem matki, lecz Edwina ze smutkiem pokręciła głową i przytuliła dziecko.

- Nie, malutka, nie ma jej z nami - rzekła z bólem w głosie.

Usłyszawszy to, Alexis próbowała się wyrwać z objęć siostry, lecz Edwina nie zamierzała pozwolić jej na ucieczkę. Już raz prawie ją stracili, to wystarczy. Podziękowała pannie Serepeca i obiecała odnaleźć panią Carter, by osobiście wyrazić jej wdzięczność za opiekę nad Alexis.

Gdy wracały do salonu, Edwina trzymała w ramionach milczącą siostrę, która utkwiała w niej przerażone spojrzenie.

- Kocham cię, maleńka... - mówiła. - Tak bardzo cię kocham... tak martwiliśmy się o ciebie...

Edwinie łzy płynęły strumieniem po twarzy. Jakże się cieszyła, że odnalazła Alexis, cóż by jednak dała, aby odnaleźć pozostałych! Marzyła, by się okazało, iż rodzice i Charles też są na statku. Przecież to niemożliwe, żeby naprawdę odeszli, niemożliwe, żeby tak nagle wszystko się skończyło... Niestety, tak właśnie było i tylko Alexis pojawiła się jak mały duszek powracający z przeszłości. Z przeszłości, która dopiero co istniała, a teraz rozwiała się jak sen zapadający w pamięć po wsze czasy.

Kiedy Edwina pokazała Alexis ukochaną lalkę, dziewczynka wyrwała jej zabawkę z rąk i przytuliła do twarzy, nadal słowem się nie odzywając. W milczeniu popatrzyła na Filipa, który rozplakał się na jej widok, dłużej zatrzymała wzrok na George'u, który przyglądał jej się zdumiony.

- Myślałem, że odeszłaś, Lexie - powiedział cicho. - Szukaliśmy cię wszędzie...

Nie odpowiedziała, ale też nie odrywała od niego oczu, w nocy zaś spała z nim. Filip, który czuwał przy dzieciach, patrzył, jak Alexis jedną ręką obejmuje George'a, a drugą tuli lalkę. Edwina, jak poprzednio, spała w sali szpitalnej z Fannie i Teddym. Choć obydwójce czuli się lepiej, miejsce to wydawało się najbezpieczniejsze dla tak delikatnych dzieci, zwłaszcza że Teddy miał silny kaszel. Edwina chciała zabrać również Alexis, lecz mała pokręciła głową i podążyła za George'em do salonu, gdzie ułożyła się przy nim na wąskim materacu. Gdy usypiała, brat leżąc na boku przyglądał się jej. Odnalezienie siostry przypomniało mu matkę, bo w jej pobliżu Alexis zawsze się kręciła. Tej nocy chłopiec śnił o rodzicach. Śnił o nich jeszcze, gdy w środku nocy obudził go płacz Alexis. Otoczył ją ramieniem, jednakże żadne słowa otuchy nie mogły utulić żalu dziecka.

- Co się stało, Lexie? - zapytał. Zastanawiał się, czy mu odpowie, czy jest w stanie tylko płakać. - Boli cię coś?... Jesteś chora? Mam zawołać Edwinę?

Potrząsnęła głową i usiadła na materacu, tuląc lalkę.

- Chcę do mamy... - wyszeptała cichutko. Błękitnymi oczyma patrzyła nań prosząco tak długo, aż George'owi łzy popłynęły po twarzy. Objął mocno siostrę.

- Ja też Lexie... ja też...

Tej nocy dwoje dzieci Kate Winfield spało trzymając się za ręce. One i ich rodzeństwo przetrwały, ich matka natomiast pozostała z mężem aż do tragicznego końca. Nigdy nie zapomną matczynej miłości ani uczucia, jakim darzyli się rodzice. Teraz jednak tamto życie, tamten świat należały do przeszłości, która nigdy nie wróci. Pozostało ich sześcioro, sześcioro Winfieldów ocalało. Inni, a z nimi narzeczoną Edwiny, odeszli na zawsze.

Rozdział szósty

W czwartek wieczorem, gdy "Carpathia" wolno mijała Statuę Wolności, Edwina i Filip stojąc na pokładzie smętnie wpatrywali się w coraz bliższe światła Nowego Jorku. Nad ich głowami pogrążone w żałobie niebo płakało strumieniami deszczu: Podróż do domu, a przynajmniej do Nowego Jorku, miała się nareszcie ku końcowi, lecz oni nie czuli radości - całe ich jestestwo wypełniała przeraźliwa pustka. Ich dawne życie minęło bezpowrotnie. Los oszczędził dzieci Winfieldów, Edwina jednak wiedziała, że bez rodziców i narzeczonego nic już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Za niecałe cztery miesiące miała zostać żoną Charlesa, ale odszedł na zawsze i on, i to wszystko, co tak w nim kochała: dobroć, czułość, delikatność, sposób, w jaki pochylał głowę, gdy z niej żartował... Jej wymarzona, pełna szczęścia przyszłość rozplynęła się jak mgła.

Podczas gdy Filip ze smutkiem patrzył na wilgotne od łez policzki Edwiny, "Carpathia" ciągniona przez holowniki powoli wpływała do portu, gdzie ani syreny, ani powitalne fanfary nie zakłócały żałobnej ciszy.

Poprzedniego wieczoru kapitan Rostron obiecał rozbitkom ochronę przed natarczywością reporterów i zapewnił, że dołoży starań, by mogli spokojnie zejść na ląd. Pomieszczenie radiooperatora zasypane było depezbami z redakcji gazet, ze statku wszakże nie odpowiadało na żadną z nich, a dziennikarze mieli wzbroniony wstęp na pokład. Ci, co ocaleli, mieli prawo w spokoju oplakiwać swych zmarłych, kapitan zaś czuł się odpowiedzialny za ich niczym nie zakłócony i bezpieczny powrót do domu.

Rzeczywistość jak przez mgłę docierała do Edwiny, która myślami wciąż była przy najbliższych zaginionych w głębinach oceanu. Filip delikatnie dotknął jej dłoni. Stali obok siebie, wpatrzeni w mrok. Z oczu chłopca także popłynęły łzy. Jakżeż inaczej potoczyłoby się wszystko, gdyby los okazał się dla nich choć trochę łaskawszy!

- Weenie? - odezwał się pieszczotliwie. Nie nazywał tak siostry od czasu, gdy był dzieckiem, i Edwina uśmiechnęła się przez łzy.

- Tak?

- Co teraz zrobimy?

Już wcześniej zastanawiali się nad najbliższą przyszłością, lecz Edwina nie miała dość czasu, aby to spokojnie przemyśleć. Choroba Teddy'ego, stan Alexis i opieka nad

resztą rodzeństwa zajmowały każdą jej chwilę. George prawie się nie odzywał i Edwina uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakuje psot i żartów brata. A biedna mała Fannie płakała, ilekroć starsza siostra zostawiła ją choćby na chwilę samą. Przy tylu obowiązkach trudno było Edwinie zebrać myśli. Wiedziała, że teraz na niej spoczywa odpowiedzialność za rodzeństwo, również za najstarszego brata. Musiała im zastąpić cały ich utracony świat.

- Nie wiem, Filipie - odparła wreszcie. - Pewnie pojedziemy do domu, jak Teddy wyzdrowieje. - Chłopczyk wciąż brzydko kaszłał, a poprzedniego dnia miał gorączkę. Żadne z nich nie czuło się na siłach, by stawić czoło długiej podróży koleją do Kalifornii. - Na jakiś czas zatrzymamy się w Nowym Jorku, a potem pojedziemy do domu - zdecydowała.

Do domu... Tylko jak ona sobie z domem poradzi? Co będzie z gazetą? Wolą się nad tym nie zastanawiać. Wciąż błędziła myślami w przeszłości, wracała do tych ostatnich dni, do ostatniego wieczoru, kiedy tańczyła z Charlesem przy radosnych dźwiękach ragtime'ów. Jakież wszystko było proste, gdy wirowali po parkiecie w rytm cudownych walców, które lubiła najbardziej! Tak dużo tańczyli w czasie tych czterech dni, że prawie całkiem zdarła nowe srebrne pantofelki, a teraz wydawało jej się, że już nigdy więcej nie zatańczy, nawet tego nie zapagnie.

- Weenie? - Filip spostrzegł, że siostra znowu odbiegła myślami gdzieś daleko i odgadł, że ona również, jak każde z nich, nie przestaje rozpamiętywać przeszłości.

- Tak?... Przepraszam... - Skierowała wzrok na nabrzeże Nowego Jorku zalewane potokami deszczu, starając się pohamować łzy. Nadal bez ustanku marzyła, by ich tragiczne przeżycia okazały się jedynie strasznym snem. Niestety, o tym, że to rzeczywistość, przypominały stojące wzdłuż burty "Carpathii" pogrążone w żałobie wdowy, oplakujące swych mężów.

Po wielu rozbitków przybyli do portu krewni i przyjaciele, Winfieldowie jednak nie mieli nikogo bliskiego w Nowym Jorku. Jeszcze zanim wypłynęli do Anglii, Bert zarezerwował dla rodziny pokoje w Ritzu-Carltonie, teraz więc mieli się tam zatrzymać aż do wyjazdu do Kalifornii. Jakie skomplikowane stały się proste, codzienne sprawy! Byli bez pieniędzy i ubrań, Alexis zgubiła buty. Edwina miała tylko wieczorową suknię, całą w strzępach, i drugą czarną, którą od kogoś otrzymała na "Carpathii". Będzie musiała zatelegrafować do biura ojca w San Francisco, aby przysłano im pieniądze na hotel i podróż

do domu. Z dnia na dzień stanęła wobec spraw i kłopotów, których istnienia jeszcze przed tygodniem nawet się nie domyślała.

Ze statku kazała nadać depeszę do biura White Star w Londynie z prośbą, by powiadomiono wuja Ruperta i ciocię Liz, że wszystkie dzieci Winfieldów przeżyły. Wiedziała, że ciotka ciężko zniesie stratę jedynej siostry. Informację tej samej treści wysłała do biura ojca. Rozmyślając o sprawach, które powinna załatwić, Edwina wpatrywała się w spowity we mgłę Nowy Jork.

Tymczasem nadpłynęły holowniki, rozległo się przeraźliwe wycie syreny portowej i znajdujące się w porcie jednostki równocześnie oddały honory "Carpathii". Posępna cisza ostatnich czterech dni miała się skończyć. Ani Edwinie, ani Filipowi nie przyszło do głowy, że ich tragedia może stać się wielką sensacją dla prasy. Na widok holowników, jachtów i łodzi pełnych reporterów obydwójce uświadomili sobie, że zejście na ląd nie będzie łatwe.

Kapitan Rostron dotrzymał słowa i nikogo oprócz pilota nie wpuszczono na pokład. Reporterzy musieli się zadowolić zdjęciami robionymi z daleka. Jednemu z nich udało się jakoś wejść na statek, lecz został zatrzymany i zamknięty na mostku pod osobistym nadzorem kapitana.

Kwadrans przed dziesiątą wieczorem statek zacumował przy nabrzeżu numer 54 i na moment na pokładzie zapanowała zupełna cisza. Straszliwa podróż miała się ku końcowi. Najpierw opuszczono na wodę łódzie ratunkowe "Titanica" w tej samej kolejności co przed czterema dniami, kiedy zabierały pasażerów z tonącego statku, tyle że teraz w każdej siedział jedynie samotny marynarz. Przyglądali się temu stojący wzdłuż burty rozbitkowie, gdy naraz błyskawica rozświetliła ciemne niebo, rozległ się grzmot i spadły pierwsze krople deszczu, jakby przyroda wylewała łzy nad pustymi szalupami. Wszystkim udzielił się żałobny nastrój. Zarówno pasażerowie, jak i załoga "Carpathii" patrzyli w milczeniu na przywiązane do nabrzeża puste łódzie, kołyszące się na falach.

Kiedy opuszczano szalupy, Alexis i George dołączyli do starszego rodzeństwa. Alexis wybuchnęła płaczem i kurczowo uczepliła się spódnicy Edwiny, przerażona i burzą, i widokiem łodzi ratunkowych, które przywiodły wspomnienie strasznych chwil. Jej oczy aż pociemniały ze strachu. Edwina przytuliła małą, uświadamiając sobie, jak trudno będzie zastąpić siostrze matkę.

- Znowu mamy do nich wsiadać? - wykrztusiła zatrwożona Alexis, Edwina zaś, choć

bardzo chciała ją uspokoić, potrafiła tylko przecząco pokręcić głową. Łzy rozpaczły zamykały jej usta. Te łódzie, takie łupinki... Gdyby na "Titanicu" było ich więcej, inni też by się uratowali.

- Nie płacz, Lexie... proszę, nie płacz... - powiedziała ściskając drobną dłoń. Nie mogła przyrzec, że ich życie znowu się ułoży, bo sama w to nie wierzyła, a nie chciała ludzi dzieci pustymi obietnicami. Ogromny smutek ścisnął jej serce.

Na nabrzeżu widać było setki, może nawet tysiące oczekujących. Tłum przypominał falujące morze, a kiedy błyskawica rozświetliła niebo, okazało się, że ludzkie mrowie jest liczniejsze, niż sądzono. Gazety później podały, że na nabrzeżu zebrało się około trzydziestu tysięcy osób, a wzdłuż brzegów rzeki jeszcze dziesięć. Dla Edwiny był to tylko anonimowy tłum. Nic już nie miało dla niej znaczenia. Ci, których kochała - rodzice i Charles - odeszli na zawsze. Na świecie nie było nikogo, kto by się o nich zatroszczył. Teraz ona i Filip musieli przejąć obowiązki rodzicielskie. Szesnastoletni chłopiec pożegnał oto dzieciństwo i brał na siebie powinności dorosłego mężczyzny. Edwina uważała, że los potraktował go wyjątkowo niesprawiedliwie. Patrzyła na brata, słuchała, jak każe George'owi włożyć płaszcz i stanąć obok Alexis. Widok podartych ubrań rodzeństwa i wymizerowanych twarzy napełnił ją smutkiem. Uświadomiła sobie, że wyglądają na tych, którymi byli w istocie - dzieci Winfieldów były sierotami.

W pierwszej kolejności na ląd zeszli pasażerowie "Carpathii", rozbitków z "Titanica" zaś kapitan zebrał tymczasem w jadalni, gdzie spali przez ostatnie trzy noce. Razem odmówili modlitwę za tych, co pozostali na zawsze w otchłani oceanu, i podziękowali Bogu za ocalenie. Potem na długą chwilę zapadła cisza przerywana cichymi łkaniami, wreszcie nadeszła pora pożegnania. Jedni wymieniali ucałowania, inni zegnali się skinieniem głowy i krótkim uściskiem dłoni, dziękowano kapitanowi Rostronowi za ratunek i opiekę: W tych ostatnich wspólnie spędzonych minutach rozbitkowie niewiele mieli sobie do powiedzenia. Rozstawali się na zawsze, ale nigdy nie zapomną tego, co razem przeżyli.

Kiedy dwie pierwsze spośród uratowanych z "Titanica" pasażerek weszły na trap, zawahały się na moment, jakby chciały zawrócić, i dopiero po chwili, popłakując, zaczęły wolno schodzić na ląd. Były przyjaciółkami z Filadelfii, które na "Titanicu" utraciły mężów. Na chwilę przystanąły, gdy z tłumu podniosły się okrzyki żalu i współczucia.

Brzmiały tak przejmująco, że biedna Alexis schowała się za spódnicę Edwiny, zamykając oczy i zasłaniając dłońmi uszy, a Fannie w ramionach Filipa rozpląkała się rozpaczliwie.

Edwina próbowała dodać rodzeństwu otuchy, lecz w panującej wrzawie dzieci nie słyszały jej słów. Ze strachem patrzyła, jak zewsząd napiera tłum reporterów i otacza udręczonych rozbitków. W ulewnym deszczu pośród piorunów błyskały flesze aparatów fotograficznych. Ciężkie to były dla rozbitków chwile, choć w niczym nie mogły się równać z tamtymi sprzed kilku dni, z najgorszą nocą w ich życiu.

Schodząc z rodzeństwem na ląd Edwina wiedziała, że po tym, co przeszli, nic gorszego nie może im się przytrafić. Bez kapelusza, całkiem przemoknięta, niosła w ramionach drżącą z przerażenia Alexis. Filip dźwigał dwójkę najmłodszych, a tuż za nim postępował przygaszony George. Ogarnął ich lęk przed ogromnym, nieprzebranym ludzkim mrowiem zebranych na nabrzeżu. Gdy dochodzili do końca trapu, Edwina usłyszała wykrzykiwane nazwiska.

- Chandler!... Harrison!... Gates? Gates?... Widzieliście ich?...

To przyjaciele i krewni szukali swoich bliskich, lecz niestety, przy każdym nazwisku musiała przecząco pokręcić głową, nie знаła bowiem nikogo z wymienionych. Zobaczyła Thayerów, których serdecznie witali przyjaciele z Filadelfii, widziała mnóstwo karet i samochodów, nieprzerwanie oślepiały ją flesze aparatów. Gdy na dźwięk wywoływanych nazwisk nikt się nie odzywał, w tłumie rozlegał się bolesny szloch. Nie sporządzono dotąd pełnej listy tych, którzy przeżyli katastrofę, wiele osób żywiło zatem nadzieję, że informacje nie są dokładne, że ktoś bliski zdołał się jednak uratować. Dowództwo "Carpathii" odmawiało komentarza dla prasy, otaczając rozbitków barierą milczenia, na lądzie wszakże kapitan Rostron nie mógł chronić ich dłużej.

- Proszę pani... proszę pani! - rozległo się z tłumu. Jakiś reporter z takim impetem natarł na Edwinę, że wypuściła z ramion Alexis. - Czy to pani dzieci? Była pani na "Titanicu"? - dopytywał się natrętnie, nie pozwalając Edwinie przejść dalej.

- Nie... tak... och, proszę... - rozpląkała się z tęsknoty za Charlesem i rodzicami i w tejże chwili oświetlił ją błysk lampy aparatu fotograficznego. Filip próbował ją zasłonić, lecz obarczony rodzeństwem nie mógł tego uczynić skutecznie. Napierający reporterzy odepchnęli na bok George'a i Edwina krzyknęła za nim, żeby się nie zgubił. - Przestańcie... proszę... bardzo proszę... - błagała.

W równie napastliwy sposób dziennikarze napadli na Madeleine Astor, gdy wraz z pokojówką zeszła na ląd. Z opresji wyratowali ją Vincent Astor i jej ojciec, pan Force, uwożąc obydwie w karetce. Edwina i Filip nie mieli tyle szczęścia, aczkolwiek dość szybko udało im się odszukać jeden z samochodów, które hotel Ritz-Carlton wysłał po swoich gości. Przejechawszy Siódmą Aleję grupka oberwańców bez bagażu wolno wkroczyła do hotelu.

W holu czekał już tłum reporterów, ale uprzejmy recepcjonista przeprowadził rozbitków bezpiecznie do ich pokoi, gdzie Edwina ledwie zdołała opanować atak hysterii. Te same wytwornie urządzone pokoje zajmowali przed sześcioma tygodniami, po przyjeździe z San Francisco, zanim na "Mauretanii" popłynęli do Europy, by ogłosić zaręczyny Edwiny z Charlesem! Tak niedawno, a jakby upłynęły całe wieki. W tym krótkim odstępie czasu ich życie zmieniło się całkowicie.

- Wszystko w porządku, Weenie? - zatroskał się Filip na widok pobladłej twarzy siostry.

Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa, więc tylko skinęła głową, blada jak śmierć.

- W porządku... - wyszeptała niepewnie, nie potrafiła jednak oderwać myśli od owych szczęśliwych dni spędzonych tutaj przed kilkoma tygodniami.

Wyglądała teraz na zupełnie zagubioną, a wrażenie to potęgował jej strój, ten sam, w którym opuściła "Titanica": niebieska wieczorowa suknia, mocno sfatygowana, przemoknięty płaszcz i półbuty.

- Chcesz, żebym poprosił o inne pokoje? - spytał zaniepokojony Filip. Co poczną, jeżeli siostra teraz się załamie? Do kogo zwrócą się o pomoc? Była ich ostoją, tylko ją mieli na świecie.

Edwina jednak dobrze wiedziała, że odpowiedzialność za całą rodzinę spoczywa na jej barkach, toteż wnet rozwiała obawy Filipa. Energicznie otarłszy łzy, zajęła się rodzeństwem.

- George, przejrzyj jadłospis - poleciła. - Musimy coś zjeść. A ty, Filipie, pomóż Fannie i Alexis przebrać się w nocne koszule... - W tejże chwili uświadomiła sobie, że nie mają przecież nocnych koszul, nie mają żadnej odzieży.

Zaraz wszakże okazało się, że dyrekcja hotelu pomyślała i o tym, w dalszych

pokojach bowiem znaleźli ubranka dziecięce i suknie kobiece w różnych rozmiarach, stroje męskie, a także dla chłopców swetry, spodnie, ciepłe skarpetki i buty. Na łóżku leżały przygotowane dla dziewczynek dwie koszulki i dwie lalki oraz koszulka i pluszowy miś dla Teddy'ego. Ten wzruszający gest przejął Edwinę do głębi, lecz kiedy weszła do głównej sypialni, wstrząsnął nią szloch: na posłaniu leżały starannie rozłożone nocne stroje dla rodziców. Wiedziała, że w ostatniej sypialni znajdzie piżamę dla Charlesa. Zapłakała gorzko, jeszcze raz obrzuciła pokój spojrzeniem, po czym zgasiła światło, zamknęła za sobą drzwi i wróciła do dzieci.

Starła się zapanować nad smutkiem i myśleć tylko o rodzeństwie. Gdy ułożyli malców do snu, usiadła na kanapie obok Filipa i George'a. Z przyjemnością patrzyła, jak chłopcy zajadają pieczone kurczaki i ciasto na deser. Jej na samą myśl o jedzeniu robiło się niedobrze. Przed pójściem do łóżka Alexis miała spojrzenie wystraszonego dzikiego zwierzątka, a Edwina nie umiała jej uspokoić. Namówiła ją tylko, by przytuliła obie lalki, zarówno Panią Thomas, jak i tę nową. Fannie ułożono w dużym, wygodnym łóżku blisko łóżka Edwiny, a Teddy przebrany w nową koszulkę nocną spał w pięknej obszernej kołysce.

- Rano będziemy musieli zatelegrafować do wuja Ruperta i cioci Liz - oznajmiła Edwina chłopcom.

Wprawdzie ze statku, via linie White Star, wysłali już do nich i do rodziców Charlesa depesze, ale chcieli zapewnić wujostwo, że bezpiecznie dotarli do Nowego Jorku. Tyle spraw należało zaplanować i przemyśleć! Teraz Edwina musiała zadbać o nowe ubrania dla dzieci pójść do banku, zaprowadzić malców do lekarza. Chciała w pierwszym rzędzie zasięgnąć opinii specjalisty, aby się upewnić, że Teddy'emu nic już nie grozi, Fannie zaś nie straci odmrożonych palców. Obydwoje mieli się dużo lepiej, Teddy nawet przestał gorączkować, niepokojący był natomiast stan Alexis. Szok wywołany utratą matki spowodował, że straciła zainteresowanie tym, co się wokół niej działo. Była przygnębiona, wystraszona i wpadała w histerię, ilekroć Edwina próbowała zostawić ją choćby na chwilę samą. Nic dziwnego po tym, co przeżyli! Tych strasznych chwil żadne z nich nigdy nie zapomni. Edwinie wciąż drżały ręce, gdy usiłowała coś napisać, choćby tylko własne nazwisko, czy pozapinać dzieciom ubranka. Ze wszystkich sił walczyła z tymi chwilami słabości - wiedziała, że nie ma wyboru.

Zeszła do recepcji i zapytała, czy może na następny dzień wynająć samochód z kierowcą lub chociaż powóz, jeżeli nie ma wolnego auta. Obiecano jej, że samochód z szoferem będzie z samego rana do jej dyspozycji. Podziękowała za ubrania i zabawki dla dzieci, a kierownik hotelu z powagą uściskał jej dłoń i złożył wyrazy współczucia. Rodzice Edwiny od lat często stawali w tym hotelu, toteż kierownik, który dobrze ich znał, był niepokieszony dowiedziawszy się, że nie przeżyli katastrofy.

Edwina podziękowała mu raz jeszcze i wróciła do apartamentu. W holu mignęło jej kilka znajomych ze statku twarży, lecz nikt nikomu nie narzucał się z towarzystwem, każdy był bowiem zaabsorbowany układaniem na nowo własnego życia.

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy wchodząc do saloniku Edwina zastała braci przy grze w karty. Pili wodę sodową i kończyli właśnie jeść ostatni kawałek ciasta. Na chwilę zatrzymała się w drzwiach, patrząc na nich z uśmiechem, zaraz wszakże posmutniała na myśl, że życie toczy się dalej, jakby nic się nie stało. Tyle że powrót do powszedniości był dla nich jedynym ratunkiem. Przecież mieli przed sobą całe życie! Pomyślała, że dla niej bez Charlesa nic już nie będzie takie jak dawniej. Nigdy nie spotka takiego jak on mężczyzny, opieka nad rodzeństwem musi więc wypełnić jej życie.

- A panowie nie zamierzają iść spać? - zwróciła się do siedzących przy stole braci. Uśmiechnęli się do niej, a George spojrzawszy na siostrę skrzywił się z niesmakiem. Minę tę przybrał po raz pierwszy od czasu, gdy opuścili "Titanica".

- Wyglądasz okropnie, Edwino - roześmiał się. Rzeczywiście, w wytwornym apartamencie jej suknia sprawiała dziwaczne wrażenie.

- Dziękuję, braciszku - uśmiechnęła się Edwina. - Żeby nie przynosić ci wstydu, jutro z samego rana postaram się włożyć coś przyzwoitego.

- Dobrze by było - powiedział swym dawnym żartobliwie aroganckim tonem i powrócił do gry.

- Dobrze by było, gdybyście poszli spać - poleciła chłopcom Edwina kierując się do luksusowej łazienki, aby w gorącej kąpielii zmyć z siebie zmęczenie.

Gdy zdjęła suknię, przez dłuższą chwilę trzymała ją rozpostartą w rękach przyglądając się jej ze smutkiem. Zamierzała ją zrazu wyrzucić, ale się rozmyśliła. Postanowiła zachować suknię, którą miała na sobie, gdy po raz ostatni patrzyła w oczy Charlesa, gdy żegnała się z rodzicami. Chciała zostawić sobie pamiątkę po tych

szczęśliwych dniach i po tej jednej chwili, która zmieniła wszystko i wszystko jej zabrała. Pozostała jej tylko ta podarta wieczorowa suknia. Wydawała się własnością innej osoby, którą Edwina niegdyś była i teraz ledwie pamiętała, którą nigdy więcej nie będzie.

Rozdział siódmy

Następnego ranka Edwina włożyła podarowaną jej na "Carpathii" czarną sukienkę i zabrała Fannie, Teddy'ego oraz Alexis do lekarza, którego polecono jej w hotelu. Po dokładnym przebadaniu dzieci medyk wyraził zdziwienie, że po tym, co przeżyły na "Titanicu", są w tak dobrej formie. Wprawdzie dwa paluszki u lewej ręki Fannie prawdopodobnie nigdy nie będą takie jak przedtem- pozostaną mniej wrażliwe i nieco sztywne, nie sądził jednak, by dziewczynka je straciła. Stan Teddy'ego również poprawił się nadzwyczajnie. Samo to, że dziecko przeżyło długotrwałe przebywanie w wyjątkowo niskiej temperaturze, zakrawało na cud. Lekarz, bardzo przejęty tym, czego doświadczyli, próbował dowiedzieć się od Edwiny czegoś więcej o katastrofie, lecz nie chciała na ten temat rozmawiać, zwłaszcza w obecności dzieci.

Poprosiła, by zbadał także Alexis. Okazało się, że poza kilkoma zadrapaniami, których doznała, gdy wrzucono ją do szalupy, stan fizyczny dziewczynki jest doskonały. Problemem pozostawała natomiast zraniona psychika. Edwina spostrzegła zmianę w zachowaniu siostry już w chwili, gdy odnalazła ją na pokładzie "Carpathii". Mała jakby nie była sobą. Nie mogąc się pogodzić z utratą ukochanej matki, dziewczynka wyłączyła się z otaczającej ją rzeczywistości. Niczym się teraz nie interesowała, prawie nie mówiła; była nieobecna.

- Poprawy może długo nie być - ostrzegł lekarz Edwinę. - Doznała szoku i może już nigdy nie wrócić do równowagi.

Edwina nie chciała się z tym pogodzić. Była przekonana, że z czasem Alexis znów będzie sobą - wrażliwym, nieśmiałym, ale i beztrudnie śmiejącym się dzieckiem. Przyrzekła sobie, że nie dopuści, aby tragedia, którą przeżyli, wpłynęła na przyszłość rodzeństwa. Na szczęście opieka nad siostrami i braćmi pozwalała jej zapomnieć o własnej stracie. Lekarz uznał, że za tydzień będą mogli wyruszyć do San Francisco, tymczasem zaś mają wszyscy odpoczywać.

Po powrocie do hotelu zastali Filipa i George'a pogrążonych w lekturze gazet. "New York Times" poświęcił piętnaście kolumn na wywiady i relacje o katastrofie. George wszystkie zamierzał przeczytać Edwinie, lecz nie chciała słuchać. Już wcześniej doręczono jej trzy listy od reporterów "New York Timesa" z prośbą o udzielenie wywiadu, ale je

wyrzuciła. Wiedziała, że należąca do Winfieldów gazeta zechce opisać historię śmierci rodziców oraz okoliczności zatonięcia statku-olbrzymia, i wtedy, jeśli dziennikarze będą chcieli z nią rozmawiać, wypełni swój obowiązek. Tymczasem nie życzyła sobie mieć do czynienia z prasą nowojorską, która tragedię przedstawiała w aurze sensacji. Struchlała, ujrawszy na pierwszej stronie zdjęcie, które zrobiono jej i dzieciom, kiedy schodzili ze statku.

Tego ranka zaraz po powrocie do hotelu otrzymała jeszcze jeden list. Specjalna podkomisja senacka miała się zebrać nazajutrz w hotelu Waldorf-Astoria, by omówić przyczyny i okoliczności zatonięcia "Titanica". Edwinę i wielu innych rozbitków poproszono, by opowiedzieli o swoich przeżyciach. Chciano zgromadzić jak najwięcej szczegółów o katastrofie i ustalić, czy ktoś ponosi za nią odpowiedzialność, aby w przyszłości uniknąć podobnego nieszczęścia. Edwina zwierzyła się Filipowi, że wprawdzie nie czuje się na siłach występować publicznie, ale uważa za swój obowiązek zgłosić się na posiedzenie podkomisji. Brat pocieszył ją, że spotkanie na pewno przebiegnie gładko.

Po lunchu, który zjedli w apartamencie, Edwina oznajmiła, że ma do załatwienia kilka spraw. Nie mogą przecież wiecznie chodzić w pożyczonych ubraniach. Trzeba kupić niezbędne rzeczy.

- Muszę z tobą iść? - zaniepokoił się George, a Filip zatopił wzrok w gazetę.

Edwina uśmiechnęła się, bo George zachował się dokładnie tak, jak zachowałby się jego ojciec.

- Ależ nie, zostań z Filipem i pomóż mu zająć się dziećmi. - Postanowiła zaraz po powrocie do Kalifornii wynająć opiekunkę do dzieci i zaraz przypomniała sobie biedną Oonę. O czymkolwiek teraz pomyślała, skojarzenia były bolesne.

Najprzód udała się do banku, a potem do magazynu Altmana na rogu Piątej Alei i Trzydziestej Czwartej Ulicy, gdzie zaopatrzyła się w niezbędną odzież, stamtąd poszła jeszcze do Oppenheima Collinsa i dokupiła resztę potrzebnych rzeczy. Z biura ojca przysłano dość pieniędzy, by mogli zaspokoić bieżące potrzeby.

Dochodziła czwarta, gdy wróciła do hotelu w poważnej czarnej sukience od Altmana. Zaniepokoiła się, ujrawszy George'a i Filipa beztrosko grających w karty.

- Gdzie reszta dzieci? - zapytała, stawiając pudła z zakupami na podłodze salonu. Za nią wszedł szofer uginający się pod resztą pakunków. Nie przypuszczała, że aż tyle rzeczy

trzeba, by porządnie ubrać pięcioro dzieci. Dla siebie kupiła pięć czarnych spokojnych sukienek. Wiedziała, że będzie je długo nosić. Gdy przymierzając je w sklepie przejrzała się w lustrze, ze smutkiem zauważyła, że jest w nich bardzo podobna do matki.

Teraz rozglądała się niespokojnie, nigdzie nie widząc młodszych dzieci, a bracia jakby nigdy nic grali nadal.

- Gdzie one są? - zapytała zirytowana.

Filip wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i wskazał na sypialnię. Edwina szybkim krokiem ruszyła do drzwi i otworzywszy je zaniemówiła ze zdumienia. Dziewczynki i ich dwuletni braciszek bawili się z pokojówką przynajmniej dwoma tuzinami nowych lalek, koniem na biegunach i kolejką, która była w sam raz dla Teddy'ego.

- Skąd to macie? - zapytała.

Zajęty grą George tylko wzruszył ramionami. Właśnie wyciągnął kartę, która pozwoli mu wygrać partię. Filip dopiero po chwili odwrócił się i spojrzał na Edwinę, która wciąż stała jak wryta, ze zdumieniem rozglądając się wokół.

- Nie wiem. Na każdym prezencie była wizytówka. Chyba najwięcej przysłali goście hotelowi... Jest też coś od "New York Timesa", z biura linii White Star też przysły zabawki. To chyba po prostu prezenty.

Dzieci cudownie się bawiły rozpakowując kolejne paczki. Nawet Alexis wyglądała na zadowoloną i radośnie uśmiechnęła się do Edwiny. Dla niej były to spóźnione prezenty urodzinowe, które ominęły ją w dniu, gdy zatonął statek. Starczyłoby ich na przynajmniej tuzin urodzin i jeszcze zostałyby dość na gwiazdkę.

Gdy uszczęśliwiony Teddy z konia na biegunach machał radośnie do siostry, Edwina ze zdumieniem patrzyła na piramidę prezentów.

- Co my z tym zrobimy? - zastanowiła się na głos.

- Chyba zabierzemy do domu - rzekł George obojętnym tonem, jakby to było oczywiste.

Edwina wzięła się za porządkowanie pakunków porzrzuconych po pokoju i segregowanie zakupów zgodnie z ich przeznaczeniem. Starszy brat spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Nie bardzo mi się podoba ta sukienka. Wyglądasz w niej strasznie staro.

- Chyba masz rację - przyznała cicho, myśląc, że teraz to najodpowiedniejszy strój

dla niej. Czowała się staro i zastanawiała się melancholijnie, czy zawsze już tak będzie. - W sklepach, w których byłam, nie mieli wielkiego wyboru czarnej odzieży - wyjaśniła.

Była kobietą wysoką i szczupłą, nie zawsze więc mogła znaleźć odpowiedni rozmiar. Jej matka miała podobne kłopoty, toteż niekiedy wymieniały się sukienkami. Ale to już nie wróci. Nie będzie wspólnych ubrań... Ani przyjaźni, serdeczności, śmiechu. Wszystko to minęło bezpowrotnie, jak bezpowrotnie skończyła się młodość Edwiny.

Do Filipa po chwili dopiero dotarło, dlaczego siostra ubrana jest na czarno. Jakoś nie pomyślał o tym od razu i teraz zastanawiał się, czy on i George będą nosić czarne krawaty i żałobne opaski na rękawach. Tak było, gdy umarli dziadkowie. Mama uznawała noszenie żałoby za gest szacunku, ale ojciec powiedział wtedy, że uważa ten zwyczaj za idiotyczny... Filip otrząsnął się z zadumy, bo przypomniał sobie, że ma wiadomość dla Edwiny.

- Przyszedł telegram od wuja Ruperta i cioci Liz - oznajmił siostrze.

- O Boże - westchnęła Edwina. - Miałam im rano wysłać depeszę, ale przy całym tym zamieszaniu z wizytą u lekarza zupełnie zapomniałam. Gdzie go położyłeś?

Chłopiec wskazał na biurko. Edwina wzięła telegram do ręki, przeczytała go i z westchnieniem usiadła na krześle. Nie takiej wiadomości oczekiwała, choć musiała przyznać, że wujostwo chcieli jak najlepiej. Za dwa dni ciocia Liz miała wsiąść na statek do Nowego Jorku i dzieci powinny tu na nią czekać, postanowiła bowiem zabrać je do Anglii. Gdy Edwina czytała te słowa, serce zabiło jej mocniej. Ze współczuciem myślała o ciotce, która wyjątkowo źle znosiła podróże morskie. Sama również poczuła się nieswojo na myśl o ponownej przeprawie przez Atlantyck. Chyba do końca życia jej noga nie postanie na statku. Nigdy nie zapomni widoku rufy "Titanica" na tle czarnego nieba.

Późnym wieczorem odtelegrafowała wujostwu przekonując, że ciocia Liz nie musi przyjeżdżać, ponieważ wracają do San Francisco. Rano otrzymała odpowiedź.

"Bez dyskusji. Wracacie do Anglii. Przesyłamy wyrazy współczucia. Zrobimy wszystko, żeby było wam u nas dobrze. Do rychłego zobaczenia. Rupert Hickham."

Myśl o zamieszkaniu na stałe w Havermoorze przejęła Edwinę dreszczem.

- Musimy tam jechać, Edwino? - George popatrzył na nią pytająco, ledwo kryjąc przerażenie, a Fannie z płaczem wołała, że u wujostwa zawsze było zimno i takie niedobre jedzenie.

- Mnie też było zimno, więc przestań ryczeć, głuptasku - uspokoiła ją Edwina. -

Jedynym miejscem, do którego się wybieram, jest nasz własny dom. Czy to jasne?

Pięć głów jak na komendę skinęło potakująco i pięć poważnych twarzy wyrażało nadzieję, że Edwina mówi serio.

Trochę trudniej było przekonać wuja Ruperta. Edwina natychmiast wysłała mu odpowiedź i przez dwa następne dni trwała telegraficzna dyskusja, na koniec zaś ciotka Liz rozchorowała się na grypę, co zmusiło ją do przełożenia terminu wyjazdu. Ostatecznie Edwinie udało się chyba przekonać wuja, że nie zmieni postanowienia. "Wracamy do domu", pisała za każdym razem. "Poradzimy sobie. Zapraszamy do San Francisco." Żadne z Winfieldów nie miało teraz ochoty jechać do Anglii, tej możliwości zresztą Edwina ani przez chwilę nie brała pod uwagę.

- Jesteś pewna, że nie przyjadą po nas do Nowego Jorku? - Oczywiście George'a aż się powiększyły z niepokoju i Edwina uśmiechnęła się widząc, jaki chłopiec jest przejęty.

- Nawet jeśli przyjadą, siłą nas do Anglii nie zabiorą. Przecież nie są kidnaperami, to nasza rodzina. Po prostu chcą, żeby nam było dobrze. Ale ja myślę, że świetnie sami sobie poradzimy w San Francisco.

Była to odważna deklaracja z jej strony, pozostało tylko ją urzeczywistnić. Edwina nabierała coraz głębszego przekonania, że musi jej się udać. Gazetę od wielu lat pod kierownictwem ojca redagował doskonały personel, który osobiście sobie dobrał. Nie było zatem powodu, by cokolwiek się zmieniło teraz, gdy Berta Winfielda zabrakło. Sam przecież często powtarzał, że gdyby mu się coś stało, nikt w redakcji nawet tego nie zauważy. Teraz okaże się, czy miał rację, bo Edwina nie zamierzała sprzedawać gazety. Chociaż nie była ona tak intratna jak "New York Times" czy którekolwiek z prawdziwie wielkich pism, dochód z niej bardzo im się przyda, będą bowiem potrzebowali pieniędzy, by przeżyć i pozostać razem w rodzinnym domu w San Francisco. Edwina przyrzekła sobie, że nie dopuści, aby Rupert, Liz czy ktokolwiek inny zmusił ją do sprzedaży gazety, domu albo czegoś, co należało do rodziców. Z niecierpliwością oczekiwała powrotu do domu, pragnąc jak najszybciej zająć się porządkowaniem rodzinnych spraw. Nikt jej nie nakłonił do zmiany raz podjętej decyzji. Skoro postanowiła wrócić do Kalifornii, tak się stanie, mimo że wuj Rupert namawiał, by na zawsze opuścili San Francisco, nie pojmując, dlaczego Edwina tak obstaje przy swoim.

Dzieci Winfieldów pozostały w Nowym Jorku cały tydzień, spędzając czas na

długich spacerach po parku. Byli ponownie z najmłodszymi u lekarza, którego opinia o stanie Teddy'ego i Fannie podniosła ich na duchu. Obiady jadali w Plaza, musieli też znowu iść na zakupy, ponieważ George za nic w świecie nie chciał nosić marynarki, którą kupiła mu Edwina.

Za dnia dzieci odzyskiwały dawny wigor, ale nocą na powrót stawały się dziwnie spokojne. Nękanie myślami i lękami, wciąż przeżywały niedawną tragedię. Alexis ciągle gnębiły koszmary. Sypiała z Edwiną, a Fannie tuż obok nich, na drugim łóżku, kołyska Teddy'ego zaś stała nie opodal. Ostatniego wieczoru zjedli kolację w apartamencie, potem rozmawiali i grali w karty. George zabawiał ich, z niezwykłym podobieństwem parodiując zachowanie i głos wuja Ruperta.

- To nieładnie - skarciła go Edwina, choć sama nie mogła się powstrzymać od śmiechu. - Biedak ma podagrę i komicznie się porusza, ale chce dla nas jak najlepiej.

Stateczny lord Hickham był wszakże wystarczająco zabawną postacią, by sprowokować popisy George'a. Jedna Alexis nie śmiała się z resztą rodzeństwa, tyle że na jej buzi uśmiech nie gościł od dnia katastrofy. I jeżeli w jej samopoczuciu coś się zmieniło, to tylko na gorsze. Dziewczynka stawała się coraz bardziej nieobecna duchem, jakby wraz z upływem czasu mocniej przeżywała odejście rodziców.

- Nie chcę jechać do domu - szepnęła Edwinie do ucha, gdy późnym wieczorem leżały przytulone w łóżku.

- Dlaczego? - również szeptem spytała Edwina. Alexis nie odpowiedziała. Do oczu napłynęły jej łzy i dziewczynka wtuliła twarz w ramię siostry. - Czego się boisz, kochanie? - zapytała Edwina. - W domu nic złego nie może cię spotk... - urwała. Nie mogło ich spotkać nic strasniejszego od straty, którą ponieśli na "Titanicu". Bywały chwile, gdy Edwina żałowała, że ona także nie zginęła, bo nie wyobrażała sobie życia bez Charlesa i rodziców. Miała teraz niewiele czasu na rozmyślanie o narzeczonym, na rozpamiętywanie wspólnie spędzonych chwil. Może i lepiej, gdyż wspomnienie Charlesa sprawiało jej nieznośny ból. Wiedziała, że musi wziąć się w garść, od niej bowiem w dużej mierze zależy przyszłość rodzeństwa. Wolno jej było myśleć teraz tylko o nich. - W swoim pokoju w San Francisco poczujesz się bezpiecznie - pocieszała Alexis. - Będiesz chodziła z koleżankami do szkoły...

Alexis gwałtownie potrząsnęła głową i z ogromną rozpaczą popatrzyła na siostrę.

- W domu nie będzie mamusi... - szepnęła głosem pełnym bólu.

Tak, z tą smutną rzeczywistością musieli się wszyscy pogodzić, aczkolwiek Edwina nieraz łapała się na tym, że wyobraża sobie rodziców i Charlesa oczekujących ich w domu. Ogarniała ją wówczas złudna nadzieja, że wszystko było okrutnym żartem i wcale się nie wydarzyło. Alexis uciekła przed ową prawdą w świat marzeń i bała się zderzenia ze światem realnym, gdy dotrą do San Francisco.

- Nie, nie będzie jej tam - przyznała Edwina. - Ale na zawsze będziemy ją mieć w sercach. I tatę, i Charlesa... A jak wrócimy do domu, znajdziemy się jakby bliżej mamy - przekonywała siostrę. W domu przy California Street Kate pozostawiła swój niezatarty ślad. Zrobiła wiele, by go upiększyć, a ogród był w całości tworem jej starań. - Nie chcesz zobaczyć tych cudownych krzewów różanych w tajemnym ogródku mamusi? - Alexis potrząsnęła głową i ze smutkiem objęła szyję Edwiny. - Nie bój się, kochanie... Jestem z tobą... i zawsze będę - przytuliła małą wiedząc z całą pewnością, że nigdy nie opuści rodzeństwa.

Matka głęboko ich kochała. Rozmyślając o niej, o uczuciu, jakim Kate darzyła dzieci, Edwina powoli zasypiała. Dumiała o miłości, którą otaczała ją, najstarszą córkę, miłości bezpowrotnie utraconej wraz z matką, większej od tej, jaką ona może dać braciom i siostram. Pomiędzy jawą a snem cisnęły jej się do głowy wspomnienia. Zobaczyła Charlesa i ojca. Nim zapadła w sen, przypomniała sobie twarz matki i poczuła, że jej poduszka wilgotnieje od łez.

Rozdział ósmy

Burzliwego ranka w piątek 26 kwietnia, jedenaście dni po zatonięciu "Titanica", dzieci Winfieldów opuściły Nowy Jork. Samochód hotelowy zawiózł ich na dworzec, a kierowca pomógł Edwinie umieścić bagaże w przedziale. Oprócz ubrań, które Edwina kupiła dla siebie i rodzeństwa, nie mieli wiele bagażu. Zabawki i prezenty, nadesłane przez życzliwych ludzi, zostały spakowane i wcześniej wysłane koleją. Nic ich nie trzymało w Nowym Jorku, mogli więc pojechać do domu i bez rodziców rozpocząć życie na nowo. Dla młodszych dzieci nie oznaczało to wielkiej zmiany, lecz Filip odczuwał ciężar odpowiedzialności za rodzeństwo. George również rozumiał, że nowa sytuacja wymaga nowego zachowania. Nie śmiał, jak dawniej, pozwalać sobie przy Edwinie na beztrudne psoty. Była dla niego surowsza niż rodzice, ponadto żał mu było siostry. Cały swój czas poświęcała teraz młodszym dzieciom. Wydawało się, że nie ma chwili, by któreś z nich nie znajdowało się w jej ramionach: Fannie bez przerwy płakała; Teddy'emu, który był spokojny tylko na jej rękach, co rusz trzeba było zmieniać pieluszki; Alexis, wciąż nieufna i zalękniona, albo czepiała się siostrzanej spódnicy, albo chowała przed obcymi w jakimś zakamarku lub za okiennymi zasłonami. Edwina nie miała zatem chwili wytchnienia i choć George nie stracił ochoty na figle, nie chciał przysparzać siostrze kłopotu.

Obydwaj starsi chłopcy starali się jak mogli pomóc Edwinie przy rozlokowaniu dzieci w wagonie. Wykupili dwa sąsiadujące ze sobą przedziały, które po trzech nocach przespanych na materacach na "Carpathii" wydawały im się szczytem komfortu. Rozkoszowali się ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa, radzi, że wreszcie jadą do domu.

Gdy pociąg ruszył, Edwina odetchnęła z ulgą. Jechali do domu, do znajomych miejsc, gdzie - miała nadzieję - będą bezpieczni i nic złego ich nie spotka. Za dnia nie znajdowała wolnej chwili na zastanawianie się nad przyszłością, zajęta bez ustanku rodzeństwem, nocami zaś, przytulona do Alexis i Fannie, myślała wyłącznie o Charlesie, o jego ostatnich pocałunkach, dotyku dłoni, o ich ostatnim tańcu... I wspominała jego postać widzianą po raz ostatni z szalupy... Był wytwornym wrażliwym młodzieńcem, na pewno byłby dla niej wspaniałym mężem. Torturowała się marzeniami o tym, co być mogło, a czego już nigdy nie będzie. Teraz, w pociągu, wciąż słyszała jego imię wystukiwane przez koła: Charles... Charles... Charles... Kocham cię... Kocham cię... Kocham cię... Kocham cię...

Chciało jej się krzyczeć, gdy wspomniała głos ukochanego wypowiadający te słowa. Zaciskała powieki, by przegnać twarze i patrzące na nią z ciemności oczy. Zazdrościła rodzicom, że mogli pozostać razem do samego końca. Czasami żałowała, że nie utonęła z Charlesem, i starała się zagłuszyć ten żal myślami o rodzeństwie.

Pociąg mijał kolejne stany, wszędzie jednak w gazetach nadal publikowano materiały o "Titanicu". Podkomisja senacka wciąż pracowała nad ustaleniem okoliczności katastrofy. W Nowym Jorku Edwina stawiała się na wezwanie komisji. Rozpamiętywanie od nowa tamtej strasznej nocy okazało się nad wyraz bolesne. Było jej bardzo ciężko, ale musiała spełnić swój obowiązek.

Zdołano ustalić, że przyczyną zatonięcia statku było długie na trzysta stóp rozdarcie w kadłubie powstałe od strony dziobu. Choć nie mogło to niczego zmienić, opinia publiczna domagała się prawdy o powodach katastrofy. Żądano tego głównie w związku z olbrzymią liczbą ofiar oraz niedostatecznym, jak się okazało, wyposażeniem "Titanica" w szalupy ratunkowe - nie wystarczyło ich nawet dla połowy pasażerów.

Komisja wypytywała Edwinę o postawę oficerów i o zachowanie rozbitków w łodziach. Oburzano się powszechnie, że na statku nie przeprowadzono ćwiczeń ratunkowych i że załoga nie wiedziała dokładnie, co, kto i gdzie ma robić w razie kłopotów. Największe jednak poruszenie wywołała informacja, iż szalupy opuszczano w połowie puste, a po zatonięciu statku setkom ludzi pozwolono umrzeć w wodzie, broniąc im dostępu do łodzi w obawie, że się przewrócą. Ten straszny epizod miał przejść do historii jako przykład ludzkiej bezwzględności.

Po złożeniu zeznań Edwina poczuła w sobie większą pustkę, jak gdyby wcześniej miała nadzieję, że samo stawienie się przed komisją może odmienić losy jej bliskich. Próżne to były złudzenia, bo przecież żadna ludzka siła nie mogła przywrócić ich do życia, a rozmowa o tym co się wydarzyło, odświeżyła tylko rany. Gazety doniosły, że wyłowiono z morza trzysta dwadzieścia osiem ciał, jeszcze więc przed wyjazdem z Nowego Jorku Edwina wiedziała, że nie było wśród nich ani rodziców, ani Charlesa.

Z Londynu otrzymała wzruszający telegram od Fitzgeraldów z wyrazami współczucia i zapewnieniem, że na zawsze pozostanie dla nich córką. Przypomniało jej to piękny welon ślubny, który w sierpniu lady Fitzgerald miała przywieźć do San Francisco. Co się z nim teraz stanie? Kto go założy? Powtarzała sobie, że nie powinna boleć nad

takimi drobiazgami, ale nocą w pociągu, gdy nie mogła zasnąć, trudno jej było odpędzić natrętne wspomnienia. Rękawiczki Charlesa, które narzeczony rzucił jej z pokładu, znajdowały się wciąż w jej walizce. Choć ich widok sprawiał jej ból, nie potrafiła się z nimi rozstać.

Kiedy się przebudziła ostatniego dnia podróży, na widnokręgu ujrzała Góry Skaliste różowiejące w promieniach wschodzącego słońca. Po raz pierwszy od dwóch tygodni poczuła się lepiej. Dotychczas była nieustannie zajęta i nie w głowie jej było podziwianie przesuwanego się za oknem krajobrazu. Obudziła rodzeństwo, aby i oni nacieszyli oczy pięknym widokiem.

- Dojeżdżamy do domu? - zdawały się pytać wielkie oczy Fannie.

Mała nie mogła się doczekać powrotu i powtarzała Edwinie, że już nigdy nie opuści domu, a gdy dotrą na miejsce, zrobi tort czekoladowy, taki sam jak mama. Kate często przyrządzała dzieciom smakołyki, Edwina obiecała więc siostrze, że pomoże jej przy pieczeniu. Natomiast George oświadczył, że nie zamierza wracać do szkoły. Starł się przekonać starszą siostrę, że doznał zbyt wielkiego szoku, by zaraz się brać do nauki, i że przedtem musi solidnie wypocząć, lecz Edwina miała inny pogląd na tę kwestię. Filip również martwił się szkołą, z zupełnie innego wszakże powodu. Został mu jeszcze rok nauki przed wyjazdem do Harvardu, gdzie kiedyś studiował jego ojciec. Przynajmniej takie snuł plany, ale teraz trudno było cokolwiek przewidzieć. W trakcie podróży Filip często się zastanawiał, czy w ogóle pójdzie do college'u, przez co rosło w nim poczucie winy, uważał bowiem, że nie powinien myśleć o swojej przyszłości w obliczu okrutnych strat, jakie ich wszystkich dotknęły.

- Weenie! - zawołała Fannie. Edwinę zawsze rozśmieszało jej zdrobniałe imię.

- Tak, Frances? - starała się zachować powagę.

- Nie nazywaj mnie tak! - powiedziała z wyrzutem Fannie, która z kolei nie lubiła tej formy swojego imienia. - Będziesz teraz spała w pokoju mamy? - Patrzyła na starszą siostrę z obojętnym wyrazem twarzy, lecz Edwina poczuła się tak, jakby zadano jej cios w żołądek.

- Nie sędzę - odrzekła. Nie mogłaby spać w tym pokoju. Nie należał do niej, lecz zawsze do "nich", do rodziców, i dla niej nie było w nim miejsca. - Będę spać u siebie - powiedziała z naciskiem.

- Przecież jesteś teraz naszą mamusią. - Fannie wyglądała na zaniepokojoną, a w oczach Filipa, który odwrócił się ku oknu, Edwina dojrzała łzy.

- Nie, nie jestem. Wciąż jestem tą samą Weenie, twoją starszą siostrą - uśmiechnęła się ze smutkiem.

- No to kto będzie teraz naszą mamusią? - dopytywała się z uporem Fannie.

Co jej powiedzieć? Jak wytłumaczyć dzieciom?... Nawet George odwrócił głowę, bo dla niego także pytanie było nazbyt bolesne.

- Mamusia jest nadal naszą mamusią. I zawsze nią będzie.

Edwina nie potrafiła tego lepiej wyłożyć, wiedziała jednak, że jeżeli nawet nie udało jej się do końca przekonać Fannie, to starsze dzieci ją zrozumiały.

- Ale nie ma jej teraz. A ty obiecałaś, że się nami zaopiekujesz - mówiła Fannie z taką miną, jakby się lada moment miała rozplakać.

- Oczywiście, że się wami zaopiekuję - uspokoiła ją Edwina. Wzięła małą na kolana i zerknęła na Alexis skuloną w rogu fotela ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby dziewczynka nie chciała słuchać tego, o czym mówili. - Będę robić wszystko to, co robiła mamusia. Ale ona jest dalej naszą mamą. Ja nie mogłabym nią być, choćbym nie wiem jak bardzo się starała.

- Aha- skinęła głową Fannie, nareszcie usatysfakcjonowana, po czym zapytała o ostatnią niepokojącą ją sprawę, którą chciała wyjaśnić, zanim wrócą do domu: - To będziesz mogła codziennie spać ze mną?

Edwina się uśmiechnęła.

- No wiesz, twoje łóżeczko mogłoby nie wytrzymać takiego ciężaru. Nie sądzisz, że jestem na nie trochę za duża? - Fannie spała w ślicznym łóżeczku, które przed laty ojciec zamówił specjalnie dla Edwiny. - Ale wiesz co? Czasami będziesz mogła przyjść do mnie do łóżka. Co ty na to? - Zauważyła, że Alexis spogląda na nią ze smutkiem, jak zawsze, gdy rozmawiali o sprawach przypominających jej matkę. - Alexis też może czasem ze mną spać.

- A ja? - zażartował George.

Uszczypnął Fannie w nos i odłamał kawałek ciastka, które jadła Alexis, lecz jego na pozór normalne zachowanie nie zmyliło Edwiny. Zauważyła, że chłopiec bardzo się zmienił w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Chodził teraz przygaszony, a okazywana na każdym

kroku wesołość była wymuszona i sztuczna. Perspektywa powrotu do domu niepokoiła ich wszystkich.

Ostatniej nocy spędzonej w pociągu dzieci zadreślały się tymi myślami. Żadne nie pisnęło ani słowa do rana, choć bezsennie leżeli w łóżkach. Edwina nie spała nawet dwóch godzin. O szóstej rano wstała, umyła twarz i włożyła jedną ze swoich najlepszych czarnych sukienek. Na miejsce mieli dojechać około ósmej. Denerwowała się co prawda, mimo to ulgę sprawiało jej patrzenie na znajomy krajobraz. Obudziła młodsze dzieci i zapukała do sąsiedniego przedziału, gdzie spali George z Filipem.

Godzinę później cała szóstka siedziała w wagonie restauracyjnym przy śniadaniu. Chłopcy zjedli obfity posiłek, Alexis podziobała jajecznicę, a Teddy'emu i Fannie Edwina skruszyła biszkopty do mleka. Po posiłku wrócili do przedziału, gdzie Edwina umyła malcom buzie i doprowadziła do porządku ich ubranka. Tymczasem pociąg dojeżdżał powoli do stacji. Edwina zadbała, by wszyscy włożyli nową odzież i włosy mieli czyste i porządnie uczesane, a loki Fannie i Alexis przewięzała nawet wstążkami. Nie wiedziała, kto po nich wyjdzie na dworzec, była jednak pewna, że będą przedmiotem zainteresowania i ludzie będą im się bacznie przyglądać. Może nawet reporterzy z gazety ojca zrobią im zdjęcia? Chciała, by ojciec mógł być dumny ze swoich dzieci, i czuła, że winna jest to rodzicom.

Gdy pociąg zahamował ze zgrzytem, Edwinie ze wzruszenia na moment zaparło dech. Popatrzyła na resztę rodzeństwa. Żadne nie odezwało się ani słowem, ale widać było, że przeżywają słodki ból powrotu do domu.

Dzieci Winfieldów były znów u siebie.

Rozdział dziewiąty

Gdy wczesnym majowym porankiem Edwina wysiadła z rodzeństwem z pociągu, kwiaty i drzewa całe były w pąkach. W drodze żywiła cichą nadzieję, że okolica dworca będzie wyglądała jak przed ich wyjazdem, lecz przyroda, podobnie jak jej życie, uległa zmianie. Opuszczała dom z najbliższą rodziną jako szczęśliwa, beztraska panna na wydaniu. Był z nią też Charles. Podczas długiej podróży przez całe Stany bez końca rozmawiali o swoich marzeniach, ideałach, o książkach, które lubili czytać, o najskrytszych pragnieniach i nawet o tym, ile będą mieć dzieci. Tamte czasy jednak nie wrócą, a ona nigdy już nie będzie taka jak wtedy. Wracała jako sierota opłakująca stratę najbliższych.

Czarna sukienka i kapelusz z woalką, które kupiła w Nowym Jorku, czyniły ją wyższą, szczuplejszą i o wiele starszą. Gdy wysiadła z pociągu i rozejrzała się wokół, zgodnie ze swoimi przewidywaniami zauważyła czekających na nich dziennikarzy. Byli tam reporterzy z gazety Winfieldów, a także z innych rywalizujących z nią redakcji. W pierwszej chwili Edwinie wydało się, że połowa miasta wyszła im na spotkanie. Kiedy się rozglądała, szukając w tłumie znajomych twarzy, jakiś reporter podszedł i zrobił jej zdjęcie, które nazajutrz ukazało się na pierwszych stronach gazet. Edwina wróciła do drzwi wagonu i nie zwracając uwagi na dziennikarzy ani wpatrzonych w nią gapiów, pomogła wysiąść dzieciom. Filip poniósł Alexis i Fannie, Edwina wzięła na ręce Teddy'ego, George zaś poszedł poszukać bagażowego. Nareszcie byli u siebie.

Pomimo tłumy ciekawskich poczuli się pewniej, aczkolwiek nadal z obawą myśleli o przybyciu do domu wiedząc, kogo w nim zabraknie. Podczas gdy Edwina starała się uporać z bagażem, z ciżby ruszył ku nim mężczyzna, w którym rozpoznała Bena Jonesa, prawnika ojca. Był długoletnim przyjacielem rodziny, rówieśnikiem Berta Winfielda, z którym przed ćwierć wiekiem studiowali w Harvardzie.

Ben, wysoki atrakcyjny mężczyzna o łagodnym uśmiechu, włosy, niegdyś płowe, miał posiwiałe. Edwinę znał od dziecka, ale teraz zamiast niezaradnej dziewczynki ujrzał powabną, choć bardzo smutną młodą kobietę walczącą o to, by bezpiecznie dowieźć młodsze rodzeństwo do domu. Aby przedostać się do nich, roztrącał na boki ludzi, którzy niechętnie robili mu przejście.

- Witaj, Edwino! - Oczy miał przepełnione smutkiem, lecz jej były smutniejsze. -

Tak mi przykro - powiedział szybko, z trudem opanowując szloch.

Bert Winfield był jego najlepszym przyjacielem, toteż Ben wpadł w przerażenie, kiedy dotarła doń wiadomość o katastrofie "Titanica". Niezwłocznie sprawdził w redakcji, czy cokolwiek wiadomo o losie Winfieldów, i dowiedział się, że Edwina płynie do Nowego Jorku na pokładzie "Carpathii" razem z braćmi i siostrami, ale bez narzeczonego i rodziców. Rozplakał się na wieść o stracie przyjaciela, nie mniej poruszyła go śmierć jego żony i rozpaczliwy los ich dzieci.

Rodzeństwo niezmiernie się ucieszyło na jego widok, George nawet zaczął stroić miny, jakich nie widziano na jego twarzy od tamtego tragicznego dnia. Ben był pierwszym przyjacielem, którego spotkali po przeżyciu katastrofy. Ponieważ nie chcieli o niej mówić, Ben nie dopuszczał do nich dziennikarzy.

- Nauczyłem się dwóch nowych sztuczek karcianych - pierwszy przerwał milczenie George.

Ben zauważył, że chłopiec jest blady i wygląda na zmęczonego, a jego zachowanie nie jest spontaniczne jak ongiś - wyraźnie nadrabiał tylko miną, by rozbawić towarzystwo.

- Pokażesz mi je w domu. Dalej oszukujesz przy grze w karty? - zapytał Ben i George parsknął śmiechem.

Przyjrząwszy się dzieciom dokładnie, Jones spostrzegł, że Alexis ma twarz bez wyrazu, buzie najmłodszych są bledziutkie i znużone, a Edwina bardzo zmizerniała. O tym, że znacznie schudła w ciągu dwóch tygodni po katastrofie "Titanica", wiedziała tylko ona i rodzeństwo.

- Mama nie żyje-oznajmiła Fannie, gdy stali w słońcu czekając na bagaże. Na Edwinę słowa te spadły niczym kamienna lawina.

- Wiem - rzekł cicho Ben. W napięciu wszyscy czekali na następne słowa dziewczynki. Jones zerknął na Edwinę i dojrzał pod woalką jej bladość. Wystarczył mu jeden rzut oka, by stwierdzić, że dzieci Winfieldów są strasznie wyczerpane. Przeżyły piekło i koszmar ten wycisnął piętno na ich obliczach. Benowi serce pękało na widok udręczonych twarzy dzieci przyjaciela. - Cieszę się, że tobie nic się nie stało, Fannie. Bardzośmy się o ciebie martwili.

Zadowolona z jego słów dziewczynka skinęła głową i zaczęła opowiadać o swoich okropnych przejściach.

- Pan mróz ukąsił moje paluszki - pokazała mu dwa palce, których o mało nie straciła, a Ben ze smutkiem pokiwał głową. Dziękował Bogu, że dzieci się uratowały. - A Teddy bardzo kaszłał, ale już jest zdrowy - dodała.

Edwina uśmiechnęła się słysząc to sprawozdanie.

Z redakcji przysłano po nich samochód, ten sam, którym dawniej wyprawiali się na wycieczki. Przyjechał nim Ben, by zawieźć do domu dzieci i ich bagaż. Nie było go wiele, ale i tak więcej, niż się spodziewał.

- Miło, że po nas wyszedłeś - powiedziała Edwina, gdy jechali w stronę domu.

Wiedział aż za dobrze, jak bolesny będzie dla nich powrót. Sam stracił żonę i syna w trzęsieniu ziemi w 1906 roku. Ciężko przeżył ich śmierć i nie ożenił się ponownie. Jego syn byłby teraz w wieku George'a, dlatego właśnie George zajmował w jego sercu szczególne miejsce.

W drodze do domu we dwóch próbowali podtrzymać rozmowę, lecz na próżno - reszta rodzeństwa pogrzyła się w melancholijnym milczeniu. Ich myśli krążyły wokół jednego: jak pusty będzie dom bez rodziców.

A było jeszcze gorzej, niż spodziewała się Edwina. Kwiaty, które matka zasadziła przed wyjazdem, akurat pięknie kwitły. Ich cudowne kolory tylko dodawały powitaniu goryczy.

- No, chodźcie - łagodnie nalegała Edwina, gdy dzieci zatrzymały się w ogrodzie, jakby ociągały się z wejściem do środka.

Chociaż Ben usiłował bawić ich rozmową, aby rozładować atmosferę, nikt nie kwapił się do wymiany słów. Weszli do domu i stanęli rozglądając się dookoła, jak gdyby się znaleźli w całkiem obcym miejscu. Edwina zdała sobie sprawę, że nasłuchuje dźwięków, które już nigdy tu nie zabrzmiały: szelestu matczynej spódnicy, brzęku jej bransoletek, głosu ojca, skrzypienia schodów gdy wchodził na górę... Wokół panowała jednak przejmująca cisza. Alexis także zdawała się nastawiać ucha. Chciała usłyszeć chociaż szmer, lecz żaden dźwięk nie rozproszył ciszy.

Narastające napięcie stawało się nie do zniesienia. Edwina pomyślała, że dzieci zachowują się, jakby na coś czekały. Niespodzianie Teddy pociągnął ją za rękaw.

- Mama? - zapytał, jakby był pewien, że musi istnieć jakieś szczęśliwe zakończenie pasma udręek. Choć widział matkę po raz ostatni na statku, w swojej dwuletniej główce

uznał, że jej osoba jest nierozzerwalnie związana z tym miejscem.

- Nie ma jej tu, Teddy. - Edwina uklękła obok niego, aby mu to wytłumaczyć.

- Pa, pa? - pomachał rączką.

- Tak, właśnie tak - przytaknęła i zdjęła kapelusz, odkładając go na stojący w holu stół. Z odkrytą głową znów wyglądała młodo. Po chwili wstała, nie potrafiąc wyjaśnić dziecku nic więcej. Trzymała go za rączkę i bezradnie patrzyła na pozostałych.

- Niełatwo nam będzie, prawda? - głos jej się załamał.

Starsi chłopcy skinęli potakująco głowami, Alexis zaś powoli ruszyła w górę schodów. Edwina wiedziała, dokąd mała idzie, i nie podobało jej się to. Choć może to i dobrze, że idzie do pokoju matki, pomyślała. Może nadeszła już chwila, by zrozumiała nieodwracalność rozstrzygnięć losu?

Filip popatrzył pytająco na Edwinę, która potrząsnęła głową.

- Niech idzie... Nic jej nie będzie...

Pomimo przygnębienia dzieci czuły się w domu bezpieczne. Ben wniósł ich nieliczne bagaże, zjawiła się pani Parnes, długoletnia gospodyni Winfieldów. Spoglądając na dzieci ze smutkiem, nerwowo wycierała ręce w wykrochmalony fartuch, wreszcie wybuchnęła płaczem i przytuliła sieroty. Ta miła kobieta bardzo lubiła Kate. Wtedy dopiero Edwina w pełni pojęła, że nie będzie jej łatwo przeżyć najbliższe dni. Mnóstwo ludzi przyjdzie złożyć jej wyrazy współczucia, będą zadawać bolesne pytania, prosić, by opowiadała o strasznych chwilach, o których chciałyby zapomnieć. Sama myśl o tym była wyczerpująca.

Po półgodzinie Ben się pożegnał. Kiedy odprowadzała go do drzwi, poprosił, by dała mu znać, jak będzie gotowa do rozmowy o interesach.

- Jak prędko trzeba będzie się wszystkim zająć? - spytała zaniepokojona.

- Jak tylko będziesz gotowa.

Mówił cicho, by nie wystraszyć dzieci, ale rozeszły się już po domu. George porządkował swój pokój na górze, Filip przeglądał książki i korespondencję, Fannie poszła z panią Barnes do kuchni po ciasteczka, za nimi pobiegł Teddy na swoich tłustych nóżkach. Mały co rusz oglądał się za siebie, jakby się spodziewał, że lada chwila zjawią się mama i tata.

- Musisz podjąć wiele decyzji - kontynuował Ben.

- Co do czego? - drażyla, ponieważ wolałaby od razu wyjaśnić wszystkie sprawy. Rozmyślenia o przyszłości dręczyły ją od tygodnia. Co będzie, jeżeli nie mają dość pieniędzy na utrzymanie? Zawsze jej się wydawało, że są bogaci, ale jeżeli tak nie jest?

- Trzeba postanowić, co będzie z gazetą, z domem, z różnymi inwestycjami waszego ojca... Musisz wiedzieć, że zdaniem twojego wuja powinnaś sprzedać wszystko i przenieść się do Anglii, ale o tym możemy porozmawiać innym razem.

Nie chciał Edwina zdenerwować, lecz gdy słuchała jego słów, twarz jej poczerwieniała, a oczy rozblęły gniewem.

- A co wuj ma do tego? Czy jest moim opiekunem? - Wyglądała na przerażoną, bo dotąd nie brała pod uwagę takiej możliwości.

- Zgodnie z wolą twojej matki jesteś pod opieką ciotki, ale tylko dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat - uspokoił ją Ben.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą - to już za trzy tygodnie. Tyle mogę poczekać.

Ben uśmiechnął się. Uważał, że jest mądrą dziewczyną i poradzi sobie, żałował tylko, że musi brać na siebie obowiązki nad siły.

- Czy będę musiała sprzedać gazetę? - zaniepokoiła się, Ben jednak potrząsnął głową.

- Jeśli zechcesz, ale nie ma gwałtu, bo jest w rękach doświadczonych pracowników i będzie przynosić dochód. Jeżeli jednak Filip nie zainteresuje się gazetą w ciągu najbliższych kilku lat, będziesz musiała ją sprzedać. Chyba że sama chcesz spróbować...

Obydwoje roześmiali się z nedorzecznego pomysłu. Redagowanie gazety było ostatnią rzeczą, którą Edwina chciałyby robić.

- Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu, Ben, ale mogę ci od razu powiedzieć, że nigdzie nie pojedę i niczego nie sprzedam. Chcę utrzymać majątek w tym stanie, w jakim jest... Dla dzieci.

- To wielka odpowiedzialność.

- Możliwe, ale nie zamierzam niczego zmieniać. Będzie tak, jak za życia rodziców.

Na twarzy miała powagę, gdy odprowadzała go do drzwi, a Ben wiedział, że Edwina nie rzuca słów na wiatr. Podziwem napawało go, że chce sama podołać tylu obowiązkom, zastanawiał się jednak, czy jej się to uda. Wychowanie pięciorga dzieci było niemałym zadaniem dla dwudziestoletniej panny, tyle że Edwina odziedziczyła umysł ojca i gorące

serce matki, posiadała dość woli i odwagi, by stawić czoło wszelkim przeciwnościom, choćby wymagało to ogromnego wysiłku. Może miała więc rację? Może jej się uda?

Kiedy Ben wyszedł, Edwina zamknęła za nim drzwi i rozejrzała się wokół. Dom wyglądał, jakby od dawna był opuszczony. W wazonach zabrakło kwiatów rozsiewających miłe wonie, gwar szczęśliwych głosów nie rozbrzmiewał po całym mieszkaniu, a kurz pokrywający sprzęty najdobitniej dowodził braku pani domu. Edwina pojęła, jak wiele ma do zrobienia. Przedtem jednak musiała sprawdzić, co porabiają dzieci. Dochodziły do niej głosy dwójki najmłodszych, które bawiły się w kuchni z panią Barnes, a dobiegające z piętra dźwięki kłótni Filipa z George'em o raketę tenisową, którą ten drugi najwyraźniej złamał, pozwoliły jej ustalić, gdzie są bracia. Natomiast w pokoju Alexis nie zastała nikogo i łatwo było odgadnąć dlaczego. Edwina przeszła przez własny pokój i powoli wspięła się po schodach na piętro, do słonecznych apartamentów rodziców.

Jakże bolesna była to droga! Z każdym pokonywanym stopniem bardziej dojmująca stawała się myśl, że ich tam nie zastanie. Na piętrze było gorąco i duszno, jakby od miesięcy nikt tu nie wietrzył, lecz pokoje zalewały promienie słońca, a za oknem rozstaczał się piękny widok na East Bay.

- Alexis? - zawołała cicho. Wiedziała, że mała tu jest, czuła jej obecność. - Kochanie, gdzie jesteś?... Zejdź na dół... Brakuje nam ciebie.

Dziewczynka najdotkliwiej z całego rodzeństwa przeżywała śmierć matki i Edwina była pewna, że ją tu znajdzie. Z ciężkim sercem weszła do garderoby Kate. Jej ściany były pokryte piękną tapetą z różowej satyny, na półkach stały flakoniki perfum, leżały kapelusze, a w szafach znajdowały się ustawione w największym porządku buty... Buty, których już nikt nigdy nie włoży. Edwina starała się nie patrzeć na nie; do oczu napłynęły jej łzy. Nie chciała tu przychodzić, ale przecież musiała, choćby po to, by odnaleźć Alexis.

- Lexie?... Chodź, kochanie... wróc ze mną na dół... - Dokoła panowała cisza i tylko radosne promienie słońca tańczyły po ścianach, a powietrze przepojone było zapachem perfum matki. - Alexis... - słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła dziewczynkę schowaną w szafie, trzymającą w objęciach ukochaną lalkę. Mała płakała cicho i wtulona w matczyne spódnice, wdychała woń jej perfum. Wyglądała jak opuszczona przez wszystkich sierotka.

Edwina podeszła do niej powoli, uklękła i ujęła w dłonie buzię siostrzyczki. Gdy

całowała jej policzki, ich łzy płynęły jednym strumieniem.

- Kocham cię, malutka... tak bardzo cię kocham... Może inaczej niż ona, ale jestem tu dla ciebie, Alexis... uwierz mi.

Trudno jej było mówić tutaj, pośród zapachu ubrań matki, gdzie każde wspomnienie raniło serce. Przebywanie tu przerastało siły Edwiny. Po drugiej stronie przedpokoju dostrzegła ubrania ojca wiszące w jego garderobie. Zrozumiała, że obydwie są tu intruzami, że pomieszczenia te nadal należą do rodziców.

- Chcę do mamy - płakała Alexis, tuląc się do Edwiny.

- Ja też - zawtórowała jej szlochem Edwina. Uklękła obok siostry i pocałowała ją. - Ona odeszła, kochanie... odeszła... a ja jestem tutaj... i przyrzekam, że nigdy cię nie zostawię...

- Ona mnie zostawiła... odeszła...

- Nie chciała tego... musiała... - pocieszała ją Edwina, choć w to akurat nie mogła uwierzyć. Od wielu dni, odkąd opuścili pokład "Titanica" bez Kate, walczyła z tą myślą. Dlaczego matka nie wsiadła do łodzi ratunkowej razem z Edwiną i dziećmi? Albo później, gdy sądziła, że Alexis jest bezpieczna z rodzeństwem w szalupie? Były przecież i inne łodzie, opuszczone na wodę później. Mogła się była uratować w którejś z nich. Nie uczyniła tego, pozostała na pokładzie z mężem. Jak mogła im to zrobić?... Jak mogła to zrobić Alexis, Teddy'emu, Fannie, chłopcom... I gdzieś w głębi duszy Edwina miała o to żal do matki, choć nie mogła powiedzieć tego Alexis. - Nie wiem, Lexie, dlaczego tak się stało, ale mama nie wróci i teraz musimy zaopiekować się sobą nawzajem. Wszyscy za nią tęsknimy, trzeba jednak żyć dalej... Tego by sobie życzyła.

Alexis wahała się przez dłuższą chwilę, w końcu pozwoliła, by siostra pomogła jej wstać i wyjść z matczynej szafy, choć wciąż jeszcze nie wyglądała na zupełnie przekonaną.

- Nie chcę iść na dół... - Alexis uchyliła się przed ręką Edwiny, gdy ta chciała wyprowadzić ją z pokoju. Rozejrzała się jakby w obawie, że nigdy więcej nie zobaczy tego pomieszczenia, nie dotknie matczynych sukien, nie poczuje delikatnego zapachu jej perfum.

- Nie możemy tu dłużej zostać, Lexie... To tylko nas zasmuca. Tak samo jak ty wiem, że ona tu jest, ale jest też w naszych sercach. Zawsze noszę ją w sercu i ty także zawsze ją będziesz pamiętać.

Edwina jednak delikatnie wzięła ją na ręce i zaniósła do swojego pokoju, gdzie dziecko trochę się uspokoiło.

Nareszcie poczuli, że są w domu. Za sobą mieli chwilę, której obawiali się najbardziej -ostatecznego pogodzenia się z tym, że matka i ojciec odeszli na zawsze. Wspomnienia wszakże wciąż żyły, jak kwiaty w ogrodzie Kate. Tej nocy, nic nikomu nie mówiąc, Edwina postawiła flakonik perfum matki na nocnym stoliku Alexis. I odtąd stroje Pani Thomas, lalki Alexis, były zawsze przesiąknięte tym delikatnym tchnieniem matki, zamglonym wspomnieniem kobiety, którą kochali i która wybrała śmierć u boku męża.

Rozdział dziesiąty

- Nie interesuje mnie to, nie sprzedam gazety - powiedziała stanowczo Edwina i z irytacją spojrzała na Bena.

- Twój wuj jest zdania, że powinnaś. Wczoraj dostałem od niego długi list. Lord Hickham uważa, że jeżeli nikt z rodziny nie poprowadzi wydawnictwa, to nieuchronnie dojdzie do bankructwa, i że miejsce twoje i reszty dzieci jest w Anglii. Przemysł chociaż tę propozycję - rzekł Ben. Wprawdzie zrobił przeproszącą minę, lecz najwyraźniej wyglądał na przekonanego listem wuja Ruperta.

- Bzdura. Z czasem znajdzie się ktoś do prowadzenia gazety. Choćby Filip za pięć lat.

Ben westchnął. Wiedział, czego chce Edwina, i rozumiał ją, obawiał się jednak, że wuj ma raczej słuszość. Przecież dwudziestojednoletni chłopiec nie da sobie rady z kierowaniem gazetą, pomyślał. A w tym właśnie wieku będzie Filip za pięć lat. Ben nie był nawet pewien, czy dwudziestojednoletnia dziewczyna powinna brać na swoje barki odpowiedzialność za pięcioro dzieci. Ten ciężar mógł się okazać za duży dla niedoświadczonej panny i może istotnie lepiej by było, gdyby szóstka Winfieldów przeniosła się za ocean.

- Przecież teraz wydawnictwo prowadzą ludzie, którzy się na tym świetnie znają. Sam to powiedziałaś - upierała się Edwina. - A pewnego dnia Filip pokieruje gazetą.

- A jeżeli nie pokieruje, to co?

Pytanie wydało jej się przedwczesne.

- Wtedy zacznę się martwić. Na razie mam inne sprawy na głowie. Muszę myśleć przede wszystkim o dzieciach i nie zamierzam teraz kłopotać się odległą przyszłością.

Chodziła zmęczona, ciągle nie w humorze, tylu bowiem rzeczy naraz trzeba się było nauczyć! Rodzice posiadali papiery wartościowe, mieli też kawałek ziemi w południowej Kalifornii. Zdecydowała, że sprzeda to wszystko, a zatrzyma tylko dom. Teraz jeszcze ta gazeta! Jakby mało było komplikacji z rozstrzygnięciem spraw majątkowych, do tego dochodziły kłopoty z dziećmi, przytłoczonymi nadmiarem przeżyć. George nie najlepiej radził sobie w szkole, ciągle też kłócili się z Filipem, który obawiał się, że nie zda egzaminów, wieczorami zatem Edwina pomagała mu w nauce, musiała też znosić

popłakiwanie najmłodszych. Ją dopadała słabość o północy. I bez ustanku dręczyły ją koszmary. Zdawało jej się, że żyje na karuzeli, z której nie może zsiąść, lecz jeździ wciąż w koło i w koło: troszczenie się o rodzeństwo, uczenie roli głowy rodziny, podejmowanie decyzji... Trudno się więc dziwić, że dla siebie nigdy nie miała czasu, nie mogła uciec w marzenia. A w sercu nie czuła nic poza bolesną, nie odstępującą jej tęsknotą za Charlesem. Nie miała nikogo na świecie, przed kim mogłaby się otworzyć, i była przekonana, że na zawsze pozostanie samotna.

- Edwino, czy nie byłoby ci łatwiej, gdybyście pojechali do Anglii i na czas jakiś zamieszkali u Hickhamów? - spytał Ben któregoś dnia. - Oni chcą ci pomóc.

Samo przypuszczenie, że nie daje sobie rady, wydało jej się obraźliwe.

- Nie potrzebuję pomocy, radzimy sobie wyśmienicie - odrzekła sucho.

- Wiem, że tak jest - powiedział przepraszająco - ale to niesprawiedliwe, żebyś musiała sama się borykać ze wszystkimi kłopotami. Wujostwo naprawdę chcą ci pomóc.

Z punktu widzenia Edwiny jednak wyglądało to inaczej.

- Wcale nie chcą mi pomóc. Chcą nam wszystko zabrać. - Gdy wypowiedziała te słowa, oczy napęłniły jej się łzami. - Dom, przyjaciół, dzieciom szkołę, nasz sposób życia. Czy tego nie rozumiesz? - Popatrzyła na niego z wyrzutem. - Chcą zabrać wszystko, co nam pozostało.

- To nieprawda - sprzeciwił się i nagle zapragnął serdecznie ją przytulić. - Macie przecież siebie.

Tego dnia nie wspomniał więcej o Hickhamach. Później razem przejrzeni dokumenty dotyczące majątku Winfieldów. Edwina wyboru dokonała raz na zawsze: zrobi, co do niej należy, choćby wbrew opinii krewnych. Zamierzała walczyć o gazetę dla braci i dom dla całej rodziny.

- Ben, czy będę w stanie zatrzymać dom i gazetę? - Teraz to było najważniejsze. Musiała zadawać pytania, które przedtem nie przyszłyby jej do głowy. Na szczęście Ben niczego przed nią nie ukrywał.

- Tak, stać cię na to. Nie ma pośpiechu, na razie nie musisz nic zmieniać. W ostatecznym rozrachunku może się to obrócić przeciw wam, ale teraz gazeta przynosi całkiem przyzwoity dochód, a utrzymanie domu nie przedstawia żadnego problemu.

- A więc zatrzymam jedno i drugie - ucieszyła się. - Co jeszcze zostało?

Chwilami była nadspodziewanie praktyczna i aż szokująco zaradna. Może słusznie robiła, zostawiając najistotniejsze sprawy w takim stanie, jakby w rodzinie nic się nie zmieniło? Tymczasem był to niewątpliwie najwspanialszy dar, jaki mogła ofiarować rodzeństwu.

Ostatecznie zdołała przekonać wuja Ruperta, który odetchnął z ulgą. Tylko na błagania żony zapraszał dzieci do Anglii, spełniając swój obowiązek. Edwina w kolejnym telegramie wyraziła mu wdzięczność i wytłumaczyła, że po tym, co się stało, ona i dzieci muszą odzyskać spokój w otoczeniu, które jest im znajome i bliskie. I chociaż kochają jego i ciocię Liz, obecnie nie mogą opuścić Kalifornii. Odpowiedział jej, że jeżeli zmienią zdanie, zawsze będą w Anglii mile widziani. Od ciotki Liz zaczęły nadchodzić niezliczone listy, w których obiecywała przyjechać do Kalifornii, jak tylko będzie mogła zostawić wuja Ruperta. Jej listy przygnębiały Edwinę, lecz kryła się z tym przed rodzeństwem.

- Nie jedziemy - powiedziała do Bena. - Podjęłam ostateczną decyzję. - Siedziała za biurkiem w firmie adwokackiej, w której był współnikiem, i spoglądała nań z powagą. - Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek odważę się wsiąść na statek. Nie sądzę. Nie wyobrażasz sobie, jak tam było... - dodała cicho.

Wciąż męczyły ją nocne koszmary, w których widziała sterczącą ku czarnemu niebu rufę statku i ociekającą wodą, już bezużyteczną śrubę okrętową. Wiedziała, że jej rodzeństwo miewa podobne sny. Za nic w świecie nie pozwoliłaby, by musieli przechodzić przez te udręki raz jeszcze, choćby Rupert Hickham nie wiedzieć jak się upierał przy ich przyjeździe do Anglii jako najlepszym dla nich wyjściu.

- Rozumiem cię - szepnął Ben. Pomyślał, że jest nad podziw odważna i zaskakująco samodzielna. Ku jego zdumieniu najwyraźniej udawało się jej realizować swe plany.

Czasami się zastanawiał, jak Edwina sobie poradzi. Podziwiał jej dbałość o dzieci i zdecydowanie, z jakim walczyła o zachowanie rodziny w całości. Inna panna na jej miejscu spędzałaby dni zamknięta w swoim pokoju, oplakując narzeczonego, którego utraciła. Ale nie Edwina. Ona bez słowa skargi poświęciła się rodzinie. Tylko w jej oczach można było dostrzec smutek i spojrzenie to wciąż jednakowo wzruszało Bena.

- Przykro mi, że przypominam o sprawach, o których chcesz zapomnieć, ale otrzymałem list z linii White Star. Chcą wiedzieć, czy będziesz się domagać odszkodowania za śmierć rodziców, i należy im odpowiedzieć. Chociaż rodziców ci to nie

wróci, uważam, że powinnaś wystąpić o odszkodowanie, bo teraz, gdy zabrakło twojego ojca, ty będziesz musiała ponosić koszty utrzymania rodziny i domu. Poruszanie tej sprawy jest dla mnie bolesne, ale muszę znać twoje zdanie. Zrobimy tak, jak postanowisz, Edwino... - głos mu się załamał, gdy spojrzał jej w oczy. Była piękną panną, a on z każdym dniem przywiązywał się do niej coraz mocniej. W bardzo krótkim czasie musiała dojrzeć, los bowiem bezwzględnie i okrutnie zatrzęsnał drzwi jej dzieciństwa, i przeobraziła się w piękną młodą kobietę.

- Nie zamierzam nikogo skarżyć-powiedziała cicho. Odwróciła się i powoli podeszła do okna. Żadne odszkodowanie nie mogło im wynagrodzić poniesionej straty. Jakiej zapłaty miałyby się domagać za to, że mogli utracić Alexis i Teddy'ego, który omal nie umarł z zimna? Pomyślała o Fannie i jej dwóch przemrożonych paluszkach. I o rodzicach, o Charlesie... I o tych wszystkich koszmarach, lękach, żalu... O welonie ślubnym, którego nigdy nie włoży, o rękawiczkach, które schowała w skórzanym pudełku w swojej komodzie. Jakiej rekompensaty mogła żądać za to, że nie znosi widoku zatoki, którą przedtem kochała, że czuje się chora od samego patrzenia na statek?... Jakżeby można to oszacować? Ile za matkę?... Ile za ojca?... A za narzeczonego?... Za zmarnowane życie?... Jaką cenę wyznaczono za jedno ludzkie istnienie? - Nie ma takiej sumy, która mogłaby nam wyrównać poniesione straty.

Ben ze smutkiem kiwał głową.

- Zdaje się, że inni pasażerowie są podobnego zdania. Astorowie, Widenerowie, Strausowie... Nikt nie występuje o odszkodowanie. Niektórzy domagają się tylko rekompensaty za utracony bagaż. Mogę zgłosić roszczenie w twoim imieniu, jeżeli chcesz. Musisz tylko wnieść skargę.

Jednakże Edwina pokręciła przecząco głową. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda im się wyrzucić z pamięci tamte straszne chwile, czy nadejdzie taki dzień, kiedy się od nich uwolnią, i czy choćby na krótko wróci to życie, jakie wiedli przed "Titanikiem".

- Kiedy to się skończy, Ben? - zapytała ze smutkiem. - Kiedy przestaniemy o tym myśleć całymi dniami i nocami udając, że tak nie jest? Kiedy Alexis przestanie wykradać się na piętro, żeby dotknąć futer mamy i jej nocnych koszul? Kiedy Filip straci wygląd człowieka, który dźwiga na ramionach troski całego świata, kiedy mały Teddy przestanie szukać mamy?... - Po policzkach spływały jej łzy; Ben obszedł biurko i położył dłonie na

jej ramionach. Popatrzyła nań jak na ojca, którego przecież utraciła, i skryła twarz na jego piersi. - Kiedy przestanę widzieć ich twarze za każdym razem, gdy zamykam oczy? Kiedy przestanę marzyć, że Charles przyjedzie do mnie z Anglii?... O Boże...

Ben objął Edwinę. Bardzo by chciał odpowiedzieć na jej pytania, niestety, było to niemożliwe.

Po chwili Edwina odsunęła się od niego i wytarła nos w chusteczkę, która należała kiedyś do jej matki.

- Musi upłynąć trochę czasu, Edwino. Nie minęły przecież nawet dwa miesiące.

Westchnęła i skinęła głową.

- Wybacz, że tak się rozkleiłam.

Uśmiechnęła się smutno, wstała, pocałowała go w policzek i z roztargnieniem poprawiła kapelusz. Było to sztywne nakrycie głowy, które matka kupiła sobie podczas pobytu w Paryżu. Ben odprowadził Edwinę do powozu, a gdy odwróciła się, by mu pomachać ręką na pożegnanie, uświadomił sobie, jaką wspaniałą stała się dziewczyną. Nie dziewczyną, poprawił się zaraz w duchu, lecz kobietą, bardzo interesującą młodą kobietą.

Rozdział jedenasty

Letnie dni upływały im leniwie na codziennych zajęciach i przyjemnościach. W lipcu, jak co roku za życia rodziców, Edwina pojechała z rodzeństwem nad jezioro Tahoe do obozowiska, które wynajmowali od przyjaciół ojca. Tam zawsze spędzali część lata, a Edwina starała się, by w miarę możliwości nic w ich życiu nie uległo zmianie. Mieszkali w kilku pozbawionych komfortu, lecz uroczych chatkach. Chłopcy łowili ryby i jeździli na rowerach, Edwina chlapała się w jeziorze z Teddym i dziewczynkami. Zaznawali tam prawdziwego wytchnienia i widać było wyraźnie, że dzieci zaczynają nareszcie dochodzić do siebie. Wypoczynek był im wszystkim bardzo potrzebny. Edwinę również przestały w końcu nękać sny o owej strasznej kwietniowej nocy. Gdy leżała w łóżku myśląc o tym, co robili przez cały dzień, od czasu do czasu pozwalala sobie powspominać poprzednie wakacje, które spędziła tu z Charlesem. Wtedy myśli jej wracały do niego, a wspomnienia były słodkie i bolesne.

Poprzedni pobyt nad jeziorem wyglądał inaczej. Ojciec zabierał chłopców na wycieczki, a ona z matką odbywały długie spacery brzegiem jeziora, zbierając po drodze bukiety polnych kwiatów. Rozmawiały o życiu, mężczyznach, zakładaniu rodziny i wychowywaniu dzieci i wtedy po raz pierwszy opowiedziała matce o swej wielkiej miłości do Charlesa. Nie było to wprawdzie dla nikogo tajemnicą i George kpił z niej bezlitośnie, lecz Edwina nie dbała o to. Chciała, by o jej uczuciu wiedział cały świat. Jakże była zachwycona, gdy Charles przyjechał do nich z San Francisco! Przywiózł słodczyce dla dziewczynek, nową hulajnogę dla George'a i stos pięknie oprawionych książek dla Filipa. Dzieci bardzo ucieszyły się z prezentów. Później Edwina poszła z Charlesem na długi spacer po lesie.

Czasami, gdy wspominała te chwile, trudno jej było powstrzymać łzy; zmuszała się więc, by myśleć o teraźniejszości. Dla niej letni wyjazd z rodzeństwem był przede wszystkim wyzwaniem. Starala się zastępować im matkę, a jakże mała czuła się w jej cieniu! Uczyła Alexis pływać, czuwała nad Fannie, która bawiła się lalkami na brzegu jeziora, strzegła Teddy'ego nie odstępującego jej ani na krok, z Filipem godzinami rozmawiała o Harvardzie. Musiała być teraz dla dzieci matką, ojcem, przyjacielem, autorytetem, nauczycielem i doradcą.

Po tygodniu niespodziewanie odwiedził ich Ben, jak dawniej przywożąc wszystkim prezenty - dla Edwiny kilka nowych książek. Wniósł atmosferę radości i ożywienia. Młodsze dzieci traktowały go jak ulubionego wuja, ucieszyły się zatem z jego wizyty. Alexis roześmiała się radośnie biegnąc go powitać. Jej jasne loki rozwiewały się na wietrze. Była boso, bo właśnie razem z Edwiną wyszły z wody. Wyglądała jak rozbawiony żrebaczek, podczas gdy Teddy w ramionach starszej siostry przypominał niezgrabnego misia. Na ten widok Ben nieomal rozplakał się ze wzruszenia. Uzmysłowił sobie, jak bardzo jego przyjaciel musiał kochać swoją czeredkę, i zrozumiał, jak wiele znaczy dlań rodzina Berta. Na chwilę oładnęła nim gorycz po stracie przyjaciela, szybko się jednak rozchmurzył.

- Świetnie wyglądacie - powiedział. Uśmiechnął się, gdy Edwina postawiła na ziemi Teddy'ego, który pobiegł radośnie za Alexis.

Edwina odsunęła z czoła lok ciemnych błyszczących włosów i z pogodnym wyrazem twarzy powiedziała wesoło:

- Dzieci świetnie się tu bawią.

- Na ciebie Tahoe też dobrze działa. - Ben z zadowoleniem patrzył na jej beztroską, ożywioną twarz, ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, dzieci opadły go jak osy.

Bawił się z nimi przez całe popołudnie, a wieczorem zamyślony siedział z Edwiną na werandzie w blasku zachodzącego słońca.

- Cudownie jest być tu znowu - pierwsza przerwała milczenie Edwina. Nie powiedziała, że to miejsce przypomina jej rodziców, lecz obydwójce o tym pomyśleli.

Edwina wiedziała, że z Benem może rozmawiać o tym, z czego nie zwierzyłaby się nikomu innemu. Był przecież najbliższym przyjacielem jej rodziców. Dziwnie się czuła odwiedzając miejsca, gdzie zawsze jeździła z nimi. Jakby się spodziewała, że ich tu spotka. Wrażenie to zniknęło, gdy z rodzeństwem spenetrowali ulubione zakątki rodziców i po raz kolejny musieli się pogodzić z okrutną prawdą, że matka i ojciec odeszli od nich bezpowrotnie. Odszedł też Charles. Jakże ciężko jej było uwierzyć, że już nigdy nie przyjedzie do niej z Anglii!

Cóż, i ona, i dzieci musieli żyć dalej, na okrasę mając tylko wspomnienia. Edwina zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od katastrofy potrafili bawić się i odpoczywać. I gdy tak siedziała u podnóża gór w zapadającym zmierzchu, niespodziewanie dla siebie samej

zaczęła rozmawiać z Benem o rodzicach. Wybuchnęła śmiechem, a Ben jej zawtórował, gdy wspominali dawne przygody, na przykład tę, gdy Bert wystraszył Kate i Edwinę, zakradłszy się do chatki odziany w wielką niedźwiedzią skórę.

Wspominali wyprawy na ryby nad ukryty pośród gór strumień i dni spędzone na jeziorze w wypożyczonej łódce. Wspominali przeróżne psoty i razem spędzone chwile. I po raz pierwszy od wielu tygodni wspomnienia te nie były dla Edwiny bolesne, lecz przynosiły ulgę. Razem z Benem potrafiła się śmiać, kiedy rozmawiali o przeszłości, a późną nocą, gdy wciąż chichotali nie mogąc się rozstać, zrozumiała, jak potrzebna jej była taka pogawędka. Postanowiła, że koniecznie musi tak czasami gwarzyć z dziećmi. Dzięki tym wspomnieniom rodzice schodzili z piedestału, na który wyniosła ich tragiczna śmierć, stawali się na powrót bliskimi ludźmi.

- Świetnie sobie radzisz - pochwalił ją Ben.

Ucieszyły ją jego słowa, bo nie zawsze miała co do tego pewność.

- Staram się, jak mogę - westchnęła. Dzieci nie całkiem się otrząsnęły z przeżyć: Alexis nadal była wystraszona, a George przygaszony. Dwójka najmłodszych ciągle miewała koszmary. - To nie zawsze jest łatwe - dorzuciła.

- Wychowywanie dzieci nigdy nie jest łatwe - pocieszył ją Ben, po czym dodał to, co od dawna chciał jej powiedzieć: - Powinnaś więcej się obracać między ludźmi. Twój rodzice byli bardzo towarzyscy. Zajmowali się nie tylko wychowywaniem was. Podróżowali, odwiedzali przyjaciół, twoja matka interesowała się mnóstwem spraw, ojciec wiele czasu poświęcał wydawnictwu.

- Uważasz, że powinnam podjąć jakąś pracę? - droczyła się Edwina.

Patrząc na nią uważnie, Ben przecząco pokręcił głową.

- Nie, chciałem tylko powiedzieć, że powinnaś częściej wychodzić z domu i odwiedzać znajomych. - W okresie narzeczeństwa wciąż gdzieś z Charlesem bywali. Ben, który często gościł wtedy u nich na kolacji, uwielbiał patrzeć, jak wystrojona w piękne suknie, z oczami roziskrzonymi szczęściem, szła przytulona do Charlesa. Do takiego życia była stworzona, a nie do roli mniszki czy owdowiałej matki. Miała przed sobą całe życie, niewątpliwie inne niż dawniej, ale przecież nie złożone z pasma udręk i na pewno nie zakończone. - Gdzie się podziały te wspaniałe przyjęcia, na które... chodziłaś? - zawahał się, bo na krótką chwilę poczuł lęk przed wymówieniem na głos imienia Charlesa. Nie

chciał sprawiać jej bólu.

- Nie pora na to - odparła Edwina ze spuszczonej oczami.

Za wcześnie było na bale, które przypominałyby jej Charlesa, czyniąc jego nieobecność trudniejszą do zniesienia. Nie sądziła, by miała kiedykolwiek prowadzić życie towarzyskie, zresztą wcale jej to nie nęciło. Nadal ubierała się wyłącznie na czarno i ani na chwilę nie rozstawała się z dziećmi. Przypomniała Benowi, że wciąż nosi żałobę po rodzicach.

- Edwino - stanowczo rzekł Ben - musisz naprawdę częściej bywać z ludźmi.

- Może kiedyś... - odparła bez przekonania, mimo to Ben liczył, że wkrótce zmieni zdanie. Miała dwadzieścia jeden lat, a prowadziła życie starej kobiety. Jej ostatnich urodzin właściwie nie uczczono, a zostały zauważone tylko dlatego, że osiągnęła pełnoletniość i mogła sama podpisywać dokumenty.

Tej nocy Ben spał w chatce z chłopcami, ciesząc się ich towarzystwem. O piątej rano zabrał ich na ryby, a gdy wrócili triumfujący i pachnący wodorostami, Edwina przygotowywała właśnie śniadanie. Parę dni wcześniej zatrudniła Sheilę, irlandzką służącą, bardzo miłą dziewczynę, nie zdążyli jednak do niej jeszcze przywyknąć. Wciąż brakowało im Oony. Sheila wkradła się w łaski wędkarzy czyszcząc ryby, które złowili, Edwina zaś sarkając przyrządziła je na śniadanie. Chłopcy wzbudzili ogólne zdziwienie, wracając z takim łupem, nie musieli się więc choć raz tłumaczyć, czemu wracają z pustymi rękami.

Szybko minęło kilka szczęśliwych dni w towarzystwie Bena. Młodzi Winfieldowie ogromnie żalowali, że musi ich opuścić i wracać do miasta. Kiedy żegnali się po obiedzie, Edwina przypomniała sobie, że ostatni raz widziała braci przed południem. Powiedzieli, że idą na spacer, a potem będą pływać. Gdy rozmawiała z Benem, niespodziewanie zjawił się Filip.

- Wiesz, co zrobił ten podlec? - zawołał, z trudem łapiąc oddech. Był zły, zasapany i najwyraźniej bardzo wystraszony. Edwinie mocno zabiło serce. - Zabrał się i poszedł, jak ja się zdrzemnąłem nad strumieniem. A jak się obudziłem, na wodzie zobaczyłem jego buty, kapelusz i koszulę!... Kijem zgruntowałem cały strumień, nurkowałem do samego dna... - mówił, Edwina zaś zauważyła, że ręce ma podrapane i pokryte mułem, paznokcie połamane, a ubranie mokre i podarte. - Myślałem, że się utopił! - krzyczał chłopiec połykając łzy strachu i wściekłości. - Myślałem... - odwrócił się, by nie widzieli jego łez, i

całym jego ciałem wstrząsnął szloch. Rzucił się do George'a, który właśnie wszedł na polanę, wykręcił mu boleśnie ucho, chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął. - Żebyś nigdy więcej czegoś takiego nie robił!... Jak będziesz chciał ode mnie odejść, masz mi o tym powiedzieć! - krzyczał.

George z trudem hamował łzy, niemrawo oddając bratu kuksańce.

- Powiedziałbym ci, gdybyś nie spał. Ty zawsze albo śpisz, albo czytasz... Nawet nie umiesz łowić ryb! - wykrzykiwał, co mu ślina na język przyniosła.

- Pamiętasz, co tata powiedział w zeszłym roku? - wołał Filip. - Że nie wolno odchodzić bez opowiedzenia się komuś, rozumiesz?

Filip wyładowywał gniew i strach o brata i równocześnie bolesną świadomość, że stracili rodziców i mają teraz tylko siebie. George nie zamierzał się jednak poddać. Ze złością popatrzył na brata.

- Niczego nie muszę ci mówić! Nie jesteś moim ojcem!

- Teraz odpowiadasz przede mną!

Gniew Filipa potęgował, rosła też wściekłość George'a, aż rzucił się na brata, który zdążył uchylić się przed ciosem.

- Przed nikim za nic nie odpowiadam! - krzyczał George. Łzy strumieniem spływały mu po twarzy. - Nie jesteś moim tatą i nigdy nie będziesz. Nienawidzę cię!

Ben postanowił się w końcu wtrącić. Spokojnie podszedł do chłopców i rozdzielił ich. Edwina cicho płakała. Nie mogła patrzeć, jak jej bracia walczą ze sobą.

- No dobrze, panowie, wystarczy! - Ben odciągnął na bok rozsierzonego George'a.

Z Filipa wolno opadały emocje, wreszcie spojrzał gniewnym wzrokiem na Edwinę, po czym wszedł do chatki i zatrzaskał za sobą drzwi. Rzucił się na posłanie, szlochając na wspomnienie strachu, że George się utopił, i ze strasznej tęsknoty za ojcem.

Ten incydent dowiódł, że chłopcy są nerwowo wyczerpani, a pamięć o ojcu jest w nich wciąż żywa.

Ben pożegnał się z chłopcami, którzy w końcu ochłonęli, i jeszcze raz z Edwiną. Popołudniowe zdarzenie przypomniało mu to, o czym myślał od dawna: rodzina jest dla Edwiny zbyt wielkim ciężarem. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien był zmusić jej, by zamieszkała w Anglii z wujem i ciotką, zaraz jednak odpowiedział sobie, że byłaby tam nieszczęśliwa. Postąpiła, jak chciała - wybrała rodzinę i znajome miejsca i chociaż

czasami nie było jej łatwo, była szczęśliwa.

- Nic się nie stało - zapewniała Bena. - Filipowi dobrze zrobił taki wybuch, a George powinien zrozumieć, że nie może sobie na wszystko pozwalać. Przy następnej okazji pomyśli dwa razy, zanim odejdzie gdzieś bez słowa.

- A co będzie z tobą? - zapytał Ben. Jak długo mogła sama borykać się z kłopotami? Dwaj pełni energii chłopcy, prawie mężczyźni, i trójka małych dzieci. I znikąd pomocy. Musiał jednak przyznać, że nie narzekała.

- Ze mną? Przecież jestem zadowolona - rzekła ze spokojem w głosie i Ben jej uwierzył. - Kocham ich - dorzuciła.

- Ja również. Ale martwię się o ciebie. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, Edwino, wystarczy zagwizdać, a przybiegnę z pomocą - powiedział. Pocałowała go z wdzięcznością w policzek. Patrzył na nią, dopóki nie przestała machać doń ręką, po czym uruchomił silnik samochodu i odjechał.

Rozdział dwunasty

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, dzieci niechętnie opuszczały obozowisko nad jeziorem. Niestety, Edwina musiała wracać do San Francisco. Ostatnio, by okazać swoje zainteresowanie sprawami wydawnictwa, uczestniczyła razem z Benem w comiesięcznych zebraniach kierownictwa gazety, zwłaszcza że odkąd ukończyła 21 lat, musiała wyrażać zgodę na każdą inwestycję. Choć sprawy wydawnictwa nie były jej całkiem obce, nie czuła się pewnie w fotelu ojca, toteż na razie właściwie nie brała udziału w prowadzeniu gazety, a jeżeli chciała, by jej głos się liczył, musiała się sporo nauczyć. Nie miała ambicji sama kierować wydawnictwem, lecz zamierzała je utrzymać przez najbliższe kilka lat, dopóki Filip nie dorośnie. Benowi była wdzięczna za rady, których udzielał jej przy okazji tych spotkań.

Paczkę z Anglii dostała nazajutrz po sierpniowym zebraniu. Pracowała w ogrodzie wrywając chwasty, gdy listonosz przyniósł dużą przesyłkę. Edwina przypuszczała, że to pewnie prezent od ciotki Liz. Poprosiła panią Barnes, by zostawiła paczkę w holu, po chwili zaś weszła do domu z rękami zabrudzonymi ziemią, z włosami i suknią pełną żdźbeł trawy i liści. Na widok adresu nadawcy serce zabiło jej mocniej: na paczce nie widniało nazwisko Hickham, lecz Fitzgerald. Edwinie drżały ręce, gdy dotykała przesyłki. Nie знаła jej zawartości, ale na myśl, że lady Fitzgerald przysyła jej coś, co należało do Charlesa, zrobiło jej się słabo ze wzruszenia.

Gdy szła na górę, w domu panowała zupełna cisza. Chłopcy poszli na spotkanie z przyjaciółmi, a trójkę młodszych dzieci Sheila zabrała na nowo zainstalowaną karuzelę w Golden Gate Park. Nikt zatem nie mógł zakłócić jej samotności. Edwina ostrożnie rozpakowywała paczkę. Przesyłka odbyła długą drogę: najpierw przepłynęła ocean na pocztowym parowcu, potem miesiąc podróżowała pociągiem. Ważyła niewiele, jakby nic w środku nie było.

Gdy opadły ostatnie kawałki papieru, ukazało się białe pudełko i list na niebieskim papierze z wytłoczonymi w lewym górnym rogu inicjałami Fitzgeraldów. List zostawiła na później, bo umierała z ciekawości, co zawiera pudełko. Niecierpliwie rozwiązała wstążki, po czym uniosła wieczko i aż jej dech zaparło. W środku leżały zwoje białego tiulu, niezliczone jarde wykończonej białą koronką materii pięknie haftowanej i naszywanej

białymi perełkami. To był jej ślubny welon, który miała przywieźć lady Fitzgerald!

Uświadomiła sobie, że nazajutrz miał się odbyć jej ślub. Chciała o tym zapomnieć, lecz myśl powracała uporczywie. W drżących rękach trzymała ostatnią pamiątkę jej szczęścia - ślubny welon. Otoczona zwojami białego tiulu, czuła się tak, jakby przeżywała na nowo dawno zapomniany sen. Gdy nałożyła welon i spojrzała w lustro, ostre ukłucie w sercu przygięło ją ku podłodze, a z oczu popłynęły łzy. Był dokładnie taki, jak go kiedyś sobie wymarzyła, i zastanawiała się teraz, jak by wyglądała jej suknia. Pewno nie mniej pięknie, tego jednak nigdy się nie dowie, bo przecież materiał na nią poszedł na dno wraz z "Titanikiem".

W żałobnej sukience, spowita welonem, usiadła na łóżku. Po chwili zadumy otworzyła list od lady Fitzgerald.

"Najdroższa Edwino - zaczęła czytać i łzy napłynęły jej do oczu. Wydawało jej się, że słyszy głos matki Charlesa, wysokiej, o nader wytwornych manierach, bardzo angielskiej z wyglądu. Syn był do niej niezwykle podobny. - Często myślimy o Tobie z mężem i rozmawiamy - brzmiały dalsze słowa listu. - Wydaje się niepojęte, że opuściłaś Londyn zaledwie cztery miesiące temu, i trudno uwierzyć w to, co się wydarzyło. Posyłam Ci welon, choć pełna jestem obaw, czy aby Cię nie zasmuci, uważamy jednak, że powinnaś go mieć. Jest symbolem cudownych dni, które przeżyliście z Charlesem, i miłości, którą Cię darzył do ostatnich swoich chwil. Byłaś mu najdroższą na świecie istotą i wiem, że bylibyście razem bardzo szczęśliwi. Odłóż ten welon, Dziecko, i nie myśl o nim za wiele. Może tylko czasem popatrz nań i przypomnij sobie naszego drogiego Charlesa, który cię kochał nade wszystko. Mamy nadzieję, że jeszcze Cię kiedyś ujrzemy, tymczasem przesyłamy Tobie, Twoim Braciom i Siostróm wyrazy najgłębszej miłości. Pamiętamy o Was, zwłaszcza o Tobie, Edwino, i nigdy Was nie zapomnimy. Margaret Fitzgerald."

Ledwie widząc przez łzy, Edwina z trudem doczytała list do końca. Siedziała w ślubnym welonie, dopóki nie usłyszała trzasku zamykanych drzwi frontowych, a na schodach tupotu i głosów szukających jej dzieci, które wróciły z parku. Spędziła więc w pokoju całe popołudnie, w welonie na głowie, rozmyślając o Charlesie i o ich ślubie, do którego nie dopuścił zły los.

Ostrożnie zdjęła welon i ułożyła z powrotem w pudełku. Akurat je zamykała, gdy roześmiana Fannie wpadła do pokoju i rzuciła się w objęcia siostry. Nie zauważyła łez ani

śladów smutku, które pozostały na twarzy Edwiny. Była za mała, by zrozumieć, że coś się wydarzyło. Edwina odłożyła pudełko na półkę i przysłuchiwała się beztroskiemu szczebiotaniu Fannie, która opowiadała o karuzeli w parku, o pędzących na niej drewnianych konikach, o zdobiących ją miedzianych kołach i złotych gwiazdach, o dochodzącej zewsząd muzyce i o malowanych saneczkach dla tych, którzy nie chcieli siedzieć na koniu. Ale konie były najlepsze!

- Były też łódki! - opowiadała dalej dziewczynka, lecz wnet zmarszczyła czoło. - Ale my nie lubimy łódek, prawda, Teddy? - zwróciła się do brata, który właśnie wszedł do pokoju.

Chłopczyk pokręcił przecząco głową. Alexis, która wsunęła się za nim, popatrzyła na Edwinę uważnie, jakby zauważyła, że coś się wydarzyło, choć nie wiedziała co. Tylko Filip zorientował się w sytuacji i później, gdy dzieci poszły spać, a oni udawali się do swych pokoi na piętrze, zapytał ostrożnie Edwinę, co się stało.

- Czy to coś niedobrego? - Wciąż martwił się o nią, chciał jej i reszcie rodzeństwa zastąpić ojca. - Wszystko gra, Weenie?

Powoli skinęła głową. Kusiło ją, by opowiedzieć mu o welonie, lecz nie mogła wydobyć z siebie słów. Zastanawiała się, czy brat pamięta, dlaczego dzisiejszy dzień jest dla niej wyjątkowy.

- Nic się nie stało - uspokoiła go i po chwili dodała: - Dostałam list od lady Fitzgerald.

George był za młody, by zrozumieć, co to znaczy dla Edwiny, Filip jednak pojął od razu.

- Jak ona się miewa? - spytał.

- Myślę, że dobrze. - Popatrzyła na niego żałośnie. Czuła, że musi z kimś, choćby z siedemnastoletnim bratem, podzielić się swoim smutkiem. - Jutro miał... byłby... - słowa nie zdołały jej przejść przez gardło. Kiedy znaleźli się na piętrze, Filip łagodnie dotknął jej ramienia. Odwróciła ku niemu twarz zalaną łzami. - Nie mówmy o tym... przepraszam... - szepnęła.

- Och, Weenie! - jemu także do oczu napłynęły łzy. Mocno przytulił siostrę.

- Dlaczego tak się stało? - szepnęła mu do ucha. - Dlaczego?... Dlaczego nie było dość łodzi ratunkowych?

Jakże niewiele było trzeba, aby zmniejszyć rozmiary tragedii! Gdyby miejsc w szalupach wystarczyło dla wszystkich pasażerów, jakże inaczej potoczyłoby się ich życie! I tyle było innych niejasnych spraw... Choćby to, dlaczego na "Californianie" wyłączono radio i nikt nie słyszał rozpaczliwego wołania o pomoc, sygnałów, które odebrano na całym Atlantyku. "Californian" płynął na tyle blisko, że mógłby uratować wszystkich... Wiele nasuwało się pytań w związku z katastrofą, żadne jednak teraz nie miało już znaczenia.

W swój paniński wieczór Edwina płakała w ramionach brata, mocno tuląc się do niego.

Rozdział trzynasty

Jak było do przewidzenia, Boże Narodzenie okazało się dla nich, zwłaszcza dla starszego rodzeństwa, wyjątkowo trudnym okresem. Młodszym dzieciom Edwina zapelniała dni wspólnym pieczeniem ciasteczek i przygotowywaniem ozdób na choinkę, malcy więc nie zauważali, że tym razem święta przebiegają inaczej niż zwykle. Ben, który często ich odwiedzał, zabrał kiedyś chłopców na wystawę nowych samochodów, a potem wszyscy razem poszli popatrzeć na pięknie oświetloną choinkę przed hotelem Fairmont. Inni znajomi rodziców także nie zapomnieli o Winfieldach i zapraszali do siebie ich dzieci, lecz te dowody pamięci okazały się nad wyraz bolesne, gdyż przypominały im, że zostali osieroceni.

Alexis, zgaszona, żyła jakby w innym świecie. Edwina niestrudzenie starała się jej pomóc wrócić do równowagi. Zdarzało się, że odnajdywała małą w sypialni matki, nie czyniła jej wszakże wyrzutów. Siadała obok niej na różowej kanapie w garderobie albo na łóżku i w końcu dziewczynka dawała się namówić do zejścia na dół.

W pokojach rodziców Edwina czuła się teraz nieswojo, jakby zakłócała spokój miejsca, które stało się kaplicą ku czci Kate i Berta. Ich ubrania nadal wisiały w szafach, bo Edwina nie miała serca ich usunąć. Matczyne szczotki do włosów i ozdobna kasetka z przyborami kosmetycznymi leżały wciąż tam, gdzie Kate je zostawiła. Od czasu do czasu pani Barnes sprzątała te pomieszczenia, ale i ona nie lubiła tam przebywać. Twierdziła, że w pokojach państwa zbiera jej się na płacz. A Sheila wprost odmówiła wchodzenia do nich, nawet na krótką chwilę potrzebną do odszukania Alexis.

Edwina nigdy nie wspominała o tym, ale czasem sama chodziła do małżeńskich apartamentów na piętrze i wspominała minione lata. Nie mogła uwierzyć, że upłynęło zaledwie osiem miesięcy, odkąd rodzice odeszli. Niekiedy zdawało jej się, że minęło tylko kilka chwil, innym razem, że całe wieki. W Wigilię, gdy dzieci były już w łóżkach, długo rozmawiała o tym z Filipem.

Jakoś przeszły im w końcu przygotowania do pierwszego Bożego Narodzenia bez rodziców. Dla Edwiny był to okres wyczerpujących zajęć. Musiała dopilnować, by święta przebiegły gładko i bez zakłóceń, zgodnie z rodzinnym obyczajem, by malcy jak dawniej wywiesili pończoszki na prezenty, śpiewali kolędy, piekli ciasteczka i poszli do kościoła.

Jak niegdyś matka, tak teraz Edwina w przedświąteczne dni pakowała prezenty. Jednego z takich wieczorów Filip przed udaniem się na spoczynek podziękował jej za wszystko, co uczyniła dla dzieci. Wzruszył ją do łez, zaraz bowiem sennie ziewnął, co Edwinie przypomniało ojca, który zaledwie rok wcześniej dokładnie tak samo dziękował Kate.

W Boże Narodzenie odwiedził ich Ben, sprawiając dzieciom wielką radość. Przyniósł prezenty dla każdego: ślicznego konika na biegunach dla Teddy'ego, lalki dla dziewczynek, nowoczesny patefon dla zachwyconego upominkiem George'a, ozdobny zegarek kieszonkowy dla Filipa. Edwinie podarował wytworny kaszmirowy szal w kolorze jasnobłękitnym, a ona rozmarzyła się od razu, że włoży go w kwietniu, gdy przestanie nosić żałobę. Ben początkowo rozważał, czyby nie kupić jej szala czarnego, by mogła go już teraz nosić, jednakże w końcu się rozmyślił.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zaczniesz się ubierać na kolorowo - powiedział serdecznie, gdy otworzyła paczkę i dziękowała mu za prezent.

Jemu każde z dzieci także sprawiło upominek. George namalował mały obrazek przedstawiający Benowego psa, Filip zaś wyrzeźbił gustowną podstawkę na pióra. Edwina długo się zastanawiała, co mu podarować, w końcu się zdecydowała na szafirowe spinki do koszuli po ojcu, które Bert najbardziej lubił. Wiedziała, że mają sporą wartość, toteż zapytała George'a i Filipa, czy może dać je Benowi, nie chciała bowiem pozbywać się niczego, co któryś z nich pragnąłby kiedyś posiadać. Ale chłopców ucieszyło, że Ben będzie nosił spinki ich ojca. Przecież odkąd stracili rodziców, on był ich najlepszym i najwierniejszym przyjacielem.

Ben Jones także ciężko przeżywał Boże Narodzenie, przypominało mu bowiem bolesne chwile i rodzinę, którą stracił przed sześcioma laty podczas trzęsienia ziemi. Tego roku wraz z młodymi Winfieldami nawzajem podtrzymywali się na duchu - żartowali, śmiali się, wymieniali uprzejmości i w nieskończoność przeciągali miłe chwile. W końcu Teddy zasnął na kolanach Bena, Edwina zaś ze wzruszeniem patrzyła za przyjacielem, gdy niósł malca na górę i układał do snu. Okazał się cudowny, kochały go dziewczynki i chłopcy. Fannie poprosiła, aby ją także ułożył do snu, a na koniec otulił kołdrą uśmiechającą się doń Alexis.

Zanim się pożegnał, wychylił szklaneczkę porto ze starszymi dziećmi. Gdy odchodził, rozpieły go radość i zadowolenie, ponieważ święta zapowiadały się smutne i

melancholijne, przeszły zaś cudownie.

Inaczej wyglądał Nowy Rok. W sylwestra przyjechała do nich ciotka Liz i od pierwszej chwili bez ustanku popłakiwała. Ujrawszy ją, odzianą w surową, ponurą czarną suknię, Edwina zrazu pomyślała, że wuj Rupert umarł, a jej o tym nie powiadomiono, lecz ciotka szybko zapewniła, iż żałobę nosi po siostrze i szwagrze. Jej mąż, jak oznajmiła, czuje się bardzo źle i jest w wyjątkowo podłym humorze, bo od jesieni męczą go dotkliwe ataki podagry, tak że z bólu i złości wręcz odchodzi czasami od zmysłów.

- Oczywiście przesyła wam ucałowania - dodała szybko.

Wybuchała płaczem na widok każdego przedmiotu, który przypominał jej siostrę. Ilekroć patrzyła na dzieci, jej szloch się wzmacniał, co całkowicie wyprowadzało je z równowagi. Liz nie mogła się pogodzić, że jej ukochana siostra umarła, a dzieci zostały sierotami. Edwinie trudno było słuchać jej gadania. Przez ostatnie osiem miesięcy bardzo się starali wrócić do równowagi psychicznej i fizycznej, ciotka zaś jakby tego nie zauważała. Stwierdziła, że dzieci są blade i źle wyglądają, natychmiast też zapytała, czy w ogóle mają jakąś kucharkę.

- Oczywiście, tę samą od lat, ciociu Liz. Pamiętasz chyba panią Barnes, prawda? - powiedziała Edwina.

Niestety, na nic się wszystko zdało - Liz nadal chodziła zapłakana, narzekając, że niewłaściwe, wręcz niebezpieczne jest, że Filip i George wychowują się pod opieką siostry, nie wyjaśniła jednak, jakie niebezpieczeństwo ma na myśli. Wszystko wskazywało na to, że Liz popadła w głęboką depresję. Omal nie zemdląca, gdy weszła do garderoby siostry i zobaczyła jej rzeczy, a w sypialni aż krzyknęła:

- Och! nie mogę tego znieść... nie mogę... Och, Edwino, jak mogłaś... - Edwina nie bardzo wiedziała, o co jej chodzi, ciotka wszakże nie omieszkała zaraz jej tego wyjaśnić: - Jak mogłaś zostawić te rzeczy! Przecież tu wszystko wygląda tak, jakby dopiero co wyszli z domu!... - szlochała histerycznie, kręcąc głową i patrząc na Edwinę z wyrzutem. Nie potrafiła zrozumieć, że dzieciom trudno jest się rozstać z rzeczami, które należały do rodziców: z ubraniami ojca, sukniami matki, z jej pokrytą różową emalią złotą szczotką do włosów... - Trzeba to wszystko zaraz spakować! - szlochała ciotka, lecz Edwina pokręciła przecząco głową. Wiedziała, że przeprawa z Liz nie będzie łatwa.

- Nie mogliśmy się na to zdobyć - powiedziała cicho, podając ciotce szklanekę wody,

którą Filip dyskretnie jej przyniósł. - Ciociu, postaraj się opanować. To bardzo przygnębia dzieci - prosiła.

- Jak możesz tak mówić? Jesteś bez serca! - Liz znowu się rozszlochała i tak lamentowała, że słychać było w całym domu. - Gdybyś wiedziała, jak bardzo ich oplakiwałam przez te miesiące!... Nie masz pojęcia, czym dla mnie jest jej śmierć... Była moją jedyną siostrą... - biadała, zapomniawszy jakby, że Kate była matką Edwiny i reszty dzieci, zapomniała o Bercie i Charlesie, i o biednej Oonie. Nie rozumiała, że inni także żałują najbliższych, liczył się tylko jej ból. - Powinniście byli przyjechać do Anglii, jak proponował Rupert - żałośnie czyniła wyrzuty najstarszej siostrzenicy. - Byłabym się wami zaopiekowała...

Odmawiając, Edwina egoistycznie pozbawiła ją ostatniej szansy zostania matką! Uparła się, że wszyscy razem zostali w San Francisco, a jakby tego było mało, Rupert zasięgnął wieści u ich adwokata i okazało się, że dzieci świetnie sobie radzą. Jasne zatem, że to Edwina przez swój głupi upór zniweczyła plany Liz. Najwyraźniej była podobna do ojca.

- To niegodziwe, że nie przyjechałaś, jak ci radzono - powiedziała ciotka z potępieniem w głosie.

Tego już było za wiele dla Filipa, który z rosnącą złością słuchał potoku słów ciotki.

- Moja siostra nie zrobiła nic niegodziwego - oświadczył przez zaciśnięte zęby.

Edwina, pragnąc za wszelką cenę uniknąć rodzinnej awantury, niezwłocznie posłała go na dół, by zobaczyć, co porabia George.

Liz spędziła w San Francisco dwadzieścia sześć długich dni. Edwinie co rano zdawało się, że oszaleje, jeżeli ciotka zostanie jeszcze jeden dzień, bała się ponadto, że przez to jej ciągłe popłakiwanie dzieci znowu gotowe wpaść w depresję. Dla świętego spokoju spakowała w końcu część rzeczy osobistych rodziców, nie zgodziła się jednak rozdać ich potrzebującym. Liz odłożyła sobie kilka drobiazgów Kate, by zabrać je do Anglii. W większości były to pamiątki z ich młodości, bez znaczenia dla Edwiny czy młodszych dzieci.

Wreszcie, po prawie czterech tygodniach, odprowadzali Liz na prom, którym miała dopłynąć do dworca kolejowego w Oakland. Edwinie wydawało się, że ciotka nigdy nie przestanie płakać. Była zła na nich i na los za to, co jej wyrządził, zła, że straciła siostrę,

zła, że Edwina odmówiła przyjazdu do Anglii, zła; że już niczego więcej na tym padole nie zdoła dokonać. W ciągu ostatnich miesięcy chyba zrozumiała, że przegrała swoje życie. Chwilami Edwina nie była pewna, czy Liz opłakuje śmierć siostry, czy własne rozczarowania. Pogodny zazwyczaj Ben również jej unikał.

Kiedy wrócili do domu, odprowadziwszy krewną na prom, wyczerpana Edwina opadła na krzesło. Dzieci także milczały. Nie wiedziały, co sądzić o ciotce, ale z pewnością jej nie lubiły. Raziło je, że bezustannie coś zarzucała Edwinie, wszystko miała im za złe i bez przerwy płakała.

- Nienawidzę jej! - zawołała Alexis w drodze do domu.

- Ależ, Alexis - strofowała ją łagodnie Edwina. - Na pewno tak nie myślisz.

- Właśnie że tak - odparła z przekonaniem Alexis, wyraźnie szczerą. - Kazała ci pochować mamusine rzeczy, a nie miała do tego prawa - dodała.

- Nie pozbyłam się ich przecież - rzekła cicho Edwina. Może ciotka miała trochę racji? Może nadszedł na to czas?, pomyślała. Tyle że niełatwo było pozbyć się tak drogich im pamiątek. - Spakowanie ubrań nic nie znaczy - zapewniała siostrę. - Nie możemy schować mamusi. Wiesz, że zawsze będzie z nami.

Resztę drogi do domu dzieci przebyły w milczeniu, rozważając słowa Edwiny. Myślały o tym, że matka jest wciąż blisko nich, i o tym, jak bardzo Kate różniła się od swej siostry.

Rozdział czternasty

Nadeszła smutna rocznica śmierci Bertrama i Kate. Tego dnia ich dzieci wysłuchały na porannej mszy kazania poświęconego rodzicom. W serdecznych, ludzkich słowach ksiądz przypomniał zgromadzonym, jak dobrzy i współczujący dla bliźnich byli Winfieldowie. Siedzące w pierwszej ławce dzieci co chwilę ocierały łzy, z dumą słuchając pochwały pracowitego życia rodziców, których Bóg pobłogosławił potomstwem.

Po mszy Edwina zaprosiła kilkoro przyjaciół rodziny na lunch w ogrodzie. Po raz pierwszy od powrotu z tragicznej podróży na "Titanicu" przyjmowali gości. W to piękne majowe popołudnie świętowali równocześnie siódme urodziny Alexis. Pani Barnes upiekła na tę okazję wspaniały tort. W atmosferze pełnej ciepła i radości ludzie, których Edwina od roku prawie nie widywała, wyrażali zadowolenie, że są u Winfieldów. A ponieważ minął zwyczajowy okres żałoby, zapraszali dzieci do siebie.

Goście zauważyli, że Edwina wciąż nosi na palcu lewej dłoni pierścienek zaręczynowy, ksiądz w kazaniu wspomniał także Charlesa. Edwina, mająca już prawie dwadzieścia dwa lata, wyrosła na piękną pannę i była doskonałą partią. Ben spostrzegł, że przy stole kilku młodych mężczyzn przyglądało jej się z zainteresowaniem, i zdumiał się, że tak go to obeszło.

- To było przemiłe popołudnie - powiedział, gdy odnalazł ją siedzącą z dziećmi na huśtawce.

- Prawda? - rzekła z zadowoleniem, uważała bowiem, że ten dzień był odpowiednim hołdem złożonym jej rodzicom. - Chybaby im się spodobało - dodała z uśmiechem.

- Na pewno byliby z was dumni, zwłaszcza z najstarszej córki - powiedział Ben. Jakaż zdumiewająca z niej kobieta! Nie dziecko, nie dziewczyna, ale właśnie kobieta. - Przez ostatni rok bardzo dużo zrobiłaś dla rodziny.

Podziękowała mu uśmiechem, gdyż pochlebily jej te słowa, wiedziała jednak, że równie wiele pozostało do zrobienia. Każde z dzieci potrzebowało jej pomocy, i to każde inaczej. Zwłaszcza Filip, który zamartwiał się, czy przyjmą go do Harvardu.

- Chciałabym móc więcej dla nich uczynić - zwierzyła się Benowi. - Przede wszystkim dla Alexis.

- Nie wyobrażam sobie, co jeszcze mogłabyś zrobić... - urwał, bo nadeszli goście,

którzy chcieli się pożegnać i podziękować za przyjęcie.

Przed wyjściem opowiadali jeszcze Edwinie anegdoty o rodzicach, zwłaszcza historie, które przytrafiły się ojcu. Gdy wreszcie przedostatni gość opuścił dom, była zupełnie wyczerpana. W tym czasie w kuchni, pod opieką Sheili i pani Barnes, dzieci objadały się tym, czemu nie podołali goście. Edwina przeszła z Benem do biblioteki.

- Zauważyłem, że otrzymałaś wiele zaproszeń - powiedział Ben. Cieszył się jej powodzeniem, lecz ku swemu zdumieniu czuł równocześnie zazdrość i żałował jakby, że Edwinie skończyła się żałoba.

- Rzeczywiście. Ludzie są dla mnie bardzo mili - przyznała Edwina - ale niewiele się zmieni w moim życiu, mimo że przestanę nosić żałobę. Dalej mam ręce pełne roboty, a nikt nie może tego zrozumieć.

Bena ogarnęła ulga, choć wciąż nie dopuszczał do głosu swoich uczuć. Przecież to dziecko, córka jego najlepszego przyjaciela, i to ledwie dorosła! A jednak wiedział, że sam się oszukuje. Na jego twarzy pojawiło się zatroskanie. Edwina roześmiała się i podała mu kieliszek sherry.

- Nie miej takiej tragicznej miny. - Zbyt dobrze go znała, by zdołał ukryć przed nią swój nastrój.

- Nie jestem smutny - skłamał niezbyt przekonywująco.

- A jakże!... Przypominasz mi ciocię Liz. Czego się obawiasz? Że zhańbię siebie albo nazwisko Winfieldów? - zażartowała.

- Nie o to chodzi. - Wypił łyk sherry i odstawił kieliszek, uważnie patrząc na Edwinę. - Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem? - Spojrzał na pierścionek na jej lewej ręce i przez głowę mu przemknęło, czy Edwina nie pomyśli, że zwariował. - Pytam poważnie - nalegał, co nieco ją zdziwiło. - Jakie masz plany teraz, po roku?

Zastanawiała się przez chwilę, jednakże odpowiedź znała już od dawna, od powrotu do domu.

- Będę robiła to samo co dotąd. Zamierzam się opiekować dziećmi. - Uważała to za oczywiste. Nie miała zresztą wyboru, jej życie miały wypełniać obowiązki wobec rodzeństwa. Dobrze pamiętała obietnicę, którą złożyła rodzicom, gdy wchodziła do łodzi ratunkowej. - Niczego więcej nie pragnę, Ben - rzekła z powagą.

Miała przecież dopiero dwadzieścia dwa lata! W mniemaniu Bena jej postawa

graniczyła z szaleństwem.

- Ależ, Edwino, kiedyś będziesz tego żałowała! Jesteś za młoda, żeby resztę życia poświęcić wyłącznie rodzeństwu!

- Uważasz, że się poświęcam? Czy to źle? - spytała i uśmiechnęła się wzruszona, że tak bardzo przejmują się jej losem.

- Nie ma w tym nic złego - powiedział łagodnie - ale niepotrzebnie rezygnujesz z innych doświadczeń. Potrzebujesz czegoś jeszcze w życiu. Twoi rodzice mieli o wiele więcej. Mieli siebie...

Obydwoje pomyśleli o słowach, których tego ranka użył ksiądz wspominając Kate i Bertrama, Edwina zaś oczami wyobraźni ujrzała życie, które miała dzielić z Charlesem, życie w jednej chwili przekreślone. Nie chciała nikogo innego, tylko Charlesa...

Ben popatrzył z uwagą na jej zadumaną twarz.

- Nie rozumiesz, o czym mówię, prawda, Edwino?

Zmieszała się na krótko.

- Ależ rozumiem - powiedziała cicho. - Chcesz, żebym była szczęśliwa, i jestem szczęśliwa tutaj, razem z dziećmi.

- I to wszystko, czego pragniesz?... - zawahał się, lecz trwało to jedynie krótką chwilę. - Chciałbym ci ofiarować o wiele więcej.

Edwina szeroko otworzyła oczy.

- Och, Ben... Ty?...

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Ben mógłby ją kochać. Początkowo on sam nie dostrzegał rodzącego się w nim uczucia, lecz w ciągu ostatnich miesięcy uświadomił sobie, co naprawdę czuje do Edwiny, a od Bożego Narodzenia myślał o niej bezustannie. Postanowił, że wstrzyma się z wyjawieniem swych uczuć przynajmniej do kwietnia, aż upłynie rok żałoby, teraz wszakże, spojrzawszy na nią, ze strachem pomyślał, że powinien był poczekać dłużej. Może później przyjęłaby jego propozycję inaczej.

- Nigdy nie myślałam... - wykrztusiła zaczerwieniona. Nie patrzyła mu w oczy; myślała, że z rozmysłem chciał ją wprowadzić w zakłopotanie, była dla niej niemal upokarzająca.

- Przykro mi - Ben podszedł i ujął jej dłonie. - Nie powinienem był nic mówić, prawda, Edwino? Kocham cię... Kocham cię od dawna, ale za nic w świecie nie chciałbym stracić twojej przyjaźni. Jesteś dla mnie wszystkim... Proszę, Edwino... nie chcę cię stracić.

- Nie stracisz - szepnęła, zmuszając się, by na niego spojrzeć. Była mu to winna. Nic nie mogła na to poradzić, że kochała go tylko jak najbliższego przyjaciela ojca i swojego. Nie mogłaby... nie mogłaby dla niego włożyć ślubnego welonu. Wciąż kochała Charlesa. W głębi serca pozostała jego narzeczoną i wiedziała, że zawsze tak będzie. - Nie mogę, Ben... Kocham cię... ale nie mogę. - Nie chciała go zranić, musiała jednak powiedzieć mu prawdę.

- Może byłem zbyt niecierpliwy? - spytał z nadzieją w głosie, lecz ona pokręciła przecząco głową. - Może chodzi ci o dzieci? - zgadywał. On przecież także je kochał, lecz Edwina znów potrząsnęła głową. Bena ogarnął lęk, że może ją utracić. Co będzie, jeżeli nigdy już nie zechce z nim rozmawiać? Cóż za głupiec z niego!

- Nie dzieci są temu winne ani ty, Ben... - oczy jej zwilgotniały, postanowiła jednak być z nim szczerą. - Myślę, że to z powodu Charlesa... Wydawałoby mi się, że go zdradzam, gdybym... - nie potrafiła wymówić na głos słów, które wyciskały jej z oczu łzy.

Ben żałował złożonej nie w porę propozycji. Może gdyby zapytał ją za jakiś czas... Tyle że przynajmniej teraz wiedział, jak się sprawy mają. Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał z ukochanym, którego utraciła na "Titanicu".

- Masz prawo do szczęścia, Edwino. Nawet wdowy wychodzą ponownie za mąż - nie dawał za wygraną.

- Pewno tak jest-przyznała bez przekonania. Była zdania, że jej rany są jeszcze zbyt świeże i za wcześnie na takie rozważania, aczkolwiek w głębi ducha miała pewność, że nigdy nie zdradzi Charlesa. - Chcę być z tobą uczciwa, Ben. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wyszła za mąż.

- Ależ to absurd! - oburzył się.

- Może masz rację-przyznała-ale ze względu na dzieci łatwiej mi wybrać tę drogę. Nie mogłabym nikomu ofiarować całej miłości. Obawiam się, Ben, że za dużo czasu poświęcałabym dzieciom, i wcześniej czy później każdy normalny mężczyzna miałby tego dość.

- Myślisz, że ja też? - Wyglądał na dotkniętego, co wywołało jej uśmiech.

- Kto wie?... Zaslugujesz na wyłączną uwagę bliskiej osoby, a ja nie mogłabym ci jej poświęcić przez najbliższe piętnaście lat, dopóki Teddy nie pójdzie do college'u. To długo - rzekła łagodnie, głęboko wzruszona.

Ben pokiwał głową i roześmiał się. Wiedział, że został pokonany. Edwina była

uparta i skoro coś powiedziała, to niewątpliwie zrealizuje swe plany. Zdążył ją dobrze poznać. Jej siła ducha była z pewnością tą cechą, która go w niej pociągała. Podziwiał jej odwagę i siłę woli, pogodę i hart. Kochał jej włosy i oczy, i cudowne poczucie humoru. Wiedział też, że ona również go kocha, niestety, nie w sposób, w jaki by sobie życzył.

- Piętnaście lat... To może być ciut za długo dla mnie, Edwino. Miałbym wtedy sześćdziesiąt jeden lat i nie wiem, czybyś mnie zechciała.

- Przypuszczam, że i tak będziesz bardziej atrakcyjny niż ja, bo mnie dzieci tymczasem pewnie całkiem wykończą. - Gdy podawała mu rękę na pożegnanie, w jej oczach na powrót widniał spokój. - Tak już musi być, Ben. Ich życie stało się teraz moim.

Obiecała matce, że obojętnie co się stanie, zaopiekuje się rodzeństwem, dlatego przede wszystkim musiała myśleć o dzieciach. I niezależnie od tego, jak bardzo Bena lubiła, wiedziała, że nie pragnie ani jego, ani żadnego innego mężczyzny. Jednakże Ben, najwyraźniej zaniepokojony, zmarszczył brwi.

- Ale pozostaniemy przyjaciółmi, prawda? - zapytał.

Edwinie znowu łzy napłynęły do oczu. Wzruszona skinęła głową i przytuliła się do niego.

- Oczywiście - szepnęła. Był przecież najlepszym, najdroższym przyjacielem, kiedyś ojca, a teraz jej. - Bez ciebie nie dałabym sobie rady.

- Wygląda na to, że radzisz sobie całkiem nieźle - oświadczył oschłym tonem, lecz równocześnie przygarnął ją mocniej i przez chwilę trzymał w objęciach. Nie próbował jej pocałować ani przekonywać, by zmieniła zdanie. Był wdzięczny, że nie stracił jej sympatii i przyjaźni, i w sumie zadowolony, że otworzył przed nią serce, bo przynajmniej wiedział, jakie są uczucia Edwiny. Mimo wszystko opuszczał ją tego wieczoru z ciężkim sercem. W samochodzie obejrzał się jeszcze na nią, ona zaś pomachała mu ręką na pożegnanie. Potem odjechał, żałując, że sprawy nie potoczyły się inaczej.

Nazajutrz przyszedł telegram od ciotki Liz z wiadomością, że wuj Rupert zmarł. Stało się to dokładnie w rocznicę śmierci Kate i Bertrama. Ta wieść przygnębiła Edwinę. Ze smutkiem przekazała ją rodzeństwu przy obiedzie. Tego dnia miała nie najlepsze samopoczucie. Wciąż wracała myślami do złożonej poprzedniego wieczoru propozycji Bena, która mocno ją poruszyła. Wiedziała jednak, że podjęła właściwą decyzję.

Dzieci nie przejęły się zbyt mocno wiadomością o śmierci wuja. Po kolacji Filip pomógł

Edwinie ułożyć telegram z kondolencjami. Zapewnili ciotkę o swojej miłości i o tym, że często się za nią modlą, ale tym razem Edwina nie zaprosiła Liz do Kalifornii, świadoma, że nie zniosłaby drugiej jej wizyty. Ostatnia bytność ciotki w San Francisco dała się im wszystkim we znaki.

Edwina rozważała, czy powinni znowu włożyć żałobę, zdecydowała jednak, że nie miałyby to sensu, bo dzieci ledwo wuja znały i nigdy za nim nie przepadały. Przez tydzień nosiła szare sukienki, potem wróciła do kolorów, które odkryła na nowo kilka dni przed wiadomością o śmierci krewniaka, do kolorów, których nie nosiła od kwietnia zeszłego roku. Czasami zarzucała też na ramiona przepiękny kaszmirowy szal, prezent gwiazdkowy od Bena. Widywała się z nim równie często jak wcześniej, choć ich spotkania wyglądały nieco inaczej. Ben wydawał się lekko zażenowany i zachowywał się z większą rezerwą, mimo że Edwina ani słowem nie nawiązywała do tego, co między nimi zaszło. Młodsze dzieci niczego nie zauważyły, za to raz czy dwa spostrzegła, że Filip wpatruje się w nią i Bena z uwagą. Nie przejęła się tym, nie wierzyła bowiem, aby brat czegoś się domyślał. Dla wszystkich Ben Jones był wypróbowanym przyjacielem rodziny.

W maju Edwina przyjęła zaproszenie dawnych przyjaciół rodziców i choć idąc na przyjęcie czuła się trochę nieswojo, humor jej się poprawił, bo wieczór okazał się całkiem udany. Nie podobało jej się tylko, że najwyraźniej znalazła się tam ze względu na syna państwa domu, a jej podejrzenie zmieniło się w pewność, gdy gospodarze ponowili zaproszenie. Ich dwudziestoczteroletni syn, przystojny i majątny - miał wspaniałą posiadłość w pobliżu Santa Barbara - był jednak niezbyt rozgarniętym młodzieńcem. Edwiny nie obchodził ani on, ani inni kawalerowie, których przedstawiano jej, ilekroć przyjmowała zaproszenia od znajomych rodziców. Jej przyjaciółki powychodziły za mąż, większość doczekała się dzieci, kiedy więc przebywała w ich towarzystwie, myślała o życiu, które mogła wieść u boku Charlesa, i coraz bardziej smutniała. Z tego względu wolała bywać u rówieśników Kate i Berta, tym bardziej że czuła się im bliższa choćby dlatego, że wychowywali dzieci w podobnym wieku, poza tym drażniło ją nie pozbawione erotycznego zabarwienia zainteresowanie młodych mężczyzn. Gdy potencjalni kandydaci do jej ręki stawali się zbyt natarczywi, otwarcie mówiła, że nie zaprzęta sobie głowy tą stroną życia. Wciąż nosiła na palcu pierścienek zaręczynowy od Charlesa i nadal się uważała za jego narzeczoną. Wspomnienia w zupełności jej wystarczały, resztę myśli zaś

poświęcała rodzeństwu.

Znudziły jej się w końcu wizyty, toteż w sierpniu z ulgą zabrała dzieci nad jezioro Tahoe. To lato również było szczególne, Filip bowiem został przyjęty do Harvardu i miał wyjechać na początku września. Edwina z trudem wyobrażała sobie życie bez niego. Wiedziała, że wszyscy dotkliwie odczują jego nieobecność, ale cieszyła się, że chłopiec urzeczywistnił swoje marzenia. Kiedy zaproponował, że zostanie w domu i pomoże jej opiekować się malcami, a przede wszystkim zajmie się niesfornym George'em, Edwina nie chciała nawet o tym słyszeć. "Jedziesz i nie ma dyskusji" - oświadczyła. Potem spakowała to, czego mogli potrzebować, i wraz z rodziną wsiadła do pociągu jadącego nad Tahoe.

Tam właśnie pewnej księżycowej nocy Filip odważył się zadać pytanie, które męczyło go od dawna.

- Czy ty byłaś zakochana w Benie? - wyszeptał nieśmiało.

Zaskoczyło ją nie tyle pytanie, ile wyraz jego twarzy, gdy je zadawał - na obliczu chłopca malowała się niezachwiana pewność, że Edwina należy tylko do niego i do pozostałych dzieci. Przez chwilę nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

- Nie - rzekła wreszcie.

- A czy on był w tobie zakochany?

- To nie ma znaczenia - łagodnie uspokoiła brata. Westchnęła głęboko, pomyślawszy o ślubnym welonie schowanym na dnie szafy. - Wciąż kocham Charlesa - szepnęła w mrok - i tak pewnie zawsze już będzie.

- Cieszę się... - zaczął Filip i nagle poczerwieniał ze wstydu. - Nie to miałem na myśli...

Edwina uśmiechnęła się.

- Nieprawda, myślałeś dokładnie o tym.

Wiedziała, że należy do nich, że uważają ją za swą własność i nie chcą dzielić się nią z nikim. Jej bracia i siostry nie dopuszczali do siebie myśli, że mogłaby wyjść za mąż. Była ich, na dobre i złe, dopóki będzie żyła lub dopóki będą jej potrzebowali. Edwina pogodziła się z tym i nawet cieszyła tym ich trochę egoistycznym przywiązaniem.

Jakie to dziwne, pomyślała. Rodzice mieli prawo się kochać, ona zaś mogła kochać tylko dzieci. Nawet Filip uważał, że całe jej życie należy do nich. Jemu wolno było wyjechać do szkoły, ona jednak musiała zostać w domu i czekać na jego powrót, opiekując

się resztą rodzeństwa.

- Nawet gdybym go kochała, to co by to zmieniło? Przecież was nie kochałabym mniej. - Starła się wytłumaczyć chłopcu prawdę dla niej oczywistą, Filip wszakże zrobił minę, jakby go zdradziła.

- Ale czy go kochasz? - domagał się odpowiedzi.

Ponownie uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową, po czym wspięła się na palce, aby go pocałować. Zrozumiała, że chociaż wstąpił do college'u, nadal jest niedojrzałym chłopcem.

- Nie martw się. Zawsze z wami będę. - Te słowa powtarzała rodzeństwu przy każdej okazji, odkąd matka zginęła. - Dobranoc, Filipie - szepnęła, gdy doszli do swoich domków.

Popatrzył na nią z ulgą, uspokojony jej zapewnieniami. Kochał ją ponad wszystko na świecie, kochał pozostałe dzieci. Edwina należała teraz do nich jak przedtem rodzice, A ona miała ich... I schowany głęboko w szafie ślubny welon, którego nigdy nie włoży... I błyszczący na palcu pierścioneł zaręczynowy od Charlesa.

- Dobranoc, Edwino - szepnął Filip.

Uśmiechnęła się smutno, usiłując sobie przypomnieć, jakie było jej życie przed katastrofą "Titanica".

Rozdział piętnasty

Pociąg stał już na stacji. Przed wagonem, do którego miał wsiadać Filip, zebrała się cała rodzina Winfieldów. Przyszedł też Ben i pani Barnes, zjawili się kilku kolegów chłopca i jego dwaj ulubieni nauczyciele. Filip miał swój wielki dzień. Spełniło się jego marzenie - wyjeżdżał do Harvardu.

- Tylko napisz na pewno! - Edwina czuła się jak kwoka dogładowająca piskląt. Wypytywała szeptem Filipa, czy dobrze schował pieniądze, które dała mu na drogę. Skrzywił się i dłonią zburzył jej nieskazitelną fryzurę. - Przestań - ofuknęła go.

Kiedy odszedł do przyjaciół, stanęła obok Bena i rozmawiając z nim pilnowała George'a, by nie wszedł przez okno do przedziału. Na moment straciła wtedy z oczu Alexis i ogarnęła ją fala strachu. Przypomniała sobie tamtą upiorną noc, gdy siostra zniknęła, a oni szukali jej bezskutecznie, uspokoiła się jednak zaraz, dojrzawszy ją u boku pani Barnes. Alexis ze smutkiem patrzyła na brata, który za chwilę miał ich opuścić. Fannie płakała przez całą noc poprzedzającą wyjazd Filipa, również Teddy, choć miał ledwie trzy i pół roku, zdawał sobie sprawę z rozłąki.

- Mogę z tobą pojechać? - zapytał z nadzieją w głosie.

Filip pokręcił tylko głową i przewiózł braciszka na barana po przedziale. Z tej wysokości mały mógł dosięgnąć sufitu, toteż rozszczebiotał się radośnie. Edwina tuliła Fannie, ze smutkiem myśląc, że ich gromadka zaczyna topnieć. Wydało jej się, że to początek końca. Mimo to przypomniała tego ranka Filipowi, iż ojciec byłby niezmiernie rad, że jego syn wyjeżdża na studia do Harvardu, i że on sam powinien być z siebie dumny.

- Nie będziesz już nigdy taki jak przedtem - usiłowała wytłumaczyć bratu znaczenie tej chwili, lecz Filip niezbyt pojmował, o co jej idzie. - Poszerzą się twoje horyzonty, tak że kiedy wrócisz do domu, wydamy ci się inni. Bardzo mali i prowincjonalni. - Była dojrzała jak na swój wiek, a długie rozmowy, które często wiodła z ojcem, dały jej perspektywę spojrzenia nieczęsto spotykaną u kobiet. Cecha ta od samego początku pociągała w niej Charlesa, również Ben podziwiał ją za to. - Będzie mi ciebie brakowało - po raz setny powtórzyła Filipowi. Przyrzekała sobie, że powstrzyma łzy, by nie utrudniać rozstania. Chłopiec raz jeszcze zaproponował, że zostanie w domu i wraz z nią zajmie się dziećmi, lecz Edwina pragnęła, by wykorzystał swą życiową szansę. Uważała, że ma do niej prawo,

jak niegdyś jego ojciec i dziadek.

- Powodzenia, synu. - Ben uściśnął Filipowi dłoń, gdy konduktor zawołał: "Proszę wsiadać!"

Edwinie serce ścisnął żal. Bez słowa patrzyła, jak Filip żegna się z przyjaciółmi i nauczycielami. Wreszcie odwrócił się, by ucałować dzieci.

- Bądź grzeczna - z powagą napominał Fannie. - Bądź grzeczna i słuchaj Edwiny.

- Będę grzeczna - obiecała dziewczynka i dwie wielkie łzy potoczyły jej się po policzkach. Od ponad roku Filip był dla niej prawie jak ojciec. - Proszę, wróć szybko...

Miała pięć i pół roku, straciła właśnie dwa zęby i patrzyła na świat największymi oczami, jakie Edwina kiedykolwiek widziała. Była słodkim dzieckiem i chciała spędzać jak najwięcej czasu w domu z braćmi i siostrami. Niestrudzenie szukała domowego ciepła, które zapewniało jej poczucie bezpieczeństwa. Mówiła, że gdy dorośnie, zostanie mamusią i będzie miała czternaścioro dzieci.

- Wrócę niedługo, Fannie... Przysięgam...

Filip pocałował ją jeszcze raz i zwrócił się ku Alexis, z którą rozumieli się bez słów. Wiedział, jak bardzo mała go kocha: To ona była tym dobrym duszkiem, który wsuwał się na palcach do jego pokoju, gdy uczył się do późna w nocy, i przynosił mu ciasteczka i mleko. Dla małej on i Edwina byli najdroższymi osobami na świecie, z nimi podzieliłaby się wszystkim, co posiadała.

- Uważaj na siebie, Lexie... Pamiętaj, że bardzo cię Kocham... Niedługo wrócę, obiecuję.

Wszyscy wiedzieli, że podobne obietnice niewiele dla Alexis znaczą, wciąż bowiem żyła jak w lunatycznym śnie, przesiadywała w pokojach rodziców, w panującej tam ciszy nasłuchiwała nieustannie ich kroków. Miała teraz siedem lat, lecz ból po stracie matki i ojca nie zmalał z upływem czasu. A teraz jeszcze Filip wyjeżdża! Edwina obawiała się, że mała mocniej niż inne dzieci przeżyje rozstanie.

- A ty, niedźwiadku, bądź dobrym chłopcem i nie jedz za dużo czekoladek - przestrzegł Filip najmłodszego brata. Przed tygodniem Teddy zjadł całą bombonierkę i okropnie go potem bolał brzusek. Teraz uśmiechał się z poczuciem winy, gdy Filip delikatnie zdejmował go z ramion. - Wsiadaj, paskudniku - powiedział, robiąc minę do George'a.

Konduktor po raz ostatni zawołał: "Proszę wsiadać!" i gestem nakazał odprowadzającym, by odsunęli się od pociągu. Edwina ledwo zdążyła przytulić Filipa i po raz ostatni na niego popatrzeć.

- Kocham cię, braciszku. Wracaj szybko... i dobrze się baw. My tu zawsze będziemy na ciebie czekali, ale wykorzystaj swoją szansę.

- Dzięki, Weenie... Dziękuję, że pozwoliłaś mi wyjechać... Gdybyś mnie potrzebowała, daj znać, to zaraz przyjadę - powiedział.

W jej oczach pojawiły się łzy. Skinęła głową, nie mogąc ze wzruszenia wykrztusić słowa.

- Wiem... - przyłgnęła do niego. Przypomniała sobie o bolesnych rozstaniach, pożegnaniach, na które nie mieli czasu na pokładzie "Titanica". - Kocham cię... - płakała żałośnie.

Ben pomógł jej wsiąść i potem, gdy pociąg odjechał, objął ją ramieniem, aby dodać jej otuchy. Długo jeszcze widzieli powiewającą z okna chusteczkę Filipa. Fannie i Alexis płakały przez całą drogę do domu. Żadne z dzieci nie potrafiło się pogodzić z wyjazdem Filipa, pokonać żalu i bólu spowodowanego rozstaniem.

Ben pożegnał się przy bramie wjazdowej. Pogrążeni w smutku młodzi Winfieldowie weszli do domu, który bez Filipa przypominał grobowiec. Żadne nie potrafiło sobie wyobrazić, jak będą żyli bez najstarszego brata.

Tego wieczoru Fannie pomagała nakryć do stołu, Alexis jednak siedziała milcząca i co chwila wyglądała przez okno, wstrząśnięta, że opuściła ją następna osoba spośród tych, które najbardziej kochała. George zabrał Teddy'ego do ogrodu i bawili się tam, dopóki Edwina nie zawołała ich na kolację. Gdy postawiła na stole ich ulubione danie, pieczonego kurczaka, nie rozległy się jak zazwyczaj radosne okrzyki. Cała gromadka siedziała milcząca i zamyślona. Po półtora roku opieki nad rodzeństwem Edwina miała wrażenie, że tak było zawsze, że zawsze miała dwadzieścia dwa lata i piątkę dzieci wokół siebie. I nagle, niespodziewanie dla siebie samej, pomyślała, że przestaje spełniać rolę matki, zrozumiała, że Filip rozpoczyna samodzielne życie i nie będzie już potrzebował ani jej rad, ani troskliwej opieki. Ból spowodowany wyjazdem brata sprawił, że wrócił tamten ból, który przycichł, lecz nigdy całkiem nie wygasł w jej sercu. Wśród panującej przy stole ciszy zmówiła modlitwę dziękczynną, po czym poprosiła George'a, by podzielił kurczaka.

- Teraz ty jesteś panem domu - rzekła z nadzieją, że chłopiec poczuje się dorosły, ale kiedy najpierw na pół rozkroił kurczaka nożem niby sztyletem, potem zaś jednym szybkim ruchem odciął skrzydełko, pojęła, że nie może liczyć na jego poważne zachowanie. Widać było, że pomimo trzynastu lat ani nie zdążył dorosnąć, ani nie utracił zacięcia do psot i figli.

- Dziękuję, George. Jeżeli w ten sposób masz zamiar podzielić kurczaka, sama sobie poradzę.

- No co ty, Edwino... - rzekł z wyrzutem.

Odciał drugie skrzydełko i obydwie nóżki niczym korsarz dzielący łupy, aż sos kurczaka rozprysnął się wokół, a dzieci wybuchnęły śmiechem. I wtedy Edwina mimo woli także się roześmiała, oczy jej zwilgotniały i łzy pociekły po policzkach. Bezskutecznie próbowała zachować powagę.

- George, przestań! - krzyknęła, on tymczasem, trzymając nóż jak pikę, ćwiartował dalej kurczaka. - Przestań!... Jesteś okropny...

George dokończywszy dzieła skłonił się nisko, podał jej półmisek i usiadł z zadowoloną miną na swoim miejscu.

Edwina pomyślała, że teraz, gdy George jako najstarszy ma zastąpić spokojnego i odpowiedzialnego Filipa, życie w domu nie będzie toczyło się tak gładko jak dotąd. Tyle że George to George, ktoś zupełnie inny niż jego starszy brat.

- Może napiszemy po obiedzie do Filipa? - zaproponowała Fannie poważnym tonem.

Teddy z radości aż klasnął w dłonie. Edwina spojrzała na George'a akurat w chwili, gdy bombardował groszkiem Alexis. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dwa ziarenka trafiły małą w nos i dziewczynka wybuchnęła śmiechem.

- Przestań! - zawołała Edwina, zastanawiając się, dlaczego nagle poczuła się jak dziecko. - Przestań nas rozśmieszać!... Przestań się starać, żebyśmy poczuli się lepiej!... Żebyśmy nie płakali!... - urwała, bez słowa położyła trzy ziarenka groszku na widelcu i rzuciła nimi w George'a, który zachwycony odwzajemnił jej się tym samym, Edwina zaś zręcznie trafiła go kolejnymi ziarnkami. Obserwujące bitwę młodsze dzieci piszczały z podniecenia.

A tymczasem pociąg wiozł Filipa daleko, daleko od domu - do Harvardu.

Rozdział szesnasty

Pierwsze dni po wyjeździe Filipa były beznadziejnie smutne. Dzieci aż za dobrze poznały uczucie utraty kogoś bliskiego. Po tygodniu przygnębiającej atmosfery Edwina zauważyła niepokojące objawy u Alexis. Mała zaczęła się jąkać, co po raz pierwszy wystąpiło u niej zaraz po stracie rodziców. Wtedy przeszło jej dość szybko, ale tym razem dolegliwość trwała znacznie dłużej. Ponadto znowu zaczęły ją dręczyć koszmary, toteż Edwina poważnie się o siostrę zaniepokoiła.

Wspomniała o jej stanie Benowi, gdy spotkali się na posiedzeniu zarządu wydawnictwa. On również się tym zmartwił. Gdy Edwina wróciła do domu, pani Barnes powiedziała jej, że Alexis spędziła całe popołudnie samotnie w ogrodzie: poszła tam po powrocie ze szkoły i od tej pory nie pokazała się w domu. Ponieważ dzień był pogodny i ciepły, Edwina przypuszczała, że Alexis skryła się w niewielkim roślinnym labiryncie, który jej matka nazwała niegdyś swoim "tajemniczym ogrodem". Zostawiła ją w spokoju i dopiero w porze kolacji, gdy dziewczynka nadal nie wracała, wyszła do ogrodu, aby jej poszukać. Zawołała, lecz nie otrzymała odpowiedzi.

- Chodźże, głuptasku, przestań się chować. Wyjdź i powiedz mi, co robiłaś przez cały dzień. Przyszedł list od Filipa - krzyczała Edwina.

Koperta z Harvardu leżała na stoliku w holu wraz z listem od ciotki Liz, która donosiła, że nie czuje się najlepiej, poza tym skręciła nogę w kostce i musiała pojechać do lekarza do Londynu. Ciotka niewątpliwie należała do osób, które prześladowe pech. W dalszej części listu pytała, czy opróżnili wreszcie pokój matki, co rozgniewało Edwinę. Nie zrobiła tego i nie czuła się na siłach, by porządkować sypialnię rodziców, ponadto nie chciała robić przykrości Alexis.

- Chodź, kochanie! Gdzie jesteś? - wołała patrząc w kierunku krzewów różanych w głębi ogrodu, pewna, że jej siostrzyczka właśnie tam się schowała, ale choć zajrzała we wszystkie możliwe zakamarki, nie znalazła jej. - Alexis, jesteś tam?

Szukała niestrudzenie, wspięła się nawet na drzewo do starego "domku" George'a, drąc przy okazji spódnicę, Alexis jednak nigdzie nie było.

Wróciła do domu i zapytała panią Barnes, czy Alexis na pewno bawiła się w ogrodzie. Staruszka zapewniła, że widziała ją tam przez cały dzień, Edwina wiedziała

wszakże, iż pani Barnes niezbyt zwraca uwagę na dzieci. Opieka nad nimi należała do Sheili, lecz dziewczyna opuściła ich tuż przed Wielkanocą i teraz Edwina sama zajmowała się rodzeństwem.

- Może jest w domu i poszła na górę? - badała dalej panią Barnes, nie dowierzając jej. W końcu okazało się, że kucharka nie wie dokładnie, bo przez całe popołudnie wekowała pomidory i tak naprawdę nie baczyła na Alexis.

Edwina sprawdziła pokój siostry, swój, wreszcie wolno poszła na górę, rozmyślając o słowach Liz: "Czas najwyższy, żebyś się na to zdobyła i opróżniła ich pokoje. Ja już dawno pochowałam rzeczy Ruperta". Cóż, Edwina zdawała sobie sprawę, że dla niej nie będzie to takie proste. Teraz jednak miała na głowie co innego - chciała wreszcie wyciągnąć Alexis z kryjówki i pomóc jej rozwiązać problemy, które dręczyły małą.

- Lexie?

Odsłoniła story, zaszeleściła spódnicami matki i poczuła, że w pokoju czuć stęchlizną. Przez prawie półtora roku nikt tu nie mieszkał i pokoje rzadko wietrzono. Zajrzała nawet pod łóżko, lecz Alexis nigdzie nie było.

Zeszła na dół i poprosiła George'a, by pomógł jej w poszukiwaniu. Gdy po godzinie nie znaleźli nawet śladu Alexis, Edwinę ogarnął strach.

- Stało się dzisiaj coś w szkole? - zapytała młodsze dzieci, ale Fannie i George o niczym nie wiedzieli, Teddy zaś spędził popołudnie w redakcji razem z nią. Sekretarki nad wyraz chętnie zajmowały się małym, gdy jego siostra była zajęta. W wieku trzech i pół roku chłopczyk potrafił oczarować kobiety. - Jak sądzisz, gdzie ona może być? - naradzała się z George'em Edwina.

Nic szczególnego nie wydarzyło się tego dnia i nikt nie miał pojęcia, gdzie Alexis mogła się podziać. Dawno minęła pora kolacji, a Edwina i George kontynuowali poszukiwania w ogrodzie, aż wreszcie doszli do wniosku, że małej nie ma ani tam, ani w domu. Wtedy Edwina poszła do kuchni, gdzie był zainstalowany telefon, i po chwili wahania zdecydowała się wezwać na pomoc Bena. Zupełnie nie wiedziała, co ma dalej robić, a on przyrzekł jej kiedyś, że zawsze może na niego liczyć. Dziesięć minut później Ben zadzwonił do drzwi frontowych.

- Jak myślisz, dlaczego się schowała? - zapytał.

Edwinie przez moment zdawało się, że ujrzała ojca, nie miała jednak czasu

zastanawiać się nad tym. Odgarnęła z czoła niesforne kosmyki włosów. Jej wysoko upięta fryzura zupełnie się zburzyła w czasie poszukiwań w ogrodzie.

- Nie wiem, Ben. Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Dzieci mówią, że w szkole nie zaszło nic, co mogłoby mieć związek z jej zniknięciem, a pani Barnes była przekonana, że Alexis całe popołudnie przesiedziała w ogrodzie. Niestety, myliła się. W każdym razie nie było jej tam, jak wróciłam do domu. Szukaliśmy jej wszędzie, w domu i na dworze, i nigdzie jej nie ma. Sama nie wiem, dokąd mogła pójść.

Alexis miała w szkole niewielu przyjaciół, zresztą nie lubiła bywać w ich domach. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest najbardziej wrażliwym dzieckiem w rodzinie Winfieldów i że nie przyszła do siebie po utracie matki. Bywało, że gdzieś zniknęła lub całymi dniami nie odzywała się do nikogo. Taka już była i taką musieli ją zaakceptować. Ale jeżeli uciekła, to Bóg jeden wie dokąd, dlaczego i co z nią będzie, kiedy dotrze tam, gdzie sobie umyśliła. Była ślicznym dzieckiem, toteż należało się spodziewać, że gdyby się dostała w niewłaściwe ręce, wszystko mogłoby się wydarzyć.

- Zawiadomiłaś policję? - Ben usiłował zachować spokój, lecz był nie mniej zatroskany niż ona. Sprawilo mu przyjemność, że Edwina w potrzebie pomyślała o nim.

- Jeszcze nie. Najpierw zadzwoniłam do ciebie.

- I nie wiesz, dokąd mogła pójść?

Edwina znów pokręciła przecząco głową. Po chwili Ben poszedł do kuchni, by zatelefonować na policję. Pani Barnes, która położyła już Fannie i Teddy'ego do łóżek, z oburzeniem zauważyła, że to bardzo, ale to bardzo niegrzecznie uciekać z domu, a zapłakana Fannie dopytywała się, czy Alexis się odnajdzie.

Ben zawiadomił policję, a George tymczasem próbował dodać Edwinie otuchy. Po półgodzinie Edwina wyjaśniła przybyłemu sierżantowi, co się stało, oznajmiając, że nie wie, dokąd udała się jej siostra. Policjant wszedł do środka, popatrzył na Bena i George'a i zapytał o rodziców dziewczynki. Edwina wyjaśniła, że jest jej opiekunką. Sierżant obiecał przetrząsnąć sąsiednie posesje i za godzinę zdać jej sprawę z wyników poszukiwań.

- Czy my też mamy iść? - spytała zatroskana Edwina, spoglądając na Bena.

- Nie, proszę pani. Znajdziemy ją. Pani z mężem niech poczeka lepiej tutaj - uśmiechnął się do nich pocieszająco.

George krzywo spojrział na Bena. Lubił go jako przyjaciela, lecz nie spodobało mu

się, że ktoś uważa go za męża Edwiny. Podobnie jak Filip był zaborczy, gdy chodziło o starszą siostrę.

- Dlaczego mu nie powiedziałaś? - warknął, kiedy policjant odszedł.

- O czym? - Edwina myślała teraz tylko o Alexis.

- Że Ben nie jest twoim mężem.

- Och, na Boga! Przestań myśleć o głupstwach i skup się na odnalezieniu siostry!... - z irytacją odparła Edwina. Ben także usłyszał słowa George'a.

Przez półtora roku Edwina matkowała rodzeństwu, toteż dzieci uważały ją za swoją własność. Nie było to dobre dla nikogo, Ben wszakże wiedział, że nie powinien się wtrącać. Edwina chciała się opiekować rodziną po swojemu, a on, niestety, nie miał prawa do tego się mieszać.

Jeszcze raz wyliczyli wszystkie możliwe miejsca, do których Alexis mogła się udać, po czym Ben zaproponował, że zawiezie ich samochodem do domów, w których mieszkają dzieci zaprzyjaźnione z małą. Edwina zerwała się pełna nadziei, przykazując George'owi zostać i czekać na wiadomość od policjanta.

Niestety, wizyta w trzech domach niczego nie dała. Dziecka tam nie było, co więcej, Alexis od tygodni nie odwiedzała koleżanek. Dopiero teraz Edwina w pełni zdała sobie sprawę, jak bardzo dziewczynkę przygnębił wyjazd Filipa. Zastanawiała się, czy aby ten trop nie jest właściwy.

- Chyba nie przyszło jej do głowy, żeby pociągiem wybrać się do brata? Jak sądzisz, Ben?

Ta myśl uporczywie wracała jej do głowy, Ben jednak uważał, że to nieprawdopodobne.

- Ona się boi własnego cienia, nie mogła odejść daleko od domu - mówił, gdy szli po schodach.

Edwina jednak podzieliła się swymi przypuszczeniami z George'em, który zmrużył oczy i zamyślił się.

- W zeszłym tygodniu zapytała mnie, jak daleko jest stąd do Bostonu - wyznał wreszcie z nieszczęśliwą miną - ale nie zwróciłem na to uwagi. O Boże, Weenie! A jeżeli ona wsiadła do pociągu? Przecież nie wie nawet, w którą stronę jechać!

Pomyśleli, że mogło jej się coś stać. Mogła się potknąć na torach, mogła upaść,

skaleczyć się przy wchodzeniu do wagonu, mogła nawet pojechać pierwszym lepszym pociągiem towarowym!... Możliwość było tak wiele, a jedna straszniejsza od drugiej, że Edwina wpadła w panikę. Dochodziła już dziesiąta, a tu nadal o Alexis nie było nic wiadomo, toteż rosły w nich obawy, że małej przytrafiło się coś złego.

- Jeśli chcecie, zabiorę was na stację, ale jestem pewien, że czegoś takiego by nie zrobiła - rzekł Ben spokojnie. Usiłował podnieść obydwójce na duchu, ale George przerwał mu gniewnie, wciąż urażony, że policjant mógł wziąć Bena za męża Edwiny.

- A skądże masz taką pewność?

Z bliskiego przyjaciela rodziny Ben niespodziewanie stał się dla George'a konkurentem. Chłopiec już wcześniej dostrzegł zagrożenie, zauważywszy zazdrość, jaką okazywał Filip jeszcze przed wyjazdem na studia, ale wtedy nie sądził, że będzie musiał rywalizować z Benem. Edwina zazwyczaj trzymała braci krótko, teraz jednak, niespokojna o młodszą siostrę, nie miała czasu zwracać uwagi na humory George'a.

- Jedźmy - rzuciła. Zabrała z holu szal i znalazła się przy drzwiach akurat w chwili, gdy wrócił policjant. Niestety, nie miał wieści o Alexis.

- Nigdzie jej nie ma - powiedział.

Ben zawiózł wobec tego rodzeństwo na stację. George siedział na tylnym siedzeniu, Edwina przy kierowcy. Przez całą drogę nerwowo wyglądała przez okno w nadziei, że gdzieś dojrzy Alexis, Niestety, na próżno.

O dziesiątej trzydzieści stacja była prawie pusta. Na torach stały wprawdzie pociągi do San Jose, ale te jechały drogą okrężną. Łatwiej było dostać się tam wsiadając na prom, który płynął do stacji w Oakland.

- To szalony pomysł... - zaczął Ben, George go jednak nie słuchał. Ruszył pędem i biegł aż do końca peronu. Tam dopiero przystanął.

- Lexie! - krzyknął. - Lexie!

Zwinął dłonie w trąbkę i wołał z całych sił, lecz odpowiadała mu cisza. Od czasu do czasu zaturkotały tylko koła, gdy lokomotywa przetaczała wagony, poza tym wszędzie było cicho i pusto.

Edwina, niewiele myśląc, poszła za bratem, jakby zawierzyła jego instynktowi. Pod pewnymi względami George znał Alexis lepiej niż ktokolwiek z nich, lepiej niż ona, a nawet lepiej niż Filip.

- Lexie!... - wołała niestrudzenie, podczas gdy Ben na próżno wzywał ich, by wrócili na peron.

Nagle w oddali rozległ się gwizd pędzącego po szynach pociągu. Był to ostatni towarowy linii Southern Pacific, który przyjeżdżał zawsze tuż przed północą. Z daleka zalśniła długa wiązka światła, a kiedy się przybliżyła, Edwina i Ben, stojący na rampie, dojrżeli w jej blasku nieruchomą białą plamkę. I wtedy George, zanim Edwina zdążyła go powstrzymać, jak strzała pomknął przez tory, ona zaś w ułamku sekundy pojęła, co brat zobaczył: Alexis! Dziewczynka przycupnęła koło wagonu stojącego przy torze, którym pędził pociąg. Przestraszona samotna istotka, ściskająca w ręce lalkę, Panią Thomas, uratowaną z "Titanica".

- O Boże! - krzyknęła Edwina. Chciała przejść pod barierką, lecz Ben odciągnął ją do tyłu.

- Nie, Edwino, nie wolno ci!

Tymczasem George biegł ku Alexis skulonej tuż przy szynach, po których nadjeżdżał pociąg. Wiedział, co się stanie, jeśli dziewczynka sparaliżowana strachem nie odsunie się na czas.

- George, uważaj! - zawołała Edwina, wyrwała się Benowi i pognąła przez tory za bratem. Jej dalsze słowa utonęły w huku pędzącego pociągu.

Ben rozglądał się rozpaczliwie wokół, gorączkowo szukając jakiegoś wyłącznika, hamulca, alarmu, który mógłby zatrzymać rozpędzone żelastwo, lecz nic w tej sytuacji nie mógł zrobić. Wymachiwał więc tylko rękami do maszynisty, ten go jednak nie widział.

George tymczasem mknął ku Alexis jak niesiona wiatrem strzała. Edwina, która biegła za nim podkasawszy spódnicę, co chwila się potykała i przewracała na tory. Nagle obok niej z ogromną prędkością przetoczył się pociąg. Wydawało jej się, że całe wieki minęły, zanim przejechał ostatni wagon i zapłakana, roztrzęsiona Edwina mogła poszukać rodzeństwa, przekonana, że znajdzie ich zwłoki. Ujrawszy oboje, odetchnęła z niewysłowioną ulgą - żyli! Alexis, cała pokryta kurzem, z włosami posklejanymi błotem, leżała pod wagonem stojącym na sąsiednim torze, George otaczał ją ramionami. Dobiegł do siostry w ostatniej chwili, pchnął ją i całym ciężarem ciała przygniótł do ziemi, dzięki czemu pociąg przejechał nad nimi.

Zapanowała cisza przerywana tylko płaczem Alexis i coraz odleglejszym turkotem

niknącego w ciemności pociągu. Edwina osunęła się na kolana przy rodzeństwie. Nadbiegł Ben. Łzy spływały mu po policzkach, nie potrafił wykrztusić słowa. Po chwili pomógł Edwinie wstać, George podniósł się i wyciągnął Alexis spod wagonu. Ben wziął małą na ręce i zaniósł do samochodu. George troskliwie otoczył ramieniem Edwinę, która zatrzymała się, nim doszli do auta, i spojrzała na brata. W wieku trzynastu lat zachował się jak mężczyzna, jak ich ojciec. Nie jak chłopiec czy błazen, lecz naprawdę po męsku. Rozpłakała się i przytuliła go mocno.

- George, kochany... O Boże!... Tak się bałam... Myślałam... - szloch nie pozwolił jej dokończyć.

W drodze do domu Alexis przyznała się do tego, czego George się domyślił - chciała odnaleźć Filipa.

- Żebyś nigdy więcej tego nie robiła! - napominała ją Edwina surowo. Po powrocie do domu wykąpała siostrę i ułożyła w czystej pościeli w swoim łóżku. - Ale to nigdy! - powtarzała. - Przecież mogło ci się coś stać!

Najpierw na "Titanicu" i teraz znowu mała omal nie przyplącała życiem swojej ucieczki. Następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. Edwina wołała nie myśleć, co by było, gdyby George nie przewrócił jej na ziemię. Alexis musiała przyrzec uroczyście, że więcej nie będzie uciekać z domu. Tłumaczyła, że bardzo tęskni za Filipem i chciała go odwiedzić.

- On niedługo przyjedzie - obiecała jej Edwina poważnym tonem. W duchu musiała przyznać, że ona też ogromnie za nim tęskni, ale skoro raz przyznała mu prawo wyboru swojej przyszłości, należało

pogodzić się z jego nieobecnością.

- Mama i tatuś nie przyjechali - poskarżyła się cicho Alexis.

- To co innego. Filip przyjedzie na wiosnę. A teraz spać.

Edwina zgasiła światło i zeszła na dół do Bena. Teraz dopiero przyjrzała się sobie. Była pokryta pyłem z torów kolejowych, spódnicę miała porozrywaną, bluzkę mocno ubrudzoną, a na fryzurę wołała nie patrzeć.

- Jak ona się czuje? - zapytał Ben.

- Dobrze - odparła i pomyślała, że Alexis do końca życia już nikomu nie zaufa, nigdy nie uwierzy, że ktoś, kto odchodzi, wróci. Ocean zabierając małej matkę, pozbawił ją

zarazem ufności.

- Wiesz, o czym myślę, prawda? - Ben miał smutną minę. Po wydarzeniach tego wieczora pytanie, które widniało w oczach George'a w drodze powrotnej ze stacji, powodowało, że był nieszczęśliwy, a nawet zagniewany. Kiedy Edwina układała Alexis do snu, zawiadomił policję, że dziewczynka się odnalazła. - Myślę, że sprawy zaszły za daleko, Edwino - wybuchnął. - Moim zdaniem sama nie dasz sobie rady z dziećmi. To za wiele dla jednej osoby. Dla każdego byłoby za wiele. Rodziców mieliście przecież dwoje.

- Poradzimy sobie - powiedziała cicho. Wrogość George'a wobec Bena również nie uszła jej uwagi.

- Chcesz powiedzieć, że nadal zamierzasz sama się borykać z kłopotami? - Zdenerwowanie ostatnich godzin musiało znaleźć ujście, Ben wyładowywał je więc na Edwinie, która jednak była zanadto wyczerpana, aby się z nim spierać.

- No to co mi radzisz? - zapytała sucho. - Mam ją oddać na wychowanie?

- Możesz wyjść za mąż - oświadczył.

Tego wieczoru Edwina wezwała Bena na pomoc, to prawda, ale oczekiwała wsparcia przyjaciela, nic ponadto. On jednak miał oczy pełne nadziei.

- To nie jest powód do zamążpójścia - odparła. - Nie chcę wychodzić za mąż tylko dlatego, że mam problemy z dziećmi. Zresztą zazwyczaj radzę sobie z nimi sama. A jeżeli opieka nad dziećmi przerośnie moje siły, to wynajmę kogoś do pomocy. Ale za mąż chciałabym wyjść z miłości i kochać mojego męża. Tak jak kochałam Charlesa. Na mniej nigdy nie przystanę. Nie wyjdę za mąż tylko dlatego, że jest mi ciężko. - Pomyślała o życiu, jakie wiedli jej rodzice, i o swoim uczuciu do Charlesa. Nie kochała Bena i wiedziała, że nigdy go nie pokocha. Choćby się złościł, choćby jego przyjaźń stała się dla niej niezbędna.

- Poza tym nie sądzę, żeby dzieci były przygotowane na moje zamążpójście - dodała.

Nie zauważyła, że George, który jadł w kuchni spóźnioną kolację, właśnie stanął w drzwiach i przysłuchuje się ich rozmowie. Wszystkich zmęczyły wydarzenia tej nocy, toteż i Edwina, i Ben mówili coraz bardziej podniesionym głosem.

- Jeżeli oczekujesz ich akceptacji, to popełniasz wielki błąd, Edwino. Oni nigdy do tego nie dorosną. Chcą cię mieć wyłącznie dla siebie. Jak wszystkie dzieci są egoistami i myślą tylko o sobie... Filip, George, Alexis, dwoje najmłodszych... Nie chcą, żebyś miała własne życie, masz być w każdej chwili na ich zawołanie. Ale jak dorosną i już nie będą cię

potrzebować, zostaniesz sama, a ja będę za stary, żeby ci pomóc... - Ruszył w stronę drzwi, a gdy nie odpowiedziała mu ani słowem, zatrzymał się jeszcze: - Oddajesz im całe swoje życie Edwino, chyba wiesz o tym?

Popatrzyła nań i z namysłem skinęła głową.

- Tak, wiem. Ale tego właśnie pragnę... i tak już musi być... Tego oczekiwaliby ode mnie rodzice.

- Mylisz się - rzekł ze smutkiem. - Oni by chcieli, żebyś była szczęśliwa. Chcieliby dla ciebie takiego życia, jakie im przypadło w udziale - podkreślił.

- Pewnie tak, ale to niemożliwe - powiedziała z żalem. - Niemożliwe z mojej strony. Rodzice i Charles zabrali tę część mojego życia ze sobą. Przykro mi - zakończyła.

Przysłuchujący się rozmowie George odczuł ulgę, że Edwina nie zamierza wyjść za Bena. Nie życzył sobie tego i czuł, że Filip też by tego nie chciał.

- Mnie także jest przykro, Edwino - rzekł cicho Ben.

Kiedy wyszedł, Edwina w drzwiach kuchni ujrzała George'a. Patrzyła nań zakłopotana, niepewna, czy słyszał ich rozmowę, choć wszystko na to wskazywało.

- Wszystko gra, siostrzyczko?

Pokryty jeszcze kurzem zbliżył się, spoglądając na nią z obawą w oczach.

- Owszem, jak najbardziej - odparła z uspokajającym uśmiechem.

- Nie jest ci smutno, że nie wyjdiesz za Bena? - spytał, pragnąc wiedzieć, co Edwina naprawdę czuje, a był przekonany, że nigdy go nie okłamywała i tym razem również powie mu prawdę.

- Nie, raczej nie. Gdybym go kochała, wyszłabym za niego już wtedy, kiedy oświadczył mi się po raz pierwszy.

George wyglądał na tak zaskoczonego jej słowami, aż Edwina się uśmiechnęła.

- Myślisz, że w ogóle kiedyś wyjdiesz za męża? - wypytywał siostrę.

Na widok jego zatroskanej miny Edwina się roześmiała. Powoli godziła się z myślą, że nie założy własnej rodziny choćby z tego powodu, że zabraknie jej na to czasu. Zanadto była zajęta uganianiem się z dziećmi, pomaganiem im w nauce czy rozwiązywaniem ich problemów. Zresztą w głębi ducha wiedziała, że tego nie pragnie.

- Wątpię - odrzekła.

- Dlaczego? - spytał z ciekawością, gdy szli schodami na górę.

- Och... z wielu przyczyn... Może dlatego, że za bardzo was kocham? - Westchnęła i poczuła, że wrócił ból gdzieś blisko serca. - A może dlatego, że kochałam Charlesa?... - dodała.

Pomyślała, że kiedy kogoś się kocha, to miłość raz na zawsze odchodzi z tą osobą i dlatego jej miłość utonęła wraz z ukochanym. Jej matka uznała, że nie potrafi żyć bez miłości, i wybrała śmierć razem z mężem. Edwina oddała swe serce Charlesowi i dzieciom. Nie potrafiła dzielić uczuć z nikim więcej.

Dotrzymała George'owi towarzystwa, gdy w łazience zmywał z siebie brud, potem utuliła go do snu jak małego Teddy'ego. Przed wyjściem z pokoju zgasiła lampę i pocałowała brata na dobranoc, po czym zajrzała do malców. Fannie i Teddy pograżeni byli w głębokim śnie. Przez pusty pokój Filipa przeszła do siebie, gdzie Alexis, szczelnie zawinięta w kołdrę, pomrukiwała cicho. Jej złociste włosy rozrzucone były na poduszce. Edwina przysiadła na łóżku, popatrzyła na małą i po raz pierwszy od dłuższego czasu sięgnęła na dno kufra. Wiedziała, że to, czego szuka, wciąż jest w pudełku, które przyjechało z Anglii, starannie obwiązany niebieskimi atłasowymi wstążkami.

Wyjęła pudełko, postawiła na podłodze i otworzyła. Wianek z maleńkich perełek i biały atłas zaśniły w blasku księżyca. Gdy trzymała w dłoniach swój ślubny welon, morze tiulu falowało wokół niej jak we śnie. Pomyślała, że tego wieczoru powiedziała George'owi prawdę: w jej życiu nie będzie już innego mężczyzny... Będzie Filip i George, i Alexis, i reszta rodzeństwa - lecz nikt więcej. Obdarzenie uczuciem kogoś innego mogłoby ją zbyt wiele kosztować, okazać się zanadto bolesne... Nie będzie miała męża.

Ułożyła w pudełku starannie poskładany welon, a kiedy zawiązywała wstążki, nie czuła łez, które toczyły się jej po policzkach. Dla niej życie skończyło się tam, na dalekim oceanie, gdy mężczyzna, którego kochała, odszedł... Była nieprzytomnie zakochana w Charlesie i wiedziała, że z całą pewnością nie pokocha innego.

Rozdział siedemnasty

Gdy czternastego czerwca 1914 roku pociąg z Bostonu wjeżdżał na stację, Edwina stojąca za George'em z całych sił machała ręką do Filipa, który radośnie uśmiechnięty, wychylał się z okna przedziału. Wydawało im się, że od jego ostatniego pobytu w domu minęło tysiąc lat, a przecież upłynęło zaledwie dziewięć miesięcy, odkąd wyjechał do Harvardu.

Wysiadł jako pierwszy i po chwili ścisnął ich serdecznie. George wydawał z radości dzikie indiańskie okrzyki, a maluchy skakały i piszczwały podekscytowane. Alexis wypłynął na twarz niedowierzający uśmiech, jakby pomimo zapewnień i obietnic Edwiny nie była dotychczas pewna, czy starszy brat wróci do domu.

- Cześć, słoneczko. - Chłopiec przytulił Alexis, która zmrużyła oczy, promieniejąc zadowoleniem. Wrócił, a oni byli szczęśliwi, bo nareszcie ziściły się ich marzenia. George lekko poszturchiwał brata pięściami w pierś i co rusz pociągał za włosy, tym razem wszakże Filip tylko szczyrzył zęby w uśmiechu, pozwalając mu na wszystko. Jakże cieszył się z przyjazdu do domu!

Kiedy wrócił do przedziału, by przez okno podać bagaże, Edwina zauważyła, jak bardzo wyrósł i zmężniał w ciągu ostatniego roku. Sprawiał wrażenie młodzieńca dojrzałego, wiedzącego, jak się zachować i wytwornego w każdym calu. Miał prawie dziewiętnaście lat, a jej wydawał się nawet starszy.

- O co chodzi, siostrzyczko? - spojrzał na nią nad głową George'a.

Edwina uśmiechnęła się szeroko.

- Zdaje mi się, że przez ten czas tylko rosłeś. Nieźle wyglądasz - pochwaliła.

Mieli jednakowe błękitne oczy i obydwójce byli bardzo podobni do matki.

- Ty też nieźle wyglądasz - zauważył od niechcienia.

Nie zamierzał przyznawać się siostrze, jak często nocą nie mógł spać, bo tęsknił za domem. Poza tym na Harvardzie nawet mu się podobało. Ben Jones miał rację, gdy zachwalał uniwersytet. Bywały wszakże chwile, kiedy chłopcu wydawało się, że Kalifornia została niewyobrażalnie daleko, i zdawało mu się wtedy, iż znalazł się na innej planecie. Od domu dzieliły go cztery dni podróży pociągiem. Gdy odbywał ją po raz pierwszy, odnosił wrażenie, że trwa całą wieczność. Boże Narodzenie spędził w Nowym Jorku u kolegi, z

którym mieszkał. Przez całe święta strasznie tęsknił za Edwiną i dziećmi, choć im brakowało go chyba jeszcze bardziej. Chwilami Edwina bała się, że Alexis nie przeżyje rozłąki z bratem.

Filip zauważył, że Bena nie ma wśród oczekujących, i zdziwiony, unosząc brwi, zapytał o niego, gdy szli do samochodu zaparkowanego przed stacją.

- Wyjechał do Los Angeles - z uśmiechem odparła Edwina. -Przesyła ci pozdrowienia. Na pewno będzie chciał zjeść z tobą lunch i porozmawiać o Harvardzie.

Ona także chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Listy Filipa były fascynujące. Pisał o ludziach, których poznał, o tym, czego się uczy, i o profesorach wykładających na uczelni. Czasami odczuwała zazdrość, że to nie ona jest studentką Marzyła o poznaniu miejsca takiego jak Harvard. Przed śmiercią rodziców i Charlesa nie zwracała sobie głowy dalszą nauką. Wtedy pragnęła wyjść za mąż i mieć dzieci. Ale odkąd spadła na nią odpowiedzialność za liczne sprawy, odkąd brała udział w comiesięcznych zebraniach w wydawnictwie, chciała wiedzieć więcej. Czuła, że powinna uczyć rodzeństwo nie tylko pieczenia ciastek czy sadzenia stokrotek w ogrodzie.

- Kto was tu przywiózł? - zapytał Filip. Baczył, aby George nie upuścił pudła z książkami, prowadził Alexis za rękę i równocześnie patrzył, co robią Fannie i Teddy. Cóż, jak zwykle przy dzieciach niezbędne są umiejętności żonglerskie, pomyślała Edwina, z uśmiechem przyglądając się wysiłkom brata.

- Ja - odparła z dumą.

Filip roześmiał się niedowierzająco.

- Nie żartuj!

- Mówię poważnie. A co? Myślisz, że nie umiem prowadzić?

Uśmiechała się do brata radośnie, stojąc obok packarda, którego kupiła sobie w prezencie na dwudzieste trzecie urodziny.

- Naprawdę, Edwino?

- Oczywiście. Pakuj bagaże do kufra i wsiadaj wreszcie. Zawiozę cię do domu, paniczku Filipie.

Upchnęli większość walizek do bagażnika, resztę umocowali na dachu pięknej granatowej limuzyny. Kiedy jechali do domu, Filip nie krył zdziwienia, że siostra z taką swobodą prowadzi samochód. Dzieci przekomarzały się, a rozgorączkowany George sam

nie wiedział, o co by jeszcze zapytać brata. Tyle rzeczy działo się równocześnie, że gdy dojechali na miejsce, Filip zażartował, iż z wrażenia rozboleła go głowa.

- Widzę, że nic się nie zmieniło - zauważył, po czym bacznie popatrzył na siostrę. Wyglądała dobrze, była jakby ładniejsza, niż ją zapamiętał. Aż dziw, że ta urocza młoda kobieta, która tak wspaniale zajmowała się rodziną, była ich siostrą, a nie matką, i mimo to wybrała samotne życie, całkowicie poświęcając się rodzeństwu. - Czy wszystko tutaj gra? - zapytał ją cicho, gdy wchodzili do domu.

- Tak, Filipie. - Przystanęła, by zająrzeć mu w oczy. Bardzo wyrósł, odkąd wyjechał z domu, i teraz spoglądał na nią z góry. Zdawało jej się nawet, że jest nieco wyższy niż był ojciec.

- Podoba ci się na tym uniwersytecie? To znaczy...

Bez namysłu skinął głową.

- To strasznie daleko od domu, ale uczę się cudownych rzeczy i poznaję ciekawych ludzi. Chciałbym tylko mieć trochę bliżej do was.

- To już nie potrwa długo - pocieszyła brata Edwina. - Jeszcze trzy lata i wrócisz, żeby poprowadzić wydawnictwo.

- Nie mogę się doczekać! - roześmiał się radośnie.

- Ja też nie. Zaczynam mieć dość spotkań w sprawach gazety.

Nawet załatwianie interesów wspólnie z Benem bywało ostatnio męczące. Po ponownym odrzuceniu jego oświadczyn tamtej nocy, gdy Alexis o mało nie zginęła pod pociągiem, był ogromnie rozczarowany. Pozostali co prawda przyjaciółmi, tyle że w czasie spotkań zachowywali większy dystans.

- Kiedy jedziemy nad Tahoe, Weenie? - zapytał Filip. Rozglądał się po domu, jakby nie widział go od wielu lat. Rozkoszował się domową atmosferą, dotykał sprzętów i znajomych drobiazgów. Edwina nie sądziła, że chłopiec tak mocno odczuwa brak starych kątów.

- Chyba za kilka tygodni - odparła. - Myślę, że jak zwykle w lipcu. Jak planowałam wyjazd, nie wiedziałam, co zamierzasz robić w sierpniu.

We wrześniu Filip znów miał wyjechać do Harvardu, mieli jednak przed sobą dwa i pół miesiąca radości.

Przez pierwszy tydzień spełniali każdą zachciankę Filipa: chodzili na obiady do jego

ulubionych restauracji, odwiedzali jego najlepszych przyjaciół. Z początkiem lipca Edwina zauważyła, że w życiu Filipa pojawiła się pewna młoda dama. Była ładną, jasną, bardzo delikatną dziewczyną i gdy przychodziła do nich na obiad, wydawało się, że chłonie każde słowo Filipa. Miała zaledwie osiemnaście lat. W jej obecności Edwina czuła się jak leciwa jejmość, dziewczyna bowiem odnosiła się do niej z takim szacunkiem, jakby była poważną matroną, znacznie od niej starszą. Pewnego dnia napomknęła o tym Filipowi, który się roześmiał i wyjaśnił, że jego sympatia chce zrobić na niej dobre wrażenie. Panna nazywała się Becky Hancock i tak się złożyło, że jej rodzice posiadali dom nad Tahoe, niedaleko obozowiska Winfieldów.

W lipcu często się spotykali, ponieważ Becky kilkakrotnie zaprosiła Filipa, Edwinę i George'a na tenisa. Edwina grała całkiem nieźle, toteż gdy Filip z Becky zeszli z kortu, z satysfakcją rozegrała z George'em kilka gemów.

- Nieźle jak na taką staruszkę - drażnił się z nią George po kolejnej porażce. W odpowiedzi rzuciła w niego piłką.

- Poczekaj, już ja ci pozwolę prowadzić mój samochód! - odgrażała się.

- No dobrze, przepraszam - zmitygował się George.

Ostatnio z samochodu często korzystał Filip, gdy woził Becky, ale jak tylko auto było wolne, Edwina uczyła George'a prowadzić. Choć miał dopiero czternaście lat, szło mu to nad wyraz dobrze, przy czym w takie dni był mniej skłonny do psot. Edwina zauważyła ponadto, że zaczyna zwracać większą uwagę na osoby płci odmiernej.

- Filip jest głupi, że ugrzązł przy tej dziewczynie - powiedział pewnego razu. Jechali sami, za kierownicą siedział George. Filip został w obozie z młodszym rodzeństwem.

- Dlaczego tak uważasz? - spytała Edwina. Ona z pewnością ujęłaby to inaczej, czuła jednak, że brat ma rację, i ciekawa była, jak uzasadni swoją opinię.

- Bo on jej się podoba z niewłaściwych przyczyn.

Interesująca uwaga, przyznała Edwina w duchu, na głos zaś zapytała:

- To znaczy?

George przez chwilę nie odpowiadał, koncentrując się na prowadzeniu. Po mistrzowsku wziął zakręt, aż Edwina go pochwaliła.

- Dzięki, siostrzyczko - rzekł, po czym wrócił do tematu. - Czasami myślę, że on jej się podoba z powodu gazety naszego tatusia - wyrzucił z siebie.

Ojciec Becky był właścicielem restauracji i dwóch hoteli, a więc człowiekiem zamożnym, lecz gazeta Winfieldów przynosiła większy dochód, ponadto była bardziej prestiżowym przedsięwzięciem. Pewnego dnia Filip będzie osobą liczącą się w mieście, jak nasz ojciec, pomyślała Edwina. Becky, nie pozbawiona sprytu, rozglądała się za odpowiednim kandydatem na męża, ale Filip był za młody, by myśleć o małżeństwie, i Edwina miała nadzieję, że jeszcze długo nie przyjdzie mu to do głowy.

- Może masz rację - przyznała, - Ale trzeba wziąć pod uwagę, że twój brat jest wyjątkowo przystojnym chłopcem - rzekła z uśmiechem.

George lekceważąco wzruszył ramionami, a gdy dojeżdżali do domu, obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Czy potępiłabyś mnie, Edwino, gdybym, jak dorosnę, nie miał ochoty pracować w gazecie?

Słowa brata zaskoczyły ją, mimo to pokręciła głową.

- Nie, na pewno bym cię nie potępiła. A dlaczego nie chciałbyś tam pracować?

- Nie wiem... Po prostu myślę, że to by mnie nudziło. To praca w sam raz dla Filipa, nie dla mnie-mówił tak poważnie, że Edwina się uśmiechnęła. Był bardzo młody i jeszcze niedawno zachowywał się naprawdę niesfornie. Ostatnio jakby spoważniał, a teraz, proszę, zdecydował, że nie odpowiada mu kariera w wydawnictwie!

- Co cię w takim razie interesuje?

- Bo ja wiem?... - zawahał się, lecz po chwili zaczął wyjawiać siostrze swe marzenia.

- Jak urosnę, chciałbym robić filmy.

Edwina spojrzała nań zdumiona, dostrzegła jednak powagę na jego twarzy i zrozumiała, że chłopiec nie żartuje. Pomysł był tak niezwykły, że wybuchnęła śmiechem, George zaś, jakby bojąc się, że siostra go wykpi, jął tłumaczyć, jakie to ekscytujące zajęcie, i nawet opowiedział jej film z Mary Pickford, który ostatnio oglądał.

- A kiedy go widziałeś? - spytała z udaną surowością. Nie przypominała sobie, żeby ostatnio pozwalała mu chodzić do kina.

George wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- W zeszłym tygodniu, jak byłem na wagarach.

Edwina próbowała zrobić oburzoną minę, w końcu jednak obydwójce zaczęli się śmiać.

- Jesteś okropny!

- Pewnie - potwierdził radośnie - ale przyznaj, że mnie kochasz.

- Nie jestem wcale tego pewna - odparła.

Zajęła miejsce za kierownicą i odprężeni jechali spokojnie w stronę domu, rozmawiając o przyszłości, o rodzinie i o filmach, które fascynowały George'a, wreszcie o należącej do nich gazecie. Gdy dojechali do obozowiska, Edwina zatrzymała samochód i spojrzała na brata z niedowierzaniem.

- Mówiłeś poważnie, prawda, George? - upewniła się, choć w głowie jej się nie mieściło, że brat o czymkolwiek potrafi myśleć poważnie. Dotąd wszystko rozpatrywał w kategoriach dziecięcych psot.

- Tak, mówiłem serio. I pewnego dnia będę robił filmy, zobaczysz - odpowiedział z uśmiechem. Edwina była nie tylko jego siostrą, była najlepszym przyjacielem. - Ja będę kręcił filmy, a Filip poprowadzi gazetę.

- Mam nadzieję, że choć jeden z was zainteresuje się wydawnictwem. Byłabym wściekła, gdyby moje wysiłki poszły na marne.

- Zawsze możesz je sprzedać i zarobić niezłą sumkę - stwierdził optymistycznie.

Edwina wiedziała jednak, że nie jest to takie proste. Dochodziło do nieporozumień z pracownikami, spadły dochody. Byłoby zapewne inaczej, gdyby o interesy troszczył się sam właściciel. Jeszcze tylko trzy lata kłopotów, dopóki Filip nie skończy Harvardu, pomyślała Edwina. Tyle że teraz trzy lata wydawały jej się niewyobrażalnie długim okresem.

- Dobrze wam się jeździło? - zapytał Filip, gdy zjawili się w domu. Teddy spał w hamaku pod drzewem, on zaś skończył właśnie długą i poważną rozmowę z Fannie i Alexis. George przebierał się u siebie w strój, w którym chodził na ryby, gdyż umówił się na pstrągi z sąsiadem.

- O czym rozmawialiście? - spytała Edwina i usiadła obok sióstr i brata.

- O mamie. O tym, jaka była śliczna - powiedział cicho Filip.

Alexis od dawna nie wyglądała na tak szczęśliwą. Uwielbiała słuchać opowiadań o mamie i czasami nocą, gdy spała w łóżku Edwiny, godzinami męczyła siostrę, by jej opowiadała o niej. Dla starszych dzieci wspomnienie rodziców było bolesne, lecz maluchy domagały się tych opowieści, a Teddy wręcz uwielbiał słuchać historii o swoim ojcu.

- Dlaczego oni umarli? - zapytał Edwinę któregoś dnia.

- Bo Pan Bóg tak bardzo rodziców kochał, że chciał mieć ich blisko siebie - odpowiedziała. Teddy pokiwał ze zrozumieniem główką, po czym spojrzał na nią zaniepokojony.

- Czy on ciebie też kocha?

- Nie aż tak bardzo, kochanie.

- To dobrze.

Chłopczyk zadowolił się tym wyjaśnieniem i zaczęli rozmawiać o czym innym. Edwinie zrobiło się smutno, gdy zdała sobie sprawę, że Teddy był za mały, by zapamiętać rodziców. Alexis jednak wciąż ich wspominała, nawet Fannie pamiętała co nieco. Od ich śmierci upłynęły dwa lata, ból więc trochę przycichł, co czuła także Edwina.

- Przeglądałaś dzisiejszą prasę? - rzucił Filip mimochodem.

Edwina odparła, że nie miała czasu jej kupić, zapowiedział więc, że przyniesie gazetę wracając od Becky.

W ciągu ostatniego roku żywo interesował się polityką, napomykał też, iż będzie się specjalizował w naukach politycznych. Kilka tygodni wcześniej zaintrygowała go wiadomość o zamordowaniu następcy tronu Austrii i nieraz przekonywał Edwinę, że to wydarzenie będzie miało znacznie większe konsekwencje, niż ludziom się wydaje. Mimo to otworzywszy tego popołudnia gazetę, zdumiał się, gdy stwierdził, że trafnie odgadł. Przed nim leżał "Telegraph Sun", gazeta Winfieldów Wielki tytuł na pierwszej stronie krzychał: "Wojna w Europie!" Na ulicy przechodnie zbierali się w grupki i komentowali tę wiadomość. Zamordowanie w Sarajewie arcyksięcia Ferdynanda i jego żony dało Austriakom pretekst do wypowiedzenia wojny Serbii. Wtedy Niemcy wszczęły wojnę z Rosją, po dwóch dniach z Francją, a później najechały neutralną Belgię. W odpowiedzi na to nazajutrz Anglia wydała wojnę Niemcom. Zakrawało to na szaleństwo, niemniej w ciągu tygodnia prawie wszystkie kraje Europy były ze sobą w stanie wojny

- Na ile dotyczy to Ameryki? - zapytała Edwina, gdy kilka dni później wracali do San Francisco. - Myślisz, że my też przystąpimy do wojny? - popatrzyła na Filipa z obawą, lecz brat ją uspokoił.

Zafascynowany rozwojem wydarzeń Filip pochłaniał wszystko, co się dało na ten temat przeczytać. Po powrocie do San Francisco udał się natychmiast do redakcji gazety.

Gdy Ben też się tam pokazał, spędzili długie godziny dyskutując o informacjach docierających z Europy.

Do końca miesiąca wiadomości z pól bitewnych były głównym tematem wszelkich rozmów. Do stron walczących przyłączały się kolejne państwa, tak że w krótkim czasie wojenna zawierucha ogarnęła większość świata.

Filip, wciąż zafascynowany wojną, z początkiem września wracał do Harvardu. Gdzie tylko pociąg przystanął, chłopiec kupował gazetę i z młodzieńczym zapałem wymieniał z pasażerami uwagi na temat przeczytanych wiadomości. Jego zainteresowanie spowodowało, że Edwinę też zaciekała problematyka wojenna. Aby być na bieżąco czytała każdą informację, jaka wpadła jej do ręki, zwłaszcza przed comiesięcznymi zebraniem w wydawnictwie, choć w tym akurat czasie miała własne, bardziej prozaiczne kłopoty ze związkami zawodowymi. Bywały chwile, kiedy wątpiła, czy uda jej się utrzymać gazetę przez następne dwa i pół roku. Oczekiwanie, aż Filip skończy studia, wydawało się nie mieć końca. Decyzje podejmowała wyważone, powiadamiała o nich pracowników spokojnie. Nie chciała ryzykować utraty pisma wskutek nieprzemyślanych kroków i choć krytykowano ją za konserwatyzm, wiedziała, że na razie musi hamować zapędy i swoje, i innych.

W roku 1914 Filip studiował na drugim roku w Harvardzie. Wojna w Europie nabierała rozmachu, niemieckie łodzie podwodne właśnie rozpoczęły blokadę Wielkiej Brytanii. Edwina nadal otrzymywała wieści od ciotki Liz, choć dochodziły coraz mniej regularnie. Jej listy, zawsze w tym samym pełnym skarg tonie, zdawały się ociekać smutkiem. Nie wywierały na Edwinie wrażenia, ponieważ ciotka i jej sprawy jakby się od niej oddaliły. Liz była dla Winfieldów osobą, z którą kiedyś tam się widzieli, lecz w gruncie rzeczy nigdy jej nie znali. Wciąż nalegała, by Edwina spakowała rzeczy matki - co już dawno uczyniła - żeby sprzedała gazetę i dom i zamieszkała z nią w Havermoorze. Tego by Edwina nigdy nie zrobiła, toteż w ogóle tego tematu nie poruszała w odpowiedziach na listy krewnej.

Pomimo wojny w lutym tego roku otworzono w San Francisco Wystawę Światową, na którą Edwina zabrała dzieci. Wycieczka bardzo im się spodobała, toteż domagały się, żeby chodzić tam co tydzień. Najciekawsze było, demonstrowane po raz pierwszy, dalekodystansowe połączenie telefoniczne między Nowym Jorkiem i San Francisco. Gdy

Filip pojechał do przyjaciół w Nowym Jorku, poprosił, aby mu pozwolono zadzwonić do San Francisco, zobowiązując się pokryć koszty połączenia.

Gdy telefon zadzwonił tego wieczoru, dzieci właśnie jadły kolację. Edwina podniosła słuchawkę, nie domyślając się niczego. Realizująca rozmowę telefonistka poprosiła, aby się nie rozłączać, i oto Edwina usłyszała głos Filipa. Połączenie nie było najlepsze, miało wiele zakłóceń, ale słyszała brata, przywołała więc dzieci, aby też posłuchały jego głosu. Każde mu coś powiedziało, Filip zaś, cierpliwie wysłuchawszy ich, przekazał wszystkim ucałowania, po czym rozłączył się. Ta rozmowa bardzo podekscytowała Winfieldów i jakby przybliżyła im brata, na którego przyjazd z niecierpliwością czekali.

W Harvardzie Filip uczestniczył w uroczystości, którą bardzo boleśnie przeżył, odświeżyła bowiem prawie zasklepione już rany. Otóż pani Widener zaprosiła go na uroczystość nadania bibliotece imienia jej tragicznie zmarłego syna, Harry'ego Elkinsa Widenera. Chłopcy widzieli się po raz ostatni na "Titanicu". Filip dobrze zapamiętał młodego Widenera, który utonął razem z ojcem. Harry przyjaźnił się z Jackiem Thayerem, również obecnym na uroczystości. Filip zamienił z nim kilka słów, lecz zaraz się rozstali. Dziwnie chłodne było to spotkanie zważywszy, że po katastrofie znaleźli się w tej samej łodzi ratunkowej.

Przez dzień czy dwa lokalne gazety nagabywały Filipa, pragnąc przeprowadzić z nim wywiad jako z jednym z rozbitków, wreszcie jednak dały mu spokój, co przyjął z ulgą. Ci, co ocalili z "Titanica", zbyt wiele utracili i zbyt wiele ich kosztowało pogodzenie się z losem, aby wracać do przeżytej tragedii. Filip napisał Edwinie, że spotkał Jacka Thayera, ale pominęła to milczeniem, on więc także o tym więcej nie mówił. Wiedział, że przypominanie tamtych tragicznych chwil jest dla niej rozdrapywaniem ledwie zabliźnionej rany. Nieczęsto wspominała owe wydarzenia i prawie nigdy Charlesa. Stratę narzeczonego przeżywała w skrytości ducha i wciąż na nowo. Filip podejrzewał, że tak już będzie zawsze. Jego siostra nie potrafiła wyrzucić z pamięci tamtej nocy, która bezpowrotnie zabrała jej młodość.

Prawdziwy cios spadł na nich w maju. Filip szedł właśnie przez miasteczko studenckie, gdy usłyszał wiadomość, która nim wstrząsnęła. Aż przeszedł go dreszcz, gdy mimo woli wróciło doń wspomnienie tamtej lodowatej nocy sprzed trzech lat.

Otóż Niemcy storpedowali statek pasażerski "Lusitania", który bez powodu został zaatakowany i w ciągu osiemnastu minut poszedł na dno wraz z tysiącem dwustu pasażerami. Opinię publiczną na całym świecie bardzo poruszyła ta zbrodnia. Filip doskonale potrafił sobie wyobrazić agonię tonącego statku. Przez cały ranek myślał o zbrodniczym ataku i o tym, jak bardzo dotknie ta wiadomość jego starszą siostrę. Czuł, że Edwina mocno to przeżyje.

Nie omylił się. Usłyszawszy o nieszczęściu, zamknęła oczy i śmiertelnie pobladła, po czym aby się uspokoić, piechotą poszła z redakcji do domu na California Street. Ben chciał ją podwieźć, lecz odmówiła, potrząsając w milczeniu głową. Nie powiedziała ani słowa, jakby go nie widziała.

Szła powoli, rozmyślając, podobnie jak Filip, o okropnej nocy sprzed trzech lat, która zmieniła całe ich życie. Sądziła, że wspomnienia te przybladły, jednakże tragiczny los "Lusitanii" przywołał je ze wzmożoną siłą. I znów powróciły obsesyjne myśli o rodzicach i Charlesie. Zdawało jej się, że dostrzega ich twarze poprzez mgłę łez, gdy odmawiała modlitwę za pasażerów "Lusitanii", Znowu słyszała orkiestrę na "Titanicu" grającą żałobny hymn tuż przed zatonięciem statku; poczuła na twarzy mroźne podmuchy wiatru; usłyszała okropny trzask rozpadającego się kolosa... Wróciło bolesne poczucie utraty tych, których kochała.

- Edwino? - Alexis wystraszyła się wyrazu twarzy siostry wchodzącej frontowymi drzwiami, jej lunatycznych ruchów, gdy podnosiła woalkę i zdejmowała kapelusz. - Czy coś się stało? - spytała.

Miała teraz dziewięć lat, o wiele za mało, by przypominać jej rodzinną tragedię. Edwina delikatnie musnęła twarz dziecka i pokręciła głową. Zdradzały ją tylko oczy.

- Nic się nie stało, kochanie - powiedziała.

Dziewczynka wyszła bawić się na dwór, a Edwina długą chwilę patrzyła za nią.

Gdy zadzwonił Filip, Edwina była już spokojna.

- To paskudna wojna, prawda, Weenie? - powiedział.

- Jak mogli coś takiego zrobić?... Statek pasażerski... - Sama myśl o zatonięciu "Lusitanii" przyprawiała ją o dreszcz i wzmagała dawny ból.

- Nie myśl o tym - uspokajał ją Filip.

Ale jak można było nie myśleć? Wspomnienia natrętnie cisnęły się do głowy,

słyszała skrzyp opuszczanych łodzi ratunkowych, jęki ludzi tonących w lodowatej wodzie... Bardzo chciała o tym zapomnieć, ale niestety, zaczynała się obawiać, że nigdy jej się to nie uda. Co noc bowiem leżała w łóżku rozmyślając o rodzicach, Charlesie i nie ziszczonych marzeniach o życiu u jego boku.

Rozdział osiemnasty

Po zatonięciu "Lusitania" Włochy zerwały sojusz z Niemcami i wypowiedziały wojnę Austrii. We wrześniu tego roku wojska rosyjskie, straciwszy w walkach tysiące żołnierzy, wycofały się z Polski, Litwy i Kurlandii. Wojna nieprzerwanie zbierała okrutne żniwo a Ameryka wciąż przyglądała się temu z boku.

W roku 1916 Niemcy i Francuzi stracili prawie siedemset tysięcy ludzi pod samym tylko Verdun, ponad milion padło nad Sommą. Niemieckie U-booty kontynuowały bezwzględną wojnę zaczepną topiąc statki handlowe i pasażerskie na równi z wojennymi, co wzmagało oburzenie światowej opinii publicznej. Nawet Portugalia przystąpiła do wojny. Nieprzerwanie trwały naloty niemieckich samolotów na Londyn. W listopadzie Wilson został ponownie wybrany na prezydenta USA, głównie po to, by trzymać kraj z dala od wojny. Oczy świata zwrócone były jednak na Europę, gdzie bez przerwy trwała rzeź, jakiej historia dotąd nie znała.

Ostatniego dnia stycznia 1917 roku Berlin zawiadomił Waszyngton o rozpoczęciu nieograniczonej wojny prowadzonej przez łodzie podwodne, które miały zatapiać każdy statek wiozący dostawy broni dla wroga. Kilka dni później prezydent Wilson musiał zająć zdecydowane stanowisko. Wprawdzie dotąd twierdził, że Stany Zjednoczone są "narodem zbyt dumnym, aby walczyć" teraz jednak ogłosił, że chce bronić amerykańskiej wolności i demokracji.

Do Edwiny wciąż dochodziły, aczkolwiek bardzo nieregularnie listy od ciotki Liz. Docierały one z Europy różnymi okrężnymi drogami. Wynikało z nich, że ciotce wiedzie się nie najgorzej pomimo okropnej pogody oraz niedostatku paliwa i żywności. Błagała Edwinę żeby dbała o siebie, i skarżyła się, iż tęskni za nimi. Miała nadzieję, że po wojnie przyjadą ją odwiedzić, ale na myśl o podróży Edwinie ciarki chodziły po grzbiecie, bo teraz mocno przeżywała nawet przeprawę promem do Oakland.

Często bywała w wydawnictwie, gdzie z zainteresowaniem przysłuchiwała się mężczyznom dyskutującym o wojnie. Jej stosunki z Benem wróciły do normy, tak że znów byli najlepszymi przyjaciółmi. Ben w końcu pogodził się z tym, że Edwina nie zamierza wychodzić za mąż i że odpowiada jej poświęcenie życia młodszemu rodzeństwu. Potrzebowała przyjaźni Bena, jego męskiego spojrzenia na sprawy polityki i wojny, na

problemy wydawnictwa. Potrafili omawiać te kwestie bez końca.

Edwinę cieszył rychły powrót Filipa, który kończył ostatni rok studiów w Harvardzie, czuła bowiem, że najwyższa pora, aby wydawnictwem zajął się ktoś z rodziny. Wywiązało się ostre współzawodnictwo na rynku prasy, a na czele innych gazet stali właściciele znający się na rzeczy. Najbardziej znane było wydawnictwo Youngów, potentatów prasowych w San Francisco. Gazeta Winfieldów, niegdyś świetnie prosperująca dzięki wieloletnim staraniom Berta, wyraźnie podupadła. Nadszedł więc czas, aby Filip przejął prowadzenie interesów. Edwina zdawała sobie sprawę, że zanim brat pozna wystarczająco tajniki firmy, minie rok lub dwa, ale miała nadzieję, że uda mu się doprowadzić wydawnictwo do stanu, w jakim było niegdyś. Ostatnio zyski z gazety zmalały, choć ciągle mieli dość pieniędzy, by wieść dostatnie życie. Edwina rada była niezmiernie, że Filip wraca. Jesienią z kolei George miał podjąć studia w Harvardzie.

Niestety, 6 kwietnia Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Edwina wróciła do domu z zebrania w redakcji w poważnym nastroju. Niepokoili ją o swoich chłopców, aczkolwiek doszli z Benem do wniosku, że w żaden sposób zdarzenie to nie wpłynie na życie Filipa i George'a, studentów bowiem nie powoływano do wojska, George zaś był za młody. Rozmowa z Benem dodała jej otuchy w obliczu tych wszystkich okropności, o których czytała w gazecie, pozwoliła na chwilę zapomnieć o setkach tysięcy młodych istnień złożonych w ofierze na ołtarzu wojny.

Gdy wróciła do domu, Alexis powiedziała jej, że telefonował Filip i że ma zadzwonić jeszcze raz. Tego dnia jednak chłopiec już się nie odezwał i Edwina zupełnie o tym zapomniała. Czasami dzwonił tylko po to, aby porozmawiać o wydarzeniach na świecie, i choć Edwina nie zachęcała go do ekstrawaganckich wydatków na telefon, cieszyło ją, że brat chce się z nią dzielić myślami. Dni upływały jej na zbieraniu z podłogi lalek, zawiązywaniu wstążek we włosach dziewczynek i besztaniu Teddy'ego za rozrzucanie ołowianych żołnierzyków, toteż rozmowy z braćmi na poważniejsze tematy były dla niej prawdziwą rozrywką. George również interesował się wojną, choć o wiele bardziej zajmowały go filmy, które o niej robiono. Każdą wolną chwilę spędzał na ich oglądaniu, zabierając do towarzystwa którąś ze swych licznych sympatii. Edwina z uśmiechem na to patrzyła. Zachowanie brata przypominało jej trochę własną młodość, gdy najważniejsze było uczestnictwo w przyjęciach, balach i kolacjach. Teraz czasami bywała

w towarzystwie, lecz zupełnie inaczej się czuła bez Charlesa u boku. Nikt go nie mógł zastąpić, nie szukała zatem kandydata na męża. Miała prawie dwadzieścia sześć lat i na ogół była zadowolona z życia.

George napomykał czasem, że powinna częściej bywać wśród ludzi. Pamiętał, jak to było "przedtem", gdy odświętnie ubrani rodzice wychodzili na przyjęcia, a Edwina, wystrojona w śliczną suknie, spędzała wieczory poza domem w towarzystwie Charlesa. Kiedy jednak przypominał tamte czasy, Edwina tylko smutniała. Nie chciała wracać do nich myślą. Choć młodsze siostry nieraz ją nudziły by pokazała im sukienki, które kiedyś nosiła, nie potrafiła się na to zdobyć. Większości nie umiałyby nawet odnaleźć, pochowała je bowiem już dawno. Ostatnio ubierała się poważniej, próbowała nawet nosić odzież po matce. Wyglądała w tych strojach jak młoda matrona.

- Dlaczego już nigdzie nie bywasz? - zapytał ją wprost George lecz Edwina twierdziła, że wychodzi wystarczająco często. Nie minął tydzień, jak była na koncercie z Benem i jego nową panią.

- Przecież wiesz, o czym myślę - z irytacją rzekł na to George.

Chodziło mu o męskie towarzystwo, Edwina wszakże nie zamierzała na ten temat rozmawiać z bratem. Rodzeństwo z jednej strony uważało, że najstarsza siostra powinna mieć więcej rozrywek, równocześnie zaś okazywało niebywałą zaborczość, wykluczając pojawienie się u jej boku mężczyzny. Edwiny nie kosztowało wiele wyrzeczenie się tej strony życia kobiety, wciąż bowiem marzyła o Charlesie, chociaż po pięciu latach wspomnienia zaczynały się zacierać. Mimo to czuła się nadal jego narzeczoną. Nienawidziła szeptów i plotek na swój temat: "Tragiczne... okropne... biedactwo... Taka śliczna panna... Narzeczoną zatonął na "Titanicu", rodzice też... Wychowuje rodzeństwo..." Znadto była dumna, by okazać, że irytuje ją szum wokół jej osoby, i zbyt wrażliwa, aby nie było jej przykro, gdy nazywano ją starą panną. Wiedziała, że to prawda, ale nie chciała pozwolić, by w wieku dwudziestu pięciu lat podobne myśli zatruwały jej życie, i utrzymywała, że krążąca opinia nie ma dla niej znaczenia. Ta część życia została przed nią zamknięta na zawsze. Od dawna nie oglądała swego ślubnego welonu, nie mogąc znieść bólu, jaki wywoływał jego widok. Obiecała sobie więcej go nie oglądać. Chyba że Alexis lub Fannie miałyby go włożyć do swojego ślubu na pamiątkę miłości, która nigdy nie umarła. Takie myśli jednak Edwina od siebie tymczasem odsuwała. Miała tyle innych

spraw na głowie!

Filip tego wieczoru ostatecznie nie zadzwonił, George zaś wrócił do domu naładowany wiadomościami o wojnie. Kilkakrotnie wyraził rozczarowanie, że nie jest wystarczająco dorosły, aby się zaciągnąć. Kiedy Edwina ostro przykazała, aby wybił to sobie z głowy, brat oburzył się na jej "wysoce niepatriotyczną" postawę.

- Szukają ochotników, Weenie! - Zmarszczył brwi uświadomiwszy sobie naraz niechętnie, że jest piękniejsza od ich matki. Była wysoka i szczupła, z długimi lśniąco czarnymi włosami, które w domu nosiła swobodnie rozpuszczone. Tak wyglądała znacznie młodziej niż w poważnych fryzurach, które upinała idąc do miasta, wydawnictwa lub na przyjęcie.

- Niech sobie szukają! - popatrzyła na niego gniewnie. - Ty nawet o tym nie myśl! Jesteś za młody. A Filip musi pokierować gazetą. Niech inni idą na wojnę, która na szczęście wkrótce się skończy - powiedziała surowo, chociaż nic nie wskazywało, żeby to miało rychło nastąpić. Tysiące żołnierzy nieprzerwanie ginęły w okopach całej Europy.

Pięć dni po tym, jak Kongres ogłosił przystąpienie Stanów do wojny, Edwina wracała do domu z ogrodu z naręczem róż, które sadziła jeszcze jej matka. Znalazszy się blisko drzwi kuchennych, śmiertelnie zbladła: stał w nich z poważną miną Filip, wysoki i przystojny. Edwina zatrzymała się na chwilę, potem wolno podeszła do niego, obawiając się zapytać, dlaczego bez zapowiedzi przyjechał aż z Bostonu. Upuściła kwiaty na trawę i rzuciła się w jego otwarte ramiona. Trwali w uścisku dłuższą chwilę. Filip miał dwadzieścia jeden lat i w przeciwieństwie do Edwiny wyglądał na dużo starszego. Obowiązki, które spadły na niego w ciągu ostatnich pięciu lat, wycisnęły piętno na jego twarzy.

- Co się stało? - zapytała po chwili Edwina, wyswobodziwszy się z jego objęć.

- Przyjechałem, żeby z tobą o czymś porozmawiać - odparł. Nie podjąłby żadnych poważnych kroków bez naradzenia się z siostrą. Znadto ją szanował i kochał, by wcześniej nie zapytać jej o zdanie, jeżeli już nie o pozwolenie.

- Dlaczego nie jesteś w szkole? Przecież to jeszcze nie wakacje! - wypytywała, wchodząc do kuchni, choć już zrozumiała. Chciała jednak odwlec chwilę, gdy usłyszy wiadomość, której tak się obawiała. Pragnęła, by powodem przyjazdu Filipa było coś innego, niechby nawet powiedział, że wyrzucili go z Harvardu.

- Dostałem urlop - rzekł wreszcie.

- Och!.. - Edwina powoli usiadła przy stole kuchennym i na chwilę oboje zastygli w bezruchu. - Na jak długo?

Nie miał odwagi jej powiedzieć. Nie tak od razu. Było wiele innych spraw, o których chciał przedtem porozmawiać.

- Edwino, musimy pomówić... Możemy przejść do pokoju?

Ze spiżarni dobiegały ich odgłosy krzątania pani Barnes. Nie widziała jeszcze Filipa, który wiedział, że jak tylko go zobaczy, narobi mnóstwo zamieszania i trudno mu będzie spokojnie porozmawiać z siostrą.

Edwina nie odezwała się ani słowem, gdy szli do frontowego salonu. Niezmiernie rzadko korzystali z tego pokoju, chyba że mieli gości, co nie zdarzało się często.

- Powinieneś być zadzwonić przed przyjazdem - robiła mu wyrzuty. Pomyślała, że gdyby zatelefonował, powiedziała mu, aby nie przyjeżdżał do domu. Nie chciała go tutaj, nie chciała oglądać dorosłego mężczyzny, którym się stał i który powie zaraz coś nieodwołalnego.

- Dzwoniłem, ale cię nie było. Alexis ci nie mówiła?

- Mówiła, ale mówiła też, że będziesz jeszcze dzwonił.

Patrząc na brata czuła, że łzy napływają jej do oczu. Był wciąż taki słodki i taki młody mimo poważnych min, które przybierał, i manier rodem z Harvardu.

- Tamtego wieczoru pojechałem do San Francisco, Edwino. - Nabrał głęboko powietrza. Nie mógł dłużej zwlekać. - Zaciągnąłem się. Za dziesięć dni wyjeżdżam do Europy. Przed wyjazdem chciałem się z tobą zobaczyć, żeby ci wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłem.

Kiedy to mówił, Edwina wstała i nerwowo zaczęła krążyć po pokoju, patrząc nań gniewnym wzrokiem.

- Jak mogłeś, Filipie?... Kto ci dał do tego prawo po tym, cośmy przeżyli? Dzieci cię potrzebują... zresztą ja też... George'a od września nie będzie w domu... - Przeciwno wyjazdowi Filipa przemawiało mnóstwo powodów, które jeden po drugim przychodziły jej do głowy, ale najważniejszym był ten, że nie chciała go utracić. Co będzie, jeżeli zostanie ranny lub zginie? - Nie możesz iść na wojnę! Wszyscy na tobie polegamy... my... ja... - głos jej się załamał, oczy napęłniły łzami. Patrzyła na niego chwilę, potem odwróciła głowę. - Filipie, proszę, nie rób tego... - powiedziała przytłumionym głosem.

Podszedł do niej i delikatnie dotknął jej ramienia. Chciał wytłumaczyć jej swój czyn, choć nie bardzo wiedział, jak go uzasadnić.

- Edwino, ja muszę. Nie mogę siedzieć tu beczynn timer, czytać w gazetach o toczących się bitwach i uważać się za mężczyznę. Teraz, kiedy mój kraj prowadzi wojnę, mam obowiązek do spełnienia.

- Nonsens! - Odwróciła się ku niemu, a jej oczy miały błyskawice, jak przed laty oczy jej matki, gdy była wzburzona. -Masz do wypełnienia obowiązki względem dwóch braci i trzech sióstr. Czekaliśmy, kiedy dorośniesz, i nie możesz nas teraz zostawić.

- Nie zostawiam was, Weenie. Wrócę. I przyrzekam, że wtedy wynagrodzę wam swoją nieobecność. Przysięgam!

Po tym, co Edwina powiedziała, Filipa ogarnęły wyrzuty sumienia, że ich opuszcza, wiedział jednak, że więcej niż rodzeństwu winien jest swemu krajowi. Musiał spełnić swój obywatelski obowiązek, choćby Edwina nie wiedzieć jak gniewała się na niego. Rozumieli tę konieczność profesorowie Harvardu. Dla nich jego udział w wojnie stanowił oczywistą konsekwencję tego, że był mężczyzną. Edwina natomiast uznała jego decyzję za zdradę rodziny. Popłakując, co chwilę rzucała mu spojrzenie pełne niemego wyrzutu. Ciszę, która zapanowała, zakłócił George, wbiegając do domu frontowymi drzwiami.

Jak zwykle chciał pędem minąć salon, gdy nagle zauważył siostrę, która siedziała z pochyloną głową. Długie czarne włosy, których nie zdążyła przyczesać po powrocie z ogrodu, kaskadą opadały jej na plecy. Filipa w pierwszej chwili George nie spostrzegł.

- Hej, Weenie, co się stało?... Coś złego?

Był zaskoczony wyrazem jej twarzy. Edwina podeszła doń powoli i bez słowa objęła brata. George z potarganymi przez wiatr ciemnymi włosami i policzkami zarumienionymi od wiosennego powietrza wyglądał zdrowo i beztrudnie. Kiedy z obawą patrzył na siostrę, zauważył Filipa i zaniepokoił się jeszcze bardziej, dojrawszy determinację w oczach brata.

- Cześć, Filip!... Co się stało?

- Twój brat wstąpił do wojska - wyjaśniła Edwina oskarżycielskim tonem, jakby Filip kogoś zamordował.

Oniemiały George wlepił w brata wzrok, po chwili zaś oczy mu pojaśniały. Zapomniał o Edwinie i jej łzach. Zbliżył się do Filipa i klepnął go po ramieniu.

- Nieźle, stary. Pokaż im, gdzie raki zimują... -Naraz przypomniał sobie o siostrze,

która podeszła do nich zagniewana, ze złością odrzucając z czoła niesforne pasmo czarnych włosów.

- A co będzie, jeżeli oni jemu pokażą, gdzie raki zimują?... Jeżeli go zranią albo zabiją?... Wtedy też będziesz uważał, że to taka podniecająca przygoda?... Będziesz zadowolony?... I co wtedy zrobisz? Pojedziesz tam i "pokażesz im, gdzie raki zimują"? Zastanówcie się nad tym obaj. Pomyślcie o rodzinie, zanim zrobicie coś, co może dotknąć waszych bliskich! - Zdenerwowana ruszyła w stronę drzwi, zanim jednak wyszła, odwróciła się do Filipa ze zdecydowanym spojrzeniem błękitnych oczu. Z jej głosu przebijała stanowczość. - Nie pozwolę, żebyś poszedł na wojnę, Filipie. Powiesz im, że twoja decyzja była pomyłką, bo ja cię nie puszczę! - Zatrzasnęła za sobą drzwi i pobiegła na górę do swojego pokoju.

Rozdział dziewiętnasty

- Dlaczego Filip przyjechał? - zapytała z ciekawością Alexis. - Wyrzucili go ze szkoły? - nie dawała spokoju Edwinie przy śniadaniu następnego ranka. Zarówno ona, jak i Fannie, a także Teddy ciekawi byli powodu przyjazdu najstarszego brata, lecz Edwina nie zamierzała o tym mówić.

Poprzedniego wieczoru starsi chłopcy poszli na kolację do klubu, którego członkiem był kiedyś ich ojciec, i spotkali się tam z Benem, o czym Edwina wiedziała. Ponieważ jednak od ubiegłego popołudnia nie zamieniła słowa z najstarszym bratem, nie знаła przebiegu ich rozmowy.

- Filip po prostu zatęsknił za nami - ucięła pytania dzieci, one wszakże, widząc jej minę, pojęły, że stało się coś złego, o czym siostra nie chce rozmawiać.

Po śniadaniu Edwina ucałowała dzieci, wyprawiła dziewczynki do szkoły i poszła pobierać sprzed drzwi kuchennych róże, które poprzedniego dnia upuściła zaskoczona widokiem Filipa. Zupełnie o nich zapomniała. Zdążyły już zwiędnąć, ale jakie to teraz miało znaczenie? Nic zresztą nie było ważne wobec decyzji Filipa. Edwina jeszcze nie wiedziała, jak to zrobi, ale postanowiła powstrzymać go za wszelką cenę. Nie miał prawa opuszczać ich tak niespodziewanie, a co najważniejsze, ryzykować życiem. Zniosła róże do domu i zastanawiała się właśnie, czy zadzwonić do Bena i zasięgnąć jego rady, gdy do pokoju wszedł George. Spóźni się do szkoły jak zwykle!, pomyślała. Podniosła głowę, aby go zbesztać, lecz ujrawszy wyraz jego oczu, zrozumiała, że nie może tego więcej robić. On również, tak jak Filip, był mężczyzną.

- Naprawdę sądzisz, że go powstrzymasz, Weenie? - zapytał spokojnie. Jego oczy wyrażały smutek i powątpiewanie, jakby wiedział, że siostra w tym starciu nie ma szans.

- Tak, mam zamiar go powstrzymać - odparła gwałtownie, wstawiając róże do wazonu. W jej oczach widniał i smutek, i gniew. - Nie miał prawa podejmować takiej decyzji bez porozumienia ze mną. - Chciała, by do George'a dotarło znaczenie tych słów. Nie zamierzała tolerować pochopnych kroków żadnego z braci, świadoma, że impulsywny George gotów jest pójść w ślady Filipa i uciec na wojnę do Europy.

- Nie powinnaś tak mówić, Weenie. Ojcu by się to nie podobało - oświadczył George uważając, że powinno się bronić własnych przekonań.

Oczy Edwiny miały błyskawice. Nie przebijając w słowach rzuciła oschle:

- Tatuś nie żyje. - George uświadomił sobie, że nigdy dotąd tak otwarcie nie mówiła o jego śmierci. - On też by nie pochwalał decyzji Filipa. Na pewno by mu się nie spodobało, że opuszcza nas w trudnej sytuacji.

- Masz przecież mnie - rzekł George łagodnie, lecz Edwina pokręciła głową.

- Ty we wrześniu jedziesz do Cambridge. - Chłopiec został już przyjęty i miał kontynuować rodzinną tradycję. Edwinie nie chodziło przecież o to, by trzymać braci kurczowo przy sobie, lecz zwyczajnie bała się o ich życie. - Nie mieszaj się do tego, George - ostrzegła chłopca. - To sprawa między mną a Filipem.

- O, nie - sprzeciwił się. - To dotyczy wyłącznie Filipa. Ma prawo bronić tego, w co wierzy. Chybabyś nie chciała, żeby było inaczej, prawda, Weenie? On musi zrobić to, co uważa za słuszne, nawet jeżeli nas tym zrani. Ja to zrozumiałem i ty także powinnaś.

- Nie muszę niczego rozumieć. - Odwróciła się gwałtownie, by nie dostrzegł łez w jej oczach, i powiedziała przez ramię: - Idź już, spóźnisz się do szkoły.

George niechętnie opuszczał Edwinę. W holu spotkał starszego brata, który schodził właśnie na śniadanie.

- Jak ona się czuje? - zapytał Filip szeptem. Obydwaj rozmawiali długo tej nocy i nie miał już żadnych wątpliwości, jak powinien postąpić.

- Chyba płacze - odparł George równie cicho, z uśmiechem zsalutował bratu i wybiegł przez frontowe drzwi.

Wiedział, że jak zwykle spóźni się do szkoły, lecz teraz nie miało to znaczenia. Za sześć tygodni otrzyma świadectwo ukończenia Drew School, a we wrześniu wyjedzie do Cambridge. Dla niego szkoła była miejscem, gdzie zawierało się przyjaźnie, flirtowało i miło spędzało czas przed powrotem do domu na kolację. Zawsze czuł się w niej dobrze, nigdy jednak nie przykładał się do nauki tak jak Filip. Robiło mu się smutno, gdy pomyślał, że starszy brat idzie na wojnę, ale uważał, że Filip podjął właściwą decyzję, Edwina zaś nie ma racji. Gdyby żył ich ojciec, powiedziałby jej to samo. Filip przecież nie był już małym chłopcem i o swoim życiu mógł decydować sam.

Jakąś godzinę później Filip w ogrodzie próbował wytłumaczyć Edwinie tę prawdę, ona jednak udawała, że go nie słucha. Zawzięcie wyrывała chwasty, aż wreszcie, grzbietem dłoni odgarniając z czoła niesforny kosmyk włosów, odwróciła ku niemu zalaną łzami

twarz.

- Przestałeś być dzieckiem, więc zachowuj się jak mężczyzna i nie opuszczaj nas. Staram się utrzymać tę przeklętą gazetę dla ciebie, sama borykam się z kłopotami od pięciu lat, a teraz co mam zrobić? Zostawić wszystko? - mówiła wzburzona.

Obydwoje byli świadomi, że jego decyzja w niewielkim stopniu może wpłynąć na losy wydawnictwa, Edwina zaś po prostu chciała, aby Filip zrozumiał, jak bardzo się o niego boi. A bała się tak bardzo, że nie mogła znieść myśli o rozstaniu i użyłaby każdego argumentu, by go powstrzymać od wyjazdu na wojnę.

- Gazeta zaczeka. Nie o nią tu chodzi i dobrze o tym wiesz - powiedział Filip.

- Chodzi o to... - Chciała wyliczyć kierujące nią pobudki, ale zabrakło jej słów, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy. Filip był taki silny, młody i taki ufny. Wierzył w słuszność podjętego kroku i chciał przekonać ją do swoich racji, ona jednak nie mogła przyjąć jego argumentów. - Chodzi o to... - wyszeptała i wyciągnęła ku niemu dłoń. - Chodzi o to, że tak bardzo cię Kocham! - rozplakała się. - Proszę, Filipie... nie idź na tę wojnę.

- Edwino, ja muszę.

- Nie wolno ci... - Pomyślała o sobie, Fannie i Teddym, i o Alexis. Był im wszystkim potrzebny. Jeżeli wyjedzie, to zostanie im tylko George. Psotnik George ze swymi nie kończącymi się figlami: a to puszki przywiązane koniom do ogonów, a to korby "pożyczone" z samochodów, a to myszy wpuszczone do klasy... Jego kochana twarz, którą zawsze całowała na dobranoc, ramiona, które tuliły Fannie... Jacy to wspaniali chłopcy! Nie, już mężczyźni!... A jesienią George też ich opuści. Podobnie jak kiedyś, przed laty, życie nabrało gwałtownego przyśpieszenia, tyle że bracia i siostry byli teraz wszystkim, co jej pozostało, i nie chciała ich utracić. - Filipie, proszę...

Jej oczy błagały, by został. Filip był załamany i nieszczęśliwy. Przejechał szmat drogi, by powiedzieć jej o swej decyzji, i spodziewał się podobnej reakcji, ale nie przypuszczał, że rozmowa będzie taka trudna i bolesna.

- Nie wyjadę bez twojego pozwolenia. Nie wiem, jak to odkręcę, ale jeżeli rzeczywiście jestem ci niezbędny i nie dasz sobie beze mnie rady, to będę musiał odwołać swoje zgłoszenie-mówił, patrząc na nią z rozpaczą. Edwina pojęła, że nie ma wyboru: musi pozwolić mu odejść.

- Co będzie, jeśli zrezygnujesz? - zapytała niepewnie.

- Nie wiem... - rozejrzał się ze smutkiem po ogrodzie, gdzie wszystko przypominało mu matkę i ojca. - Chyba do końca życia będę czuł, że zawiodłem rodziców. Nie mam prawa pozwalać na to, żeby kto inny za nas walczył. Edwino, ja chcę walczyć w tej wojnie!

Filip był spokojny i wyglądał na głęboko przekonanego o słuszności swych słów. Na widok jego determinacji Edwinę rozboleło serce. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wojna tak pociąga mężczyzn, wiedziała jednak, że nie może brata zatrzymać.

- Dlaczego właśnie ty?

- Bo chociaż dla ciebie jestem wciąż dzieckiem, stałem się mężczyzną, Edwino... I tam jest moje miejsce.

W milczeniu skinęła głową. Wstała otrzepując spódnicę z kurzu i wytarła rękę. Po dłuższej chwili milczenia znów spojrzała na niego.

- No to je masz - rzekła poważnie i chociaż głos jej lekko drżał, czuła ulgę, bo podjęła wreszcie decyzję.

Była rada, że Filip przyjechał do domu, aby z nią porozmawiać. Gdyby tego nie zrobił, nigdy by nie zrozumiała motywów jego postępowania. Wprawdzie nadal nie była całkowicie przekonana o słuszności jego decyzji, ale bratu należał się jej szacunek. I miał rację: przestał być chłopcem, był mężczyzną i miał prawo postępować według własnych zasad i przekonań.

- Co mam? - nie rozumiał. Kiedy patrzył na nią zdziwiony, wyglądał niesłuchanie chłopięco.

- Masz moje pozwolenie, głuptasie. Bardzo bym chciała, żebyś został, ale masz prawo postępować zgodnie z własnymi przekonaniami. - Oczy jej znowu posmutniały. - Tylko wróć na pewno!...

- Przysięgam, że wrócę - odparł, czule obejmując siostrę ramieniem.

Stali przytuleni przez dłuższą chwilę, a Teddy obserwował ich z okna na piętrze.

Rozdział dwudziesty

Bracia przegadali prawie całą noc. Filip spakował trochę swoich rzeczy i powiedział George'owi, że może zabrać do Harvardu co tylko zechce. Było już dawno po północy, kiedy zeszli do kuchni, by coś przekąsić.

George perorował z ożywieniem, wymachując udkiem kurczęcia. Życzył bratu szczęśliwej drogi, potem droczył się z nim rozważając, ile też pięknych panien pozna we Francji. Ale nie one były teraz Filipowi w głowie. Prosił brata, aby nie sprawiał kłopotu Edwinie, napominał, by w Harvardzie zachowywał się przyzwoicie.

- Daj spokój! - roześmiał się George, nalewając piwa do szklanek.

Bagaż Filipa zostały spakowane, resztę czasu mogli więc spędzić razem, mogli przegadać nawet całą noc. George wiedział, że Edwina nie miałaby im za złe, gdyby w ogóle nie poszli spać, a nawet gdyby się upili. Uważał, że mają do tego prawo.

- O Edwinie mówię poważnie - zaznaczył Filip. - Ciężko jej było przez te lata, ciągle miała nas na głowie. - Właśnie minęło dokładnie pięć lat od śmierci ich rodziców.

- Nie byliśmy aż tacy straszni - zauważył z uśmiechem George. Powoli sączył piwo zastanawiając się, jak jego brat będzie wyglądał w mundurze. Kiedy o tym myślał, ogarniała go zazdrość i żałował, że nie jedzie do Europy razem z nim.

- Gdyby nie my, wyszłaby może za mąż - rzekł Filip w zamyśleniu. - Zresztą nie wiem. Chyba wciąż myśli o Charlesie i kto wie? może nigdy o nim nie zapomni?

- Nie sądzę, żeby tego chciała - powiedział George, a Filip zgodził się z nim.

- Bądź po prostu dla niej dobry. - Odstawiając szklankę popatrzył z czułością na młodszego brata i z uśmiechem przejechał mu ręką po czuprynie. - Będzie mi ciebie brakowało, stary. Baw się dobrze na studiach.

- A ty na wojnie. - George uśmiechnął się na myśl o przygodach, jakie brat będzie przeżywał we Francji. -Może niedługo spotkamy się w Europie.

Filip gniewnie potrząsnął głową.

- Ani się waż! Jesteś tutaj potrzebny! - przykazał, a wyraz jego oczu świadczył, że mówi poważnie. George skinął głową z westchnieniem żalu.

- Masz rację -przyznał, po czym tonem niesłychanie poważnym jak na niego dodał: - Tylko żebyś wrócił!

Te same słowa brzmiące jak zaklęcie wypowiedziała wcześniej Edwina, teraz powtórzył je George. Filip w milczeniu kiwnął głową.

Położyli się spać dopiero przed drugą, toteż następnego ranka, gdy schodzili na śniadanie, wszyscy już na nich czekali. Edwina podniosła głowę i uśmiechnęła się do braci, którzy po długich godzinach nocnych rozmów wyglądali na zmęczonych.

- Spaliście w ogóle? - zapytała ironicznie, nalewając im kawy.

Siedząca naprzeciwko Fannie nie odrywała oczu od Filipa. Nie mogła uwierzyć, że brat znowu wyjeżdża, w dodatku wiedziała, że tym razem jego podróż nie cieszy Edwiny.

Całą rodziną odprowadzali go na stację. W wypełnionym po brzegi packardzie Edwiny panowała atmosfera sztucznej wesołości.

Na stacji zastali mnóstwo ludzi oczekujących na ten sam pociąg. Bardzo wielu mężczyzn zgłosiło się do wojska, choć upłynęło dopiero dziewięć dni, odkąd Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Dla Alexis ten dzień był wyjątkowy, a zarazem smutny: obchodziła właśnie jedenaste urodziny, ale trapiła się, bo Filip ich opuszczał.

- Uważaj na siebie - cicho powiedziała Edwina.

George wyglądał, jak gdyby się niczym nie przejmował, i sypał dowcipami jak z rękawa. Starali się zabawiać młodsze dzieci, gdy nagle Edwina poczuła w sercu ostre ukłucie - jej uszu dobiegł gwizd wjeżdżającego na stację pociągu.

George pomógł Filipowi załadować bagaż, czemu młodsze dzieci przyglądały się ze smutkiem.

- Kiedy znowu przyjedziesz? - zapytał Teddy z nieszczęśliwą miną. Do oczu napłynęły mu łzy i potoczyły się po policzkach.

- Niedługo... Bądź grzeczny i nie zapomnij pisać do mnie... - Filipowi przerwał gwizd pociągu sygnalizującego odjazd. Ucałował młodsze rodzeństwo, uściskał Edwinę. - Uważaj na siebie... O mnie się nie martw, wkrótce wrócę, Weenie... O Boże... bardzo mi będzie was brakowało - głos mu się załamał.

- Uważaj na siebie - szepnęła Edwina. - Wracaj szybko do domu... Kocham cię.

Pośpieszyli na peron, bo konduktor wołał: "Proszę wsiadać". Edwina trzymała za rękę Teddy'ego, George prowadził Fannie i Alexis. Stojąc na peronie patrzyli, jak pociąg leniwie opuszcza stację.

Edwina poczuła w sercu dotkliwy ból. Machali rękami do brata, ona zaś przez cały

czas modliła się, by wrócił do domu cały i zdrowy. Pociąg przyśpieszał, nie widzieli więc łez spływających po policzkach Filipa. Zrobił to, co uznał za słuszne, ale wiedział, że przyjdzie mu znieść bezmiar tęsknoty za rodzeństwem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Oczekiwanie na powrót Filipa zdawało się ciągnąć bez końca. Od czasu do czasu pisał do Edwiny i dzieci. W zimie przeniesiono go do Francji, brał udział w bitwie pod Cambrai. Jego jednostka walczyła u boku armii brytyjskiej i na początku szło im całkiem nieźle, lepiej niż setkom tysięcy żołnierzy, którzy padli w innych bitwach, dziesięć dni później jednak zaczęła się bitwa pod Cambrai. Anglicy i Amerykanie w wyniku niemieckiego kontrataku stracili zajmowane pozycje i musieli się cofnąć prawie do miejsca, z którego rozpoczęli natarcie.

Sprzymierzeńcy ponieśli ogromne straty, toteż w Edwinie serce zamierało, gdy czytała o tych walkach w gazetach. Filip pisał o błocie i śniegu, o niewygodach, ale nigdy się nie przyznawał do przerażenia i przygnębienia, które go ogarniało na widok tysięcy żołnierzy ginących co dnia. Nie przyznawał się też do żarliwych modlitw, by udało mu się przeżyć to piekło.

W Stanach niezliczone plakaty gorąco zachęcały mężczyzn, aby się zaciągali do wojska. Tej jesieni w Rosji obalono carat, a rodzina władcy znalazła się na zesłaniu.

- Czy George też zostanie bohaterem? - zapytała Fannie w przeddzień Święta Dziękczynienia. Edwina zadrżała na myśl o George'u idącym w ślady Filipa.

- O nie, nic z tego - powiedziała surowo. Dość miała nieustannego zamartwiania się o Filipa.

Na szczęście George od jesieni podjął studia w Harvardzie. Sporadycznie telefonował do domu, a z jego nieczęstych listów wynikało, że jest w nowym miejscu szczęśliwy, choć - jak pisał - z zupełnie innych powodów niż przedtem Filip. Opowiadał o ludziach, których poznawał, o przyjęciach, na które jeździł do Nowego Jorku, i o pannach, z którymi stale się umawiał. Zaskoczył Edwinę, gdy przyznał się do tęsknoty za Kalifornią. Innym razem napisał zabawny list pełen zachwyty nad nowym filmem Charliego Chaplina "Psia dola" i nad innym z Glorią Swanson. Jego fascynacje najwyraźniej przetrwały, o czym świadczyła mnogość szczegółów technicznych w liście i propozycji własnych rozwiązań. Edwina zastanawiała się, czy George w dalszym ciągu marzy o tym, aby pojechać kiedyś do Hollywoodu i kręcić filmy.

W Święto Dziękczynienia odmówili modlitwę za brata walczącego w Europie i

podziękowali Bogu za hojne dary.

- I niech Pan Bóg pobłogosławi też George'a - powiedział Teddy poważnie - który nie zostanie bohaterem, bo moja siostra Edwina nie pozwoli mu na to.

Swoją przemową wywołał uśmiech na twarzy Edwiny. W wieku siedmiu lat był wciąż okrągłym, pulchnym elfem, wyjątkowo do niej przywiązany. Odkąd pamiętał, Edwina była dla niego matką.

Dzień minął spokojnie, po świątecznej kolacji przenieśli się do ogrodu. Było ładnie i ciepło. Alexis z Fannie siedziały na huśtawce, a Teddy kopał piłkę raz do jednej, raz do drugiej. Edwina dziwnie się czuła w domu bez starszych chłopców, w otoczeniu samych dzieci. zaproponowała, aby napisali list do Filipa. Miała nadzieję, że George, który spędzał Święto Dziękczynienia z przyjaciółmi w Bostonie, zatelefonuje do nich. Po wspaniałej kolacji położyli się wieczorem do łóżek. Edwina jeszcze nie spała, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Zaskoczona usiadła na łóżku, ale to nie był sen. Pośpieszyła na dół, by natarczywy dźwięk dzwonka nie obudził dzieci.

Dobiegając do drzwi frontowych, wciąż zmagając się z zapięciem szlafroka. Była boso, włosy splecione w warkocze spadały jej na plecy. Otworzyła ostrożnie drzwi, przypuszczając, że to któryś z przyjaciół George'a po pijanemu usiłuje go odnaleźć, bo zapomniał, że chłopiec pojechał do Harvardu.

- O co chodzi? - spytała. W ciemnym holu rozjaśnionym tylko blaskiem księżyca wyglądała bardzo młodo.

Na zewnątrz stał nieznajomy z telegramem w dłoni. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Czy zastałem pani matkę? - zapytał, co zmieszało ją jeszcze bardziej.

- Och... myślę, że chodzi panu o mnie. - Zmarszczyła brwi. - Dla kogo ten telegram?

- zapytała jeszcze spokojnie, choć powoli zaczynał ogarniać ją strach. Z wrażenia prawie straciła oddech, gdy posłaniec głośno i wyraźnie przeczytał nazwisko Winfield. Podał jej telegram i zbiegając po schodach znikł jak zjawą ze złego snu. Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Telegram nie mógł oznaczać nic dobrego. Dobre wieści nie nadchodzą tuż przed północą!

Poszła do frontowego salonu, zaświeciła lampę i usiadła, by przeczytać depeszę. Kopertę otworzyła bez trudu, a gdy jej oczy przebiegły po papierze, w Edwinie serce zamarło. To niemożliwe!... Nieprawda!... Przeżył zatonięcie "Titanica", a teraz odszedł!...

"Z przykrością donoszę, że Pani brat, szeregowy Filip Bertram Winfield, poległ z honorem na polu chwały pod Cambrai dnia 28 listopada 1917 roku. W imieniu Ministerstwa Wojny przekazujemy wyrazy współczucia Pani i całej rodzinie..." Podpisano nazwiskiem o którym nigdy nie słyszała. Szloch rozdzierał jej gardło, gdy wciąż od nowa odczytywała treść telegramu. Później wstała i zgasła lampę.

Z policzkami mokrymi od łez poszła na górę i stanęła przed drzwiami pokoju Filipa, w którym mieszkał i dorastał. Zrozumiała, że już nigdy nie wróci do domu... jak rodzice. Przeżył ich o pięć darowanych mu lat. Żył wystarczająco długo, by dorosnąć i dać się zabić niemieckim żołnierzom.

Kiedy tak stała, płacząc cicho i tuląc do siebie telegram, ujrzała drobną twarzyczkę zwróconą ku niej w ciemności. To była Alexis. Wpatrywała się w Edwinę od dłuższego czasu. Czuła, że wydarzyło się coś złego, ale nie miała odwagi podejść do siostry. W końcu Edwina zauważywszy ją, wyciągnęła do niej ramiona, i wtedy Alexis instynktownie zrozumiała, że Filipa już nie ma. Stały przytulone przez długą chwilę, wreszcie Edwina otarła oczy i zabrała Alexis do swojego łóżka. Leżały do samego rana, tuląc się jak dwoje osieroconych dzieci.

Rozdział dwudziesty drugi

- Halo?... Halo! - wołała Edwina do słuchawki. Połączenie z miejscem odległym o trzy tysiące mil było okropne, ale musiała się dodzwonić do George'a. Po Święcie Dziękczynienia odczekała dwa dni, aby brat zdążył wrócić do Harvardu. Wreszcie ktoś odezwał się na drugim końcu linii. - Chcę mówić z panem Winfieldem - krzyknęła.

W słuchawce znowu rozległ się brzęczący sygnał, kiedy osoba, która odebrała telefon, poszła szukać chłopca. Po kilku chwilach George podszedł do telefonu.

- Halo?... Halo! Kto przy telefonie? - wołał, przekonany, że połączenie zostało przerwane, ponieważ w słuchawce panowała cisza.

Edwina jednak w końcu odzyskała oddech i przemówiła, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć. Wystarczająco trudne było samo przekazanie bratu smutnej wiadomości, nawet gdyby nie musiała krzyczeć do słuchawki. Pragnęła oszczędzić George'owi szoku spowodowanego otrzymaniem telegramu z druzgocącą wiadomością, a nie mogła czekać, aż dotrze do niego list. Na niej spoczywał obowiązek przekazania mu tragicznej wieści. Dzieci płakały całymi dniami. Wiedziały, jak smakuje łyżę żalu wylewane po stracie kogoś bliskiego, bo zdążyły je już poznać, mimo że niektóre tego nie pamiętały.

- George, słyszysz mnie?

Głos Edwiny ledwo do niego dochodził.

- Tak. Co się stało?

Odpowiedź była trudna. Edwinie łyżę napłynęły do oczu. Zrozumiała, że błędem było dzwonicie do brata.

- Filip... - zaczęła, lecz zanim powiedziała następne słowo, chłopiec już wiedział. Gdy usłyszał jej przepełniony smutkiem głos, krew zastygła mu w żyłach. - Dwa dni temu przyszedł telegram - szlochała. - Zginął we Francji... - Poczwała, że koniecznie musi przekazać mu wszystkie szczegóły. - Poległ z honorem. - Nie mogła mówić dalej, bo słowa uwięzły jej w gardle. Stojące na schodach dzieci spoglądały na nią w milczeniu.

- Przyjeżdżam do domu - powiedział szybko George. łyżę popłynęły mu po policzkach. - Przyjeżdżam do domu, Weenie - powtórzył.

Teraz płakali już obydwój, a Alexis, która przysłuchiwała się rozmowie, wolno poszła schodami na samą górę, dokąd od dawna nie chodziła. Teraz jednak chciała tam być,

sama z myślami o najstarszym bracie.

- George - z trudem mówiła Edwina - nie musisz przyjeżdżać... Mamy się dobrze. Jej głos nie brzmiał przekonywająco.

- Och, Weenie... kochana... - George płakał teraz otwarcie. Myślał o Filipie i o niej, i o reszcie rodzeństwa łącznie z sobą, i o tym, jaki los jest niesprawiedliwy. Edwina miała rację. Nie powinna była pozwolić Filipowi odejść. Teraz to zrozumiał. Niestety, za późno. Za późno dla Filipa. - Będę w domu za cztery dni - powiedział stanowczo.

- George, nie rób tego... -prosiła w obawie, że jego nieobecność nie będzie dobrze widziana przez władze uczelni.

- Do zobaczenia... Poczekaj!... Jak malcy to znieśli?

- Jakoś się trzymają, oprócz Alexis, która przeżyła ogromny wstrząs. - Nie mówiła mu, że pozostali lgnęli do niej, jakby się obawiali, że ona też umrze i zostawi ich samych. - Nic im nie będzie. - Wzięła głęboki oddech, starając się nie myśleć o Filipie, o tym, jak umierał sam w zimnym błocie. Biedny dzieciak... Jakże żałowała, że nie mogła być wtedy przy nim i trzymać go w ramionach!... - A więc do zobaczenia za kilka dni - rzuciła do telefonu.

Powoli odłożyła słuchawkę. Kiedy się odwróciła, ujrzała Fannie i Teddy'ego, którzy siedzieli na schodach tuż nad jej głową, cicho popłakując. Zeszli do niej na dół i długo tulili się do starszej siostry. Edwina zaprowadziła ich potem do pokoi, lecz ostatecznie tej nocy spali w jej łóżku łącznie z Alexis, która przysłała na końcu. Wcześniej Edwina zostawiła ją w spokoju. Wiedziała, dokąd mała poszła, i rozumiała, że dziewczynka chce być sama ze wspomnieniami o Filipie, bo każde z nich tego potrzebowało.

Tej nocy długo o nim rozmawiali. Wspominali wszystko to, co było im w nim drogie. Przypominali sobie, jaki był wysoki i wytworny, jaki troskliwy, odpowiedzialny, kochający i łagodny. Lista zalet Filipa była długa i myśląc o nim, Edwina uświadomiła sobie z bólem, że nikt go nie może zastąpić.

Kiedy w nocy tuliła dzieci, wydawało jej się, że znów są w łodzi ratunkowej. Otoczeni bezmiarem wód, przestraszeni, samotni, zbici w gromadkę, zastanawiają się, czy się odnajdą. Tyle że tym razem na pewno wiedziała, iż nigdy już nie będą w komplecie.

Jakże dłużyły im się te cztery dni oczekiwania na George'a, pełne zadumy, łez i bezsilnego gniewu. Kiedy przyjechał, dom jakby ożył na nowo. Chłopiec zbiegał po

schodach, trząskając drzwiami i wpadał jak burza do kuchni. Sam jego widok sprawił, że Edwinie rozjaśniła się twarz. Gdy po przyjeździe odszukał ją w ogrodzie, uśmiechnęła się pierwszy raz od otrzymania telegramu z wiadomością o śmierci Filipa. George podbiegł i przytulił siostrę. Długą chwilę stali objęci, oplakując stratę brata.

- Cieszę się, że przyjechałeś - wyznała później, gdy maluchy były już w łóżkach, po czym spojrzała na George'a ze smutkiem. - Tak tu pusto bez niego. Wszystko wygląda inaczej, odkąd wiadomo, że... że nigdy nie wróci. Teraz nawet nie chcę wchodzić do jego pokoju - poskarżyła się.

George doskonale ją rozumiał. Tego popołudnia, gdy wrócił do domu, spędził w pokoju Filipa kilka godzin. Siedział tam i płacząc rozmyślał o zmarłym bracie, a im dłużej przebywał w pokoju, tym mocniejsze było wrażenie, że Filip jest przy nim.

- To dziwne, prawda? - mówił później do Edwiny. - Jakbym wierzył, że on żyje, że zaraz pojawi się w drzwiach... Ale tak się nie stanie. Nie możemy żyć złudzeniami, prawda, Edwino?

Znowu pomyślała o poległym bracie, o tym, jaki był poważny i odpowiedzialny, jak z całym poświęceniem pomagał jej w opiece nad dziećmi. George, który wolał wpuszczać żaby do cudzych łóżek, był zupełnie inny, ale teraz cieszyła się, że ma go przy sobie.

- Tak samo przeżywałam śmierć rodziców i Charlesa - przyznała się Edwina. - Zdawało mi się, że kiedyś wrócą, ale przecież były to tylko nieziszczalne marzenia.

- Byłem wtedy za mały, żeby zrozumieć, co przeżywasz - rzekł cicho George. Teraz w pełni ją rozumiał. - To musiało być dla ciebie okropne, Weenie... Mam na myśli Charlesa. - Po chwili zaś dodał: - Potem chyba na nikim nigdy ci nie zależało, prawda?

Wiedział, że podobała się Benowi, ale przecież nigdy nie była w nim zakochana i nie sądził, żeby poza nim miała innych poważnych adoratorów.

Edwina z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Nie przypuszczam, żebym pokochała innego mężczyznę. Może ta jedna miłość wystarczy mi na całe życie?... Tylko Charles... - głos jej się załamał, gdy mówiła o zmarłym narzeczonemu.

- To niesprawiedliwe... Zaslugujesz na coś więcej - powiedział George. - Nie chciałabyś mieć własnych dzieci?

Na te słowa Edwina roześmiała się, dyskretnie ocierając łzy żalu za starszym bratem.

- Myślę, że dzieci akurat miałam dość. Pięcioro wystarczy w zupełności, nie sądzisz?

- Jednak to nie to samo - zauważył George.

Edwina roześmiała się na widok jego poważnej miny.

- Powiedziałabym, że prawie to samo. Obiecałam mamie, że się wami zaopiekuję, i dotrzymałam słowa. Nie mam ochoty zaczynać nowego życia. A poza tym jestem już za stara. - Mówiąc to, nie sprawiała wrażenia osoby, która żałuje, że jej życie nie potoczyło się inaczej. Wspominała jedynie o tęsknocie za ukochanymi osobami. Ale tamta strata spowodowała przecież, że ci, którzy zostali, byli jej teraz jeszcze drożsi. - Kiedy wracasz na uniwersytet?-zapytała.

George zanim odpowiedział, przez chwilę przyglądał jej się z powagą.

- Chcę o tym porozmawiać, ale jeszcze nie dzisiaj... Może jutro. - Wiedział, że ją zmartwi, ale decyzję podjął, zanim wrócił do Kalifornii.

- Czy coś się stało? Masz jakieś kłopoty, George? - usiłowała dociec Edwina. W przypadku George'a nie byłaby nimi zaskoczona. Uśmiechnęła się do niego serdecznie, by ułatwić mu wyznanie. Choć udawał dorosłego, dla niej pozostał pełnym wigoru chłopcem, którego aż rozsadza energia.

George, jakby lekko urażony, pokręcił głową.

- Nie mam żadnych kłopotów, Weenie. Ale nie wracam na uniwersytet.

- Co takiego? - zdumiała się. Od trzech pokoleń wszyscy mężczyźni w ich rodzinie kończyli Harvard. W przyszłości miał tam studiować również Teddy, a później dzieci jej braci powinny kontynuować tradycję.

- Dlaczego? - spytała krótko.

- Bo to nie jest i nigdy nie było miejsce dla mnie. Owszem, nieźle się bawiłem, ale nie tego pragnę, Weenie. Chcę czegoś całkiem innego. Marzę o prawdziwym świecie... o czymś nowym, ekscytującym, pełnym życia... Nie interesują mnie greckie rozprawy ani tłumaczenia mitologii. To było dobre dla Filipa, ale nie dla mnie. Nigdy mnie to nie zajmowało. Już wolałbym wrócić do domu i pójść do pracy.

Edwina była wstrząśnięta, wiedziała jednak, że nie ma sensu przekonywać brata, iż źle robi. Może jak nie będzie na niego naciskać, pewnego dnia z własnej woli wróci na uniwersytet? Nie mogła pogodzić się z myślą, że George nie otrzyma dyplomu. Nawet Filip, chociaż poszedł na wojnę, zamierzał później ukończyć studia.

Wątkowali sprawę przez kilka dni, potem Edwina przedyskutowała ją z Benem i wreszcie, dwa tygodnie później, George rozpoczął terminowanie w redakcji. Edwina chcąc nie chcąc musiała przyznać, że takie rozwiązanie będzie najlepsze, zwłaszcza że teraz, po śmierci Filipa, nie było nikogo, kto mógłby się zająć wydawnictwem. George musi się wiele nauczyć, ale może za rok czy dwa będzie w stanie podolać obowiązkom. Cóż, nie mieli wyboru.

Uśmiechała się do swych myśli, gdy co rano wybiegał do wydawnictwa. Wyglądał jak dziecko udające własnego ojca. Zrywał się z łóżka zwykle za późno i zdyszany, w przekrzywionym krawacie, zjawiał się na śniadaniu w samą porę, by podroczyć się z dziećmi. Potem, po wypiciu trzech garnuszków mleka i nakarmieniu owsianką kota, chwycił jakiś owoc i wypadał za drzwi, po drodze wołając do niej, że wróci w okolicy obiadu. Codziennie dzwonił z pracy, zazwyczaj po to, by opowiedzieć jej nowy dowcip i zapytać, czy nie ma nic przeciwko temu, że zje kolację poza domem. Oczywiście nie broniła mu tych przyjemności.

Romantyczne przeżycia George'a stały się w mieście legendarne, toteż gdy rozeszła się wieść o jego powrocie, niemal codziennie był zapraszany na przyjęcia. Crockerowie, Youngowie, Sprecklesowie szukali jego towarzystwa, zapraszali także Edwinę, ona jednak wolała zostawać w domu i tylko od czasu do czasu wychodziła z bratem. Niewątpliwie był atrakcyjnym kompanem, ale jej nie zależało już na uczestniczeniu w przyjęciach. Natomiast George świetnie się na nich bawił, o wiele lepiej niż w pracy.

Edwina zmusiła wprowadzić brata, aby brał udział w zebraniach zarządu, lecz zauważyła, że popołudniami urywa się z wydawnictwa, i dokładnie zbadawszy sprawę odkryła, że gdy tylko może, wymyka się do kina.

- Na miłość boską, George, bądź poważny! Ta gazeta będzie kiedyś należała do ciebie - nakrzyczała na niego w czerwcu.

George przeprosił ją i obiecał poprawę, ale w następnym miesiącu Edwina stwierdziła, że nadal postępuje tak samo. Zagroziła wtedy, że zawiesi mu pensję, jeżeli nie będzie pilnował pracy.

- Nic na to nie poradzę, Edwino, to nie dla mnie. Pracownicy kłaniają mi się w pas i mówią do mnie "panie Winfield", a ja oglądam się za siebie sądząc, że zwracają się do ojca. To nie dla mnie!

- To naucz się, do diabła, jak masz się zachowywać. Ja bym tak zrobiła na twoim miejscu!

Była na niego wściekła, George jednak miał dość nacisków i nalegań z jej strony i nie omieszkał jej o tym zakomunikować.

- To dlaczego sama nie zajmiesz się gazetą? - spytał zaczepnie. - Decydujesz o wszystkim: o domu, dzieciach, mną też chciałabyś rządzić tak, jak rządziłaś Filipem.

Edwina wymierzyła mu siarczysty policzek i do George'a wtedy dopiero dotarło, że przesadził. Przepraszał ją jak umiał. Powiedział o kilka słów za dużo i rozumiał to.

- Edwino, przebacz mi - prosił. - Na chwilę zgłupiałem i nie wiedziałem, co mówię.

- A więc w ten sposób o mnie myślisz? Uważasz, że wami rządę? Twoim zdaniem tak to wygląda? - Po policzkach spływały jej łzy. - A co miałam robić, kiedy mama i tato umarli? Usiąść i rozplakać się?... Pozwolić, żebyście wyrosli na dzikusów?... Kto miał utrzymać rodzinę w jedności, ocalić majątek? Ciotka Liz, wuj Rupert?... A może ty, zajęty wrzucaniem żab do cudzych łóżek?... Kto miał zatroszczyć się o to wszystko? Taty już nie było - rozzaliła się na dobre i wyrzucała z siebie to, co dotąd skrywała. - Mama wołała umrzeć z nim... Dla ojca i dla Filipa, dla mężczyzn, nie było miejsca w łodziach. Ojciec więc "musiał" zostać na pokładzie, ale mama została z własnej woli, bo chciała być z nim. Filip powiedział mi później, że nie chciała wsiąść do ostatniej szalupy. Wołała umrzeć z ojcem - mówiła, po raz pierwszy dzieląc się myślami, które ją dręczyły przez ostatnie pięć lat. Zawsze ją zastanawiało, dlaczego Kate wołała umrzeć z mężem, na to pytanie szukała odpowiedzi i nie potrafiła jej znaleźć. - A więc kto został, George? - ciągnęła. - Kto miał się wami opiekować? Zostałam ja... i ty, dwunastoletni chłopiec... i Filip, który miał ledwo szesnaście lat. Wybór musiał paść na mnie. A jeżeli ci się nie podoba sposób, w jaki się wami opiekowałam, to bardzo mi przykro.

Stali w pomieszczeniu, które było kiedyś gabinetem ojca. Edwina odwróciła się od brata, by ukryć mokrą od łez twarz.

- Przepraszam, Weenie - rzekł George, przerażony tym, co zrobił. - Kocham cię... i byłaś wspaniała... Zdenerwowałem się, bo czuję, że redakcja nie jest miejscem dla mnie i nic na to nie poradzę. Przykro mi... Nie jestem ojcem... ani Filipem... ani tobą... Jestem sobą, a gazeta i uczelnia mi nie odpowiadają. - W jego oczach pokazały się łzy, bo czuł, że zawiódł siostrę. - Nie potrafię być taki jak oni. Harvard nie ma dla mnie żadnego znaczenia,

Weenie. I zupełnie się nie znam na wydawaniu gazety. Chyba nigdy bym się tego nie nauczył - rozpląkał się. - Przepraszam, Weenie.

- A co byś chciał robić? - spytała łagodnie Edwina. Kochała go takim, jaki był, szanowała za to, co sobą przedstawiał, musiała wszakże pokierować jego życiem.

- To, o czym zawsze marzyłem: chcę pojechać do Hollywood i kręcić filmy.

Nie miał jeszcze dziewiętnastu lat, toteż myśl, że George wyjedzie do Hollywood, wydała się Edwinie niedorzeczna.

- Jak zamierzasz się do tego zabrać? - pytała mimo to dalej.

Oczy rozbłyły mu, gdy usłyszał pytanie.

- Wujek mojego kolegi ze szkoły prowadzi studio filmowe. Kolega powiedział mi, że gdybym zamierzał coś robić w tej branży, to powinienem się z nim skontaktować.

- George - westchnęła Edwina - przecież to mrzonki.

- Skąd wiesz? A nuż zostanę sławnym producentem filmowym?

Obydwoje zaczęli się śmiać przez łzy. Edwina bardzo by chciała, żeby spełniło się marzenie brata, wiedziała jednak, że to czyste szaleństwo.

- Pozwolisz mi spróbować? - popatrzył na nią błagalnie.

- A jeżeli nie pozwolę? - spytała surowo. Rozczarowanie, które ujrzała na jego twarzy, wzruszyło ją.

- To zostanę tu i będę się sprawował jak należy - odrzekł markotnie. - Ale jeśli mi pozwolisz, to przyrzekam, że będę przyjeżdżał do domu co weekend i sprawdzał, jak sobie radzisz.

Ostatnie zdanie wypowiedział tak żarliwie, że Edwina się roześmiała.

- A co pocznę z pannami, które ciągniesz zawsze ze sobą?

- Zostawimy je w ogrodzie - uśmiechnął się szeroko. - To co? Pozwolisz mi spróbować?

- No, może... - powiedziała w zadumie i spojrzała nań ze smutkiem. - A co mam zrobić z gazetą?

- Nie wiem - przyznał otwarcie. - Ale nie sądzę, żebym ja mógł ją kiedykolwiek poprowadzić.

Od dłuższego już czasu myśl o wydawnictwie przyprawiała Edwinę o ból głowy. Wiedziała, że już wkrótce, z braku kogoś, kto zająłby się interesami, gazeta albo przestanie

istnieć, albo trzeba będzie do niej dokładać.

- Chyba przyjdzie mi ją sprzedać - zastanawiała się na głos. Dotąd tylko Filip myślał serio o pracy w wydawnictwie, a trudno było przewidzieć, co będzie w przyszłości interesowało Teddy'ego, który miał dopiero osiem lat. Jedno Edwina wiedziała na pewno: nie miała już siły ciągnąć tego dalej.

George popatrzył na nią z żalem.

- Nie jestem Filipem, Weenie.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Ale kocham cię takiego, jaki jesteś.

- Czy to znaczy?.. - nie miał odwagi dokończyć.

Edwina zaśmiała się i skinęła głową. Objęła go ramionami.

- Tak, szkarado, idź... Zostaw mnie teraz samą - westchnęła z udawaną złością. Gdy siedem miesięcy wcześniej, po śmierci Filipa, potrzebowała go, natychmiast przybył na jej wezwanie, ale wiedziała, że praca w redakcji nie da mu szczęścia i będzie ją uważał za beznadziejną wegetację. A kto wie? Może istotnie kiedyś zostanie dobrym fachowcem w świecie filmu? - Aha - przypomniała sobie - kim jest wuj tego twojego kolegi? Czy to człowiek dobry w tej branży, godny szacunku?

- Najlepszy! - Podał jej nazwisko, którego nigdy dotąd nie słyszała, po czym trzymając się za ręce wyszli z gabinetu ojca.

Edwinie pozostało mnóstwo spraw do przemyślenia, musiała podjąć wiele decyzji, ale George wybrał już swoją drogę. Jechał do Hollywood, co wydawało się Edwinie skończonym szaleństwem.

Rozdział dwudziesty trzeci

George wyjechał do Hollywood w lipcu, zaraz po wakacjach spędzonych z rodzeństwem nad jeziorem Tahoe. Edwina i dzieci co roku latem wyjeżdżali do ulubionego obozowiska, w którym użyczali im gościny przyjaciele rodziców. Długie spacerowanie, pływanie w jeziorze, wypadki na połowy raków - celował w nich George - pozwalały zapomnieć o miejskim zgiełku. Tego lata, zanim George wyruszył na podbój Hollywood, dzieci najlepiej jak potrafiły wykorzystywały każdą chwilę wspólnego pobytu.

Często rozmawiali o Filipie, wspominając spędzone z nim lata. Edwina traciła wiele czasu na rozważania, jak dalej postąpić z gazetą. Wprawdzie postanowiła już, że ją sprzeda, ale na razie nie podjęła decyzji co do ostatecznego terminu transakcji. Dopiero po powrocie do San Francisco, dwa dni po wyjeździe George'a do Los Angeles, poprosiła Bena, by złożył ofertę Youngom.

Choć chłopiec wyjechał, dom nadal wydawał się go pełen, a znajomi George'a wydzwaniali w dzień i w nocy. Edwina nie potrafiła sobie wyobrazić brata traktującego poważnie jakiegokolwiek zajęcie. Ale jeżeli historie, które opowiadano o Hollywood, były choć w części prawdziwe, należało się zastanowić, czy faktycznie nie jest to dla George'a najodpowiedniejsze miejsce. Słyszało się o ekstrawaganckich gwiazdach filmowych otulonych w srebrne lisy, pędzących w fantastycznych samochodach na zwariowane przyjęcia. Komuś mogło się wydać, że chłopiec jest za młody na taki tryb życia, Edwina wszakże miała do niego zaufanie i uważała, że postąpi najrozsądniej, jeżeli pozwoli bratu spróbować zrealizować marzenia. Albo mu się powiedzie, albo raz na zawsze się z nich uleczy.

- Czy nie uważasz, Ben, że powinnam się wstrzymać ze sprzedażą gazety? Bo co będzie, jeżeli George zmieni zdanie i wróci do domu? - zastanawiała się. Wciąż miała wątpliwości, czy słusznie robi, rzeczywistość jednak była nieubłagana: interesy szły coraz gorzej. Niemożliwe było dalsze utrzymanie wydawnictwa bez udziału kogoś, kto, jak niegdyś ich ojciec, twardą ręką nim pokieruje. George nie nadawał się do tego; był za młody i na dodatek nie interesowało go przejęcie rodzinnej firmy.

- Nie uda ci się utrzymać gazety do czasu, aż George dorośnie do jej prowadzenia - rzekł Ben, jak zwykle nie ukrywając prawdy przed Edwiną. Jemu także było przykro, że

firma zmieni właściciela. Nie miało jednak sensu kurczowe trzymanie się jej. Po śmierci Berta Winfielda tylko Filip mógł objąć kierownictwo. Teraz i jego zabrakło, a George nie ukrywał braku zainteresowania wydawnictwem.

Wprawdzie Youngowie odrzucili ofertę Edwiny, ale po miesiącu otrzymała propozycję od spółki wydawniczej z Sacramento. Jej właściciele od pewnego czasu rozglądali się za gazetą wychodzącą w San Francisco i "Telegraph Sun" bardzo im odpowiadał. Zaproponowali Edwinie przyzwoite warunki i Ben poradził, aby je przyjęła.

- Muszę się zastanowić - odparła.

Wciąż nie mogła się zdecydować, Ben jednak nalegał, by nie przeciągała sprawy, bo kontrahenci z Sacramento mogą się rozmyślić. Kwota, którą jej zaproponowano, nie była przesadnie wysoka, ale pozwoliłaby jej na wygodne życie przez następne piętnaście, dwadzieścia lat i na wykształcenie rodzeństwa.

- A potem? - spytała cicho Bena. - Co będzie potem?

Zdawała sobie sprawę, że w wieku czterdziestu siedmiu lat będzie bez męża, bez zawodu i bez rodziny, która by się nią zaopiekowała. Będzie musiała liczyć na to, że George i pozostałe dzieci zechcą ją utrzymywać. Jej przyszłość nie rysowała się różowo, niemniej teraz wołała się nad nią nie zastanawiać. Zresztą zatrzymanie gazety za wszelką cenę nie poprawiłoby jej sytuacji.

Benowi żal było Edwiny, choć nigdy by jej tego nie okazał.

- Przez następne lata będziesz miała dość czasu, żeby poczynić stosowne inwestycje i zaoszczędzić trochę pieniędzy. Jest wiele możliwości - uspokajał ją.

Mogła na przykład wyjść za mąż za niego lub za kogoś innego, aczkolwiek teraz, gdy miała dwadzieścia siedem lat, nie powinna liczyć, że łatwo znajdzie kandydata. Kobiecie w jej wieku trudno było się wydać. Najlepszy czas na małżeństwo miała za sobą. Tyle że ona o zamążpójściu nie myślała. Wybrała drogę, którą uznała za najwłaściwszą, i zdawała się niczego nie żałować. Tylko na stacji, gdy na twarzy odjeżdżającego George'a dostrzegła wyraz niekłamane entuzjazmu, miała wrażenie, że jej życie minęło niepostrzeżenie. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na podobne rozważania, toteż po powrocie do domu rzuciła się w wir obowiązków.

Od George'a często przychodziły listy z Hollywood. Dzieci śmiały się do łez czytając jego opowieści o kobietach noszących wspaniałe futra bez względu na pogodę,

obwieszonych kryształami górskimi i poruszających się w otoczeniu sfory chartów. Na pierwszym przyjęciu, na które George został zaproszony, omal nie doszło do awantury, gdy jeden z psów nadepnął na ulubionego węża pewnej gwiazdki. Od pierwszych dni pobytu w Hollywood George poczuł się w tym zwariowanym świecie jak ryba w wodzie. Wuj kolegi nie zawiódł go i zgodnie z obietnicą dał mu pracę kamerzysty, by chłopiec od samego początku mógł zgłębiać tajniki zawodu. Po dwóch tygodniach George pracował już nad swym pierwszym filmem.

- Czy on zostanie kiedyś gwiazdorem? - dopytywała się dziesięcioletnia Fannie zaraz po wyjeździe brata. Wszystko, co robił George, wydawało jej się nadzwyczajne.

Nie mniej przejęta karierą brata była Alexis, która w wieku dwunastu lat stała się prawdziwą pięknoscią. Wyrosła na panienkę ładniejszą, niż się zanosilo, a jej pełna smutku powściągliwość zdawała się skrywać gorący temperament. Edwina nieraz niepokoiła się na widok spojrzeń, jakimi obcy obrzucali to nad wyraz powabne dziecko. Mała nadal niechętnie zadawała się z obcymi. Nie doszła całkiem do siebie po stracie rodziców, a kolejny cios, jakim była śmierć Filipa, sprawił, że jeszcze bardziej oderwała się od rzeczywistości. Przy Edwinie była wygadana i pewna siebie, ale jak tylko zjawiali się nieznajomi, niemal wpadała w panikę. Zanim George opuścił dom, okazywała mu wręcz bałwochwalcze uwielbienie. Nie odstępowała go ani na krok i bywało, że w nocy siedziała na schodach całymi godzinami, czekając na jego powrót z przyjęcia. Po śmierci Filipa przylgnęła doń i darzyła go przywiązaniem takim jak ongiś rodziców. Domagała się, żeby pojechali do Hollywood odwiedzić brata, i Edwina obiecała jej to, choć chłopiec wybierał się do domu na Święto Dziękczynienia.

Niedługo przed tym świętem sprzedała wreszcie gazetę spółce z Sacramento. Przeciągającej sprawę Edwinie udało się mimo woli uzyskać wyższą cenę. Kwota okazała się całkiem przyzwoita, choć nie oszałamiająca, i Edwina wiedziała, że odtąd przyjdzie jej bardziej liczyć się z wydatkami. Nie było mowy o nowych strojach, samochodach ani drogich wycieczkach, zresztą za żadną z tych rzeczy nie tęskniła. Chciała mieć tylko dość pieniędzy, aby przyzwoicie wychować i wykształcić rodzeństwo. Nie przypuszczała, że sprzedaż gazety obudzi na nowo falę wspomnień.

Tego dnia udała się do wydawnictwa, by podpisać stosowne dokumenty. Transakcja miała się dokonać w dawnym gabinecie jej ojca, obecnie zajmowanym przez dyrektora

zarządu. Dla personelu był to wciąż gabinet Berta Winfielda, na ścianie nadal wisiało zdjęcie Edwiny stojącej obok matki. Zdjęła je i wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym dołączyła fotografię do innych rzeczy, które zabierała. Usiadła przy biurku i podpisała ostatnie dokumenty.

- To już chyba wszystko, prawda? - spojrzała pytająco na Bena, który jako jej prawnik miał dopilnować ostatecznego kształtu umowy.

- Przykro mi, Edwino, że sprawy tak się mają - powiedział ze smutnym uśmiechem. Podobnie jak ona wolałby widzieć Filipa na czele gazety, niż oddawać ją w obce ręce. - Co słyszeć u George'a? - zapytał na odchodnym.

Zanim mu odpowiedziała, roześmiała się, wspomniawszy głupstwa, jakie brat powypisywał w ostatnim liście.

- Chyba nigdy dotąd nie był taki szczęśliwy. To, co opisuje, mnie się wydaje zupełnym wariactwem, ale jemu najwyraźniej odpowiada.

- Cieszę się. Nie nadawał się tutaj - rzekł Ben. Nigdy nie mówił Edwinie, że według niego George w krótkim czasie doprowadziłby gazetę do bankructwa.

Zanim się pożegnali, postali chwilę przed wydawnictwem. Edwina wiedziała, że w dalszym ciągu będzie korzystać z rad Bena. Odprowadził ją do samochodu i z uczuciem nostalgii pomógł przy wsiadaniu.

- Dziękuję ci za wszystko - rzekła miękko.

Ben w odpowiedzi skinął tylko głową.

Edwina uruchomiła silnik i pogrążona w smutku powoli odjechała w stronę domu. Sprzedała gazetę, która była jej ojcu tak droga! Ale skoro jego zabrakło, skoro zabrakło Filipa... Pewien rozdział życia musiał zostać zamknięty.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zgodnie z obietnicą złożoną rodzeństwu George przyjechał do domu na Święto Dziękczynienia. Sypał jak z rękawa zwariowanymi opowieściami o jeszcze bardziej zwariowanych ludziach. Zetknął się już z braćmi Warner, na przyjęciu widział Normę i Konstancję Talmadge. Olśniewał dzieci opowiadaniem o Tomie Miksie i Charliem Chaplinie. Nie znaczyło to, że poznał ich bliżej, ale Hollywood było miejscem dostępnym dla każdego, pełnym życia i niesłychanie ekscytującym, a w raczkującym przemyśle filmowym każdy mógł popróbować swoich sił, nieraz z nadspodziewanie dobrym skutkiem.

Wuj jego przyjaciela, Sam Horowitz, postać niezwykła, był według George'a wybitnym biznesmenem i znał w mieście każdego, kogo znać należało. Przed czterema laty założył najwspanialsze studio filmowe w Hollywood i miał duże szanse na zostanie najpopularniejszą osobą w mieście. Znał się wyśmienicie na swojej robocie, a jego praca spotykała się z ogólnym uznaniem. George opisał go jako mężczyznę potężnego zarówno pod względem postury, jak i zajmowanej pozycji. Edwinie nie umknęła rzucona przy okazji uwaga, że Horowitz ma wyjątkowo ładną córkę, jedynaczkę, którą po śmierci jej matki w katastrofie kolejowej na Wschodzie wychowywał uwielbiający ojciec. George nadspodziewanie dużo wiedział o owej pannie, lecz Edwina wstrzymała się od komentarzy, wysłuchując kolejnych zabawnych historii.

- Możemy do ciebie przyjechać? - zapytał Teddy z wyrazem uwielbienia w oczach.

Dla niego brat był wielkim człowiekiem, znacznie ważniejszym niż jakiś tam gwiazdor filmowy! A George pławił się w zachwycie, którym darzyło go młodsze rodzeństwo. Podkreślał, że interesuje go nie tylko techniczna strona produkcji filmu. Posada asystenta kamerzysty miała być, jak zapewniał dzieci, jedynie etapem przejściowym do dalszej kariery. Przekonany o swoim talencie George był pewien, że pewnego dnia będzie kręcił filmy i kierował studiem co najmniej takim, jakie posiadał Sam Horowitz. Sam obiecał mu posadę w biurze, jeżeli przez rok będzie się należycie przykładał do powierzonych mu obowiązków.

- Mam nadzieję, że w tej pracy lepiej się spiszesz niż w gazecie - zauważyła Edwina.

George uśmiechnął się, pewien, że bez trudu podola stawianym przed nim zadaniom.

- Obiecuję, siostrzyczko. Pójdzie mi lepiej niż w Harvardzie!

Miał wyrzuty sumienia, że ją zawiódł przerywając studia, ale nareszcie robił to, co mu odpowiadało! Edwina żałowała, że Filip nie dożył dnia, w którym jego brat zajął się czymś na serio, zaraz jednak pomyślała, że gdyby Filip żył, George wciąż chodziłby na wagary w Harvardzie.

O wojnie, zakończonej ledwie przed kilkoma tygodniami, starsze rodzeństwo rozmawiało niejednokrotnie. Wydawało im się ogromną niesprawiedliwością, że Filipa nie ma wśród nich. Edwina na próżno próbowała doszukać się sensu w ogólnoświatowej jatce. Państwa sprzymierzone miały dziesięć milionów zabitych i dwadzieścia milionów kalek. Bilans zmagających wojennych okazał się szokujący. Rozważania na temat wojny w Europie przypomniały Edwinie, że od dawna nie miała wiadomości od ciotki Liz, postanowiła zatem do niej napisać. O śmierci Filipa poinformowała krewną już wcześniej, potem pisała jej o życiu George'a w Hollywood i o tym, co słychać u reszty Winfieldów. Od blisko roku jednak nie przyszedł żaden list z Anglii - zapewne wojna paraliżowała działalność poczty.

Edwina napisała do Liz zaraz po wyjeździe brata do Los Angeles, lecz odpowiedź z Europy dotarła do Kalifornii dopiero po Bożym Narodzeniu. George przyjechał do domu na święta. Znowu opowiadał wiele historyjek o gwiazdach filmowych, które miał okazję poznać. Edwina zauważyła, że chłopiec wielokrotnie wspominał o Helen Horowitz, i przypuszczała, że jest nią mocno zainteresowany. Zastanawiała się, czy powinna odwiedzić go w Hollywood, czy raczej pozwolić mu cieszyć się wolnością bez ograniczeń. W wieku dziewiętnastu lat wydawało mu się, że jest dojrzałym wyrafinowanym mężczyzną, Edwina jednak wiedziała, iż w głębi ducha pozostał chłopcem i być może zawsze taki będzie. W domu godzinami potrafił się bawić z młodszym rodzeństwem. Dla każdej z dziewczynek przywiózł sukienkę i śliczną lalkę, Teddy'emu wspaniałą rowerek i parę szczudeł, Edwinie zaś podarował cudowne futerko ze srebrnych lisów. Nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek miała okazję je włożyć, ale wspomniawszy matkę wystrojoną w podobne futro przed laty, poczuła, że nie zdoła się oprzeć i będzie je nosić. George zawsze był hojny i serdeczny i wciąż skłonny do nie kończących się figli. Teraz chodził wokół domu na szczudłach Teddy'ego lub wyłaniał się na nich z ogrodu, by przywitać sąsiadów.

Już po jego wyjeździe Edwina otrzymała wiadomość od prawnika ciotki z Londynu. W bardzo oficjalnym liście donosił jej, że lady Hickham zmarła pod koniec października. Z powodu "niewygód" ostatnich dni wojny, pisał, nie mógł powiadomić wcześniej

"Szanownej Pani Winfield" o tym smutnym wydarzeniu. Ale, jak wspomniał, zamierzał napisać do niej, gdy tylko sprawy się ułożą - co niniejszym uczynił.

Edwina wiedziała, że wuj Rupert zapisał rodowy majątek siostrzeńcowi, który dziedziczył tytuł lordowski. Natomiast, co było zupełnie zrozumiałe, osobisty majątek zostawił żonie i zgodnie z ostatnią wolą lady Hickham miał on przejść teraz w całości w ręce Edwiny i jej rodzeństwa. Prawnik podawał w liście przybliżoną wartość dziedziczonego majątku. Edwina ze zdumieniem wpatrywała się w pismo. Zapisana kwota nie była na tyle duża, aby mogli opływać w luksusy i rozbijać się rolls-royce'ami, ale wystarczająca, by każdemu z Winfieldów zapewnić dostatnią przyszłość, jeżeli rozsądnie ulokują pieniądze. Było to wymarzone rozwiązanie wszelkich trosk Edwiny. Jej bracia byli młodzi, na pewno zdobędą zawód i pracę, dziewczynki zapewne znajdą mężów, którzy zatroszczą się o ich utrzymanie, ona jednak była w gorszej sytuacji. Kwota, którą zapisała im ciotka Liz, oznaczała dla niej niezależność do końca życia. Nie będzie nigdy musiała szukać pomocy u rodzeństwa. Przeczytała list ponownie z uczuciem cichej wdzięczności dla ciotki, którą ledwie znała i której obecność ledwie tolerowała podczas jej ostatniej wizyty. Pieniądze te spadały im jak z nieba. Odziedziczona suma była znacznie większa od otrzymanej ze sprzedaży gazety i podzielonej na pięć równych części ulokowanych w banku na nazwisko każdego z Winfieldów. Po podziale nie było tego dużo.

- Dziękuję ci, Boże - szepnęła i złożyła list.

Było to w sobotnie popołudnie. Alexis weszła do pokoju i w milczeniu obserwowała siostrę czytającą list.

- Czy stało się coś złego? - zapytała w końcu. Dziewczynka przywykła już do tragedii i niedobrych wieści, które zwiastowały nadchodzące telegramy i listy.

- Nie... tak... - rzekła z wahaniem. - Ciotka Liz umarła. Ale zostawiła nam bardzo hojny prezent, z którego kiedyś będziesz zadowolona.

Edwina zamierzała zasięgnąć porady w swoim banku co do najbezpieczniejszego sposobu zainwestowania tych pieniędzy.

Wiadomość o spadku nie zrobiła na Alexis wrażenia.

- Na co umarła? - zapytała poważnie.

- Nie wiem. - Edwina ponownie otworzyła list z poczuciem winy, że nie bardzo żałuje zmarłej ciotki, jedynej siostry swej matki. Ciotka zawsze była nerwowa i

nieszczęśliwa, a jej ostatni pobyt w Kalifornii okazał się dla nich wyjątkowo ciężkim przeżyciem. -Nic tu o tym nie napisano.

Mogła to być grypa "hiszpanka", która już zabiła wiele ludzi w Europie i w Stanach i nadal zbierała śmiertelne żniwo na obu kontynentach. Edwina próbowała obliczyć, ile ciotka mogła mieć lat, i wyszło jej, że chyba pięćdziesiąt jeden. Za podstawę wzięła wiek ich matki, która skończyłaby tego roku czterdzieści osiem lat. Dziwne, ale ciotka niewiele przeżyła schorowanego wuja Ruperta.

- Miło, że o nas pomyślała, prawda, Alexis? - Edwina uśmiechnęła się widząc, jak siostra z powagą kiwa głową.

- Czy jesteśmy teraz bogaci? - spytała zaintrygowana Alexis, przysiadając obok siostry. Edwina pokręciła głową. Choć poczuła ulgę na wieść o pieniądzach, które zapisała im ciotka, trudno było nazwać otrzymany spadek dużym majątkiem. - A moglibyśmy przenieść się teraz do Hollywood, do George'a? - wypytywała dalej dziewczynka.

Edwina uśmiechnęła się nerwowo.

- Nie sędzę, żeby był zachwycony, gdybyśmy tam zamieszkali. Ale na pewno możemy teraz pomalować dom... i wynająć kucharkę, ogrodnika...

Pani Barnes przeszła na zasłużony odpoczynek zeszłego lata. Odtąd Edwina najmowała tylko pomoc do sprzątnięcia, pozostałe prace domowe zaś wykonywała sama, aby w ten sposób oszczędzić fundusze, które zostały jej po sprzedaniu gazety.

Pomysł przeniesienia się do Hollywood niezbyt jej się podobał. Była szczęśliwa tu, w domu, poza tym prawie trzynastoletnią Alexis trudno było upilnować nawet na spokojnych ulicach San Francisco. Mężczyźni ją nieustannie nagabywali, a dziewczynka zaczynała kokieteryjnie odpowiadać na ich zaloty, co poważnie martwiło Edwinę.

- Ja bym wolała pojechać do Hollywood - oświadczyła Alexis.

Jej śliczną buzię otaczała aureola blond włosów, które opadały kaskadą na ramiona. Na ulicy przechodnie przystawali, aby na nią popatrzeć, i gdziekolwiek się udała, ściągali na siebie spojrzenia. Fannie natomiast, podobna do Edwiny, miała spokojniejszą urodę siostry. Dziwne, ich rodzice byli przystojni, lecz żadne nie było tak uderzająco piękne jak Alexis. Filip był niebrzydkim chłopcem, nie wyróżniał się jednak spośród rówieśników. Może tylko Teddy miał coś z eterycznej urody Alexis. George natomiast odziedziczył nieregularne, ale pociągające rysy ojca.

Edwina wpadła w przerażenie na myśl, że Alexis miałyby jechać do Hollywood. Od tego akurat miasta należało ją trzymać z daleka. Tylko tego brakowało, żeby włączyły się za nią tabuny wielbicieli przekonanych, że dziewczynka jest znacznie starsza.

Gdy kilka dni później zadzwonił George, Edwina powiadomiła go o śmierci ciotki Liz. Na wieść o spadku brat zaproponował, by rodzeństwo przyjechało do niego uczcić tę okazję, ale zaraz się połapał, że popełnił gafę.

- Przepraszam, Weenie, to chyba było niedelikatne? Pewnie powinienem okazać więcej uczuć?

Był szczerze zmartwiony, co Edwinę rozczuliło. Zawsze ją rozbrajała bezpośredniość, z jaką okazywał swe uczucia. Kiedy był szczęśliwy, śmiał się, a gdy był smutny, płakał. W tym wypadku zareagował szczerze, żadne z nich bowiem nigdy nie przepadało ani za ciotką Liz, ani za wujem Rupertem.

- Ja czuję się podobnie - wyznała Edwina. - Wiem, że powinnam być smutna, i pewnie gdzieś głęboko tkwi we mnie żal. Przecież ciotka była siostrą mamy! Ale cieszę się z tych pieniędzy. I bardzo mi ulżyło, bo teraz wiem, że na starość nie będę musiała chodzić po prośbie.

- No co ty? Na to bym nigdy nie pozwolił! - powiedział ze śmiechem George. - Chyba że byś mnie ze sobą zabierała. Pewnie i w tym byłabyś najlepsza.

- Poczekaj! Już cię biorę! - Obydwoje uśmiechali się serdecznie. George ponowił swoje zaproszenie i Edwina obiecała, że przyjadą podczas ferii wielkanocnych.

Gdy odwiesiła słuchawkę, Teddy patrzył na nią wyraźnie przejęty, jakby się spodziewał, że siostra zaraz usiądzie na rogu ulicy z ręką wyciągniętą po datki. Edwina roześmiała się na widok jego poruszenia.

- Och, ty podsłuchiwasz! Ja tylko nabierałam George'a! - powiedziała wesoło.

Alexis wszakże wyłowiła z rozmowy ważniejszą dla niej informację i z zachwytem spojrzała na siostrę.

- Więc pojedziemy do Hollywood?

Dziewczynka wyglądała ślicznie jak marzenie i Edwinę znowu naszły wątpliwości, czy dobrze zrobi zabierając Alexis do Hollywood. Nie miała jednak serca odmówić rodzeństwu - przecież to w końcu jeszcze dzieci, podekscytowane perspektywą wymarzonej podróży. A niech tam, zdecydowała. Ostatecznie Alexis nie będzie sama, już ona, Edwina,

potrafi ją przypilnować.

- Może pojedziemy - odparła - jeżeli będziecie grzeczni. Powiedziałam George'owi, że wybieramy się do niego na Wielkanoc.

Dzieci wydały chórem dziki okrzyk i zaczęły skakać z radości. Edwina cieszyła się ich szczęściem. Nie żałowała życia poświęconego rodzeństwu, w dodatku przyszłość rysowała się teraz w jasnych kolorach.

Prawnik ciotki kontaktował się z nią dwukrotnie, zapytując przy okazji, czy nie byłaby skłonna przyjechać do Havermooru, by na miejscu doprowadzić do końca sprawy spadkowe. Mogłaby wtedy odwiedzić majątek, zanim przejdzie on w ręce siostrzeńca lorda Hickhama. Edwina jednak nie miała zamiaru dobrowolnie wsiąść na statek. Sama myśl o przeprawie przez ocean wywoływała u niej

dreszcze. Wysłała zatem uprzejmy list, w którym tłumaczyła, że z powodu obowiązków rodzinnych nie może pojechać do Anglii. Prawnik w odpowiedzi zapewnił, że jej obecność nie jest konieczna.

Rocznicę śmierci rodziców, już siódmą, jak zwykle uczcili mszą, a potem wspominkami. Tym razem nie było z nimi George'a, ponieważ nie mógł przerwać pracy nad filmem, który właśnie kręcił. Przysłał Alexis prezent urodzinowy - modną sukienkę i dobrany do niej płaszcz. Jej urodziny obchodzili pierwszego kwietnia, gdyż świętowanie ich dokładnie w rocznicę zatonięcia "Titanica" byłoby nazbyt bolesne.

Tego roku dziewczynka skończyła trzynaście lat. Aby miała w czym się pokazać w Hollywood, Edwina kupiła jej u Magnina sukienkę, w której mała wyglądała znacznie doroślej i z której była bardzo dumna. Suknia z błękitnej tafty, z niewielkim kołnierzykiem, wyglądała nad wyraz gustownie, całości stroju dopełniał odpowiednio dobrany żakiecik. Ujrzawszy siostrę w tej kreacji, Edwina oniemiała. Z upiętymi wysoko jasnymi włosami uśmiechnięta Alexis wyglądała jak anioł.

Kilka dni później niesłychanie podniecone dzieci wsiadły do pociągu jadącego do Los Angeles.

Hej, Hollywood, jedziemy do ciebie! - zawołał radośnie Teddy, gdy pociąg wolno ruszał ze stacji w San Francisco.

Rozdział dwudziesty piąty

Przyjęcie, jakie George zgotował im w Hollywood, przeszło ich oczekiwania. Wyjechał po nich na dworzec wypożyczonym cadillakiem i zawiózł ich do otwartego przed siedmioma laty Beverly Hills. Hotel, który przypominał luksusowy pałac ustawiony na szczycie wzgórza. Chłopiec zapewnił rodzeństwo, że tu właśnie najczęściej można spotkać ludzi filmu i że w każdej chwili mogą się natknąć na Mary Pickford, Douglasa Fairbanka, a nawet na Glorię Swanson. Akurat gdy zajeżdżali pod hotel, Charliego Chaplina przywiózł tam jego japoński szofer. Fannie i Alexis z rozpalonymi policzkami rozglądały się na wszystkie strony, Teddy zaś był tak zafascynowany samochodami podjeżdżającymi pod hotel, że trzeba go było pilnować, aby pod któryś nie wpadł.

- Patrz, Edwino! To stutz bearcat!

Już pierwszego dnia wypatrzył dwa takie samochody, a oprócz nich cztery rolls-royce'y oraz inne wspaniałe wozy: mercery raceabouty, kissele, pierce-arrowy... Widok tych fantastycznych maszyn wprowadził go w oszołomienie. Dziewczynki natomiast, nie wyłączając Edwiny, zachwycaly się strojami pań. Edwina sprawiła sobie wprawdzie nową suknie w San Francisco przy okazji zakupów dla Alexis, zabrała też srebrne lisy, mimo to poczuła się ubrana niemodnie jak własna babka. Tu kobiety nosiły długie, wyzywająco obcisłe suknie, o wiele bardziej podkreślające kształt bioder niż spódnice Edwiny. Niezwykła atmosfera tego miasta spowodowała, że George'owi udało się namówić stateczną zazwyczaj starszą siostrę na kupno kilku nowych kapeluszy a gdy pewnego wieczoru wybrali się na kolację do Sunset Inn w San Monica, ona z kolei zmusiła brata, by nauczył ją tańczyć fokstrota.

- No dobrze... tak... o rany, moja noga!... - drażnił się z siostrą George prowadząc ją po parkiecie.

Bawili się świetnie. Edwina nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak beztrosko. Zastanawiając się nad tym, na krótko wspomniła smak dawno minionych dni. Pod wieloma względami George był podobny do ojca, tak że nieodparcie wróciło do niej wspomnienie, jak Bert uczył ją tańczyć, gdy była małą dziewczynką. Broniła się jednak przed rozpamiętywaniem tamtych przeżyć. Doskonale się bawili i nie chciała tego popsuć.

Teraz dopiero Edwina zrozumiała, dlaczego George tak wspaniale się tutaj czuł. To był świat zapalonych i szczęśliwych ludzi, którzy nieśli innym radość swymi cudownymi obrazami. Byli młodzi, dynamiczni i weseli. Wydawało się, że tutaj każdy jest w jakiś

sposób związany z kinem. Do jej uszu dobiegały znane nazwiska: Louis B. Mayer, D. W. Griffith, Samuel Goldwyn, Jesse Lasky... Kręciło się tu ten rodzaj filmów, których tajniki poznawał George u Samuela Horowitza. Edwinę zafascynował świat Hollywoodu.

Dzieci były oszołomione, gdy George wziął je na najnowszą komedię Macka Sennetta i film z Charliem Chaplinem. Nigdy dotąd nie widziały nic równie wesołego. Po seansie zabrał dzieci na lunch do Nat Goodwin's Cafe w Ocean Park, a za zgodą Edwiny zaprowadził je nawet do osławionego Three O'Clock Ballroom w miasteczku Venice i do Danceland w Culver City. W drodze powrotnej zawiózł rodzeństwo do Alexandria Hotel, by zobaczyli bywające tam gwiazdy filmowe. Tego wieczoru mieli wiele szczęścia, bo natknęli się na Glorię Swanson i Lillian Gish, a także Douglasa Fairbanka z Mary Pickford, którzy, jak powiadano, swój romans traktowali nadzwyczaj serio. Edwina aż promieniała z zachwytu mogąc na nich popatrzeć, wołała bowiem obserwowanie prawdziwego życia gwiazd od oglądania ich filmowych przeżyć.

George zabrał też rodzeństwo do studia Horowitza, gdzie przez całe popołudnie dzieci przyglądały się, jak pracuje nad filmem razem z Wallace'em Beerym. Sceny kręcono w zawrotnym tempie. George tłumaczył Edwinie, że przy dobrej organizacji film można zrobić w niecałe trzy tygodnie. On pracował już samodzielnie przy trzech filmach. Chciał przedstawić siostrę Samowi Horowitzowi, lecz tego dnia nie było go w studiu, obiecał zatem Edwinie, że dokona prezentacji przy następnej okazji.

Tego wieczora zabrał ich do Hollywood Hotel na kolację. Wszystkich zachwyciły eleganckie wnętrza, jeszcze bardziej zaś Helen Horowitz, którą Teddy od razu nazwał "panią George'a". Czekala na nich w hotelu w białej sukni z błyszczącej materii. Blond włosy miała zaczesane do góry, a jej cera barwy świeżej śmietanki doskonale współgrała z bielą otulającą wspaniałą figurę. Osiemnastoletnia Helen wzrostem dorównywała George'owi, była wiotka niczym trzcina i zaskakująco nieśmiała. Jej suknię zamówiono u Poireta w Paryżu, o czym mówiła z taką naturalnością, jakby szycie tam strojów uchodziło za rzecz najnormalniejszą w świecie. Była uprzejma i w jakiś niewinny, choć wyszukany sposób przypominała Edwinie Alexis. Reprezentowała ten sam typ eterycznej urody i podobnie łagodny sposób bycia, a przy tym wydawała się zupełnie nieświadoma wrażenia, jakie wywiera na otoczeniu. Dorastała w Los Angeles, ojciec jednak najwyraźniej nie życzył sobie, aby zbyt często przebywała z ludźmi "z branży". To akurat szło w parze z

upodobaniami Helen, która wolała spędzać wolne chwile wśród koni. Zapraszała Winfieldów na "koński" weekend na ranchu w dolinie San Fernando, lecz Edwina wytłumaczyła jej, że Alexis boi się koni. Teddy chętnie by pojechał, ale musiał się zadowolić widokiem samochodów, którymi zachwycał się bez końca. Edwina zaczynała mieć wątpliwości, czy uda jej się utemperować chłopca, gdy wrócą do San Francisco.

- Dawno znasz George'a? - zapytała, spoglądając na córkę Horowitza.

Dziewczyna z powagą skinęła głową. Była wyjątkowo śliczna, a równocześnie taka naturalna! Nie stroiła zarozumiałych min, była śliczną bezpretensjonalną panną w bardzo drogiej sukni, zainteresowaną, najwyraźniej z wzajemnością, bratem Edwiny. George traktował ją z ogromną atencją. Gdy Edwina patrzyła, jak tańczyli, widziała bijącą od tej pary siłę zdrowia i młodości spowitą nimbem niewinności, widziała dwoje ludzi nieświadomych swej niecodziennej urody. Obserwując ich zdała sobie sprawę, jak bardzo George wydorósł, odkąd opuścił dom. Był prawdziwym mężczyzną.

- Jaka szkoda, że ojca nie ma w mieście - powiedziała Helen. - Przez cały tydzień będzie w Palm Springs, gdzie stawiamy dom - dodała takim tonem, jakby budowanie domu nie było niczym szczególnym.

- Poznamy się następnym razem - pocieszyła ją Edwina zerkając na George'a, który właśnie zauważył paru przyjaciół i przywoływał ich gestem.

Grupka mocno ożywionych młodych ludzi wyglądała dość sympatycznie. Niektórzy byli podochoceni alkoholem i najwyraźniej dobrze się bawili, co tutaj było zresztą regułą - każdy w tej branży musiał żyć beztrosko, jakżeby bowiem gromada ponuraków mogła dawać rozrywkę tysiącom ludzi? I obojętnie jakie głupstwa robili, widać było, że George to uwielbia.

Dzieci nie miały ochoty wyjeżdżać, Edwina zgodziła się więc przedłużyć pobyt w Hollywood o kilka dni. Znowu poszli do studia, by przyjrzeć się pracy George'a, i wtedy jeden z reżyserów zapytał Edwinę, czy nie pozwoliłaby Alexis zagrać w filmie. Edwina zawahała się, ale ku jej zaskoczeniu George stanowczo sprzeciwił się temu, doprowadzając młodszą siostrę do rozpacz. Gdy później George i Edwina rozmawiali na ten temat, chłopiec oznajmił, że jego zdaniem Alexis nie ma czego szukać w Hollywood.

- Po co mają ją wykorzystywać? - powiedział. - Ona nawet nie jest świadoma swojej urody. Fajnie tu jest, ale Hollywood to miejsce dla dorosłych, nie dla dzieci. Jeżeli

pozwolesz jej raz wystąpić w filmie, na pewno zechce tu wrócić i może zejść na złą drogę. Już to widziałem i nie chciałbym, żeby to samo spotkało moją siostrę. Ty zresztą też pomyślałabyś o tym, gdybyś była bliżej tych spraw.

Edwina w pełni się z nim zgadzała, ale równocześnie była zaskoczona jego konserwatywną postawą.

Jak na dziewiętnastoletniego chłopca - a właściwie prawie dwudziestoletniego, o czym przy każdej okazji nie omieszkął jej przypomnieć - George idealnie potrafił się dostosować do wyrafinowanego środowiska Hollywood. Edwina była z niego dumna i dopiero tutaj poczuła zadowolenie, że sprzedała gazetę. Skoro życie w tym mieście tak bardzo mu odpowiadało, to nigdy nie byłby szczęśliwy pracując w redakcji. Postąpiła słusznie. I on także, przenosząc się tutaj.

Nadszedł w końcu dzień wyjazdu. Dzieci ogromnie żałowały, że wracają już do San Francisco, i domagały się od Edwiny obietnicy, że niebawem znowu zawitają do Hollywood.

- Skąd wiecie, czy George będzie chciał nas jeszcze oglądać? - zażartowała Edwina, lecz wymowne spojrzenie brata ponad głowami rodzeństwa sprawiło, że przyrzekła, iż wkrótce go odwiedzą.

- Pewno będę już miał własny dom i zamieszkacie u mnie - zapowiedział.

Zamierzał kupić małą posesję za pieniądze, które odziedziczył po ciotce Liz. Na razie mieszkał z przyjacielem w apartamencie w Beverly Hills, tuż za miastem. Miał bardzo rozległe plany, wiedział jednak, że musi się wiele nauczyć, aby je zrealizować, i po raz pierwszy w życiu pilnie korzystał ze wskazówek nauczycieli. Samuel Horowitz dał mu szansę, której George nie chciał zaprzepaścić, robił zatem wszystko, by spełnić oczekiwania szefa.

Odwiózł rodzeństwo samochodem na dworzec, a kiedy pociąg ruszał, brat i siostry długo machali mu rękami na pożegnanie. Dla nich był zjawiskiem na miarę powiewu wichru, wspomnieniem cudownego snu, błyskiem światła. Wrażenia z wolna blakły, gdy siedzieli w przedziale. Spoglądając na siebie zastanawiali się, czy to, co przeżyli, wydarzyło się naprawdę. A pociąg toczył się niestrudzenie w kierunku San Francisco.

- Chcę tam wrócić - oznajmiła Alexis.

- Wrócimy - obiecała z uśmiechem Edwina.

Jej także dni spędzone w Hollywood dostarczyły niezapomnianych wrażeń. Poczula się, jakby miała osiemnaście, a nie prawie dwadzieścia osiem lat. Za tydzień wypadały jej urodziny. Przeżytych radości wystarczy przynajmniej na cały następny rok. Uśmiechnęła się do wspomnień, a gdy popatrzyła na Alexis, napotkała jej zdecydowane spojrzenie.

- Ja tam kiedyś zamieszkać - oświadczyła Alexis tonem nie znoszącym sprzeciwu, jakby snuła plany, których nic na świecie nie mogło już zmienić.

- Tak jak George? - Edwina próbowała obrócić słowa siostry w żart, lecz błysk w oczach Alexis przekonał ją, że mała mówi poważnie.

Nieco później, w połowie drogi do domu, Alexis popatrzyła na nią z pretensją w oczach.

- Dlaczego nie pozwoliłaś mi wystąpić w filmie, o którym mówił ten reżyser?

Edwina zrazu chciała zbyć ją żartem, rozmyśliła się jednak ujrawszy minę siostry. Malujący się na twarzy Alexis wyraz determinacji kazał jej podejść do sprawy poważnie.

- George uważał, że to nie najlepszy pomysł - podparła się autorytetem brata.

- Dlaczego? - nalegała Alexis.

Edwina udała, że pochłania ją podwijanie rękawów Fannie, i zanim odpowiedziała Alexis, wyjrzała jeszcze przez okno, by zyskać więcej czasu do namysłu.

- Pewnie dlatego, że to świat dorosłych, ludzi z branży, a nie amatorów, których można zranić, gdy robią rzeczy, których znaczenia nie pojmują.

Odpowiedź była jasna i uczciwa. Po chwili zastanowienia Alexis przyjęła ją do wiadomości.

- Kiedyś zostanę aktorką i nie będziesz mogła mnie powstrzymać - powiedziała dziwnie gwałtownie.

Edwina aż się zachnęła, słysząc jej słowa.

- Dlaczego sądzisz, że chciałabym cię powstrzymać? - spytała nie mniej gwałtownie.

- Bo teraz to zrobiłaś... Ale następnym razem... następnym razem będzie inaczej.

Siedziała patrząc przez okno, a Edwina przyglądała się jej zdumiona. Kto wie? Może Alexis faktycznie wróci do Hollywood i będzie pracować z George'em? Edwina była niemal pewna, że bratu się powiedzie. Złapała się na tym, że zastanawia się nad Helen, jaka ona naprawdę jest, na ile zależy jej na George'u i czy z ich znajomości wyniknie coś poważniejszego.

Każde z rodzeństwa miało o czym myśleć w drodze do domu. W końcu Edwina pod wpływem monotonnego stukotu kół zapadła w sen, po obu stronach mając dzieci, które drzemały z głowami opartymi na jej ramionach. Naprzeciwko nich siedziała Alexis. W podróży ani na chwilę nie zmrużyła oka, wyglądała przez okno z zaciętym wyrazem twarzy. Przyczynę marsowej miny знаła tylko ona, pozostałe dzieci mogły jej się jedynie domyślać.

Rozdział dwudziesty szósty

Dla George'a i jego hollywoodzkich przyjaciół następne cztery lata były niezwykle pracowite. Powstawały takie filmy jak "Szejk "Defetysta", "Rajskie szaleństwa" De Mille'a, jego komedia "Paragraf 62 prawa o małżeństwie", a rozwijający się przemysł filmowy był dla ludzi, którzy w nim pracowali, szansą na szybkie wzbogacenie. Pod życzliwą opieką swego nauczyciela i protektora, Sama Horowitza, George uczestniczył w produkcji co najmniej tuzina naprawdę dobrych filmów - naprzód jako kamerzysta, potem trzeci asystent reżysera, aż wreszcie jako samodzielny producent, co było spełnieniem jego marzeń. Obietnica, którą złożył Edwinie, gdy w roku 1919 wybierał się do Hollywood, teraz, w 1923, stawała się rzeczywistością.

Od samego początku Horowitz wypożyczał go takim wytwórciom, jak Paramount i Universal, dzięki czemu George poznał ludzi, których w świecie filmu wypadało znać, a podpatrując wybitnych twórców, został mistrzem w swoim zawodzie. Tego roku, podobnie jak bracia Warner, Horowitz zarejestrował swoją spółkę, zatrudniając na kontraktach najlepszych scenarzystów i reżyserów. Był pierwszym filmowcem, któremu udało się znaleźć poważnych inwestorów na Wall Street i przekonać ich, że w Hollywood można zrobić duże pieniądze. Mary Pickford i Douglas Fairbanks wraz z Charliem Chaplinem i D. W. Griffithem założyli United Artistsj za ich przykładem poszli inni. Powstawały coraz to nowe spółki. Okres ten był niewątpliwie najbardziej burzliwy i barwny w historii Hollywoodu.

Edwina bez końca mogła słuchać opowieści George'a o świecie filmu. Wciąż nie mogła uwierzyć, że urzeczywistniły się oto marzenia jej zwariowanego młodszego brata. Dobrze zrobił, że poszedł za głosem serca. Jego obecne zajęcie było na pewno ciekawsze od ślęczenia nad prasowymi artykułami, a pobyt w Hollywood zapewniał mu więcej wrażeń niż spokojna egzystencja w sennym San Francisco.

Brat i siostry odwiedzali go dwa, trzy razy do roku. Zatrzymywali się wtedy w jego domu przy North Crescent Drive. George zatrudniał lokaja, kucharza i pokojówki. Stał się światowym młodzieńcem, według Fannie przystojniejszym od samego Rudolfa Valentino. Choć chłopiec nie brał poważnie opinii młodszej siostry, Edwina zauważyła, iż żeńska część mieszkańców Hollywood zdawała się ją podzielać. Wieczory spędzał w otoczeniu

gwiazd i gwiazdek, widać wszakże było, że jedyną dziewczyną, na której rzeczywiście mu zależy, jest Helen Horowitz, córka jego mistrza, teraz dwudziestodwuletnia piękna panna. Kiedy Edwina ostatnio ją widziała, Helen miała na sobie obcisłą suknię ze srebrnej lamy, tak doskonale podkreślającą jej urodę, że gdy przytulona do ramienia George'a wkroczyła do Cocanut Grove, gościom klubu z wrażenia zaparło dech. Helen zachowywała się, jakby nie widziała skierowanych na nią spojrzeń i kamer. Edwina zapytała później brata, dlaczego jego przyjaciółka nigdy nie występuje w filmach ojca.

- Bo on tego nie chce - odrzekł George. - Ja też uważam, że powinna się trzymać z dala o tego zwariowanego biznesu. Kilka lat temu pytałem Sama, czemu nie weźmie Helen do filmu, ale nie chciał nawet o tym słyszeć. Sądzę, że miał rację. Dzięki temu na to, co się tutaj dzieje, Helen patrzy z dystansu, nie uczestniczy w tym bezpośrednio. Lubi słuchać o rozmaitych skandalach, ale tylko dlatego, że uważa je za śmieszne.

George mówił o Helen w taki sposób, że Edwina mogła przypuszczać, iż myśli o dziewczynie poważnie. Jak dotąd ich związek nie wykraczał raczej poza ramy romantycznej przyjaźni. Edwina była niezmiernie ciekawa, co wyniknie z tej znajomości, nie chciała jednak zbyt natarczywie wypytywać brata.

Po powrocie do San Francisco Edwina zabrała rodzeństwo na film pod tytułem "Hollywood", a pewnego dnia, gdy spierała się z Alexis tłumacząc, dlaczego jej nie pozwala obejrzeć filmu "Miłostki faraona", zadzwonił George. Zapraszał Edwinę, by przyjechała do Los Angeles i towarzyszyła mu na premierze jego najnowszego dzieła. Grał w nim, zaangażowany specjalnie do tego filmu, Douglas Fairbanks. George zapewnił, że przyjęcie wydane z tej okazji będzie fantastyczne.

- Dobrze ci zrobi, jak choć na chwilę uwolnisz się od tych małych potworów - przekonywał.

Lubił, gdy od czasu do czasu Edwina przyjeżdżała do niego sama, tym razem jednak premiera była zbyt głośnym wydarzeniem, aby mogła się wykręcić od zabrania dzieci, tak że dwa tygodnie później w czwórkę zjechali do Hollywood.

Alexis kończyła właśnie siedemnaście lat i była nie mniej piękna od córki Horowitza, tyle że włosów nie miała ostrzyżonych według ostatniej mody i nigdy nie nosiła srebrnej lamy. Olśniewała urodą, gdziekolwiek się znalazła, zawsze podążały za nią męskie spojrzenia. Była prawdziwą pięknoscią i Edwinie z trudem udawało się powstrzymać

pchających się drzwiami i oknami adoratorów. Mimo takiego powodzenia Alexis nadal była nieśmiałą panienką. Nad towarzystwo wielbicieli przedkładała przebywanie wśród o wiele starszych od siebie przyjaciół Edwiny, gdyż przy nich czuła się najpewniej.

Piętnastoletnia Fannie stała się zagorzałą domatorką. Najchętniej zajmowała się pracą w ogrodzie lub pieczeniem ciasta. Bardzo jej odpowiadało, gdy Edwina była zanadto zajęta, by zajmować się domem, mogła ją bowiem wyręczać.

Edwina poczyniła kilka korzystnych inwestycji i co pewien czas przy pomocy Bena sprawdzała, jak idą interesy. Ben już dawno zapomniał o swoich romantycznych mrzonkach, byli więc teraz parą doskonałych przyjaciół. Od dwóch lat był żonaty, jego szczęście zaś szczerze radowało Edwinę.

Trzynastoletni Teddy zaczynał snuć plany o wyjeździe do Harvardu. Podobało mu się w Hollywood, ale pragnął zostać bankierem. Jak na chłopca w jego wieku wybór ten wydawał się dość dziwny, tyle że Teddy przejawiał podobną jak Filip solidność i sposobem bycia bardzo go przypominał.

Z całej rodziny jeden George miał w sobie żyłkę awanturniczą, toteż jak najbardziej odpowiadało mu egzotyczne życie w Hollywood, gdzie czuł się jak ryba w wodzie.

Tym razem Winfieldowie zatrzymali się w Beverly Hills Hotel albowiem dom George'a pełen był gości. Dzieciom, jak nazywała rodzeństwo Edwina ku wielkiemu niezadowoleniu Alexis, bardzo się to spodobało, ponieważ hotel był miejscem bardziej intrygującym. Akurat zatrzymali się w nim Pola Negri, Beatrice Joy, Noah Beery i Charlie Chaplin, a Teddy niemal oszalał z wrażenia, gdy zobaczył w holu Willa Rogersa i Toma Mixa.

Edwina poczuła się zaszczycona, gdy brat zaprosił ją na premierową galę w posiadłości zwanej Pickfair. Na tę okazję sprawiła sobie oryginalną suknię Chanel ze złotej lamy i pomimo swego wieku czuła się jak młoda dziewczyna. Wkrótce miała skończyć trzydzieści dwa lata, ale o dziwo, okres wyrzeczeń jakby ją odmłodził. Jej twarz pozostała gładka, bez zmarszczek, a figurę miała teraz nawet lepszą niż przed laty. Tego roku za namową brata ścięła krótko lśniące czarne włosy. Wyglądała bardzo szykownie w złotej sukni, gdy wchodzili do domu, który Douglas Fairbanks wybudował przed trzema laty dla Mary Pickford w prezencie ślubnym. Ich małżeństwo wydawało się bajkowo szczęśliwe. Byli jedną z nielicznych par, której ułożyło się życie osobiste pośród napierającego

zawszą blichtru. Niewiele innych związków przetrwało pomiędzy jednym a drugim przyjazdem Edwiny do Hollywood.

- Gdzie Helen? - zapytała George'a, gdy stali w ogrodzie popijając drinki i obserwując tańczących gości.

Tym razem brat ani słowa jeszcze nie powiedział o przyjaciółce, co Edwina uznała za niezwykle. Przecież do tej pory nigdy przy ważnych okazjach nie brakowało Helen u jego boku, a chociaż obydwójce mieli mnóstwo innych znajomych, twarz George'a rozjaśniała się tylko na jej widok. Tylko na niej zależało mu naprawdę, troszczył się o wszystko, co jej dotyczyło, niepokoiło go jej najbliższe przeziębienie. Nie widać było jednak, by pilno mu było do ołtarza, a właśnie kwestia ustatkowania się brata budziła najwyższe zainteresowanie Edwiny.

- Jest w Palm Springs - wyjaśnił cicho George i popatrzył Edwinie prosto w oczy. - Sam uważa, że nie powinniśmy się więcej spotykać.

To tłumaczyło niespodziewane zaproszenie siostry na premierę, Edwina zastanawiała się bowiem, czemu Helen nie ma na przyjęciu.

- Dlaczego? - zapytała krótko, wzruszona wyrazem beznadziejnego smutku w oczach George'a. Pod maską wesołości wyglądał na zupełnie zdruzgotanego, co nie było do niego podobne.

- Sam twierdzi, że po czterech latach romansu albo powinniśmy się pobrać, albo przestać się widywać.

Westchnął i pozwolił, by przechodzący obok kelner napełnił mu kieliszek szampanem. Wypił już sporo tego wieczoru, ale od czasu wprowadzenia przed trzema laty prohibicji ogólnie nadużywano alkoholu. Ulubioną rozrywką stało się chodzenie na prywatne przyjęcia, organizowane w salach kinowych lub w ukrytych barach, na których czarnorynkowy alkohol lał się strumieniami. Ustawa Volsteada przyczyniła się do tego, że wielu Bogu ducha winnych ludzi zostało alkoholikami. George zazwyczaj nie pił dużo. Tego dnia przesadził, bo bez Helen czuł się strasznie samotny, i trudno było nie zauważyć, jaki jest nieszczęśliwy.

- To dlaczego się z nią nie ożenisz? - Edwina odważyła się wreszcie zadać pytanie, które od dawna cisnęło jej się na usta. Może uznała, że nadeszła pora, by postawić sprawę jasno, a może ona również wypiła za dużo? - Przecież ją kochasz, prawda?

Skinął potakująco głową i uśmiechnął się smutno.

- Tak. Ale nie mogę się z nią ożenić.

- Dlaczego? - zdumiała się Edwina.

- Pomyśl, co by ludzie powiedzieli. Że ożeniłem się z nią, aby ugruntować interesy z jej ojcem. Że ożeniłem się z nią dla pieniędzy... dla kariery. - Popatrzył nieszczęśliwy na siostrę. - Widzisz, pół roku temu Sam zaproponował mi spółkę, ale moim zdaniem muszę wybierać: albo Helen, albo ta praca. Jeżeli się z nią ożenię, prawie na pewno będę musiał opuścić Hollywood, żeby ludzie nie gadali, że to małżeństwo dla korzyści. Co prawda moglibyśmy zamieszkać w San Francisco - mówił George z rozpaczą - ale co bym tam robił? Wyjechałem cztery lata temu i nie znam się na niczym prócz tego, co robię tutaj. Dlatego na żadną posadę raczej nie mogę liczyć. A do tego wydałem pieniądze od ciotki Liz, więc jakim sposobem utrzymałbym Helen?

Istotnie, tutaj George miał niezłe, może nawet całkiem dobre dochody, lecz z dala od Hollywood nie posiadałby nic. Pieniądze odziedziczone po ciotce wydał na wspaniały dom, luksusowe samochody i stajnię pełną drogich koni.

- Jakbym się z nią ożenił, przysłoby nam klepać biedę. A jeżeli wejdę w spółkę z Samem, nie będę mógł ożenić się z Helen. To by wyglądało paskudnie, jak najgorszy rodzaj nepotyzmu.

Odstawił szklankę i tym razem, gdy kelner zbliżył się do nich, zakrył kieliszek dłonią. Tego wieczoru nie miał nawet ochoty się upić. Pragnął jedynie wypłakać się na ramieniu siostry i przykro mu było, że psuje jej zabawę, na którą przecież ją zaprosił.

- To śmieszne - zaprotestowała Edwina, spoglądając na niego ze współczuciem. - Przecież wiesz, co myśli o tobie Sam. Wiesz, dlaczego chce mieć cię za współnika. Taka propozycja dla człowieka w twoim wieku to dowód prawdziwego uznania. Zrobiłeś chyba jedną z najwspanialszych karier w Hollywood.

- I co z tego, skoro jestem sam? - zaśmiał się z goryczą. - Edwino, nie mogę tego zrobić. A co będzie, jeżeli Helen pomyśli, że ożeniłem się z nią dla kariery? Tego bym nie zniósł, dlatego muszę o niej zapomnieć.

- Rozmawiałeś z nią o tym? - spytała Edwina.

- Nie. Tylko z Samem. Powiedział, że przyjmie każdą moją decyzję, ale uważa, że nasz romans za długo trwa. Helen ma dwadzieścia dwa lata i jeżeli nie wyjdzie za mnie,

ojciec chciałby ją wydać za kogoś innego - odrzekł George.

Nie miał jeszcze dwudziestu czterech lat, a już osiągnął prawie wszystko, czego pragnął. Do pełni szczęścia zabrakło mu spółki z najpotężniejszym człowiekiem w Hollywood i kobiety, którą chciał pojąć za żonę. Mógł mieć jedno i drugie, uważał jednak, że to nieosiągalne. Edwina, choć rozumiała jego rozterki, była zdania, że sprawy da się ułożyć pomyślnie, i przez cały wieczór próbowała przekonać o tym brata. Ale George nadal miał wątpliwości. Gdy odwoził ją do hotelu swoim lincolnem phaetonem, z uporem powtarzał:

- Nie zrobię jej tego, Weenie. Helen nie może być bonifikatą w tym interesie.

- Tam, do diabła! - Edwina zaczynała tracić cierpliwość. - Kochasz ją?

- Tak.

- To ożeń się z nią. Nie marnuj życia na inne dziewczyny, o które nie dbasz. Ożeń się z nią, dopóki nie jest za późno. Nigdy nie można przewidzieć, jak się życie potoczy. Skoro masz okazję zaznać szczęścia, to łap je i na nic się nie oglądaj... - Kiedy to mówiła, do oczu napłynęły jej łzy. George wiedział, że pomyślała o Charlesie, jedynym mężczyźnie, którego kochała, jedynym, o którym marzyła. Gdy odszedł, zostawił po sobie pustkę, której nic nie mogło zapełnić. - Pragniesz tej pracy? - ciągnęła, zdecydowana, pomimo uporu brata, wyjaśnić na gorąco nurtujące go kwestie. - Chcesz wejść w spółkę z Samem? - zapytała.

George zawahał się, lecz tylko na moment.

- Tak.

- No to wykorzystaj szansę, George. - Położyła mu dłoń na ramieniu, głos jej złagodniał. - Życie daje nam tylko określoną liczbę okazji. A tobie zaskakująco szybko ofiarowało wszystko, o czym marzyłeś. Wybierz więc to, czego pragniesz najbardziej, pielęgnuj, zatrzymaj, nie daj sobie odebrać i bądź wdzięczny losowi za to, co dostałeś. Nie marnuj życia i nie rezygnuj ze szczęścia doszukując się wyimaginowanych przeszkód. Horowitz daje ci wspaniałą szansę, a Helen jest kobietą, którą kochasz. Byłbyś głupi, gdybyś zrezygnował z jednego lub drugiego! Przecież wiesz, że nie żenisz się po to, by zbliżyć się do Sama. Nie musisz. On już cię poprosił, żebyś został jego partnerem. Na co czekasz? Mówię ci, wykorzystaj szansę i do diabła z ludźmi! Przecież dobrze wiesz, że jeżeli ktoś coś sobie ubzdura, a nawet odważy się skomentować twój krok, po tygodniu inne

wydarzenie będzie tematem dnia, a wasz ślub pójdzie w zapomnienie. Twoje miejsce jest nie w San Francisco, tylko tutaj, w tym zwariowanym biznesie, w którym jesteś taki dobry, że pewnego dnia studio Sama będzie należało do ciebie. Albo dorobisz się własnego. Masz dopiero dwadzieścia trzy lata, dzieciaku, i kiedyś dotrzesz na sam szczyt. Zresztą już teraz zaszedłeś wysoko. Do tego masz dziewczynę, którą kochasz... Do diabła, na co czekasz? - mówiła uśmiechając się przez łzy. - Chwytaj swój skarb, George... Jest twój, bo zasłużyłeś na niego.

Edwina wygarnęła bratu całą prawdę. Za bardzo go kochała, by pozwolić mu na zmarnowanie życia. Pragnęła, aby otrzymał od losu to, czego jej nie było dane zakosztować. Nie żałowała, że się poświęciła, bo przecież zrobiła to dla rodzeństwa i chciała, aby każde z nich zaznało szczęścia na własną miarę, sięgnęło po najlepsze z tego, co życie ma do zaoferowania.

- Naprawdę tak myślisz, siostrzyczko?

- A jak sądzisz? Pewnie, że zasługujesz na to, żeby być szczęśliwym, głuptasie kochany.

Zburzyła dłonią jego starannie ułożone włosy, a on odwzajemnił się takim samym gestem. Podobała mu się jej krótka fryzura - wyglądała w niej prześlicznie. Wielka szkoda, że nie wyszła za męża, oprócz Charlesa jednak nie istniał dla niej nikt.

Nieco później, czy to z powodu szampana, czy pod wpływem nastroju chwili, George odważył się zadać Edwinie pytanie, które nurtowało go od dawna.

- Powiedz, Weenie, nie żałujesz, że nie przeżyłaś niczego więcej? Czy nie znienawidziłaś życia, które przypadło ci w udziale?

Zanim zdążyła otworzyć usta, wyczytał odpowiedź w jej oczach.

- Znienawidziłam? - roześmiała się. Ona, która poświęciła jedenaście lat na wychowanie dzieci swej matki, przybrała zdumiewająco zadowoloną minę. - Jakżeby mogła, skoro kocham was tak bardzo? Nie zastanawiałam się nad tym przed laty. Zajęcie się wami uznałam za oczywiste, ale najdziwniejsze jest to, że to wy daliście mi szczęście. Szkoda, że nie mogłam być żoną Charlesa, ale życie z wami nie było takie złe.

Mówiła w taki sposób, jakby najistotniejszą część życia miała już za sobą. I niestety, było w tym trochę prawdy. Jeszcze pięć lat i Teddy pójdzie do Harvardu, Fannie i Alexis pewnie będą już mężatkami. Życie George'a już się ułożyło, i to całkiem dobrze,

oczywiście poza chwilami takimi jak ta, gdy sam siebie torturował. Za pięć lat podobne rozterki będzie miał za sobą. A ona zostanie wtedy sama, bo taka jest kolej rzeczy. Dzieci, które wychowywała, dorosną. Na razie wołała o tym nie myśleć.

- Niczego nie żałuję - powiedziała, przysunęła się do George'a i pocałowała go w policzek. - Ale nie chciałabym patrzeć, jak marnujesz życie bez kobiety, którą kochasz. Jedź do Palm Springs, poproś Helen o rękę i powiedz Samowi, że będziesz jego partnerem w interesach. Nie zwracaj sobie głowy tym, co ludzie mogą pomyśleć. Moim zdaniem wszystko dobrze się ułoży. Możesz to powtórzyć Helen.

- Zdumiewasz mnie, Weenie - rzekł George na koniec.

Później, gdy odprowadzał ją do hotelu, pomyślał, że jest wspaniałą kobietą i szczęściarzem byłby mężczyzna, który pojąłby ją za żonę. Czasami miewał poczucie winy, że nie wyszła za męża. Czuł, że on i dzieci zabrali jej zbyt wiele. Chciał właśnie powiedzieć coś na ten temat, gdy obydwoje jednocześnie stanęli jak wryci. Przez hol, ubrana w szarą satynową suknię Edwiny, z włosami upiętymi wysoko przytrzymywanymi nie wiadomo gdzie zdobytą opaską, w której tkwiło śnieżnobiałe pióro, kroczyła Alexis. Szła uwieszona u ramienia bardzo przystojnego mężczyzny, którego Edwina nie знаła, George natomiast rozpoznał go od razu.

- O Boże - szepnęła zaskoczona Edwina. Gdy wychodziła na przyjęcie, Alexis była już w łóżku. - Kto to jest?

Mężczyzna, o którego zapytała, wyglądał na pięćdziesiątkę i choć niewątpliwie był przystojny, miał co najmniej trzy razy więcej lat niż jej siostra. Sprawiał wrażenie podchmielonego, a jego pełne zachwyty spojrzenie dobitnie wskazywało, że jest pod urokiem Alexis.

- To Malcolm Stone, najgorszy łajdak, jakiego znam - syknął George przez zaciśnięte zęby. - Uganiam się za młodymi dziewczętami, ale przysięgam, zanim dobierze się do Alexis, zabiję drania. - Słowa, których użył, zupełnie doń nie pasowały, nigdy też doń nie stracił panowania w obecności siostry. Edwina aż oniemiała. George istotnie wyglądał, jakby zamierzał pozbawić życia amanta idącego obok Alexis. - To wschodząca gwiazda i ma niezłe przewrócone w głowie. Grał dopiero w kilku filmach, a już nie wiadomo co sobie wyobraża. Jak nie pracuje, zajmuje się uwodzeniem przeważnie cudzych żon. A młode panienki to jego specjalność - wyjaśnił.

Sposób, w jaki ten człowiek spoglądał na Alexis, świadczył, że George się nie myli. Stone kilka tygodni wcześniej próbował uwieść Helen, czym bardzo zdenerwował George'a. Stary lowelas chciał zbliżyć się do dziewczyny z tych samych powodów, dla których George postanowił z nią zerwać. Była piękna i bogata i przez nią Stone szukał dojścia do Sama Horowitza.

Twarz George'a, gdy ruszył przez hol, przypominała zaciętą nieruchomą maskę.

- Stone! - jego głos zabrzmiał jak chłaiście biczem.

Zapatrzona w siebie para przystanęła, Alexis odwróciła się z przerażoną miną. Zamierzała ich przechytrzyć i znaleźć się w łóżku, zanim oni wrócą, ale tak świetnie bawiła się w Hollywood Hotel, że straciła poczucie czasu. Spotkała Malcolma dwa razy w hotelowym holu, a kiedy natknęli się na siebie po raz trzeci, sami się sobie przedstawili. Stone natychmiast zapytał, czy jest krewną George'a Winfielda z Horowitz Pictures, a gdy przytaknęła, zaprosił ją na lunch.

- Czego chcesz od mojej siostry? - ostro zapytał George.

- Ależ niczego, drogi chłopcze, tylko miłego towarzystwa pięknej panny. Zachowywałem się jak dżentelmen, prawda, kochanie?

Mówił ze sztucznym angielskim akcentem. Edwina patrząc na Alexis zorientowała się, że jej siostra całkiem straciła głowę. Jak na nieśmiałe dziecko miała dziwną słabość do starszych panów.

- Potańczyliśmy sobie w Hollywood Hotel, prawda, kochanie? - Malcolm uśmiechnął się do Alexis, lecz tylko ona nie zauważyła, że w uśmiechu tym nie ma łagodności.

- A wiesz, że ta osóбка nie ma jeszcze siedemnastu lat? - dyszał wściekłością George.

Edwina poczuła przyływ podobnych uczuć. Alexis postąpiła wyjątkowo nieładnie. Żeby wymykać się po kryjomu, korzystając z nieobecności starszego rodzeństwa!

- To tak się sprawy mają... - Stone uśmiechnął się do dziewczyny. - Zdaje się, że nastąpiło pewne nieporozumienie. - Delikatnie wyjął jej dłoń spod swego ramienia i podał George'owi. - Powiedziało się nam, że zbliżają się nasze dwudzieste urodziny.

Alexis spąsowiała, Malcolm Stone nie wyglądał jednak na zbyt przejętego. Dla niego nieprzyjemny był tylko sposób, w jaki George wypomniał mu wiek siostry. Stone był

pewien, że dziewczyna jest młodsza, niż się przyznawała, ale była takim uroczym dzieckiem, że fakt, iż go z nią widziano, na pewno mu nie zaszkodzi.

- Wybacz, George. - Podstarzały amant wyglądał bardziej na rozbawionego niż skruszonego. - Nie rób jej zbytnich wymówek. Jest taką czarującą istotą!...

- Trzymaj się od niej z daleka - przestrzegł George.

- Oczywiście, jak sobie życzysz. - Stone skłonił się nisko i oddalił szybkim krokiem.

George przez chwilę wpatrywał się gniewnie w młodszą siostrę, potem ujął ją za ramię i we trójkę pośpieszyli w stronę domku Winfieldów. Tam na widok groźnych min starszego rodzeństwa Alexis wybuchnęła płaczem.

- Na Boga! jak mogłaś wyjść z tym człowiekiem? - George był wściekły na siostrę, co nieczęsto mu się zdarzało. Zazwyczaj wstawiał się za młodszym rodzeństwem, gdy uważał, że Edwina jest dla nich za surowa. Ale tym razem było inaczej. Tym razem chętnie sprawiłby Alexis lanie, tyle że była na to za duża. Zresztą Edwina nigdy by do tego nie dopuściła. Miał ochotę udusić Alexis za okazaną lekkomyślność. Jak mogła dać się oczarować człowiekowi pokroju Malcolma Stone'a! - Wiesz, kto to jest? - krzyczał. - To nadęty oszust! Usiłuje zrobić za wszelką cenę karierę w Hollywood i wykorzysta każdego, byle osiągnąć swój cel!

George świetnie znał świat, w którym się obracał. Miasto było pełne łajdaków takich jak Malcolm Stone - na każdy tuzin mężczyzn przypadało ich co najmniej dziesięciu.

Alexis ze szlochem wyrwała ramię z uchwytu brata.

- On wcale nie jest taki, jak mówisz! Jest miły i dobry i uważa, że powinniśmy razem występować w filmach. Ty nigdy mi nie zaproponowałaś, żebym zagrała - rzuciła oskarżycielskim tonem.

George dobrze wiedział, że o Malcomie można było wiele powiedzieć, ale z pewnością nie to, że jest "miły i dobry". Był żmiją z gatunku najbardziej jadowitych.

- Owszem, nigdy ci nie zaproponowałem roli i nigdy tego nie zrobię! Myślisz, że mógłbym spokojnie patrzeć, jak obracasz się wśród ludzi jemu podobnych? Nie bądź śmieszna! Ależ z ciebie dzieciak! To nie jest miejsce dla osoby w twoim wieku! Ani Hollywood, ani film!

- Jeszcze nigdy nie byłeś dla mnie taki niemiły! - żaliła się spłakana.

George niemal siłą wciągnął ją do saloniku, gdzie upadła na fotel płacząc coraz

żałośniej.

- Czy mogę przerwać tę rozmowę i zapytać, dlaczego nie zapytałaś mnie, czy możesz wyjść z tym panem, i dlaczego nam go nie przedstawiłaś? - spokojnie wtrąciła Edwina, którą najbardziej bolało, że siostra wymknęła się po kryjomu. Robiła to od dziecka i przed jedenastu laty na "Titanicu" omal nie przypłaciła tego życiem.

- Bo... bo... - Alexis płakała coraz gwałtowniej, mnąc chusteczkę i rosząc łzami sukienkę, którą "pożyczyła" od Edwiny. - Bo wiedziałam, że się nie zgodzisz - wydusiła wreszcie.

- Nie mylisz się, Alexis. Czy mogę się dowiedzieć, ile ten dżentelmen ma lat? - Edwina najwyraźniej nie pochwałała eskapady siostry.

- Trzydzieści pięć - z godnością odparła Alexis.

- A jakże! - zadrwił George. - Pięćdziesiąt jak nic! Boże, gdzieś ty się chowała!

Edwina pomyślała, że brat jest niesprawiedliwy dla Alexis. Mieszkała dotąd w sennym mieście, gdzie nie spotykało się szaleństwa i nieprawości, których pełen był ten południowy zakątek Kalifornii. Trudno zatem było od niej wymagać, że od pierwszego wejrzenia rozpozna ludzi podłych i rozpustnych.

- Zdajesz sobie sprawę, jaką krzywdę mógłby ci wyrządzić ktoś taki jak on? - zapytał George. Zapłakana Alexis przecząco pokręciła głową, a George rozdrażniony powiedział do Edwiny: - Wytłumacz to naszej siostrze. - Po czym zwrócił się do Alexis: - Będziesz miała dużo szczęścia, jeżeli nie odeślę cię do domu jeszcze przed urodzinami.

Wcześniej uzgodnili, że urodziny Alexis będą obchodzić w Los Angeles i że spędzą tu również Wielkanoc, ale ostatni jej wybryk sprawił, że Edwina rozważała zmianę planów. Odbyła kilka zasadniczych rozmów z Alexis, która wyraźnie popadła w niełaskę u starszego rodzeństwa. Cały kłopot polegał na tym, że ta świeża i piękna dziewczyna stanowiła łakomy kąsek dla hollywoodzkich amantów. Nawet tutaj, wśród tłumów pięknych kobiet, gdziekolwiek się udali, mężczyźni natarczywie gapili się na nią. Przyćmiewała urodą wszystkie kobiety ze swoimi siostrami włącznie.

Jakby tego było mało, dwa dni po aferze z Malcolmem Stone'em w hotelowym holu podszedł do niej łowca talentów, proponując rolę w filmie produkowanym przez Fox Productions. Gdy Edwina delikatnie odmówiła w jej imieniu, Alexis pobiegła do pokoju i wylewając nowe fontanny łez, oskarżała siostrę, że chce zmarnować jej życie. Na znak

protestu przez resztę dnia nie opuszczała łóżka.

Tego wieczoru zaniepokojony George zapytał Edwiny, co się stało Alexis, bo przecież nigdy dotąd taka nie była. Cóż on jednak mógł wiedzieć, skoro od czterech lat przebywał poza domem! Alexis nigdy nie była łatwym dzieckiem, ani teraz, ani przedtem. Chociaż nieśmiała, zdawała sobie sprawę ze swojej oszałamiającej urody i gorąco pragnęła zrobić karierę aktorską.

- To trudny wiek - powiedziała uspokajająco Edwina, gdy zostali z George'em sami.
- W dodatku jest piękna i wie o tym, a to czasami pogarsza sytuację. Zewsząd otrzymuje przeróżne atrakcyjne propozycje, a my nie pozwalamy jej z nich korzystać. Bardzo jej się to nie podoba i ma nas za parę złośliwców.

- O mój Boże! - westchnął George. Nigdy dotąd nie miał bezpośredniego udziału w kłopotach, jakie sprawiało Edwinie młodsze rodzeństwo. Teraz dopiero uświadamiał sobie, że wychowanie dzieci nie jest takie łatwe, jak mu się wydawało. - Co my z nią teraz pocniemy? - Zachowywał się tak, jakby młodsza siostra popełniła w Los Angeles ciężkie przestępstwo.

Edwina roześmiała się, patrząc na brata.

- Zabiorę ją do domu i sądzę, że to na razie załatwi kłopoty związane z pobytem w Hollywood. I modlę się, żeby jak najszybciej znalazła sobie męża, bo wtedy on będzie się zamartwiał jej urodą.

George skwapliwie jej przytaknął, nieco zakłopotany sytuacją.

- Mam nadzieję, że nie będę miał córek - zauważył z markotną miną.

- A ja mam nadzieję, że będziesz ich miał z tuzin - zażartowała Edwina. - No właśnie - znowu przybrała ton starszej siostry. - Miałeś wyjaśnić sprawę z Helen. Dlaczego nie jesteś jeszcze w Palm Springs?

- Byłem tam, ale właśnie wyjechali do przyjaciół w San Diego - odrzekł George. - Zostawiłem wiadomość w hotelu, że chcę się z nimi spotkać, i zaczekam tutaj na nich. Przykro mi tylko, że tym razem nie spotkałaś Sama.

Edwina poznała go przed trzema laty. Wywarł wtedy na niej duże wrażenie. Miał inteligentne oczy i mądrą twarz, a z jego postaci promieniowała siła.

- Zobaczę go następnym razem. Ale pamiętaj - popatrz na brata surowo - żebyś nie zmarnował życia. Nie zapominaj, co ci mówiłam. Masz zrobić co trzeba, rozumiesz? -

Minę miała żartobliwą, lecz oboje wiedzieli, że mówi poważnie.

- Tak jest, proszę pani. I proszę lepiej pilnować siostry - odpowiedział w podobnym tonie George.

Po dniu rozpaczania nad swoją zniweczoną karierą filmową Alexis uspokoiła się na tyle, by rozkoszować się przyjęciem urodzinowym. Nazajutrz, na zakończenie pobytu w Los Angeles, Edwina zabrała Fannie i Teddy'ego na plan filmu, przy którym pracował George. Akurat był zajęty w swoim biurze, dzięki czemu dzieci miały okazję poznać Lilian Gish. Widząc brata w jego żywiole, Edwina odważyła się zadać mu pytanie, które nie dawało jej spokoju od czasu, gdy człowiek z Fox Productions zwrócił się z propozycją do Alexis.

- Czy pozwoliłbyś jej kiedyś zagrać w swoim filmie?

Zastanowił się przez chwilę i opadł z westchnieniem na krzesło.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem. Dlaczego pytasz? Jesteś jej agentką?

Edwina uśmiechnęła się, słysząc żart brata.

- Nie, po prostu zastanawiałam się nad tym. Wydaje mi się, że Alexis jest nie mniej zauroczona światem filmu niż ty kilka lat temu.

Ich siostra niewątpliwie miała urodę odpowiednią, aby myśleć o karierze filmowej. Jedyną przeszkodą był na razie jej wiek, ale kiedyś przecież dorośnie. Gdyby zatem mogła żywić nadzieję, że jej marzenia się ziszczą, może by się uspokoiła?

- Nie wiem, Edwino. Być może. Ale napatrzyłem się tutaj na tyle niegodziwości... Naprawdę chciałabyś, żeby twoja siostra znalazła się w wirze takiego życia?

On z pewnością sobie tego nie życzył. Nie chciałby także, aby jego dzieci, oczywiście gdyby je miał, ocierały się o brudy filmowego światka. Samuel Horowitz trzymał córkę z dala od środowiska filmowców i wyszło jej to na dobre, pomyślał George.

- Helen żyje tu i jakoś nic jej się nie przytrafiło - upierała się Edwina.

- Tak. Ale ona jest zupełnie inna niż osoby z branży. I zawsze była na uboczu tego życia. Ojciec raczej by ją zamknął w ciemnicy, niż pozwolił, żeby została aktorką.

Edwina często się zastanawiała, dlaczego Helen nie gra w filmie, i teraz zaczynała to rozumieć.

- Tak właśnie przypuszczałam... No dobrze, dość już rozmów o Hollywood! - zakończyła temat.

- A gdzie Alexis? - zaniepokoił się George.

- Została w hotelu, nie czuła się najlepiej.

- Jesteś pewna?

Zdawał się nie wierzyć nikomu i każdego podejrzewał o nieczne zamiary, wszystkich mężczyzn miał za gwałcicieli czyhających na jego siostrę. Edwina poprzekomarzała się trochę z demonizującym otoczenie bratem i poszła po rodzeństwo.

George zabrał ich na lunch, później odwiózł do hotelu i wrócił do pracy. Gdy weszli do swoich pokoi, Alexis nigdzie nie było. Edwina niezwłocznie wysłała Teddy'ego na basen, by jej tam poszukał. Chłopiec wrócił po chwili sam.

- Nie ma jej. Może poszła na spacer? - rzucił i wybiegł do holu w nadziei, że znów spotka Toma Mixa.

Fannie w tym czasie zaczęła pakować rzeczy, aby pomóc Edwinie. Gdy po kolacji Alexis wciąż nie było, Edwina wpadła w panikę. Zastanawiała się, czy aby podejrzania George'a nie były uzasadnione, choć niemiło jej było myśleć źle o siostrze. Alexis jednak zawsze się zamykała we własnym świecie. Była inna niż reszta rodzeństwa: nieśmiała, pełna rezerwy, żyła jakby w oddaleniu. W dzieciństwie bała się wszystkiego, dopiero z czasem nabrała pewności siebie. Przez całe życie lgnęła do ludzi dorosłych, dużo od siebie starszych. Tak właśnie było teraz z Malcolmem Stone'em. Przywiązana do rodzeństwa, głęboko przeżyła śmierć brata i wydawało się, że po tym ciosie nie zdoła odzyskać równowagi. Jego odejście wstrząsnęło nią nawet mocniej niż utrata rodziców. Okazywała jakąś nienaturalną potrzebę bliskiego kontaktu z przyjaciółmi ojca, wujami, starszymi braćmi, aczkolwiek w pragnieniu tym, przynajmniej na pozór, nie było podtekstu erotycznego. Tak sądziło otoczenie, nie inaczej myślała i ona. Jej zachowanie powszechnie uważano za poszukiwanie osoby, która zastąpiłaby jej Filipa i ojca.

O ósmej wieczorem Edwina zdecydowała się powiadomić George'a o zniknięciu Alexis. Miał na ten wieczór jakieś plany, ucieszyła się zatem, że jeszcze nie wyszedł z domu, i z trwogą doniosła mu, co się stało. Po chwili w wieczorowym ubraniu stanął w drzwiach apartamentu.

- Widziałaś ją z kimś wcześniej? - zapytał Edwinę, która zaprzeczyła. - Czyżby wybrała się na schadzki z Malcolmem Stone'em? Chyba nie jest aż taka głupia?

- Nie głupia - zaprotestowała Edwina - po prostu niedoświadczona.

- Nie staraj się tłumaczyć jej postępowania młodym wiekiem - oburzył się George. - Ja też byłem młody, jak przyjechałem do Hollywood.

"I nadal jesteś młody", pomyślała Edwina, po czym rzekła pojednawczo:

- Mniejsza o to, kto ma rację. Zastanówmy się lepiej, co teraz robić. Mogło jej się coś przytrafić.

Jednakże George, w przeciwieństwie do siostry, która od razu chciała telefonować na policję, nie sądził, by Alexis spotkało coś złego, nie przypuszczał też, że została porwana.

- Jeżeli nic jej nie jest, podziękujemy Bogu, ale jeśli znów się wymknie z Malcolmem Stone'em albo z kimś jemu podobnym, prasa na pewno to podchwyci i zrobi się niezły skandal. Tego byś chyba wolała uniknąć, prawda? - powiedział.

Bez chwili zwłoki wyruszył na poszukiwanie siostry. Przeszedł się po hotelu i rozdając hojne napiwki wypytywał o Alexis. Już po dwudziestu minutach miał jasny obraz sytuacji i aż dyszał z wściekłości. Dowiedział się otóż, że Alexis pojechała do Rosita Beach z Malcolmem Stone'em. Widziano go, jak wypożyczał samochód i odjeżdżał z piękną młodą blondynką do osławionego hotelu w pobliżu granicy meksykańskiej, gdzie można było pić, uprawiać hazard i oddawać się romansowemu szaleństwu.

- O mój Boże! - Edwina zalała się łzami. Posłała dzieci do drugiego pokoju, bo nie chciała, aby się dowiedziały o wypadzie siostry. - I co my teraz zrobimy, George?

- Co zrobimy?! - wybuchnął. Było już wpół do dziewiątej, a wiedział, że podróż do hotelu zabierze im co najmniej dwie i pół godziny, choćby jechali nie wiedzieć jak szybko. Będzie wtedy jedenasta, przy odrobinie szczęścia nie dotrą więc na miejsce za późno. - Jedziemy do Meksyku, nic innego nie możemy zrobić. Znajdziemy ją, a potem własnoręcznie ukatrupię tego drania - powiedział z pasją.

Edwina za dobrze знаła brata, by poważnie potraktować jego pogroźki, musiała jednak przyznać, że nigdy nie widziała go równie rozgniewanego. Chwyciła płaszcz i już chwilę później wybiegała z George'em z hotelu, wołając przez ramię do dzieci, by pod żadnym pozorem nie opuszczały pokoju.

Kiedy biegła przez hol, George już zdążył uruchomić silnik i ustawić samochód w kierunku, w którym mieli jechać. Na miejsce dotarli za dwadzieścia jedenasta. Hotel okazał się wzniesioną na plaży rudera, otoczoną wianuszkami luksusowych amerykańskich

samochodów. Mieszkańcy Los Angeles wpadali tu, by popić i poszaleć.

Wchodząc do hotelu George postanowił, że w razie potrzeby przeszuka wszystkie pokoje, nawet gdyby musiał w tym celu wyważać drzwi. Na szczęście obeszło się bez tego, znaleźli bowiem romantyczną parę w barze. Malcolm Stone, mocno podchmielony, oddawał się grze w karty, lekko podpita Alexis wyglądała na zdenerwowaną. Na widok brata i Edwiny omal nie zemdląła. George kilkoma susami przebiegł bar, chwycił ją za ramię i dosłownie ściągnął ze stołka.

- Och... ja... - wybąkała, niezdolna pojąć, co się dzieje.

Stone przyglądał się rodzeństwu z ironicznym rozbawieniem.

- Znowu się spotykamy - zauważył chłodno z hollywoodzkim uśmiechem na twarzy.

George jednak nie tracił czasu na uprzejmości.

- Najwyraźniej nie zrozumiałeś mnie dobrze ostatnim razem. Alexis ma siedemnaście lat i jeżeli jeszcze raz zobaczę, że kręcisz się koło niej, załatwię ci miłą celkę w więzieniu. Będiesz mógł wtedy pożegnać się z karierą filmową. Czy teraz wyrażam się wystarczająco jasno? - spytał lodowatym tonem.

- Jak najbardziej. Składam najgorętsze przeprosiny. Chyba po-c przednio faktycznie nie zrozumiałem cię dobrze.

- Świetnie - powiedział George.

Zdjął marynarkę, położył ją na krześle, po czym zamachnął się i wymierzył Stone'owi potężny cios najpierw w żołądek, potem w szczękę.

- Może to ci pomoże zrozumieć mnie lepiej - rzekł beznamiętnie.

Malcolm Stone klęczał oszołomiony na podłodze. Goście przyglądali się scenie ze zdumieniem. George włożył marynarkę, ujął Alexis za ramię i wraz z Edwiną opuścili bar.

Rozdział dwudziesty siódmy

Winfieldowie z zalem opuszczali Los Angeles. Alexis przez całą drogę powrotną obficie ronila łzy, i to nie w obawie przed ewentualną karą, lecz głównie dlatego, że była przestraszona i zawstydzona. Czuła się upokorzona, zbyt późno bowiem uświadomiła sobie, iż Malcolm wcale nie zamierzał jej odwiedzić tamtej nocy do domu. Właśnie zaczynało to do niej docierać, gdy do baru, niczym rycerz w błyszczącej zbroi, wtargnął George. Teraz rozumiała, że postąpiła lekkomyślnie. Nadal co prawda ciągnęło ją do Malcolm, który traktował ją jak małą dziewczynkę - "swoje dzieciątko" - co napełniało ją szczęściem i wewnętrznym ciepłem, niemniej z ulgą wracała do domu pod opiekuńcze skrzydła Edwiny.

- Już nigdy nie pozwolę ci tu przyjechać - zapowiedział stanowczo George, gdy wrócili do hotelu. Wcześniej przez całą drogę spod meksykańskiej granicy zasypywał ją wymówkami. - Jesteś niepoprawna i nie można mieć do ciebie zaufania. Na miejscu Edwiny zamknąłbym cię w klasztorze. Masz szczęście, że nie mieszkasz ze mną. Nic więcej nie mam ci do powiedzenia! - zakończył wreszcie.

Wciąż jeszcze był wściekły, gdy przed pójściem spać nalewał sobie i Edwinie drinka.

- Rany boskie! - mówił. - Chyba dotarło do niej, co ten drań mógł jej zrobić. Jeszcze nam tylko trzeba, żeby za dziewięć miesięcy pojawił się w naszej rodzinie nowy brzdąc. - Pociągnął ze szklanki i opadł na kanapę.

Edwina popatrzyła na brata z dezaprobatą.

- George! - powiedziała karcąco.

- A jak myślisz, co innego mogło ją spotkać? Czy ona w ogóle zdaje sobie z tego sprawę?

- Teraz chyba już tak.

Chwilę wcześniej, rozbierając się do snu, Alexis zwierzyła się ze swoich rozterek Edwinie, która otuliła ją kołdrą jak duże i niegrzeczne, ale smutne i potrzebujące pociechy dziecko. Było to nowe doświadczenie dla Alexis - niby już kobiety, a przecież wciąż jeszcze dziewczynki. Edwina podejrzewała, że tak już zawsze będzie. Nieszczęścia, których Alexis zaznała, zrobiły swoje, teraz potrzebowała zatem więcej uczucia, niż ktokolwiek mógłby jej ofiarować. Łaknęła rodzicielskiej miłości, a od szóstego roku życia była jej

pozbawiona. I jeszcze ta okropna noc, kiedy tuż przed zatonięciem statku razem z lalką wrzucono ją do łodzi ratunkowej i sądziła, że straciła wszystkich...

- Stone jej obiecał, że przed nocą odwiezie ją do hotelu - tłumaczyła siostrę Edwina.

George odpoczywał w fotelu, sącząc whisky. Długą drogę zrobił tego wieczora, w dodatku bolała go ręka po ciosach, które zadał Malcolmowi. Edwina nie powiedziała bratu, jak bardzo jej swoim czynem zaimponował.

- Kiedyśmy się tam zjawili niczym rycerze broniący dziewicy, ona dopiero zaczynała się domyślać, że ją okłamał - ciągnęła.

- Miała dużo szczęścia - zauważył George. - Jak ma się do czynienia z facetami takimi jak Stone, rycerzę zazwyczaj nie nadciągają w porę z pomocą. Przysięgam, że zabiję drania, jeżeli jeszcze raz zobaczę go w pobliżu Alexis.

- Nie odważy się. Jutro będziemy w San Francisco, a jak przyjedziemy tu następnym razem, to albo go już nie będzie, albo zdąży o niej zapomnieć. Swoją drogą niezłe zwyczaje panują w tym twoim mieście - skrzywiła się, lecz jej spojrzenie powiedziało mu, że jest zafascynowana "tym miastem".

I znowu pomyślał, co ostatnio często mu się zdarzało, że jego siostra jest śliczną kobietą. Oczy jej błyszczały, krótko ostrzyżone włosy interesująco układały się wokół twarzy. Jaka szkoda, że nie wyszła za mąż!

- Do diabła, gdybyś tu trochę pobyla, to może znaleźlibyśmy dla ciebie męża - powiedział.

- Fantastyczny pomysł - roześmiała się. Wcale nie dążyła przecież do zmiany stanu cywilnego, zwłaszcza że teraz inne sprawy miała na głowie. Powoli zaczynała myśleć o znalezieniu odpowiednich mężów dla Fannie i Alexis, poza tym musiała się zająć ożenkiem George'a z Helen. - Chcesz mnie wyswatać z kimś takim jak Malcolm Stone? Bardzo podniecająca perspektywa.

- Na pewno masz jakiegoś adoratora - przekomarzał się z siostrą George.

- Niezliczonych, ale jeśli spotkasz kogoś interesującego, daj mi znać. A na razie, kochany braciszku, pora do łóżka. - Wstała i przeciągnęła się. Mieli za sobą noc pełną wrażeń i obydwójce byli mocno zmęczeni. - Wracam do San Francisco, gdzie jedyną rozrywką są przyjęcia w Templeton Crockers, poruszenie wywołuje wieść, że ktoś kupił nowy samochód, a skandalem jest, gdy na premierze opery jakiś galant puści oko do cudzej

żony.

- O Jezu! - jęknął George. - Nic dziwnego, że wolałem zamieszkać tutaj.

- Ale tam przynajmniej - dodała Edwina odprowadzając go do drzwi - nikt jeszcze nie porywał twojej siostry.

- I to jest niewątpliwie zaletą mieszkania w pocziwym San Francisco.

- Dobranoc, kochanie... Dziękuję za to, co dzisiaj dla nas zrobiłeś.

- Zawsze do usług. - Pocałował ją w policzek i wyszedł z pokoju.

Po szaleńczej jeździe jego ukochanego lincolna pokrywała gruba warstwa kurzu. Gdy powoli jechał w kierunku domu, rozmyślał o tym, jak ciężko mu bez Helen i jak droga jest mu starsza siostra.

Rozdział dwudziesty ósmy

Dwa miesiące później George przyjechał do San Francisco. Edwina zastanawiała się, jaki może być cel tej wizyty, bo od pewnego czasu nie dzwonił do niej i sądziła, że ma moc zajęć. Przyjechał, jak się okazało, by zakomunikować siostrze, że oświadczył się Helen i został przyjęty. Gdy opowiadał o tym Edwinie, promieniał szczęściem, ona zaś rozplakała się z radości. George wyglądał tak, jakby cały świat legł u jego stóp.

- A spółka z Samem? - przypomniała sobie nagle, lecz uspokoił ją pogodny, chłopięcy uśmiech na twarzy brata.

- I Helen, i Sam powiedzieli dokładnie to samo co ty. On wie, że żenię się z Helen, bo ją kocham, i nadal chce, żebym został jego współnikiem - uśmiechnął się promiennie.

- Hurra! - zawołała z zachwytem Edwina. - Kiedy ślub?

- Mamy czerwiec, a Helen potrzebuje trochę czasu na przygotowanie wesela. Ustaliliśmy, że we wrześniu, bo wcześniej by nie zdążyła. Mistrzem ceremonii będzie Cecil B. De Mille - pochwalił się George. - Na tę okazję wynajmiemy mnóstwo dodatkowej służby. - Wesele zapowiadało się na wspaniałą uroczystość w iście hollywoodzkim stylu. Edwina nigdy nie widziała brata równie radosnego i beztróskiego. - Ale właściwie przyjechałem, żeby omówić z tobą inną sprawę. Pewnie zwariowałem, że w ogóle o tym myślę, ale muszę zasięgnąć twojej rady.

Edwinie pochlebiało, że brat, chociaż dorosły, w dalszym ciągu liczy się z jej zdaniem.

- O co chodzi? - spytała spokojnie, nie chcąc, aby zauważył, że umiera z ciekawości.

- Właśnie zabieramy się do kręcenia filmu, którego produkcję odkładaliśmy od dwóch lat. Szukaliśmy odpowiedniej obsady i nie mogliśmy znaleźć właściwych odtwórców ról. I wreszcie Sam wpadł na szalony pomysł. Nie wiem, Edwino, czy mówić ci o tym... - mówił wyraźnie zatroskany. Edwina zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, do czego George zmierza. - Co byś powiedziała, gdyby Alexis popróbowwała swoich sił jako aktorka?

Przez moment nie wierzyła własnym uszom. Przecież razem wyśmiewali się z propozycji Fox Productions, a teraz on proponuje dokładnie to samo! Różnica polegała na tym, że Edwina wiedziała, iż skoro brat będzie czuwał nad Alexis, to dziewczynie nie stanie się żadna krzywda.

- Wiem, że pomysł jest zaskakujący, ale ona idealnie pasuje do tej roli. Poza tym doprowadza mnie do szaleństwa zasypując listami z prośbą, żebym pozwolił jej grać. I wiesz co? Może ona ma rację? Może faktycznie ma talent?

Był rozdarty pomiędzy obawą o siostrę a kuszącą perspektywą obsadzenia jej w swoim najnowszym dziele, w roli, do której wydawała się stworzona.

- Sama nie wiem - rzekła Edwina z namysłem. - Ja też się nad tym zastanawiałam, bo zaskakuje mnie jej upór, żeby zostać aktorką. Ale dlaczego ty zmieniłeś zdanie? Przecież dwa miesiące temu rozmawialiśmy na ten temat i nie chciałeś, żeby twoja siostra wystąpiła w filmie. Co się stało, że dzisiaj sam to proponujesz? - wypytywała brata na wszelki wypadek, aczkolwiek miała doń zaufanie.

- Widzisz - powiedział po namyśle - nie chciałem, żeby ją wykorzystano, i nadal tego nie chcę. Ale jeżeli podpisze kontrakt wyłącznie z naszą wytwórnią, to może ty i ja będziemy mogli ją kontrolować. O ile jest to w ogóle możliwe - dodał, patrząc złowieszczo na starszą siostrę. - Myślisz, że będzie się przyzwoicie zachowywać?

Bardzo przykre mu było wspomnienie tamtej chwili, gdy musiał wyrwać siostrę ze szponów Malcolma Stone'a, i nie chciał, by podobna sytuacja znów się powtórzyła. Nigdy nie zapomni szalonej nocnej wyprawy na granicę meksykańską.

- Chyba tak, jeżeli będziemy jej należycie pilnować - odparła Edwina, rozwiewając zarazem własne wątpliwości. Będzie spokojna mając pewność, że ktoś baczy na Alexis.

George roześmiał się słysząc słowa siostry.

- Zawracanie głowy zupełnie jak z prawdziwą gwiazdą filmową. Będzie wspaniała.

- Kiedy miałyby zacząć pracę? - chciała wiedzieć Edwina.

- Za kilka tygodni, w czerwcu. A skończymy kręcić gdzieś pod koniec lata.

Termin był wręcz wymarzony. W czerwcu Alexis kończyła szkołę, a Fannie i Teddy rozpoczynali letnie wakacje. Kandydatka na gwiazdę filmową nie zamierzała kontynuować nauki, zresztą nieliczne tylko panny decydowały się na studia w college'u. Nie marzyła o tym również Fannie. Praca nad filmem potrwa do sierpnia, wrócą zatem do domu akurat na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Teddy miał iść do ósmej klasy, Fannie zaś czekały jeszcze dwa lata szkoły średniej u panny Sary Dix Hamlin.

- Przez ten wyjazd do Hollywood nie będziesz mogła się wybrać nad Tahoe, ale mogłabyś dla wytchnienia spędzić kilka dni w Kolorado lub w Catalinie. Zresztą i tak masz

przyjechać na mój ślub - rzekł George tonem nie znoszącym sprzeciwu. Edwina poweselała na myśl o zbliżającej się uroczystości. - Co o tym sądzisz? - zapytał George. - Oczywiście nie o tym, gdzie spędzisz najbliższe wakacje, ale czy powinniśmy narażać Alexis na stresy związane z grą w filmie.

Edwina, krążąc nerwowo po pokoju, rozważała argumenty za i przeciw. Wreszcie wyjrzała przez okno do ogrodu. Różane krzewy jej matki i te, które sama zasadziła, były obsypane kwieciami. Powoli obróciła się w stronę brata.

- Myślę, że powinniśmy pozwolić jej spróbować - powiedziała.

- Dlaczego? - indagował George. Nie był o tym w pełni przekonany, dlatego przyjechał do San Francisco, by naradzić się z Edwiną.

- Bo w przeciwnym razie nigdy nam tego nie wybaczy.

- Przecież nie musi wiedzieć o naszej rozmowie. Możemy zachować ją w tajemnicy.

- Niby masz rację - zgodziła się Edwina. Przestała spacerować po pokoju i usiadła na krześle. - Ale wydaje mi się, że Alexis ma talent i zasługuje na więcej, niż może jej zaoferować życie w San Francisco.

Sam wiesz, jaka jest piękna... - uśmiechnęła się z dumą, George zaś pomyślał, że jej słowa zabrzmiały jak słowa matki wychwalającej swoją córkę. On zresztą myślał o rodzeństwie nie mniej ciepło. - Nie wiem,

George, może będziemy kiedyś żałować tej decyzji, ale uważam, że powinniśmy jej pozwolić. Jeżeli nie będzie się prowadzić jak należy, to wróci do domu i więcej nie ruszy się stąd na krok. - Zaśmiali się zgodnie, zaraz jednak Edwina popatrzyła na brata poważnie.

- Moim zdaniem każdy zasługuje, żeby mu dać szansę. Ty swoją miałeś - zakończyła.

- A ty? - spojrzał na nią z czułością.

- Ja jestem z życia zadowolona... Teraz Alexis powinna znaleźć swoje miejsce.

George spoglądając na siostrę wolno skinął głową.

Przed samą kolacją wezwali do siebie Alexis. Właśnie wróciła z zakupów w mieście, gdzie wybrała się ze szkolną przyjaciółką. Ani Alexis, ani jej młodsza siostra nie były zbyt pilnymi uczennicami. Za "mądrych" zawsze uchodzili w rodzinie Edwina, Filip i Teddy, co już przed laty zauważył ojciec, aczkolwiek George'owi także się powiodło. Inteligentny i bezkonfliktowy, szybko zaaklimatyzował się w nowym środowisku i nigdy nie żałował, że rzucił naukę w Harvardzie.

- Co się stało? - spytała nerwowo Alexis, spoglądając na rodzeństwo z niepokojem. Gdy stanęła przed nimi, George pomyślał, że jest wyjątkowo piękna. Nie mógł się doczekać, kiedy ją ujrzy na planie swojego filmu, bo teraz uważał już bez zastrzeżeń, że będzie wspaniała w odtwarzanej roli.

- Nic - łagodnie uśmiechnęła się Edwina. - George chce ci powiedzieć coś, co na pewno cię ucieszy.

Słowa siostry nieco uspokoiły Alexis, którą wystraszyło uroczyste wezwanie do salonu przed oblicze starszego rodzeństwa.

- Pewnie się żenisz? - zapytała, a George skinął z zadowoleniem głową i uśmiechnął się do niej szeroko.

- Owszem, ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Ślub będzie dopiero we wrześniu. Teraz chodzi o ciebie... - wyjaśnił i na chwilę Alexis znów się zaniepokoiła. Pomyślała, że chcą ją pewnie posłać do jakiejś szkoły, aby się dalej kształciła, co nie budziło jej entuzjazmu. - Co byś powiedziała o przyjeździe do Los Angeles... - zaczął George i w oczach jego siostry błysnął promyk nadziei - i zagranium w filmie?

Alexis oniemiała. Długo bez słowa patrzyła na brata, potem zeskoczyła z kanapy i chwyciła go za ramiona.

- Mówisz poważnie?... Naprawdę?... - zwróciła się do Edwiny. - Naprawdę mogę?... Pozwolisz mi?

Edwinę i George'a rozbawiła żywiołowa reakcja Alexis, która omal nie udusiła ich z radości.

- No dobra, wystarczy... - George uwolnił się z objęć siostry i pogroził jej palcem. - Ale muszę cię o czymś uprzedzić. Zawdzięczasz to Edwinie, bo ona się za tobą wstawiła. Ja bym ci chyba nie pozwolił przyjechać do Hollywood po występie, jaki dałaś ostatnio... Na wspomnienie upokorzenia, jakiego doznała za sprawą Malcolma Stone'a, Alexis zmieszana spuściła wzrok. Ilekroć wspomniała tamto zdarzenie, nawet gdy była sama, czerwieniła się ze wstydu, choć za nic nie przyznałaby się do tego Edwinie. - Jeżeli raz jeszcze zrobisz nam coś takiego - mówił dalej George - to zamknę cię na cztery spusty i wyrzucę klucz. Dlatego radzę, żebyś zachowywała się jak należy.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i znowu omal nie udusiła z radości brata zadowolonego, że tak uszczęśliwił młodszą siostrę.

- Obiecuję, George... - zawołała. - Obiecuję, że będę grzeczna. A czy potem zamieszkamy na stałe w Hollywood?

Coś takiego tylko jej mogło przyjść do głowy.

- Hm, sądzę, że Edwina będzie chciała wrócić tutaj, bo przecież Fannie i Teddy muszą chodzić do szkoły - odparł George.

- Przecież tam też są szkoły - rzekła zdziwiona, że starsze rodzeństwo nie wpadło na tak oczywiste rozwiązanie. Edwina i George nie zamierzali jednak kłopotać się teraz dość odległą przecież przyszłością. Ku zgrozie George'a, Alexis przyszedł do głowy jeszcze jeden pomysł. - A może bym zamieszkała z tobą i z Helen? - podsunęła.

Na te słowa George aż jęknął, Edwina zaś roześmiała się na widok jego miny.

- Pewnie już na Boże Narodzenie byłbym albo rozwiedziony, albo w więzieniu. Dobrze wiem, ile kłopotów ma z tobą Edwina. O, nie, nie możesz zamieszkać z nami.

Alexis posmutniała na chwilę, szybko jej wszakże pojaśniała buzia.

- Jak zostanę gwiazdą, to może będę miała własny dom? - rozmarzyła się. - Jak Pola Negri... I tłumy pokojówek, i lokaja... i własny samochód, taki jak twój... i dwa irlandzkie charty... - mówiła, rojąc o przyszłości.

Kiedy powoli, jakby pogrążona we śnie, wyszła z pokoju, George uśmiechnął się niepewnie i spojrział zatroskany na Edwinę.

- Możemy pożałować naszej decyzji. Powiedziałem Samowi, że go zaskarżę, jeżeli ten film zrujnuje mojej siostrze życie.

- I co ci powiedział? - zainteresowała się Edwina. Nie znała dobrze Sama, ale z tego, co George opowiadał o współniku, wywnioskowała, że to człowiek ze wszech miar odpowiedzialny.

- Oświadczył, że wychował swoje dziecko, wypełniając obowiązek wobec Boga i ojczyzny, a teraz zarówno jego córką, jak i moją siostrą muszę się zająć ja.

- Wydaje mi się całkiem rozsądnym człowiekiem - skomentowała Edwina podnosząc się z krzesła, by przygotować się do kolacji.

- Jak przyjedziecie do Los Angeles, ma zamiar wszystkich nas zabrać na kolację, żeby uczcić zaręczyny córki.

- To mi się podoba - powiedziała Edwina ujmując brata pod ramię i całując w policzek.

Dzieci ogromnie się ucieszyły, gdy przy kolacji George im wyjawiał, że żeni się z Helen. Zapowiedź wyjazdu do Los Angeles przyjęły z entuzjazmem, a wiadomość, że Alexis wystąpi w filmie, poruszyła je do głębi. Edwina bała się, czy Fannie nie będzie zazdrosna, ale jej obawy się rozwiały, gdy zobaczyła, jak rozpromienia się twarzyczka najmłodszej siostry. Mała uściskała Alexis, po czym ją się dopytywać, czy będzie mogła przychodzić na próby. Po chwili jednak z niepokojem zwróciła się do Edwiny:

- Ale wrócimy tutaj, prawda? Wrócimy do domu?

Najwyraźniej przemówiły przez nią domatorskie skłonności. Nigdzie nie czuła się lepiej niż w domu, a zwykłe codzienne zajęcia sprawiały jej największą przyjemność.

- Oczywiście, kochanie - odparła Edwina mówiąc sobie w duchu, że spokojna egzystencja w domu rodzinnym jest pomysłem na życie znacznie lepszym od nieco awanturnych planów Alexis, która marzyła o przeniesieniu się do Hollywood i posiadaniu irlandzkich chartów.

- To dobrze - skwitowała Fannie ze szczęśliwym wyrazem twarzy i usadowiła się wygodnie na krześle.

Edwina po raz kolejny zdumiała się, że dzieci tych samych rodziców tak dalece się różnią.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Przyjechali do Los Angeles dwa tygodnie po wizycie George'a w San Francisco i tym razem zatrzymali się u niego. Nie chciał, by Alexis znów wdała się w jakąś niepożądaną przygodę, a uważał, że Edwinie łatwiej będzie kontrolować sytuację, gdy zamieszkają w jego dużym, komfortowym domu. Dla wygody wynajął dla niej samochód.

Teddy natychmiast po przyjeździe zainteresował się wierzchowcami George'a. Następnego popołudnia, gdy Edwina obserwowała wyczyny jeździeckie młodszego brata, pod dom zajechała limuzyna - długi czarny rolls - i zatrzymała się tuż obok niej. W pierwszej chwili nie poznała osoby siedzącej w samochodzie. Przypuszczała, że to pewnie któryś z przyjaciół George'a, ale gdy szofer w liberii otworzył drzwiczki samochodu i z szacunkiem odsunął się na bok, ujrzała wyłaniającego się z limuzyny potężnie zbudowanego mężczyznę: wysokiego, o szerokich ramionach i gęstej siwej czuprynie.

Widok Edwiny, stojącej w blasku jaskrawego letniego słońca, zaskoczył przybysza, który najwyraźniej jej nie poznał. Patrzył na krótko ostrzyżoną szczupłą, wysoką kobietę w eleganckiej granatowej sukience. Czując na sobie uważny wzrok mężczyzny, Edwina odruchowo wyrzuciła papierosa, którego właśnie paliła. Nagle uśmiechnęła się, poznając, kim jest niespodziewany gość, i wyciągnęła do niego dłoń.

- Przepraszam, że tak się zagapiłam. W pierwszej chwili nie wiedziałam, kim pan jest. Pan Horowitz, prawda?

Uśmiechnął się, wciąż przyglądając się jej uważnie. Była elegancką, pełną wdzięku piękną kobietą. Podziwiał Edwinę od dawna, chociaż widzieli się zaledwie raz, i to przed kilkoma laty, ale znał ją z opowieści George'a i w miarę jak ich wysłuchiwał, rosło jego uznanie dla siostry wspólnika. Pod wieloma względami losy Edwiny i Sama były podobne.

- Ja też przepraszam... - rzekł nieśmiało. - Zastanawiałem się przez moment, co w domu mojego przyszełego zięcia robi taka piękna młoda dama - dodał szarmancko.

W rzeczywistości poznał ją od razu i znów znalazł się pod jej urokiem. Była naprawdę śliczna i pomimo prostej w kroju sukienki oraz całkowitego braku wyszukanych ozdób i biżuterii, wyglądała nader wytwornie. Przed przyjazdem do Hollywood, nie chcąc przynieść wstydu bratu, kupiła sobie trochę nowej odzieży i oto, proszę, udało jej się zrobić wrażenie. Podobnie jak matka miała doskonały gust, a teraz dzięki hojności ciotki Liz

posiadała także pieniądze, które mogła wydawać na siebie.

- Chciałem was osobiście powitać w Los Angeles. Wiem, jak George się cieszy waszym przyjazdem i tym, że będziecie przy kręceniu filmu. Mnie i Helen jest także bardzo miło.

Choć wszystko w tym człowieku budziło respekt i świadczyło o posiadanej władzy - poczynając od potężnej sylwetki aż po szacunek, z jakim odnosił się do niego szofer, który wydawał się oczekiwać na każde skinienie chlebodawcy - była w nim zaskakująca łagodność, życzliwość i prostota, cechy, które Edwina zauważyła już i podziwiała u Helen. W jego zachowaniu próżno było szukać pretensjonalnego, napszonego czy prostaskiego gestu. Wyróżniały go spokój, okazywana w niebanalny sposób serdeczność i delikatność.

Podszedł do niej i przez chwilę razem obserwowali jeżdżącego konno Teddy'ego. Szło mu nieźle, a na koniu wyglądał nadzwyczaj przystojnie. Kiedy pomachał do nich radośnie, Sam odpowiedział mu podobnym gestem. Nie miał dotąd okazji poznać młodszych dzieci, a wiedział, że rodzeństwo wiele znaczy w życiu George'a, w którym ta właśnie cecha bardzo go ujęła. Wiedział od przyszłego zięcia, że Edwina wychowała ich całkiem sama, co zwiększało jego podziw. Zerknął na nią, stojącą obok niego, i pomyślał z zachwytem, że jest kobietą niemal doskonałą.

- Wejdzie pan na filiżankę herbaty? - zapytała uprzejmie.

Horowitz skinął głową szczęśliwy, że nie proponuje mu szampana o tak wczesnej porze. Ludzie w Hollywood pili stanowczo za dużo, czego Sam nigdy nie pochwalał.

Wszedł za nią do domu, zmuszając się do oderwania wzroku od jej zgrabnych nóg, które ukazywały się spod rozkołysanej sukienki, podkreślającej nienaganny kształt bioder.

Edwina poprosiła lokaja o herbatę, po czym poprowadziła Sama przez bibliotekę do południowego ogrodu. Stały tam eleganckie krzeselka i stół, wszystko w bardzo angielskim stylu.

- Podoba się pani Los Angeles? - zapytał, gdy czekali na herbatę.

- Bardzo. Zawsze świetnie się tu bawimy. Zauważyłam, że tym razem dzieci są wyjątkowo przejęte z powodu roli Alexis. To dla nas prawdziwe wydarzenie. Ma dziewczyna szczęście.

- Największym jej szczęściem jest to, że ma was- uśmiechnął się życzliwie. - Helen wiele by dała, żeby mieć tak liczną i udaną rodzinę. Dorastała samotnie, w dodatku

chowana tylko przez ojca.

Edwina zadumała się na moment i choć szybko odwróciła głowę, Horowitz dostrzegł smutek w jej oczach.

- Obydwoje straciliśmy najbliższych - rzekł głosem drżącym ze wzruszenia, jego żona bowiem zmarła, kiedy Helen była niemowlęciem.

- Ale jakoś przetrwaliśmy! - Edwina uśmiechnęła się triumfująco do Sama, który patrząc na nią znad filiżanki myślał, że dotychczas poza matką Helen nikt nie wzbudzał w nim podobnych uczuć. Była kobietą niezwykłą nie tylko dlatego, że piękną i dobrze ubraną. Emanował z niej spokój osoby głęboko przekonanej o słuszności swoich poczynań. Spozregł to już przed kilku laty, teraz zaś, gdy znowu ją ujrzał, zaimponowała mu jeszcze bardziej swoim powściągliwym sposobem bycia.

- Jakie ma pani plany na czas pobytu w Hollywood? Zwiedzanie okolicy? Teatry? Wizyty u przyjaciół? - Był ciekaw jej i jej planów. Wręcz rzucało się w oczy, że jest nią zachwycony. Trochę przypominała mu córkę, ale na pewno była osobą bardziej od niej samodzielna.

Edwina roześmiała się, usłyszawszy jego pytania. Chyba nie był świadom, po co faktycznie tutaj przyjechała.

- Będę pilnowała pańskiej gwiazdy, panie Horowitz - zakomunikowała mu z uśmiechem, a on rozpromienił się w odpowiedzi. Wiedział, co Edwina ma na myśli, bo chociaż Helen zawsze była spokojną dziewczyną, od czasu do czasu nawet ona wymagała kontroli. - Alexis jest dzisiaj z George'em, dlatego ja zajmuję się dwójką młodszych - wyjaśniła Edwina. - Ale już od jutra czas mam rozplanowany jako garderobiana, straż przyboczna i w razie potrzeby mentorka.

- To brzmi jak zapowiedź ciężkiej pracy - zauważył z uśmiechem. Odstawił filiżankę i wygodniej usiadł na krześle.

Edwina obserwowała Horowitza z nie mniejszym zainteresowaniem niż on ją. Nie wyglądał na mężczyznę po pięćdziesiątce. Musiała przyznać, że się jej podobał. Istota jego wdzięku polegała na tym, że nie zdawał sobie sprawy z uroku, który roztaczał. W obejściu był naturalny, swobodny, bezpretensjonalny.

Kiedy Teddy przerwał jazdę i dołączył do nich, Sam spojrział nań z zainteresowaniem. Edwina przedstawiła mu brata, który grzecznie przywitał się i

natychmiast z zachwytem ją opowiadać o zaletach wierzchowców.

- Są fantastyczne, Weenie. Jeździłem już na dwóch. Spisują się cudownie. - Pierwszy wierzchowiec, którego Teddy chciał dosiąść, był krwi arabskiej, toteż stajenny doradził mu, aby na początek wybrał spokojniejszego konia, a na arabie skończył jazdę. - Jak myślisz, skąd George je ma? - wypytywał Edwinę.

- Jednego ma ode mnie - wtrącił Sam. - Właśnie tego, na którym jeździłeś na końcu. Niezła bestia, co? Czasem mi go brakuje.

- To dlaczego dał go pan George'owi? - zaciekawił się Teddy, który zupełnie oszalał na punkcie koni.

- Doszedłem do wniosku, że George i Helen będą z niego mieli więcej radości. Jeżdżą trochę razem, a ja właściwie nie mam wolnej chwili. Poza tym robię się za stary na konne przejażdżki - uśmiechnął się smutno do chłopca, jak zauważył, niemal bliźniaczo podobnego do siostry.

Edwina aż się zachnęła słysząc te słowa.

- Niech pan przestanie wygadywać takie głupstwa, panie Horowitz.

- Proszę mi mówić Sam z łaski swojej. W przeciwnym razie poczuję się jeszcze starzej. Jestem prawie dziadkiem! - oświadczył.

Edwina ze śmiechem uniosła wysoko brwi.

- Taaak? Czyżbym o czymś nie wiedziała?

Okazało się jednak, że to tylko żarty. Sam zapewnił, iż nie słyszał, by w najbliższym czasie miały czekać ich chrzciny. Przyznał się też od razu, że nie miałby nic przeciwko gromadce wnuków i spodziewa się, że dzięki Helen i George'owi wkrótce się jej doczeka. Zawsze marzył o zięciu, który zechce mieć liczną rodzinę, bo jemu się to nie udało. Matka Helen młodo umarła, on zaś nie ożenił się powtórnie.

- Ciekawa jestem, jakie to uczucie być ciotką - powiedziała w zamyśleniu Edwina, dolewając herbaty. Wydawało jej się to zabawne, a zarazem dziwne. Chowała rodzeństwo jak własne dzieci, a teraz trzeba się będzie przyzwyczaić nie do wnuków, a do bratanków.

Sam zaprosił ich do siebie na kolację. Przyjechał, by przekazać zaproszenie osobiście i zapewnić Edwinę, że będzie mu niezmiernie miło, jeżeli zjawią się w komplecie.

- Nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu, panie... przepraszam, Sam - zaczerwieniła się, a on uśmiechnął się wyrozumiale.

- Ależ skąd, będę zaszczycony. Koniecznie przyprowadź Teddy'ego, Fannie, Alexis, no i oczywiście George'a. Czy dobrze zapamiętałem imiona? - zapytał wstając.

Kiedy się wyprostował, Edwina spojrzała nań zaskoczona. Był wyższy i przystojniejszy, niż jej się wydawało. Odpędziła od siebie te myśli, nie miało bowiem sensu rozważanie zalet ojca jej przyszłej bratowej.

- Przyślę po was samochód o siódmej, bo wiem, że w tych sprawach nie można polegać na moim współniku. Jak go znam, przyjedzie prosto z biura - rzekł wesoło Sam, a Edwina mu przytaknęła.

- Bardzo dziękujemy.

Odprowadziła go do limuzyny. Obok nich, niczym młody seter irlandzki, skakał Teddy.

- A więc do zobaczenia wieczorem. - Przytrzymał jej dłoń nieco dłużej niż przy zwykłym pożegnaniu, po czym wszedł do rollsa. Po chwili szofer uruchomił silnik, Sam pomachał im ręką i już go nie było.

Odjechał w chwili, gdy Fannie wychodziła się przywitać.

- Kto to był? - zapytała bez entuzjazmu.

- Ojciec Helen - odparła Edwina.

Teddy, który dotychczas niestrudzenie rozwodził się nad zaletami koni, przerwał na chwilę, by oświadczyć, że Sam bardzo przypadł mu do gustu, po czym natychmiast oznajmił, że zamierza ponownie wypróbować araba. Edwina, której niezbyt spodobał się ten pomysł brata, poprosiła, by uważał na siebie.

- Przecież uważam - obraził się.

- No, umówmy się, że nie zawsze - skarciła go surowym spojrzeniem.

- No dobrze - zgodził się niechętnie - będę ostrożniejszy.

- Mam nadzieję. - Ostatnie słowo jak zwykle należało do Edwiny.

- Musimy iść na tę kolację? - zapytała Fannie, która podobnie jak Edwina najlepiej czuła się we własnym domu. Była jednak za młoda, by całe dni spędzać w domu, z dala od ludzi, toteż Edwina nalegała, by siostra towarzyszyła im tego wieczoru.

- Będzie przyjemnie - zapewniała. - Helen i jej ojciec to mili ludzie. Przecież pan Horowitz zaprosił nas osobiście, i to wszystkich - dorzuciła.

Alexis przejawiała więcej entuzjazmu. Gdy po powrocie do domu dowiedziała się o

przyjęciu, natychmiast zaczęła rozważać, co powinna włożyć na tę okazję, i stwierdziła, że najlepsza będzie któraś z sukienek Edwiny. Z trudem opanowywała podniecenie po pierwszym dniu spędzonym na planie. Wzięto jej miarę, aby przygotować kostiumy, a George podpisał z nią kontrakt.

- Jak długo będziemy mogli tam zostać? - dopytywała się, po czym omal nie zemdląła z wrażenia na widok wytwornej limuzyny, którą Sam po nich przysłał.

George postanowił pojechać własnym samochodem, co wydało się Edwinie rozsądne. Dzięki temu po kolacji swobodnie będą mogli się wybrać gdzieś z Helen.

Piękny dom Horowitzów wywarł na Edwinie duże wrażenie. Przy nim posiadłość Pickfair wyglądała nieomal jak rudera. Ściany przestronnych pokoi, pełnych sprowadzonych z Anglii i Francji antyków, wyłożone były boazerią. Marmurowe podłogi pokryto oryginalnymi dywanami z Aubusson, a na ścianach wisiały liczne obrazy impresjonistów.

Pośród tego zbytku Samuel Horowitz powitał ich bez większych ceremonii. Edwinę pocałował w policzek, jakby znał ją od dziecka, a swoją bezpośredniością sprawił, że młodsze dzieci poczuły się jak u siebie w domu. Helen, choć odrobinę nieśmiała, okazała się równie przyjacielska. Zaraz pokazała Fannie swoje stare lalki, na Alexis natomiast znacznie większe wrażenie zrobiła wpuszczona w podłogę wanna z różowego marmuru.

Kiedy dziewczynki zwiedzały pokoje Helen, Sam zaprowadził Edwinę i Teddy'ego do stajni, by obejrzeni konie. Były wspaniałe, same araby, championy z Kentucky. I wtedy nagle Edwina w pełni pojęła, dlaczego George tak długo zwlekał z oświadczeniem się Helen. Dostosowanie się do poziomu jej życia będzie wymagało niemało wysiłku z jego strony, pomyślała. Jednakże Helen, pomimo przepychu, w jakim żyła, była zaskakująco bezpretensjonalną dziewczyną, w dodatku bardzo zakochaną w George'u. Nie wydawała się rozkapryszona ani zepsuta. Niezbyt błyskotliwa, trochę przypominała Fannie, tyle że starszą i bardziej bywałą w świecie. Ona także marzyła przede wszystkim o własnym domu, gotowaniu, dzieciach i zajmowaniu się nimi.

Usłyszawszy przy kolacji, o czym Fannie i Helen rozmawiają, Alexis skrzywiła się i stwierdziła, że chyba oszalały.

- A ty, młoda damo, co byś chciała robić? - zwrócił się do niej Sam z rozbawieniem w oczach.

Alexis nie zawahała się ani przez chwilę.

- Bawić się... tańczyć co noc... grać w filmach... I nigdy nie wychodzić za mąż - wyrecytowała.

- Cóż, część twoich marzeń już się urzeczywistniła, prawda? - rzekł łagodnie. - Ale mam nadzieję, że nie wszystkie się spełnią. Szkoda by było, gdybyś nie wyszła za mąż.

Za późno zrozumiał, że popełnił nietakt. Zmieszany popatrzył na Edwinę, która zaśmiała się wesoło.

- Nie przejmuj się. Rola starej panny bardzo mi odpowiada.

Ona się śmiała, lecz Sam zachował powagę.

- Przestań. Jak możesz mówić tak o sobie! - mruknął, choć zdawał sobie sprawę, że nie jest już taka młoda.

- Mam trzydzieści dwa lata - powiedziała z dumą - i jestem szczęśliwa, chociaż nie mam męża.

Horowitz patrzył na nią przez chwilę. Do niektórych spraw miała niecodzienne podejście, mimo to podobała mu się bardzo.

- Jestem pewien, że nie byłabyś panną, gdyby żyli twoi rodzice - rzekł cicho.

Edwina przytaknęła. Pomyślała, że gdyby Charles żył, byłiby od jedenastu lat małżeństwem. Teraz jednak z trudem potrafiła sobie wyobrazić, jak by wyglądał ich związek.

- Sprawy nie zawsze układają się po naszej myśli - powiedziała w zadumie.

Helen gładko zmieniła temat rozmowy, ale później robiła ojcu wymówki.

- Przykro mi... nie pomyślałem... - rzekł skruszony, gdy na chwilę zostali sami i Helen przypomniała mu o narzeczonym Edwinie, który utonął na "Titanicu".

Horowitz był mocno zmieszany, a im bardziej się przed córką tłumaczył, tym gorzej się czuł. Aby zatrzeć niemiłe wrażenie, zaprosił towarzystwo na tańce. zaproponował gościom, by zawieźli "dzieci" do domu, a potem spotkali się w Coconut Grove. Paniom pomysł bardzo przypadł do gustu. Tylko Alexis siedziała wściekła i urażona, ponieważ nie została uwzględniona w zaproszeniu. Edwina szepnęła jej do ucha, że nie powinna się awanturować, bo ma przed sobą niejedną taką wieczór, pod warunkiem że będzie się właściwie zachowywać i przestanie wpadać w histerię z byle powodu.

Przez całą drogę do domu Alexis demonstrowała skwaszoną minę. Edwina nie

przejęła się fochami siostry i zaprowadziła ją razem z młodszą dwójką do apartamentu, po czym wróciła do Sama. Gdy uśmiechnięta i uszczęśliwiona podeszła do rollsa, ujrzała, jak Sam napełnia dwa kieliszki szampanem z butelki, która chłodziła się od kilku godzin w kubelku z lodem.

- Żebym tylko nie wpadła w nałóg - powiedziała z uśmiechem.

Była wzruszona jego troskliwością i rozbawiona, na każdym kroku bowiem natykała się na nowe hollywoodzkie ekstrawagancje.

- Naprawdę się tego boisz? - zapytał i spojrzał jej prosto w oczy. Znał ją już na tyle, że wiedział, iż żartuje. Edwina jak zahipnotyzowana patrzyła w jego błękitne źrenice, błyszczące w świetle księżyca. - To chyba niemożliwe, jesteś zbyt rozsądna - dorzucił.

- Pewnie tak. I wymagam dużo mniej zbytku.

- Dużo, dużo mniej, jak przypuszczam, bo inaczej nie poświęciłabyś życia, żeby wychować pięcioro dzieci.

Kiedy stuknęli kieliszkami, Edwina wzniosła toast za pomyślność George'a i Helen. Horowitz ciepło uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Spędziłem dzisiaj bardzo miły wieczór w rodzinnym gronie.

A gdy dotarli do Cocanut Grove, zrobiło się jeszcze przyjemniej. Sam i George tańczyli bez wytchnienia, wymieniając się partnerkami, żartowali, a one śmiały się z zabawnych historyjek opowiadanych przez panów. Stanowili czwórkę wspaniałych przyjaciół. Edwina wiele razy widziała, jak Helen ściska rękę ojca lub dotyka jego ramienia, on zaś spoglądał na córkę z uwielbieniem.

Rodzeństwo Winfieldów też świetnie się razem bawiło. W profesjonalnym prawie stylu przetańczyli sześć tang jedno po drugim.

- Ależ tworzycie parę! - z podziwem rzekł potem Sam do Edwiny, gdy George już prowadził Helen na parkiet, nie spoczawszy nawet na chwilę po tańcach z siostrą.

- Wy też - odwzajemniła się Edwina. - Widziałam, jak wywijacie na parkiecie.

- Tak? To może powinniśmy dłużej potrenować razem, żeby na weselu nie deptać sobie po palcach?

Edwinie zdawało się, że przetańczyli całą noc. I jakże cudnie było poznać Sama bliżej! Zdumiona lekkością, z jaką wirowała wokół sali w jego ramionach, pomyślała, że już kiedyś to przeżywała. Horowitz przypominał jej ojca z czasów, gdy tańczyła z nim jako

podłotek. Był od niej znacznie wyższy i potężną sylwetką górował nad nią, co sprawiało, że znów poczuła się jak dziecko. I nawet jej się to podobało. Podobał jej się także wyraz zamyślenia w jego mądrych oczach, które zdawały się wszystko zauważać i wszystko rozumieć.

Wychował swą córkę samotnie. Po śmierci żony, gdy Helen była jeszcze niemowlęciem, poświęcił się jej bez reszty.

- Czasami nie było to łatwe. Helen zawsze uważała, że jestem dla niej za surowy - żalił się Edwinie, lecz nietrudno było zauważyć, że teraz ojciec i córka się uwielbiają.

Helen była wyjątkowo urodziwą panną, ponad wszelką wątpliwość zakochaną w jej bracie. Edwina cieszyła się ich szczęściem, które radowało ją i smuciło zarazem. Przeżywała na powrót ostatnie dni z Charlesem, wspólną podróż do Anglii, ogłoszenie ich zaręczyn... Dopiero przed kilkoma laty zdjęła wreszcie z palca pierścionez zaręczynowy i tylko czasami brała go do ręki, kiedy szukała w szkatułce z biżuterią jakiegoś drobiazgu.

Sam poprosił ją do ostatniego tańca. Edwina obserwowała, jak jej przystojny brat i Helen płyną w tangu po parkiecie. Ona i Sam radzili sobie nie gorzej.

Po skończonej zabawie w dwa samochody zajechali pod dom George'a. Helen przesiadła się do samochodu ojca i zanim Horowitzowie odjechali, Edwina podziękowała Samowi za cudowny wieczór. Kiedy George całował Helen na pożegnanie, Sam i Edwina odwrócili głowy udając, że tego nie widzą.

- Musimy się jeszcze spotkać - powiedział cicho Sam.

Edwinę na chwilę ogarnął żal, że ich dotychczasowe losy nie potoczyły się inaczej, a życie i jej, i jego wymagało tylu wyrzeczeń.

Nazajutrz Alexis rozpoczynała pracę w filmie, która, jak się okazało, wymagała znacznie więcej wysiłku, niż świeżo upieczona gwiazda przypuszczała. Były dni, gdy pracowali bez chwili wytchnienia, lecz mimo zmęczenia i wymagań reżysera widać było, że dziewczyna jest w swoim żywiole. Z początku Edwina była z nią na planie prawie na okrągło, po pewnym czasie jednak poczuła się zbędna. Alexis świetnie dawała sobie radę, zachowywała się zupełnie swobodnie i wszyscy w wytwórni, poczynając od gwiazdatorów, a kończąc na licznych pomocnikach, bardzo ją lubili. I tak jak George, który od pierwszego dnia pobytu w Hollywood wiedział, że znalazł swoje miejsce, tak i Alexis była o tym głęboko przekonana. Trafiła oto do bajkowego świata marzeń, w którym na zawsze

pozostanie dzieckiem, a wielbicielę będą się o nią troszczyć. I tego właśnie potrzebowała do szczęścia. Edwinie rosło serce na widok siostry oddającej się z entuzjazmem swojej pracy.

- Nie poznaję jej, zupełnie się zmieniła - powiedziała do George'a, kiedy z Helen jedli kolację w ich ulubionym klubie Coconut Grove. Rozkoszowała się widokiem Rudolfa Valentino tańczącego z Constance Talmadge i nagle, niespodziewanie dla siebie samej, zatęskniła za Samem. Zdażyli się zaprzyjaźnić, często wychodzili gdzieś we czwórkę, tego dnia jednak Sam wyjechał akurat do Kentucky po dwa nowe konie.

- Muszę przyznać - powiedział George, dolewając szampana siostrze i Helen - że Alexis jest doskonała w tym filmie. Znacznie lepsza, niż przypuszczałem. I w tym całym szkopuł - dodał uśmiechając się sarkastycznie.

- O co ci chodzi? - zdziwiła się Edwina, jak dotąd bowiem pobyt Alexis w Hollywood przebiegał zadziwiająco gładko.

- Wkrótce sprawy mogą się wymknąć spod naszej kontroli. Jeżeli Alexis sprawdzi się w tym filmie, otrzyma mnóstwo innych propozycji. I co wtedy poczniemy?

Edwina myślała już o tym w ciągu ostatniego tygodnia, ale żadne rozsądne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy.

- Coś wymyślę - obiecała. - Nie chciałabym zostawać tu dłużej z Fannie i Teddym. - George miał teraz własne życie, Alexis zaś, wbrew temu, co sądziła, nie była na tyle dorosła, by mogła sama zamieszkać w Los Angeles. - Nie martw się. Coś wymyślę - powtórzyła.

Na szczęście sprawy ułożyły się same. Zanim George ukończył film z Alexis, nastąpił chwilowy zastój w branży, tak że Winfieldowie w komplecie wrócili do San Francisco w sam raz na rozpoczęcie roku szkolnego. Edwina - o dziwo! - niechętnie opuszczała Los Angeles, czuła jednak, że powinna wrócić do domu, jak obiecała młodszym dzieciom. Przykro jej było opuszczać George'a, Helen i Sama, przywykła już bowiem do wytwornych kolacji i wieczornych wypadów na tańce. Pocięchą była jej świadomość, że pojedą przecież do Los Angeles pod koniec września na ślub George'a i Helen!

Tymczasem z Hollywood nadeszła wiadomość o nowej roli dla Alexis i od tej chwili Edwina nie miała chwili spokoju. Siostra zanudzała ją na okrągło, by pozwoliła jej wynająć samodzielne mieszkanie, co byłoby możliwe, gdyby znaleziono dla niej odpowiednią

przyzwoitkę. W istocie sytuacja mocno się skomplikowała i Edwina wciąż rozmyślała, jak z niej wybrnąć, gdy jechali pociągiem na od dawna oczekiwaną uroczystość.

George wyjechał po nich na dworzec, by zawieźć rodzeństwo do hotelu. Edwina serdecznie się ubawiła, gdy zobaczyła, jaki brat jest zdenerwowany i jaką ma tremę przed zbliżającym się ślubem. Tym razem postanowiła nie sprawiać mu kłopotu i zarezerwowała apartament w Beverly Hills Hotel, co bardzo spodobało się dzieciom. Jej zresztą także rozwiązanie to odpowiadało.

Tego dnia miał się odbyć wieczór kawalerski George'a, a próba generalna przed przyjęciem weselnym nazajutrz w Alexandria Hotel. W przeddzień przyjaciele na cześć młodej pary wydali wspaniałe przyjęcie w Pickfair.

- Chyba nie przeżyję tego tygodnia - jęknął George, opadając obok Edwiny na kanapę w salonie ich apartamentu. - Nie miałem pojęcia, że ostatnie dni kawalerskiego życia będą takie wyczerpujące.

- Dajże spokój - droczyła się z nim siostra. - Przecież uwielbiasz ruch i zamieszanie, a przygotowania do ślubu idą pełną parą. Jak się ma Helen?

- Dzięki Bogu nie straciła głowy. Gdyby nie ona, nie przebrnąłbym przez to wszystko. Wie dokładnie, co powinniśmy robić, pamięta, jaki kto dał nam prezent, kogo zaprosiliśmy na wesele, a kogo nie będzie, gdzie i kiedy powinniśmy się zjawić. Ja mam tylko się ubrać, nie zapomnieć o obrączce i zapłacić za podróż poślubną. Nie wiem, czy bez niej byłbym w stanie zrobić nawet to.

Edwina była przejęta uroczystością niewiele mniej od George'a, ponieważ Helen poprosiła, aby została jej pierwszą druhną. Na ślubie miało być jedenaście druzhen i jedenastu drużbów, ponadto starosta, cztery panny niosące kwiaty i jedna osoba do niesienia obrączki. George nie żartował, gdy mówił, że uroczystość weselną poprowadzi sam Cecil B. De Mille, choć buńczuczna zapowiedź zabrzmiała wtedy jak wyjęta ze scenariusza filmowego.

Ślub miał się odbyć w ogrodzie przy domu Horowitzów, w altanie pokrytej różami i gardeniami, które wyhodowano specjalnie dla Helen i George'a, samo przyjęcie zaś w domu przy dwóch orkiestrach, w obecności wszystkich, których nazwiska cokolwiek znaczyły w Hollywood i których zaproszono. Edwinie, ilekroć pomyślała o ślubie brata, wzruszenie ścisnęło gardło. Jeszcze w czerwcu, podczas poprzedniej bytności w

Hollywood, wręczyła Helen szczególny prezent.

- Baw się dzisiaj dobrze - rzekła, całując brata, który szedł przygotować się do wieczoru kawalerskiego.

Kiedy szła wziąć kąpiel, obok niej przemknęli Alexis, Fannie i Teddy - gromadka urwisów biegła spenetrować hol.

- Bądźcie grzeczni - poprosiła Edwina. Miała nadzieję, że dopóki są razem, nie popadną w tarapaty. Ostatecznie właśnie tutaj Alexis poznała Malcolma Stone'a. Ale przecież od tamtych wydarzeń upłynęło wiele miesięcy i dziewczyna na pewno zdążyła zrozumieć reguły, jakimi rządzi się Hollywood.

Rozdział trzydziesty

Duesenberg Sama zajechał pod hotel dokładnie o jedenastej trzydzieści. Winfieldowie udali się nim do posiadłości Horowitzów, gdzie przygotowania do uroczystości weselnej dobiegały końca. Wzniesiono już namioty, dwie orkiestry ustawiły na podestach instrumenty. Paul Whiteman i jego orkiestra oraz kreolski jazzband Joego "Kinga" Olivera miały grać od szóstej po południu do wczesnych godzin rannych. Personel wynajęty do obsługi przyjęcia pracował na pełnych obrotach pod bacznym okiem służby. W południe, zgodnie z obyczajem, wszystkim oprócz panny młodej podano wykwinthy lunch.

Kiedy Samuel Horowitz, wytwornie odziany, wyszedł przywitać rodzeństwo George'a, wyraz pogody malował się na jego twarzy. Zachwycił go widok Edwiny w białej jedwabnej sukni, przyozdobionej sznurem pereł, które kiedyś należały do jej matki. Dla obu rodzin nastał wielki dzień, nic więc dziwnego, że dzieci Winfieldów były niezmiernie przejęte. George poprosił Teddy'ego, aby został jego drużbą, co chłopcu pochlebiło, Edwinę zaś wzruszyło głęboko. Każde z nich miało do spełnienia jakąś rolę: Edwina pierwszej drużny, Alexis panny z orszaku, a Fannie jednej z dziewczynek niosących kwiaty.

O drugiej po południu młodsze dziewczęta udały się do pokoju, gdzie drużny czesano, robiono im makijaż i perfumowano. Teddy dołączył do mężczyzn, a jego najstarsza siostra poszła odszukać Helen.

- Zobaczmy się później - cicho powiedział do Edwiny Sam i zanim zdążyła odpowiedzieć, dotknął jej ramienia. - To wielki dzień dla nas - zauważył.

Obydwoje zdawali sobie sprawę, że Edwina jest dla pana młodego bardziej matką niż siostrą, Sam natomiast był Helen nie tylko ojcem, lecz zastępował jej także matkę.

- Helen będzie na pewno ślicznie wyglądać - powiedziała Edwina, ciepło uśmiechając się do niego. Rozumiała Sama i wiedziała, jakie trudne przeżywa chwile, tym trudniejsze, że wychowywał córkę samotnie. Czuła się podobnie, chociaż George już od czterech lat mieszkał poza domem. Dla niej i dla Sama zapowiadał się dzień pełen wzruszeń.

Edwina udała się do pokoju Helen i ku swemu zdumieniu zastała ją zupełnie spokojną. Dziewczyna wyglądała prześlicznie. Fryzurę miała już zrobioną, manicure bez

zarzutu, a jej ślubna suknia leżała rozłożona na krześle. Teraz mogła odpoczywać czekając, aż wybije piąta i ojciec poprowadzi ją do ołtarza.

Kiedy Edwina pierwszy raz zobaczyła Helen, nie przypuszczała, że to osóbką, która doskonale sobie radzi w każdej sytuacji, podobnie zresztą jak jej ojciec. Swoje obowiązki wykonywała ze spokojem, zawsze była uśmiechnięta, zadbana i miła, troszczyła się o to, by wszyscy czuli się dobrze w jej towarzystwie. Edwina nie wątpiła, że George będzie z nią bardzo szczęśliwy.

Była to pora, kiedy panna młoda zamiast przyjaciółki powinna mieć przy sobie kochającą matkę, z miłością i wzruszeniem udzielającą córce rad, przygotowującą ją do małżeńskiego życia. Cóż, nie było to dane Helen, takiej chwili nie zaznała też Edwina: pierwsza nawet nie pamiętała swojej matki, druga musiała zapomnieć o własnym zamążpójściu i zająć się pięciorgiem rodzeństwa.

W pokoju Helen Edwina ujrzała zwoje koronki chantilly, setki malutkich guziczków, rzekę perełek i tren długości dwudziestu stóp, nigdzie jednak nie widziała welonu. Zobaczyła go dopiero, gdy weszła do garderoby. Starannie odprasowany, zwisał z postumentu na kapelusze ustawionego na komodzie, a strumień tiulu długości trenu sukni ślubnej płynął przez pokój. Edwinie oczy napełniły się łzami. Był to welon z jej marzeń, mgielka przysłaniająca oblicze dziewicy, by pan młody goręcej jej zapragnął. Uszyty przed jedenastu laty, miał stroić Edwinę na ślubie z Charlesem. Podarowała go Helen i była wzruszona, że dziewczyna postanowiła go włożyć.

Odwróciła się na dźwięk kroków przyszłej bratowej, która weszła do pokoju i delikatnie dotknęła jej ramienia. Z przyjaciółek stały się teraz siostrami i przez chwilę miały tylko siebie. Policzki Edwiny były mokre od łez, kiedy się odwróciła, by ucałować Helen. Przypomniła sobie Charlesa, jakby widziała go ledwie przed chwilą. Pomimo lat, które minęły od jego śmierci, nie mogła go wyrzucić ani z pamięci, ani z serca, tak że gdy zamykała oczy, natychmiast pod powiekami pojawiały się twarze jego i rodziców.

- Wdzięczna jestem, że go włożysz - szepnęła, gdy tuliły się do siebie. Nieskora do okazywania wzruszeń Helen również płakała. Wiedziała, jak wiele dar ten znaczy dla Edwiny.

- Dziękuję, że mi pozwoliłaś... Tak bardzo bym chciała, żebyś ty też go miała na sobie... - Chciała jeszcze dodać, że życzy Edwinie takiego szczęścia, jakie jej przypadło w

udziale, ale nie potrafiła nic więcej wykrztusić.

- Nosłam go, choć tylko w sercu. - Edwina uwolniła się z objęć Helen i uśmiechnęła do swojej nowej siostry. - Charles był wspaniałym mężczyzną i bardzo go kochałam - szepnęła. Nigdy dotąd nie zdobyła się na rozmowę o nim z Helen. - George to też wspaniały mężczyzna... Życzę wam dużo szczęścia.

Edwina jeszcze raz ucałowała ją serdecznie, a chwilę później, gdy Helen włożyła suknię, aż jej dech zaparło na widok oblubienicy. Helen była najpiękniejszą panną młodą, jaką widziała. Zaczesane do góry jasne włosy tworzyły aureolę wokół jej twarzy, artystycznie poprzetykaną gałązkami marzanny i konwaliami, a czółko ślubnego welonu Edwiny dokładnie do nich przylegało. Błyszczące perełkami zwoje tiulu spływały na ramiona panny młodej i na ziemię, tak że aż sześć druhen musiało nieść za nią welon. Kiedy Edwina patrzyła na Helen, odżyły w niej wspomnienia i znów zapłakała.

Suknia pierwszej drużny była z bladoniebieskiej koronki, a nisko nasunięty na czoło piękny paryski kapelusz od Poireta, niemal zasłaniający jej jedno oko, sprawiał, że wyglądała skromnie i powabnie zarazem. Głębokie wycięcie z przodu odsłaniało kremowe ciało. W czasie ceremonii ślubnej Edwina miała na ramionach błękitny płaszcz, na którego tle jej lśniące czarne włosy przypominały krucze skrzydła. Nie była świadoma wrażenia, jakie wywierała, George jednak ujrzawszy siostrę pomyślał, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Horowitz również zdumiał się jej urodą, lecz nie miał czasu na zachwyty, bo w chwilę później przez tłum przebiegł szmer podziwu - oczom zebranych ukazała się Helen. Wspaniała suknia ślubna i cudowny welon sprawiały, że wyglądała jak marzenie. Sam uświadomił sobie z żalem, że jego córka nie jest już małą dziewczynką i zaraz ją utraci. W jego oczach pojawiły się łzy. Mocno przytulił Helen. Goście patrząc na nich nie kryli wzruszenia. Helen była oszołamiająco piękna, jej ojciec zaś taki kochający i pełen werwy! Edwina w pełni pojmowała, jak wiele Helen znaczy dla niego i dla George'a, a panna młoda, tak droga obu panom, zdawała sobie sprawę z ich uczuć i nie kryła swego szczęścia.

Rozległy się dźwięki muzyki. Najpierw ruszyły drużny, za nimi dziewczynki niosące kwiaty. Pochód, podążający miarowym krokiem, zamykali Sam i Helen. Tuż przed nimi kroczyła Edwina niosąca bukiet białych orchidei. Drużny wydawały jej się małymi dziewczynkami. Pomiędzy nimi, gdzieś z przodu, dojrzała Alexis i Fannie, chichoczące do

siebie. Przeniosła wzrok na George'a. Twarz miał promienną, przepelnioną nadzieją na wspaniałe życie z Helen. Na ten widok Edwina znów pożałowała, że rodzice nie mogą oglądać go tego dnia. Potem odsunęła się, robiąc miejsce Helen, której delikatną dłoń, odzianą w białą skórzaną rękawiczkę, ojciec położył na ręce George'a.

Tłum gości zafalował, gdy Helen i George, zgodnie z tradycją religii panny młodej, zajęli miejsca pod baldachimem. Edwina ronila ciche łzy smutku i tęsknoty na wspomnienie miłości, którą utraciła przed laty.

Uroczystość przebiegła bez zakłóceń od początku do końca, kiedy to George zgniótł obcasem kieliszek. Horowitzowie wprawdzie nie byli ortodoksyjnymi wyznawcami swej religii, Helen jednak chciała wziąć ślub według obrządku wyznania mojżeszowego. To, że ona i George praktykowali inne religie, nie miało żadnego znaczenia i nie wpływało na ich uczucia.

Przed nowożeńcami długo przesuwala się kolejka gości składających im życzenia. Stojąca obok Sama Edwina początkowo odczuwała wewnętrzną pustkę, ale później śmiała się już z jego dowcipów, którymi rzucał, gdy ścisłał weselnikom dłonie i przedstawiał jej swoich przyjaciół, w przerwach szepcząc komentarze na ich temat. Edwina przedstawiała go swoim znajomym przybyłym na ślub z San Francisco. Byli to głównie starzy przyjaciele rodziców, wśród nich oczywiście Ben Jones z żoną, spodziewającą się właśnie dziecka.

Potem Helen zatańczyła z ojcem, a George ze starszą siostrą, która następnie rzuciła się w wir zabawy. Tańczyła z Samem, z Teddym, z gwiazdoramii filmowymi, przyjaciółmi i ludźmi, których wcześniej na oczy nie widziała i pewnie już nie spotka.

Wszyscy bawili się doskonale, o północy zaś państwo młodzi odjechali luksusowym duesenbergiem, którego Sam podarował George'owi w prezencie ślubnym. Rano mieli jechać pociągiem do Nowego Jorku i stamtąd do Kanady. Zastanawiali się nad wyjazdem do Europy, jednakże myśl o podróży statkiem zniechęciła George'a, Helen nie należała wiedząc, że kiedyś tam się wybiorą i nie chcąc zmuszać męża do przykrewj podróży. Cieszyła się, że po prostu razem wyjeżdżają, i promieniała szczęściem, gdy samochód ruszał spod domu.

Edwina rozglądała się wokoło zastanawiając się, gdzie też podziewają się Alexis, Teddy i Fannie. Przez całą noc widziała ich to tu, to tam. Dzieci świetnie się bawiły, zwłaszcza Alexis.

- Było cudownie - powiedziała Edwina do Sama.

- Masz wspaniałego brata, a ja zięcia - rzekł zadowolony.

- Dziękuję szanownemu panu - dygnęła z uśmiechem, a Sam pomyślał, że wygląda czarująco w błękitnej sukience. - Masz cudowną córkę - odwzajemniła komplement.

Ostatni taniec, już nad ranem, tańczyli razem i wtedy to Edwina z niemiłym zaskoczeniem ujrzała Malcolma Stone'a. Podejrzewała, że przyszedł z kimś, bo przecież wiedziała, że na pewno nie został zaproszony. Chwilę potem zebrała rodzeństwo, wszyscy jeszcze raz podziękowali Samowi, po czym wyczerpani, lecz szczęśliwi, wrócili do hotelu.

Dopiero rozbierając się do snu zagadnęła Alexis, czy widziała Stone'a. Dziewczyna zawahała się na moment, wreszcie skinęła głową. Nie tylko go widziała, ale nawet z nim tańczyła, tego wszakże nie zamierzała wyjawić siostrze licząc, że Edwina nie widziała ich razem. Spotkawszy go wśród gości weselnych zdumiała się nie mniej niż ona. Stone przywitał się i ze śmiechem ją opowiadać, jak wdarł się na przyjęcie udając, że zapomniał zaproszenia.

- Tak, widziałam go - przyznała Alexis obojętnie, zdejmując pożyczone od siostry perły.

- Rozmawiałaś z nim? - Edwina zachmurzyła się i opadła na fotel, nagle bowiem ogarnęło ją przemożne zmęczenie.

- Właściwie to nie - odparła niepewnie.

- Że też miał odwagę przyjść! - oburzyła się Edwina.

Alexis nie odezwała się słowem. Nie przyznała się siostrze, że umówili się nazajutrz na lunch, aby porozmawiać o jej następnym filmie, do którego Stone również, jak powiedział, miał być zaangażowany i nawet odbył już zdjęcia. Trochę zdziwiło to Alexis, ponieważ nie słyszała, by podjęto decyzje co do obsady, a ona nie podpisała kontraktu.

- Wesele było piękne, prawda? - wyrwał ją z rozmyślań głos Edwiny, która uznała, że nie ma sensu ciągnąć rozmowy o Malcolmie Stonie. Jego flirt z Alexis należał przecież do przeszłości.

Kładąc się spać, Winfieldowie jednomyślnie orzekli, że Helen wyglądała wspaniale. Edwina uśmiechała się do siebie. Była zmęczona, ale szczęśliwa, smutna i zadowolona, że podarowała Helen swój welon.

Alexis natomiast przed zaśnięciem bynajmniej nie rozmyślała o pannie młodej.

Marzyła o Malcolmie i czekającym ją spotkaniu.

`tc

Rozdział trzydziesty pierwszy

`tc

Gdy następnego dnia Alexis spotkała się na lunchu w hotelu Ambasador z Malcolmem Stone'em, czuła się trochę nieswojo. Uniknęła tłumaczenia się Edwinie, gdyż siostra udała się wcześniej do domu George'a pomóc przy porządkach, a Fannie, zajętej czytaniem książki w swoim pokoju, powiedziała, że umówiła się z przyjaciółką. Teddy był w tym czasie na basenie. Alexis poprosiła portiera, by wezwał dla niej taksówkę, i najzwyczajniej w świecie odjechała, nie opowiadając się nikomu.

- Moja siostra będzie wściekła, jak się dowie o naszym spotkaniu - powiedziała Malcolmowi, kiedy się przywitani. W kremowym kostiumie i dobranym do niego kapeluszu wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle. Spod woalki, która zasłaniała jej oczy, spoglądała nań wzrokiem ufnego dziecka.

- No to trzeba się postarać, żeby się nie dowiedziała - zauważył ze spokojem Stone. On także wyglądał na przystojniejszego niż zwykle, ale sposób, w jaki pieścił jej dłoń, przerażał Alexis. Niepokoiła ją w jego zachowaniu namiętność skrywana pod maską niby ojcowskiej pobłażliwości, równocześnie zaś czuła się przy nim jak bezradna dziewczynka. Ta właśnie opiekuńczość pociągała Alexis bardziej niż cały jego męski wdzięk. - Przynajmniej nie ma w mieście twojego czarującego braciszka - roześmiał się, jakby ta myśl sprawiła mu wyjątkową przyjemność. - Gdzie pojechali w podróż poślubną?

- Do Nowego Jorku i Kanady.

- Nie do Europy? - zdumiał się, Alexis jednak nie miała ochoty tłumaczyć mu dlaczego. - Jak długo ich nie będzie?

- Sześć tygodni - powiedziała, gdy on tymczasem całował wewnątrz jej dłoni.

- Biedactwo... Co bez niego poczniesz? Zostałaś całkiem sama na świecie. - Nie było to oczywiście prawdą, bo przecież miała Edwinę, lecz kiedy Malcolm z przejęciem wypowiadał te słowa, Alexis faktycznie poczuła się tak, jakby nie miała nikogo bliskiego. - Biedne maleństwo! Malcolm zajmie się tobą, dobrze?-zamruczał jej czule do ucha, a ona przyzwalająco skinęła głową. Pamięć o tym, co zaszło w Rosita Beach, zacierała się w jej

głowie coraz bardziej.

Stone zapytał, kiedy będzie kręcić następny film, Alexis zaś wyznała, że Edwina i George nie chcieli, by podpisywała jakikolwiek kontrakt przed powrotem brata.

- A więc będziesz wolna przez naj bliższe dwa miesiące? - uradował się.

- Chyba tak... Ale będę musiała wrócić do San Francisco, bo młodsza siostra i brat chodzą jeszcze do szkoły - odparła.

Choć mówiąc to, wyglądała jak niewinne dziewczę, dla Stone'a była kobietą o twarzy anioła, która przy odrobinie chęci mogłaby uchodzić za wampa. W tej chwili wszakże była cudownie dziecinna, co dodawało jej tylko uroku. Zaloty Malcolma sprawiły, że poczuła się niepewnie.

- Naprawdę powinnam już wracać - powiedziała w końcu, mimo że starał się ją zatrzymać pocałunkami i pieszczotami.

W czasie lunchu dużo pił namawiając także Alexis, która ostatecznie wypila odrobinę wina w nadziei, że teraz Stone odwiezie ją do domu. Niewielka ilość trunku wystarczyła, aby odkryła, że wino ogromnie jej smakuje, o wiele bardziej niż szampan, toteż popołudnie miało się już ku końcowi, a oni jeszcze siedzieli w hotelowej restauracji, racząc się alkoholem.

Zapadający wieczór zastał ich przy tym samym stoliku nad kolejną butelką - chichoczących i całujących się. Alexis już dawno zapomniała o powrocie do domu. Śmiała się niepewnie, gdy jechali do mieszkania Stone'a. Wszystko wydawało jej się niezwykle zabawne, a zwłaszcza czekająca na nią Bóg wie gdzie Edwina.

W mieszkaniu częstował ją alkoholem i całował mocno, aż zakręciło jej się w głowie i nagle zapragnęła czegoś więcej, tyle że nie wiedziała dokładnie czego. Pamiętała, że udali się gdzieś na chwilę, potem jakby wzięli ślub, ale nie bardzo rozumiała, co się właściwie z nią dzieje. Była nieprzytomna, gdy Stone razem ze swoim bagażem wsadził ją do samochodu. Zastanawiał się przez cały wieczór, jak wybrnąć z sytuacji, i zdecydował się na świetny w jego mniemaniu pomysł, który miał rozwiązać problemy. Na stole zostawił pieniądze należne za czynsz, a samochód, pożyczony od znajomego z ostatniego filmu, postanowił zostawić na dworcu z odpowiednią informacją.

Kiedy tam dojechali, pociąg stał jeszcze na stacji. Alexis dopiero w przedziale na chwilę odzyskała świadomość. Usiadła i rozejrzała się dokoła.

- Gdzie jedziemy? - zapytała. Przedział zdawał się wirować, nie wiedziała, co to za stacja i dokąd jadą.

- Do George'a do Nowego Jorku - rzekł uspokajająco Stone.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Nie zwracaj sobie tym ślicznej główki, kochanie-zamknął jej usta pocałunkiem.

Wymyślił doskonały plan: romans z Alexis miał być jego przepustką do kariery filmowej. George będzie musiał mu pomóc, jeśli dostatecznie skompromituje jego siostrę, zwłaszcza teraz, gdy ożenił się z córką Horowitza, nie zechce bowiem z pewnością, by w świecie filmu do bliskiej mu osoby przyłągnięła opinia kobiety lekkich obyczajów.

Pociąg ruszył ze stacji. Alexis głośno oddychała, a on przyglądał się jej z cynicznym uśmiechem. Pomyślał, że nieźle mu się trafiło. Była naprawdę piękna.

`tc

Rozdział trzydziesty drugi

`tc

Dokładnie w chwili, gdy pociąg uwożący Alexis wyjeżdżał ze stacji, Edwina wypytywała bliską łez Fannie.

- Jak to nie wiesz, dokąd poszła?

- Nie wiem... Powiedziała, że umówiła się z przyjaciółką... chyba z kimś z filmu... nie pamiętam... - zaczynała wpadać w panikę.

Teddy jak zwykle, gdy był potrzebny, gdzieś się zapodział.

- Czy kręcił się tu ktoś obcy?

Fannie zaprzeczyła. Była mocno wystraszona, że Alexis przytrafiło się coś złego.

- Wystroiła się i wyglądała bardzo ładnie - dodała.

Gdy Edwina usłyszała te słowa, przebiegł ją zimny dreszcz, natychmiast bowiem przyszedł jej do głowy Malcolm Stone. Przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru podczas rozmowy z siostrą odniosła wrażenie, iż Alexis kłamie, wtedy jednak nie chciała na nią zbyt mocno naciskać.

Portier powiedział jej, że Alexis odjechała sprzed hotelu taksówką. O dziewiątej wieczorem wciąż jej nie było, Edwina zadzwoniła więc do Sama. Przepraszyła, że zwraca

mu głowę o tej porze, i opowiedziała o swoim kłopotcie. Chciała odnaleźć Malcolma i sprawdzić, czy Alexis z nim jest.

Dwie godziny później, gdy Fannie i Teddy dawno już spali, zadzwonił Sam. Od znajomego aktora udało mu się dostać adres Malcolma i okazało się, że Stone mieszka w "zakazanej" części miasta.

- Nie chcę, żebyś sama tam szła. Kiedy mam tam pojechać, teraz czy rano?

Pragnął jej pomóc, Edwina upierała się jednak, że poradzi sobie sama. Przez chwilę sprzeczali się i w końcu przystała, aby jej towarzyszył. Do mieszkania Stone'a dotarli o północy, lecz nie zastali nikogo.

Wtedy Edwina postanowiła powiadomić o zaginięciu Alexis policję, choćby miało to wywołać skandal. Horowitz niechętnie zostawił ją samą z policjantami w hotelu o pierwszej w nocy. Po jego wyjściu starała się przekazać policji wszystko, co mogło mieć związek ze zniknięciem siostry. Niestety, wiedziała niewiele, tylko to, co zdołała wyciągnąć z Fannie: Alexis wybrała się na spotkanie z przyjaciółką i nie wróciła na noc do domu.

Następnego ranka Edwina przeleżała się nie na żarty. Nigdzie nie natrafiono na ślad dziewczyny. Policji nie udało się niczego ustalić, nikt nic nie widział ani nie słyszał. I nikt o podanym rysopisie nie trafił do żadnego z miejscowych szpitali. Ale przecież nie rozplynęła się w powietrzu! Musiała gdzieś być, tylko że Edwina nie miała pojęcia gdzie i z kim. Myślała o Malcolmie Stonie, zdawała sobie wszakże sprawę, że może się mylić. Jeden wypad na granicę meksykańską o niczym nie świadczył, a Stone z pewnością zapamiętał otrzymaną wtedy nauczkę.

W południe zadzwonił Sam Horowitz i to, co powiedział Edwinie, wstrząsnęło nią do głębi. Słusznie podejrzewała Stone'a! Po dokładnym sprawdzeniu okazało się, że opuścił mieszkanie, zostawiając pieniądze, które był winien za czynsz. Horowitz odkrył to przez czysty przypadek: z rana jeszcze raz udał się pod jego adres i zastał tam znajomego aktora, którego samochód, pożyczony Stone'owi, znaleziono przy dworcu. Nasuwało to oczywiście podejrzenie, że szubrawiec opuścił miasto. Tylko czy Alexis z nim wyjechała?

- Mogłabyś zgłosić policji, że ją uprowadził - sugerował Sam, ale Edwina nie chciała o tym słyszeć. Bo jeżeli tak nie było? Jeżeli Alexis oświadczy, że poszła z nim z nieprzymuszonej woli, jak zresztą Edwina przypuszczała, to opinia jej siostry zostanie zrujnowana na zawsze. Jakże brakowało jej w tej chwili George'a!

- Mogę ci w czymś pomóc? - zapytał Sam, jakby czytając w jej myślach.

Odrzekła, że sama spróbuje znaleźć jakieś wyjście i poinformuje go, co postanowiła. Uznała, że nie ma prawa narzucać mu się ze swoimi problemami. Zrobił już dla niej wystarczająco dużo. W końcu to nie jego kłopot! Czuła się upokorzona, że musi przyznać się do porażki - nie potrafiła upilnować siostry. A bardzo jej zależało na opinii George'a, Helen i Sama.

Było już za późno, aby powstrzymać Alexis i Malcolma, za późno, aby ich dogonić. Jeżeli opuścili miasto, Edwinie pozostawało tylko wrócić do San Francisco i tam czekać na wiadomość od siostry. Jeszcze tego popołudnia zadzwoniła do Sama i powiedziała mu o swojej decyzji, a nazajutrz razem z Fannie i Teddym wsiadła do pociągu, który miał zawieźć ich do San Francisco.

W czasie dłużącej się podróży do domu cała trójka siedziała w milczeniu. Edwina martwiła się o Alexis, Fannie zaś wyrzucała sobie, że nie wypytała siostry dokładnie, gdzie idzie, albo nie przekonała jej, by w ogóle nie wychodziła.

- Nie przejmuj się tak-usiłowała ją pocieszyć Edwina. -To, co się stało, jest wyłącznie winą Alexis.

- A jeżeli ona nie wróci?

Fannie zaczęła płakać, a Edwina skwitowała jej wątpliwości smutnym uśmiechem. I pomyślała, że Alexis na pewno wróci, tylko Bóg wie kiedy i w jakim stanie. Już lepiej, żeby istotnie była ze Stone'em, niż żeby miało jej się przytrafić jakieś inne, trudne do wyobrażenia nieszczęście. Przez resztę drogi Edwina układała sobie w głowie listę tych "innych" wydarzeń.

Alexis skontaktowała się z nimi po trzech dniach, gdy Edwina była już bliska szaleństwa. Telefon zadzwonił o dziesiątej wieczorem.

- O Boże! Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak bardzo nas zmartwiłaś? Gdzie jesteś? Co się stało? - gorączkowała się Edwina.

Głos Alexis drżał. Była zawstydzona i bała się zadzwonić do domu, ale nawet Malcolm uważał, że powinna. Ostatnie dni były najokropniejsze w jej życiu. Najpierw chorowała w pociągu i zdawało jej się, że lada chwila umrze, a potem Malcolm oznajmił jej, że przespała noc poślubną. Wyjaśnił, że pobrali się tuż przed wyjazdem, i następnej nocy zażądał wypełnienia obowiązków małżeńskich. Było to straszne przeżycie, jakże inne

od wymarzonych chwil z ukochanym. Nie mogła zrozumieć, dlaczego za niego wyszła. Zachowywał się zupełnie inaczej niż w Los Angeles. Bez ustanku rozwodził się nad filmami, w których będą grać, i chociaż był przystojny, w jasnym świetle dnia Alexis widziała, że jest stary.

- Mam się dobrze - powiedziała słabym głosem. Nawet przez telefon nie wypadło to przekonywająco. - Jestem z Malcolmem Stone'em.

- Domyślałam się tego - rzekła Edwina, dławiąc się od łez. - Ale dlaczego? Do licha, czemu to zrobiłaś? - wypytywała zastanawiając się, w którym momencie popełniła błąd. - Dlaczego mnie okłamałaś?

- Nie okłamałam, w każdym razie niezupełnie. Na weselu rozmawialiśmy naprawdę niewiele. Tańczyłam z nim tylko i zgodziłam się spotkać na lunchu.

- Ale co się z tobą działo przez tyle dni?

Z pewnością był to najdłuższy lunch w jej życiu. Teraz Edwina nie miała już wątpliwości, co się wydarzyło. Po pięciu dniach przykra prawda musiała dotrzeć nawet do Edwiny, skłonnej wiele siostrze wybaczyć.

- Jestem w Nowym Jorku - mówiła Alexis nerwowo.

W pierwszej chwili Edwina pomyślała, że mogłaby skontaktować się z George'em, szybko jednak odrzuciła ten pomysł. Nie chciała zakłócać młodej parze miodowego miesiąca. Zresztą pośpiech był już zbędny, bo teraz niewiele można było zrobić, a wołała utrzymać -w tajemnicy niechlubny wyczyn siostry. Nie wdając się w szczegóły powiadomi Sama, że odnalazła siostrę, rodzeństwo zobowiąże do milczenia, George'owi zaś w ogóle nic nie powie. Im mniej osób będzie wiedziało o przygodzie Alexis, tym lepiej dla niej. Teraz to było najważniejsze.

- W którym hotelu jesteście? - spytała Edwina, postanowiwszy działać natychmiast.

- W Illinois Hotel - odparła Alexis i podała Edwinie adres na West Side. Z pewnością nie był to luksusowy Plaza ani Ritz-Carlton, bo przecież Malcolm Stone nie był skłonny do szastania pieniędzmi. - Edwino... - głos jej się załamał, pragnęła jednak wyznać siostrze całą prawdę. - Wyszłam za mąż.

- Co takiego? - Edwina z wrażenia aż podskoczyła. - Wyszłaś za mąż?!

- Tak, wzięliśmy ślub przed wyjazdem z Kalifornii. - Nie przyznała się, że była pijana i niczego nie pamięta, doszedłszy do wniosku, że lepiej tego siostrze nie mówić.

- Mam nadzieję, że mimo to wrócisz do domu? - Edwina czując, że Alexis odzyskuje rozsądek, już myślała o unieważnieniu ślubu, przede wszystkim jednak musiała sprowadzić siostrę do domu.

- Nie wiem... - powiedziała Alexis niepewnie, dręczona lękiem przed nieznanym. - Malcolm mówi, że będzie próbował dostać tu rolę w teatrze.

- Rany boskie!... Słuchaj... - Edwina przytknęła oczy i szybko coś sobie przekalkulowała. - Nie ruszaj się stamtąd, jadę po ciebie.

- Zawiadomisz George'a?

Słyszac wstyd w głosie Alexis, Edwina odetchnęła z ulgą.

- Nie, nic nikomu nie powiem i lepiej będzie, jak ty i pan Stone też utrzymacie swój związek w sekrecie. Im mniej osób się dowie, tym lepiej. Przywiozę cię do domu, unieważnimy małżeństwo i zakończymy całą sprawę. - Modliła się, żeby, jak George zażartował kilka miesięcy wcześniej, nie otrzymali "brzdąca" w podarku od Stone'a. - Za pięć dni będę w Nowym Jorku - obiecała i szybko odłożyła słuchawkę.

Alexis, ledwo skończyła rozmowę z siostrą, zaczęła się zastanawiać, czy powinna była do niej telefonować. Malcolm na powrót był dla niej miły, zaczynały jej się też podobać "małżeńskie obowiązki". Nie chciała wracać do Kalifornii, wołała zostać z nim w Nowym Jorku. Mimo że hotel, w którym się zatrzymali, był ciemny i obskurny, a w Malcolmie pewne rzeczy ją raziły - na przykład nie podobało jej się, że tak podstępnie wywiózł ją z domu - chwilami odnosiła wrażenie, że jest w nim zakochana. Był przystojny, choć nazbyt gustował w alkoholu, a kiedy wypił za dużo, stawał się gwałtowny. Ale potrafił też być dla niej miły i wtedy traktował ją jak małą dziewczynkę. To lubiła, poza tym czuła się bardzo dorosła, gdy przedstawiał ją jako swoją żonę.

Nazajutrz po telefonie do Edwiny Alexis była święcie przekonana, że chce pozostać panią Stone, i żałowała, iż skontaktowała się z siostrą, nieopatrznie mówiąc jej, gdzie przebywa. Kiedy jednak próbowała się z nią ponownie porozumieć, telefon odebrała Fannie, która powiedziała jej, że Edwina już po nią pojechała.

- Dlaczego to zrobiłaś, Lexie? - jęczała Fannie do słuchawki.

Alexis przeszedł dreszcz, bo właśnie poczuła dłoli Malcolma posuwającą się w górę jej uda.

- Będziemy razem grać w filmach - tłumaczyła siostrze, jakby to mogło być

usprawiedliwieniem. - I chciałam być żoną Malcolma.

Fannie aż zaparło dech z wrażenia. O niczym nie wiedziała! Edwina nie wspomniała jej ani słowem, że Alexis wyszła za mąż, napomknęła tylko, że jest w Nowym Jorku.

- Co takiego? Wyszłaś za mąż? - Zaskoczenie Fannie nie miało granic. Stojący obok Teddy z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

A więc Edwina nic im nie powiedziała, pomyślała Alexis. Przypomniała sobie, że miała utrzymać sprawę ślubu z Malcolmem w tajemnicy.

- No, tak jakby... - zawahała się. Skoro już się zdradziła, to może Edwina nie zdoła unieważnić ślubu? Sytuacja mocno się skomplikowała i Alexis żałowała, że w ogóle zadzwoniła do domu.

Odwiesiwszy słuchawkę, chciała się podzielić wątpliwościami z Malcolmem, ale on nie słuchał. Był w fatalnym nastroju, obszedł bowiem wiele nowojorskich teatrów, w żadnym jednak nie było dla niego pracy.

- Mam pomysł - oświadczył naraz, przewrócił Alexis na łóżko i ściągnął z niej bluzkę, którą podobnie jak inne części garderoby kupił jej przy dworcu w Chicago. Ten szczegół ich związku i wszystkie inne ogromnie ją ekscytowały. Czuła się, jakby występowała w filmie.

Po miłosnych uniesieniach Malcolm na kilka godzin zostawił ją w hotelu samą, wieczorem zaś wrócił pijany, za to z dwoma biletami na statek. W odpowiedzi na awanturę, którą urządziła mu Alexis, obiecał, że nazajutrz rozpoczną nowe życie: popłyną mianowicie do Londynu, gdzie będzie grał w teatrze, a jak już zrobi karierę, wróci do Kalifornii. I wtedy będzie za późno, żeby jej siostra mogła mu przeszkodzić, pomyślał. Przy odrobinie szczęścia Alexis zostanie matką, a jeżeli nawet nie, to sprawy i tak zajdą za daleko, by rodzina dziewczyny na cokolwiek się odważyła. Resztę życia będzie mógł zatem spędzić wygodnie na koszt George'a Winfielda.

`tc

Rozdział trzydziesty trzeci

`tc

Przed wyjazdem z San Francisco Edwina zadzwoniła do Sama i zapewniła go, że

zaszło nieporozumienie. Alexis, urażona jakimś jej nieopatrzonym słowem, nic nikomu nie mówiąc pojechała sama do domu. Zastali ją w domu skruszoną i zawstydzoną.

- Wszystko w porządku - mówiła. - Alexis nic się nie stało i w sumie narobiłam dużo hałasu o nic.

- A Malcolm Stone? - zapytał Sam podejrzliwie, niezupełnie jej wierząc.

- Nie ma go w polu widzenia - odparła Edwina i podziękowała mu za okazaną pomoc.

Ułożyła wszystko tak, by Fannie i Teddy mogli zostać pod opieką gosposi, następnego ranka zaś wyjechała do Nowego Jorku, zdecydowana wrócić razem z Alexis. Przekonała rodzeństwo, że dla dobra siostry należy utrzymać całą rzecz w sekrecie, i obiecała, że wróci jak najszybciej. Na odchodnym powtórzyła, że mają zachować tajemnicę, a gdyby zadzwonił George, pod żadnym pozorem nie wolno mu o niczym mówić.

Wsiadła do pociągu do Nowego Jorku pełna obaw i przykrych wspomnień. Gdy ostatnim razem, przed jedenastu laty, podróżowała w tym kierunku, jechała z rodzicami, rodzeństwem i Charlesem, by w Nowym Jorku wsiąść na pokład "Mauretanii". Teraz podróż na wschód dłużyła się niesamowicie. Przez całą drogę w głowie kłębiły jej się setki myśli, a kiedy dotarła do hotelu Illinois, leciała z nóg ze zmęczenia.

Udała się tam wprost z dworca, spodziewając się zastać zrozpaczoną Alexis w sidłach Malcolma Stone'a, którego zamierzała postraszyć sądem, aby uwolnić siostrę. W recepcji wręczono jej list, skreślony dziecięcym pismem Alexis, wyjaśniający, że Malcolm postanowił udać się do Londynu, gdzie będzie występował w teatrze, i ona, jako posłuszna żona, jedzie z nim. Z treści listu dało się wywnioskować, że Alexis do tego stopnia straciła dla niego głowę, że zdecydowała się wsiąść na statek. Edwina zdawała sobie sprawę, jakim ciężkim przeżyciem będzie dla niej ta podróż. Zastanawiała się, czy Stone wie, co mu grozi, i czy Alexis powiedziała mu, że przeżyła katastrofę "Titanica" przed jedenastu laty. Wyszła z hotelu zapłakana, rozważając, co dalej począć. Czy ma zostawić sprawy swojemu losowi? Może Alexis rzeczywiście chce być żoną Malcolma i wszelkie interwencje byłyby spóźnione i bezcelowe? Co w takim wypadku powinna zrobić starsza siostra? Jeżeli Alexis jest w ciąży, małżeństwa nie da się unieważnić. Cicho popłakiwała na tylnym siedzeniu taksówki wiozącej ją do hotelu Ritz-Carlton. Zarejestrowała się w recepcji i weszła do

pokoju. I oczywiście zaraz wspomniała bliskich, z którymi była tu ostatnio. Raptem gorąco zapragnęła obecności kogoś, w kim mogłaby znaleźć oparcie. Niestety, takiej osoby nie było. Rodzice i Filip nie żyli, George się ożenił, Sama Horowitza ledwo знаła, a Benowi nie chciała się przyznać, że zawiodła na całej linii. Nie miała więc do kogo zwrócić się o pomoc i wiedziała, leżąc bezsennie w łóżku, że musi sama uporać się z problemem. Nie miała wyboru. Zastanawiała się, czy zdoła wejść na statek po tym, co przeszła na "Titanicu", ale była też pewna, że zrobi wszystko co w jej mocy, by nie zostawić Alexis na łasce Malcolma Stone'a. Przecież siostra zadzwoniła do niej i powiedziała, gdzie jest. Mogło to oznaczać tylko jedno - chciała, żeby Edwina pośpieszyła jej na ratunek.

Przez całą noc rozważała argumenty przemawiające za podróżą i przeciw niej. Wiedziała, jakim statkiem popłynęli. Mogła wysłać telegram, który siostra odebrałaby jeszcze na morzu, lecz na nic by się to zdało teraz, gdy Alexis była bez pamięci zadurzona. Edwina czuła, że musi, i to jak najszybciej, podjąć decyzję, w przeciwnym razie zwariuje. Jakby w odpowiedzi na swoje wątpliwości zobaczyła przed sobą twarz matki i zrozumiała, jak ona by postąpiła. Pojechałaby za Alexis.

Po południu tego samego dnia Edwina zarezerwowała bilet na transatlantyk "Paris". Wyruszyła w ślad za Alexis, która odplynęła trzy dni wcześniej statkiem "Bremen".

`tc

Rozdział trzydziesty czwarty

`tc

Gdy Alexis wsiadła na "Bremen", na pokład drugiej klasy, pobladła i ucichła, choć niczego nieświadom Malcolm próbował ją rozruszać. Sądząc, że jeszcze nigdy nie pływęła statkiem, opowiadał, jak cudownie będą spędzać czas. Zamówił szampana, pieścił ją i roztaczał wizję życia, jakie będą wiedli w przyszłości na luksusowych statkach, podróżując wyłącznie pierwszą klasą.

- Pomyśl o tym, skarbie - mówił.

Przekomarzał się z nią, wkładał jej rękę pod sukienkę, lecz tym razem Alexis ani razu się nie uśmiechnęła. Od chwili gdy statek odbił od nabrzeża, nie odezwała się ani słowem, a gdy udali się do kabiny, Stone zauważył, że cała drży.

- Mam nadzieję, że nie dostajesz morskiej choroby - upewnił się i pomyślał, że choć musiał wydać ostatnie pieniądze na przejazd, a ona choruje, to przecież warto było: podróżował wszak z młodą efektowną kobietą, siostrą szefa wielkiego studia filmowego.

Statek był okropny, jednakże Niemcy, którzy stanowili większość pasażerów, lubili śmiać się i pić, co gwarantowało dobrą zabawę. Stone liczył, że znajdą się chętni do pogrania w karty i będzie przed kim pochwalić się "żoną", tyle że na razie jego plany spełzły na niczym, Alexis bowiem leżała w koi jęcząc, z oszalałym wzrokiem. Przerażony wezwał stewarda.

- Mein Herr? - rzekł steward pytająco, zaglądając do kajuty. Już wcześniej zwrócił uwagę na piękną żonę Amerykanina. Stanowili przystojną parę, ale mąż mógłby być jej ojcem.

- Moja żona zachorowała. Potrzebujemy lekarza, i to szybko.

- Oczywiście - uśmiechnął się steward. - Może przyniosę filiżankę bulionu i kilka herbatników? To wspaniale pomaga przy chorobie morskiej. Czy pani płynęła kiedyś statkiem?

Kiedy to mówił, Alexis wydała okropny jęk. Malcolm odwrócił się do niej i stwierdził, że zemdląca.

- Lekarza, człowieku, szybko! - przeraził się, bo wyglądała jak martwa. Co będzie, jeżeli umrze? George Winfield zabije go. A wtedy przyjdzie mu się pożegnać z Hollywood i luksusowymi samochodami, ze spokojnym dostatnym życiem u boku słodkiej Alexis!

Lekarz zjawił się błyskawicznie i bez ogródek zapytał, czy pani jest w ciąży i czy wystąpiły ślady poronienia. Malcolmowi nawet nie przyszło to do głowy, zresztą za krótko byli razem. Do ich pierwszego spotkania Alexis była dziewicą. Odpowiedział, że nie sądzi. Wyszedłszy z kajuty na prośbę lekarza, krążył po korytarzach pałac i zastanawiając się, co sprawiło, że Alexis zemdląca i że już przed wejściem na statek wyglądała nie najlepiej.

Minęło sporo czasu, zanim lekarz wyłonił się z kabiny i skinął na niego. Kazał mu pójść za sobą. Stone z wahaniem wykonał polecenie.

- Czy to poważne? - spytał.

- Nie. Teraz będzie spała. Dałem jej zastrzyk. - Przeszli do małego pomieszczenia, gdzie mogli usiąść. - Czy ten wyjazd do Europy był aż tak ważny?

Z niezrozumiałego dla Malcolma powodu lekarz wydawał się zagniewany.

- Tak. Jestem aktorem... Mam występować na scenach Londynu.

Jak wszystko w jego dotychczasowym życiu, to również było kłamstwem. Nie miał przecież pojęcia, czy uda mu się znaleźć w Anglii pracę.

- Rozumiem, że żona nic panu nie powiedziała? - upewnił się lekarz, przez chwilę rozważając, czy ta para jest rzeczywiście małżeństwem. Ona, znacznie od niego młodsza, wystraszona, w luksusowym obuwiu wyraźnie odbijającym od reszty ubioru. On, wprawdzie przystojny, ale podstarzały blondyn, z nieszczerym uśmiechem nerwowo palący papierosa za papierosem. Taka żona jakoś nie pasowała do niego, toteż zastanawiał się, czy przypadkiem dziewczyna nie uciekła z domu. Jeżeli tak, to podróż ta była surową karą.

- O czym miała mi powiedzieć? - zdumiał się Malcolm.

- O swojej poprzedniej podróży do Europy - rzekł lekarz, któremu Alexis z płaczem wyznała, że nie może znieść pobytu na statku, ponieważ boi się, że zatonie. Oszalała ze strachu, przyłgnęła do niego drżąc na całym ciele i wtedy pojął, że nie obejdzie się bez środków uspokajających. Postanowił też, że jeśli Amerykanin wyrazi zgodę, zatrzyma ją pod opieką pielęgniarki w izolatce, póki nie dotrą do Anglii.

- O niczym nie wiem - zirytował się Malcolm.

- Nie wie pan, że płynęła na "Titanicu"? - zdziwił się lekarz. Skoro byli małżeństwem, to dziwnie mało wiedział o żonie.

- Przecież była wtedy bardzo mała - powiedział Malcolm powątpiewająco.

- Miała sześć lat. Straciła w katastrofie rodziców, razem z nimi utonął też narzeczony jej siostry. - Malcolm pomyślał, że to wiele wyjaśnia. Nigdy się nie zastanawiał, gdzie są rodzice Alexis i dlaczego opiekują się nią George i Edwina. Dla świętego spokoju przyjął, że gdzieś wyjechali, bo prawdę mówiąc niewiele go to obchodziło. Alexis nic mu nie powiedziała, dopiero teraz wyręczył ją lekarz: - Tamtej nocy zgubiła się rodzicom i na siłę umieszczono ją w łodzi ratunkowej. Rodzeństwo odnalazła dopiero na statku, który ich wyratował. Zdaje się, że to była "Carpathia". - Lekarz zmarszczył brwi, wspomniawszy tamte czasy. Był wtedy lekarzem okrętowym na "Frankfurcie", który także odebrał radiowe sygnały z ostatnim wołaniem o pomoc. - Uważam, że pańska żona - rzekł z naciskiem - powinna otrzymywać środki uspokajające do końca podróży. Obawiam się, że inaczej jej nie zniesie. Wydaje się nader delikatną osobą.

Malcolm westchnął. No tak! Jeszcze tylko trzeba mu na statku rozhisteryzowanej

dziewczyny, której rodzina utonęła na "Titanicu"! Jakże ją odstawi do Stanów, gdy przyjdzie pora powrotu? Może wtedy opiekę nad nią przejmie już George lub Edwina, o ile w ogóle któreś się zjawi... Zaczynał się obawiać, że nigdy to nie nastąpi. Zabezpieczył się przed rodzeństwem Alexis, dopóki nie będzie gotów do załatwienia spraw na warunkach, które sam podyktuje. Musiał więc czekać, aż Alexis będzie mu jadła z ręki.

- Dobrze - przystał na propozycję lekarza. Pomyślał, że dzięki temu będzie mógł przynajmniej spokojnie pograć w karty.

- A więc zgadza się pan na umieszczenie żony w izolatce? - upewnił się lekarz.

- Oczywiście - przytaknął Malcolm z uśmiechem.

Odszedł w stronę baru, gdy tymczasem lekarz, pielęgniarka i stewardesa wynosili nieprzytomną Alexis z kabiny.

Resztę podróży przespała, budząc się tylko po to, by dostać następny zastrzyk. Docierało do niej jak przez mgłę, że płynie statkiem, i nieraz krzyczała w ciemności, wzywając matkę na pomoc. Matka jednak nigdy nie przychodziła. Zjawiała się tylko kobieta w białym fartuchu, wypowiadająca obce słowa, tak że Alexis zastanawiała się, czy statek zatonął i ona przebywa w innym świecie, gdzie wreszcie uda jej się odzyskać matkę... A może chodziło jej o Edwinę?

`tc

Rozdział trzydziesty piąty

`tc

Edwina z ciężkim sercem wsiadła na statek. Niestety, zabrakło na nim niemieckiego lekarza, który by się nią zaopiekował. Płynęła pierwszą klasą na pokładzie parowca "Paris". Ze sobą miała jedynie niewielką torbę podróżną, z którą przyjechała do Nowego Jorku. Nie zabrała wieczorowych strojów, bo wiedziała, że nie będą jej potrzebne. Chciała tylko dotrzeć do Londynu i zabrać Alexis do domu. I nic więcej! Nie potraktowała poważnie niemądrego listu, w którym siostra napisała o wspólnych z Malcolmem planach i o tym, że jest z nim szczęśliwa. Jeśli nawet tak było, Edwina nie brała tego pod uwagę. Nie mogła dopuścić, żeby jej siedemnastoletnia zaledwie siostra zmarnowała życie u boku kanalii pokroju Malcolma Stone'a. Bardzo teraz żałowała, że zabrała ją do Hollywood i pozwoliła

zagrać w filmie. Nie będzie żadnych następnych ról! Gdy tylko pozbędą się Stone'a, wrócą do San Francisco i tam spokojnie będą sobie żyły. Przy odrobinie szczęścia nikt się nie dowie, co przytrafiło się Alexis w Nowym Jorku, ani o jej podróży do Europy. Edwina była gotowa okłamać każdego, byle ochronić siostrę.

Tylko chęć sprowadzenia Alexis do domu mogła ją zmusić do wejścia na statek, choć nogi uginały się pod nią ze strachu. Stewardesa zaprowadziła ją do kabiny, gdzie Edwina opadła wyczerpana na krzesło i przymknęła oczy. Usiłowała odegnać od siebie obraz statku, na którym płynęła poprzednio, wyrzucić z pamięci to, co się wydarzyło podczas tamtego rejsu.

- Czy życzy sobie pani czegoś? - zapytał steward mający pod opieką jej kajutę. Edwinie starczyło sił, by pokręcić głową, steward jednak, zaniepokojony jej bladością, pytał dalej: -Może wyjdzie pani na pokład? Na świeżym powietrzu na pewno będzie lepiej - nalegał, lecz z wymuszonym uśmiechem podziękowała mu za troskliwość.

Później, aby nie myśleć o podróży, dumiała o Helen i George'u, o ich miodowym miesiącu. Zanim wsiadła na statek, zatelefonowała do Fannie i Teddy'ego i przypomniała, że nie wolno im nic mówić George'owi, gdyby przypadkiem zadzwonił do domu. Mieli mu powiedzieć, że ona i Alexis akurat wyszły do miasta. Liczyła, że brat, zajęty Helen, nie będzie dzwonił zbyt często. Fannie i Teddy'emu zdradziła, że płynie do Londynu, nie rozumieli jednak, jak wielkim przeżyciem jest dla niej przeprawa przez ocean. Obydwoje byli bardzo mali, gdy stracili rodziców, i prawie nie pamiętali katastrofy "Titanica". Tymczasem dla Alexis podróż była nieomal nie do zniesienia, dla Edwiny zaś okazała się nie mniej ciężką próbą.

Pierwszego wieczora poprosiła, by podano jej kolację w kabinie. Ku wielkiemu niezadowoleniu stewarda taca pozostała prawie nietknięta. Podejrzewał, że pasażerka cierpi na chorobę morską, aczkolwiek nie był o tym przekonany. Nie chciała wyjść na pokład, zasłony w jej kajucie były zawsze zaciągnięte, a ilekroć przynosił jej posiłek, była przeraźliwie blada. Robiła wrażenie osoby pogrążonej w bólu lub żyjącej w nieustannym napięciu.

- Dlaczego pani jest taka smutna? - zapytał ją wreszcie ojcowskim tonem.

Uśmiechnęła się do niego znad listu, który właśnie pisała. Komunikowała w nim Alexis, co sądzi o jej zwariowanej ucieczce i skandalicznej aferze z Malcolmem Stone'em.

Zamierzała wręczyć siostrze ten list, jak tylko się zobaczą, tymczasem miała przynajmniej jakieś zajęcie i mogła choć na chwilę zapomnieć, gdzie się znajduje.

Drugiego dnia steward zaczął się zastanawiać, czy nie ma przypadkiem do czynienia z pisarką. Namawiał ją usilnie, by wyszła na pokład. Był piękny październikowy dzień i serce mu się krajało na widok jej smutnej bladej twarzy. Pomyślał, że może ucieka do Europy przed nieszczęśliwą miłością. Przyniósłszy lunch, tak ją zachęcał do opuszczenia kajuty, że w końcu zgodziła się wyjść na pokład. Rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym ukrywała się przez prawie dwa dni, włożyła płaszcz i drżąc z emocji, powoli wyszła na pokład spacerowy.

Wokół zwisały umocowane linami łodzie ratunkowe, na które starała się nie patrzeć, dalej rozpościerało się morze - ten widok przyprawiał ją o jeszcze większe dreszcze. Na całym statku nie było miejsca, gdzie można by się ukryć przed wspomnieniami, i chociaż "tamto" zdarzyło się tak dawno, teraz w jej pamięci odżywało na nowo. Bywało nawet, że musiała sobie powtarzać, iż nie jest na "Titanicu".

Nadeszła pora podwieczorku. Gdy wracała do kajuty, dobiegły jej uszu dźwięki muzyki, przy której tańczono. Oczy jej zwilgotniały na wspomnienie popołudniowych godzin przetańczonych z Charlesem pod życzliwym spojrzeniem rodziców. Zapragnęła raz na zawsze uwolnić się od tamtych wspomnień, rozbudzonych przez znajome dźwięki. Zaczęła biec, nie wiedząc dokąd i dlaczego. Nie patrzyła przed siebie i nagle wpadła na kogoś, a raczej w czyjeś ramiona.

- Och... - krzyknęła, tracąc równowagę.

Nieznajomy podtrzymał ją silnym ramieniem.

- Najmocniej przepraszam! Czy nic się pani nie stało? - zapytał.

Podniosła wzrok i ujrzała przed sobą przystojnego wysokiego blondyna około czterdziestki. Mężczyzna miał na sobie eleganckie, doskonale skrojone ubranie i płaszcz z wytwornym bobrowym kołnierzem.

- Nie... przepraszam... ja... - bąkała.

Wytrąciła mu z rąk dwie książki i gazetę. Widok tych przedmiotów, świadczący o normalności sytuacji, jakby ją uspokoił, bo chwilę przedtem sama myślała o tym, że jest na statku, powodowała, że pragnęła włożyć kamizelkę ratunkową.

- Na pewno nic się pani nie stało? - upewnił się.

Edwina uśmiechnęła się blado i nieznajomy, uspokoiwszy się, puścił jej ramię. Zauważyła, że uśmiech ma serdeczny i ciepły.

- Przepraszam, straszna ze mnie niezdara. Zamyśliłam się.

Pewnie zaprzęta ją mężczyzna, pomyślał. Mylił się oczywiście, choć trudno mu się dziwić: kobiety o atrakcyjnym wyglądzie rzadko bywają samotne, a w każdym razie nie trwa to długo.

- Nic się nie stało - zapewnił ją. - Wybiera się pani na podwieczorek?-zapytał uprzejmie, najwyraźniej nie mając ochoty jej opuścić.

- Nie, wracam do kabiny - odparła Edwina, po czym, ku rozczarowaniu nieznajomego, oddaliła się.

Gdy wróciła, steward pogratulował jej, że wreszcie wyszła na świeże powietrze. Edwina uśmiechnęła się, słysząc w jego głosie ojcowską troskę.

- Było bardzo miło, miał pan rację - przyznała. Z wdzięcznością przyjęła propozycję napicia się herbaty, którą przyniósł po chwili wraz z półmiskiem cynamonowych grzanek.

- Musi pani wychodzić z kajuty. Jedynym lekarstwem na smutek jest słońce i świeże powietrze, mili ludzie i dobra muzyka.

- A więc wyglądam na smutną? - spytała zaintrygowana jego słowami. - No, może trochę jestem smutna - przyznała - ale poza tym nic mi nie jest.

Była nie tyle smutna co wystraszona, tyle że steward o tym nie wiedział. Po części jednak miał słuszność - podróż statkiem zasmucała ją, ponieważ zbyt wiele przeżyła podczas przeprawy przez ocean.

- Teraz wygląda pani znacznie lepiej! - pochwalił, mocno był wszakże rozczarowany, gdy jak zwykle poprosiła, aby kolację przyniósł jej do kabiny.

- Mamy taką piękną jadalnię! Może zechciałaby pani tam zjeść? - Nie miał nic przeciwko obsłudze jej, lecz dumny ze swego statku, czuł się dotknięty, gdy pasażerowie nie korzystali w pełni z jego luksusu i wygód.

- Niestety, nie mam odpowiedniego stroju.

- Nic nie szkodzi. Piękna kobieta może wszędzie wystąpić w skromnej czarnej sukience-rzekł myśląc o stroju, w którym widział ją tego ranka.

- Jeszcze nie dzisiaj. Może jutro - odparła, przyniósł jej zatem filec mignon z holenderskimi szparagami i sufletem z ziemniaków, które kucharz podobno przyrządził

specjalnie dla niej, ale jak poprzednio zjadła niewiele.

- Pani nigdy nie ma apetytu - żalił się, zabierając tacę.

Wieczorem, kiedy przyszedł rozścielić koję, ucieszył się, bo nie zastał Edwiny w kabinie. Długo się zastanawiała, zanim zdecydowała się wyjść na pokład, by przed snem zaczerpnąć świeżego powietrza. Stała z dala od burty, później zaczęła przechadzać się wolno ze wzrokiem wbitym w pokład, pełna lęku przed tym, co ujrzy, jeżeli popatrzy na bezmiar oceanu - może łódź ratunkową, może zjawę albo górę lodową?... Bezskutecznie próbowała odegnać od siebie tę myśl.

Chodziła jak lunatyczka i ocknęła się wtedy dopiero, gdy jej wzrok padł na parę eleganckich skórzanych butów wieczorowych. Podniósłszy głowę, zobaczyła przed sobą znajomego przystojnego blondyna w płaszczu z bobrowym kołnierzem.

- No nie!... - wybuchnęła śmiechem, bardzo zmieszana, znów bowiem wytrąciła mu coś z rąk.

Mężczyzna także się roześmiał.

- Zdaje się, że ma pani jakiś problem - zauważył. - Czy nic się pani nie stało? - zapytał uprzejmie, Edwina zaś poczerwieniała ze wstydu.

- Znowu nie patrzyłam, gdzie idę! - zawołała z pełnym zażenowania uśmiechem.

- Ja też nie - przyznał. - Podziwiałem morze... Jest piękne, prawda?

Spojrzał na horyzont, Edwina jednak nie podążyła za jego wzrokiem. Uważnie obserwowała przygodnego znajomego myśląc, że niesamowicie przypomina jej Charlesa. Był jak on wysoki, przystojny, z pewną dozą arystokratycznej wyniosłości w gestach. Natomiast od Charlesa, który miał ciemną czuprynę, różniły go blond włosy i oczywiście wiek - z pewnością był od niego znacznie starszy.

Mężczyzna patrzył na nią z przyjaznym uśmiechem, najwyraźniej nie mając ochoty spacerować dalej w samotności.

- Może przyłączy się pani do mnie? - podsunął jej ramię.

Edwina gorączkowo szukała wymówki, która pozwoliłaby jej w uprzejmy sposób odrzucić zaproszenie, nic wszakże nie przychodziło jej do głowy. Wpadła na niego dwukrotnie, to prawda, ale przecież nie uczyniła tego umyślnie!

- No cóż... Właściwie jestem trochę zmęczona... Zamierzałam iść do...

- Do łóżka? Ja też jeszcze przed chwilą tam się wybierałem, ale spacer zrobi dobrze

nam obojgu. Rozjaśni w głowie... i w oczach... - zażartował.

Edwina odruchowo ujęła go pod ramię, nie bardzo wiedząc, jak poprowadzić rozmowę. Nie przywykła do pogawędek z nieznanymi. Swobodnie czuła się jedynie u siebie w domu, w kręgu rodziny, wśród przyjaciół, których знаła niemal od urodzenia. Nie czuła także skrępowania, gdy przebywała wśród znajomych George'a, ich jednak, prawdę mówiąc, nie traktowała zbyt poważnie.

- Pani pochodzi z Nowego Jorku? - rzekł jakby do siebie.

Edwina, zdenerwowana niecodzienną sytuacją, spacerem w chłodzie nocy na morzu, księżycem świecącym nad głowami, nie mogła zebrać myśli i znaleźć odpowiednich słów. Czuła się dziwnie nieswojo przy tym przystojnym mężczyźnie. Nie wiedziała, co ma mówić, lecz on jakby nie zwracał na to uwagi.

- Nie - odparła niemal szeptem. - Jestem z San Francisco.

- Aha... Jedzie pani pewno do Londynu odwiedzić przyjaciół... A może do Paryża?

- Do Londynu - powiedziała, mając ochotę dodać: "Żeby wyrwać siostrę z rąk drania, który uprowadził ją podstępnie, choć dziewczyna ma dopiero siedemnaście lat, a on z pewnością nie mniej niż pięćdziesiąt." Zamiast tego dodała: - Tylko na kilka dni.

- Taka wyprawa, żeby kilka dni pobyc w Londynie!... Pewnie lubi pani podróże statkiem - mówił, bez trudu prowadząc rozmowę. Kiedy doszli do dwóch leżaków, zaproponował: - Może odpoczniemy?

Edwina usiadła, choć wcale nie miała ochoty, aczkolwiek zauważyła, że mniej boleśnie przychodzi jej znosić podróż w towarzystwie nieznanego, a sugestywny ton jego głosu powodował, że łatwiej było jej przystawać na jego propozycje, niż je odrzucać.

Usiadła, mężczyzna otulił jej nogi kocem.

- Przepraszam, zupełnie zapomniałem się przedstawić - powiedział po chwili. Wyciągnął dłoń z serdecznym uśmiechem. - Jestem Patrick Sparks-Kelly z Londynu.

Podowała mu rękę i wygodniej usadowiła się na leżaku.

- Edwina Winfield.

- Panna? - zapytał wprost. Przytaknęła rozbawiona, że jej stan cywilny może jeszcze kogoś interesować. Ale gdy skinęła głową, uniósł wysoko brwi. -Aha, podwójnie tajemnicza! Czy pani wie, że stała się przedmiotem plotek? - przybrał minę osoby wysoce zaintrygowanej.

Edwina roześmiała się. Był zabawny i miły, podobał się jej.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła.

- Ależ zapewniam, że tak. Dwie panie doniosły mi dzisiaj, że płynie z nami pewna młoda dama, która samotnie spaceruje po pokładzie, z nikim nie rozmawia, a wszystkie posiłki każe sobie przynosić do kabiny.

- Mówiły chyba o kimś innym - rzekła Edwina. Uśmiechała się niepewnie, przekonana, że wymyślił tę historyjkę.

- No cóż, czy nie spaceruje pani sama? A widzi pani!... Wiem, bo sam panią widuję i... - dodał wesoło - kilka razy wpadła na mnie pewna piękna młoda dama. A czy na posiłki przychodzi pani do jadalni?

Edwina ze śmiechem pokręciła głową.

- No nie, rzeczywiście... Tak się złożyło...

- A więc mam rację! Uznano panią za wysoce tajemniczą osobę. Stała się pani przedmiotem ogólnego zainteresowania i obiektem przeróżnych plotek. Według niektórych jest pani piękną młodą wdową w żałobie, inni uważają, że rozwódką, która przeżyła dramatyczne rozstanie z mężem, a jeszcze inni, że jakąś sławą, choć nikt nie potrafi jej zidentyfikować. Panuje jednak powszechne przekonanie, że ta sława z pewnością jest kimś, kogo znamy i kochamy, jak na przykład... - zamyślił się na chwilę, przymrużył oczy i popatrzył na nią uważnie. - Na przykład Theda Bara.

Rozśmieszyło ją to porównanie, sympatyczny londyńczyk również się uśmiechnął.

- Ma pan wspaniałą wyobraźnię, panie Sparks-Kelly - zauważyła Edwina wesoło.

- Idiotyczne nazwisko, prawda? Brzmi strasznie skomplikowanie, zwłaszcza gdy wymawia się je z akcentem amerykańskim. Proszę mówić do mnie Patrick... A jeżeli chodzi o tożsamość, to obawiam się, że będzie musiała się pani przyznać, z którą gwiazdą filmową podróżujemy, zanim pasażerowie pierwszej klasy oszaleją z ciekawości. Muszę przyznać, że sam zastanawiałem się nad tym przez cały dzień, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- Obawiam się, że rozczaruję wszystkich, bo jestem tylko sobą i jadę do Europy na spotkanie z siostrą. - Starła się, by jej słowa zabrzmiały całkiem naturalnie, ale on i tak był zaintrygowany.

- I zostanie pani w Londynie tylko kilka dni?... Bardzo się rozczarowałem - uśmiechnął się.

Edwina po raz kolejny zauważyła, że jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Spostrzeżenie to uczyniła automatycznie, a chłodny sposób oceny męskiej urody wynikał stąd, że w środowisku George'a poznała wielu gwiazdorów filmowych.

- Jakże to intrygujące, że nie jest pani mężatką. - Jego uwaga zabrzmiała tak, jakby chwalił ją za wykonywanie interesującego zawodu. - Amerykanki świetnie znoszą stan panieński. Z klasą. Angielskie panny już w wieku dwunastu lat wpadają w panikę, że nie wyjdą za mąż, a jeżeli nikogo nie usidlą podczas pierwszego sezonu w towarzystwie, ich rodziny uważają ten fakt za nader wstydlivy.

Słyszac to, Edwina roześmiała się głośno. Nigdy nie uważała, że jej stan jest wynikiem nadzwyczajnej cnoty lub wyboru. Okoliczności, a później obowiązki, których podjęła się z całą świadomością, zmusiły ją do rezygnacji ze szczęścia osobistego.

- Nie wiem, czy stan panieński jest czysto amerykańskim wynalazkiem. Może nie tak łatwo dajemy się zakuć w małżeńskie okowy jak Angielki? One mają maniery lepsze niż my. I nie kłócą się tak często. - Uśmiechnęła się na wspomnienie ciotki Liz i wuja Ruperta. - Miałam ciotkę, która wyszła za Anglika - wyznała.

- Naprawdę? Za kogo? - zainteresował się, jakby uważał, że zna wszystkich. Edwina pomyślała, że pewnie właśnie tak jest.

- Za lorda Ruperta Hickhama. Umarł kilka lat temu. Ona zresztą też już nie żyje. Nie mieli dzieci.

Patrick zamyślił się na chwilę, po czym kiwnął głową.

- Chyba go znałem... a raczej znał go mój ojciec. Jak pamiętam, miał dość specyficzny sposób bycia, jeśli wolno zauważyć bez obrazy.

Edwinę rozbawiło zawołane znaczenie jego słów. Domyśliła się, że pewnie nieźle znał Ruperta, skoro właśnie to zapamiętał.

- Pańska opinia nie była nieuprzejma, raczej dokładna - przyznała Edwina. - Moja biedna ciotka bała się własnego cienia. Odwiedziliśmy ich w Havermoorze... - już miała powiedzieć: "jedenaście lat temu", zakończyła jednak: - dawno temu. - Jej głos zabrzmiał smutno. - Od tamtej pory nie byłam w Anglii.

- A kiedy to było? - zainteresował się, jakby nie zauważył jej wahania.

Milczała przez chwilę.

- Jedenaście lat temu - powiedziała wreszcie.

- To istotnie bardzo dawno temu. - Obserwował ją zastanawiając się, co mogło się wtedy wydarzyć, Edwina bowiem skinęła głową, a jej twarz naraz zasnuła się cieniem. Patrick udawał, że niczego nie dostrzegł.

- Tak, niesamowicie dawno. - Wstała, jakby chciała odejść. Zmęczona już była ciągłym uciekaniem od przeszłości, ale nie mniej zmęczona była borykaniem się z terażniejszością. - Chyba wrócę do kajuty. Miło mi się z panem rozmawiało, panie Sparks-Kelly.

- Patricku - poprawił. - Czy mogę panią odprowadzić? A może dałaby się pani namówić na drinka w salonie? To bardzo wytworne pomieszczenie, a pani jeszcze go nawet nie obejrzała - namawiał. Edwina jednak nie miała ochoty na zwiedzanie statku i poznanie ludzi, to bowiem kojarzyło jej się z nieszczęściem. Obiecywała sobie, że nigdy więcej nie postawi nogi na statku, a na tym znalazła się tylko z powodu Alexis.

- Nie, nie, dziękuję, ale wdzięczna jestem za zaproszenie.

Podala mu rękę na pożegnanie i odeszła szybkim krokiem. Znalazłszy się wszakże w kabinie, stwierdziła, że nie może tam wytrzymać. Ze strachem myślała, że kiedy się położy, znowu owładną ją okropne sny, koszmary, wspomnienia. Wyszła więc z powrotem na pokład. Stanęła przy burcie, tuż obok swej kabiny, i wpadła w zadumę nad tym, jak mogło wyglądać jej życie, a jak się potoczyło. Pogrążyła się w myślach do tego stopnia, że nie usłyszała kroków Patricka, a jego łagodny głos dotarł do niej wtedy dopiero, gdy Sparks-Kelly stanął obok niej.

- Cokolwiek panią dręczy, panno Winfield, chyba nie jest aż tak straszne?... Przepraszam. - Dotknął jej ramienia, lecz Edwina się nie odwróciła. - Nie chciałem przeszkadzać, ale zmartwiłem się widząc smutek na pani twarzy, jak zegnaliśmy się przed chwilą.

Wtedy odwróciła się do niego z włosami rozwianymi przez morski wiatr, błyszczącymi oczyma i łzami widocznymi w świetle księżyca na policzkach.

- Wygląda na to, że cały mój czas na tym statku poświęcam na przekonywanie bliźnich, że nic mi nie jest - próbowała się uśmiechnąć, lecz gdy pod jego baczny spojrzeniem ocierała oczy, nie bardzo jej to wyszło.

- I udało się pani kogoś przekonać? - Jego głos brzmiał ciepło i serdecznie.

Edwina zaczynała żałować, że nie spotkała go przed laty, bo teraz ich znajomość nie

miała żadnej przyszłości. On miał swoje życie, ona swoje. Znalazła się na statku tylko dlatego, że musiała przywieźć Alexis do domu.

- Nie - uśmiechnęła się. - Jakoś mi to nie wyszło.

- Ha, czyli musi to pani robić bardziej przekonywająco - zauważył, po czym tonem najserdeczniejszym, jaki zdarzyło jej się słyszeć, zadał pytanie, na które nikt na statku nie potrafił się zdobyć: - Proszę powiedzieć, co takiego panią spotkało, że cierpienie pani nie opuszcza? - Nie mógł dłużej znieść widoku bólu w jej oczach. Odkąd wypłynęli z Nowego Jorku, napotykał jej spojrzenie, spojrzenie osoby ciężko doświadczonej przez los.

- Och, to było dawno temu. - Chciała odpowiedzieć szczerze, ale bez wdawania się w szczegóły. - I zazwyczaj nie rozczulam się nad sobą - uśmiechnęła się i otarła dłonią łzy. Głęboko wdychała ostre morskie powietrze, starając się przybrać pogodniejszy wyraz twarzy. - Po prostu niezbyt przepadam za morskimi podróżami - wyjaśniła krótko.

- A to dlaczego? Czyżby dokuczała pani choroba morska?

- Raczej nie - znów starała się ominąć prawdę. - Nie czuję się dobrze na pokładzie statku... Zbyt wiele mam... - urwała. Chciała powiedzieć: "wspomnień", lecz usłyszała wewnętrzny głos, który nakazał jej otworzyć serce. Nie знаła Patricka, ale akurat był jedyną przyjazną osobą, mężczyzną, którego polubiła. - Jedenaście lat temu płynęłam na "Titanicu" - wyjaśniła cicho. - Straciłam wtedy rodziców i narzeczonego. - Tym razem jej oczy pozostały suche.

Zaskoczony Patrick oniemiał.

- Mój Boże!... - W jego oczach pojawiły się łzy. - Nie wiem, co powiedzieć... Podziwiam panią, że odważyła się wsiąść na statek. Wyobrażam sobie, jak się pani czuje. Czy to pierwsza po "tamtej" podróż przez ocean? - Dowiedział się w końcu, dlaczego Edwina jest nieustannie spięta i blada i czemu tak rzadko wychodzi z kajuty, ale nie przypuszczał, że prawda okaże się tak wstrząsająca.

- Pierwsza. I nie jest mi łatwo. Przysięgałam sobie, że nigdy nie wsiądę na statek, ale muszę jechać po siostrę.

- Czy ona też "tam" była? - wypytywał poruszony. Znał ludzi, którzy wybrali się w podróż "Titanikiem", niestety, nikt nie ocalał. Pierwszy raz zetknął się z osobą, która przeżyła katastrofę.

- Myśleliśmy, że się nie uratowała. Podczas ewakuacji zgubiła się, to znaczy myśmy

tak sądzili. Wróciła do kajuty po swoją lalkę. Miała wtedy sześć lat. Statek poszedł na dno w dniu jej urodzin. W końcu odnalazłam ją na statku, który wyłowił nas z wody. Była w szoku i od tamtej pory nigdy... cóż, jest bardzo trudnym dzieckiem.

- Płynął z panią jeszcze ktoś bliski? - pytał, ciekaw wszystkiego, co jej dotyczyło. Była przecież osobą niepospolitą, piękną, trochę tajemniczą kobietą.

- Cała najbliższa rodzina. Trzej bracia i dwie siostry przeżyli, rodzice i mój narzeczony utonęli. On też był Anglikiem. - Uśmiechnęła się na wspomnienie narzeczonego. Patrick Sparks-Kelly bez słowa obserwował jej twarz. - Nazywał się Charles Fitzgerald - dodała głuchym głosem. Przez chwilę przyglądała się swej dłoni, jakby szukając na palcu pierścionka zaręczynowego. Od lat już go nie nosiła. Zaproponowała, że zwróci go rodzinie, lady Fitzgerald nalegała jednak, by zatrzymała pierścionek jako pamiątkę po Charlesie.

Patrick patrzył na nią zdumiony.

- Mój Boże... - westchnął. Wyglądał jakby zobaczył ducha, gdy jego oczy napotkały wzrok Edwiny. - Teraz sobie przypominam, że słyszałem o pani: o Amerykance z San Francisco... To było... Boże, akurat wtedy się ożeniłem - wyjaśnił. - Charles był moim dalekim kuzynem.

Przez chwilę stali w milczeniu, rozmyślając o nim. Jakże dziwnie splatają się ludzkie losy, dumiała Edwina. Po tylu latach oto spotkała człowieka spokrewnionego z jej narzeczonym!

- Jego rodzice... strasznie to przeżyli... jedyny syn... ukochane dziecko... - mówił Patrick urywanymi zdaniami. Powróciły do niego wspomnienia tamtych dni, pamiętał nawet, że opowiadano mu o Edwinie. - Dotąd go oplakują.

- Ja też - szepnęła.

- I nigdy nie wyszłaś za mąż? - spytał, mimowolnie mówiąc jej "ty".

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się pogodnie.

- Byłam zbyt zajęta. Musiałam wychować rodzeństwo. Miałam wtedy dwadzieścia lat, a oni byli jeszcze dziećmi. Najstarszy brat, Filip, miał szesnaście lat i starał się zastępować im ojca, ale to zadanie przerastało chłopca w jego wieku. Zresztą rok później wyjechał do college'u. George miał dwanaście lat, Alexis sześć, Fannie cztery, a najmłodszy Teddy niecałe dwa. Przez dobrych kilka lat dostarczali mi niezłej rozrywki -

powiedziała ze śmiechem.

Patrick spoglądał na nią ze zdumieniem, że w tak młodym wieku podjęła się tak wielkiego zadania.

- I wychowałaś je całkiem sama?

- Mniej więcej. Jakoś mi się udało. Staralam się jak mogłam, choć zdarzało się, że załamywałam ręce z rozpaczy. Ale jakoś przetrwaliśmy. Tylko Filipa już nie ma.

- Co się z nim stało? A reszta dzieci?

Edwinie twarz się rozpogodziła, gdy pomyślała o rodzeństwie. Poczula przyływ tęsknoty za najmłodszą dwójką, którą zostawiła w San Francisco.

- Najstarszy, Filip, zginął na wojnie sześć lat temu. George jest chlubą rodziny. Po śmierci Filipa porzucił Harvard i w końcu wylądował w Hollywood, gdzie odnosi wielkie sukcesy.

- Jako aktor? - zaciekał się Patrick. Rodzina Edwiny wydawała się nad wyraz interesującą gromadką, znacznie oryginalniejszą od jego krewnych w Anglii.

Edwina pokręciła głową.

- Nie, jest szefem studia filmowego, i to uznanym. Ostatnio kręcili niezłe filmy. Kilka tygodni temu ożenił się - powiedziała zadowolona. - Alexis, ta, o której ci opowiadałam, jest właśnie w Londynie - wyjaśniła, nie tłumacząc, jak siostra tam się znalazła. - Fannie ma piętnaście lat. To typowa domatorka. A najmłodszy Teddy ma trzynaście lat.

Opowiadała o swoim rodzeństwie z dumą, co głęboko wzruszyło Patricka.

- Bez niczyjej pomocy... Nie umiem sobie tego wyobrazić - rzekł z podziwem

- Jakoś przeszło. Dzień po dniu. Nikt mnie nie pytał, czy tego chcę, ale nie miałam przecież wyboru. Kochałam ich... - wyznała, po czym dodała łagodnie: - Zrobiłam to dla nich... i dla mojej matki... Została na pokładzie, żeby odnaleźć Alexis. Później, jak się okazało, że nie wpuszczą mężczyzn do szalup, postanowiła zostać z mężem... Z naszym ojcem.

Patricka przebiegł dreszcz, gdy wyobraził sobie dzieci opuszczające tonący statek w łodzi ratunkowej, bez rodziców, tylko ze starszą siostrą. Teraz Edwina spoglądała na ocean ze smutkiem wiedząc, że pamięć o tamtej nocy będzie ją dręczyć do końca życia.

- Rodzice z początku chyba myśleli, że ze statku zostaną opuszczone następane

szalupy. Nikt nie wiedział, że było ich tak niewiele, i pasażerowie do końca nie rozumieli powagi sytuacji. Nie powiedziano nam nawet, że trzeba natychmiast opuścić statek. Orkiestra grała bez przerwy, ale nie było syren, dzwonów... Mnóstwo osób kręciło się po pokładzie sądząc, że czasu mają dużo. A właśnie wtedy opuszczano na wodę tych kilka łodzi. Może mama myślała, że później uratuje się na innej albo zostanie na pokładzie, dopóki nie nadejdzie ratunek?

Odwróciła się i popatrzyła w oczy temu obcemu człowiekowi, który w tak krótkim czasie stał się jej bliski jak krewniak, po czym z westchnieniem ulgi wyjawiała mu to, co dręczyło ją przez te wszystkie lata. Gdy mówiła, Patrick ujął jej dłoń.

- Bardzo długo nienawidziłam mamy za to, co zrobiła... Nie za to, że zostawiła mi dzieci, ale że wybrała śmierć z nim, że kochała go bardziej niż nas... Nienawidziłam jej za to, że pozwoliła, aby zabiła ją miłość do męża. Długo te myśli mnie przerażały, sprawiały, że czułam się winna, że nie zostałam z Charlesem... - Po policzkach Edwiny spływały łzy. - Nie zostałam z nim... - powtórzyła. - Wsiadłam z dziećmi do pierwszej szalupy... Zabrałam je. A mama, tatuś i Charles umarli...

Wyrzuciwszy z siebie te myśli, które od lat nie dawały jej spokoju, poczuła ulgę, jakby zdjęto z niej ciężar, który przytłaczał ją niczym młyński kamień. Gdy wreszcie wyznała swoje "winy", oparła czoło na piersi Patricka, a on przytulił ją mocno.

- Nie mogłaś wiedzieć, co się stanie. Nikt nie wiedział. Oni myśleli, że opuszczą pokład później, w innej łodzi. Chyba nikt nie przypuszczał, że statek zatonie - pocieszał ją, wtórując myślom Edwiny.

- Do głowy mi nie przyszło, że żegnam się z nimi na zawsze - szlochała. - Zdażyłam tylko pocałować Charlesa... I już nigdy więcej go nie zobaczyłam - płakała wśród ciemności nocy, a Patrick tulił ją współczująco.

- Edwino, przecież nie byłaś w stanie nic zrobić. Postąpiłaś tak, jak należało... Widocznie los tak chciał. I nie możesz siebie obwiniać, że ty przeżyłaś, a oni nie - uspokajał ją Patrick.

- Ale dlaczego ona z nim została? - domagała się odpowiedzi, jakby Patrick znał prawdę, tymczasem, podobnie jak ona, mógł się jej tylko domyślać.

- Może kochała go tak mocno, że nie potrafiła bez niego żyć? - podsunął. - Tak czasem bywa. Zdarzają się takie kobiety. A może nie potrafiła znieść myśli o życiu bez

niego, a wiedziała, że ty ją zdołasz zastąpić?

- Ale to było nie w porządku wobec dzieci, wobec mnie... Ja musiałam żyć bez Charlesa. - Teraz, gdy po raz pierwszy wypowiadała swoje najskrytsze myśli, jej głos brzmiał gniewnie. - Czasem naprawdę jej nienawidziłam, bo ja przeżyłam, a ona nie. Dlaczego ja musiałam żyć z tym bólem? Dlaczego musiałam...

Nie mogła mówić dalej, powiedziała już zresztą to, o czym dotąd nikomu nie mówiła. Jej najbliżsi umarli, ona się uratowała i przyszło jej żyć pogrzebaną miłością do Charlesa. Całą swą młodość poświęciła dzieciom, których wychowanie wcale nie było takie łatwe. Patrick współczuł jej głęboko i rozumiał ból spowodowany ogromem nieszczęść, jakie ją dotknęły.

- Życie bywa czasami niesprawiedliwe - powiedział. Pragnął zapłakać wraz z nią, ale wiedział, że jego łzy nie przyniosą Edwinie ulgi. Poczul się wyróżniony tym, że zwierzyła się właśnie jemu. Zorientował się, że po raz pierwszy wyjawiała swoje najskrytsze myśli, po raz pierwszy przyznawała się, iż ma żal do matki o to, że wybrała śmierć u boku ojca.

- Wybacz! - rzekła Edwina. - Nie powinnam była opowiadać ci o tym. - Nie mogła znaleźć chusteczki, podał jej więc piękną lnianą z wyhaftowanym herbem. Przyjęła ją z wdzięcznością. - Zazwyczaj nie rozmawiam o tym - usprawiedliwiła się.

- Domyśliłem się - powiedział z serdecznym uśmiechem. - Jaka szkoda, że nie spotkaliśmy się dwanaście lat temu! Odbiłbym cię Charlesowi i prowadziłybyś znacznie szczęśliwsze życie. Ja także. Uratowałybyś mnie przed związkiem z kobietą, z którą nie powinienem był się ożenić. Bo musisz wiedzieć - dodał, krzywo się uśmiechając - że ożeniłem się z bliską kuzynką Charlesa ze strony jego matki. Bardzo przystojną dziewczyną, jak określiła ją moja matka, ale niestety za późno się zorientowałem, że mnie nie kocha.

- Jesteście razem? - zapytała Edwina, wycierając nos. Myśl o wyjściu za mąż za Patricka zamiast za Charlesa wzburzyła ją, ale też zaintrygowała. Edwina żałowała, że poznała go dopiero teraz.

- Owszem - przyznał ze spokojem. - Mamy trzech wspaniałych synów, ale rozmawiam z żoną mniej więcej raz na dwa miesiące, gdy się spotykamy w przerwach między podróżami. Niestety, moja żona... nigdy nie przepadała za dżentelmenami, jest o wiele szczęśliwsza w towarzystwie krewnych płci żeńskiej albo wśród koni.

Edwina odgadła, co miał na myśli, i poczuła się zażenowana, dlatego też wolała nie pytać, skąd się w takim razie wzięły dzieci. Patrick jednak kontynuował temat i wyjaśnił, że sam się dziwi, jakim cudem przy sporadycznym pożyciu udało im się spłodzić troje dzieci. Więcej potomstwa raczej nie będą mieli, powiedział, bo tylko w pierwszych latach zdarzało im się sypiać razem, potem zaś żadna ze stron nie przejawiała chęci do współżycia.

- Nie zamierzasz się rozwieść? - zapytała Edwina.

- Nie, z wielu powodów, między innymi ze względu na synów. Poza tym moi rodzice chyba tego nie przeżyli. Dotąd w rodzinie nie było rozwodu. Sprawę dodatkowo komplikuje to, że dzięki mojej francuskiej babce jestem najrzadszym z ptaków, mianowicie brytyjskim katolikiem. Obawiam się więc, że Philippa i ja jesteśmy związani do śmierci. Życie wiodę raczej samotne i z dala od niej, bo może dzięki mojej nieobecności przynajmniej ona jest zadowolona. Rysują się przede mną ponure perspektywy na najbliższe czterdzieści, pięćdziesiąt lat. - Mówił tonem beznamiętnym, lecz Edwina słyszała w jego głosie skrywane rozgoryczenie, które dostrzegła także w oczach, gdy opisywał swoje nieudane małżeństwo.

- Dlaczego jej nie zostawisz? Nie możesz żyć w ten sposób!

Stała się rzecz zdumiewająca: byli sobie niemal obcy, a wymienili najgłębiej skrywane sekrety - tyle że na statkach takie rzeczy często się ponoć zdarzają.

- Nie mam wyboru - odparł Patrick spokojnie. - Ty także go nie miałaś, kiedy zostałaś skazana na wychowywanie rodzeństwa. "Noblesse oblige", jak by powiedziała moja babka. Czasami człowiek postępuje tak a nie inaczej powodowany jednocześnie obowiązkiem i miłością. I tak jest ze mną. Mam wspaniałych synów! Najmłodszy jest Richard, ma siedem lat. Wszyscy uczą się w szkołach z internatem, w związku z czym mnie nie trzyma w domu. Prawdę mówiąc w ogóle nie muszę tam bywać, z czego skwapliwie korzystam - posłał Edwinie chłopięcy uśmiech. - Często bywam w Nowym Jorku, nie rzadziej w Paryżu w interesach. Prowadzę majątek ojca, mam przyjaciół w Berlinie i w Rzymie. Jak widzisz, nie jest mi tak źle.

Stali blisko siebie, Patrick obejmował Edwinę ramieniem, co jej wcale nie przeszkadzało.

- To, co mówisz, świadczy, że twoje życie jest puste i smutne - rzekła nie przebierając w słowach, pewna, że nie przyjmie źle jej szczerości.

- Masz rację. Tak to właśnie wygląda. Ale staram się po prostu jak najlepiej wykorzystać to, co mam. Podobnie postępujesz ty. Popatrz na siebie: oplakujesz mężczyznę, który od dawna nie żyje. Mężczyznę, którego kochałaś, gdy miałaś dwadzieścia lat. Pomyśl o tym... pomyśl o nim. Czy rzeczywiście go znałaś? Czy wiesz, jaki naprawdę był? Czy na pewno bylibyście razem szczęśliwi?... Miałaś prawo oczekiwać więcej od losu, tak jak i ja, ale zawiedliśmy się w swoich nadziejach. Wobec tego wzięliśmy z życia to, czego potrzebowaliśmy najbardziej: ty otoczyłaś się miłością rodzeństwa, a ja moich dzieci. Tyle że ja nie mogę liczyć na nic więcej, bo jestem żonaty, ale ty jesteś wolna, dlatego jak zejdziesz z tego statku, powinnaś znaleźć mężczyznę, którego zdołasz pokochać, mężczyznę, którego nawet Charles może by zaakceptował. Wyjdź za niego, postaraj się o własne dzieci. Moje życie już jest zamknięte, twoje nie. Nie zmarnuj go, Edwino.

- Daj spokój! - zaśmiała się. Patrick mądrze mówił, Edwina wszakże nie chciała mu tego przyznać. - Wiesz, ile mam lat?... Trzydzieści dwa! Jestem za stara na małżeństwo. Pół życia mam już za sobą.

- Podobnie jak ja. Mam trzydzieści dziewięć lat, ale wiesz? Gdybym otrzymał jeszcze jedną szansę na to, żeby kogoś pokochać, być szczęśliwym, mieć znowu dzieci, natychmiast bym ją wykorzystał.

Kiedy to mówił, popatrzył na nią i zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją. Całował ją jak nikt, odkąd Charles umarł. A może nawet on nie całował jej w ten sposób? Przez chwilę brzmiały jej w głowie słowa Patricka. Czy miał słuszność? Czyżby Charles istotnie był tylko wspomnieniem lat młodości? Może faktycznie z biegiem czasu go wyidealizowała? Może pamięć istotnie podsuwa jej obraz Charlesa takiego, jakiego sobie wymarzyła?... Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na te pytania, choć nie miała wątpliwości, że nadal go kocha. Ale czy wierność jego pamięci nie trwa za długo? Może już czas pożegnać się z cieniami przeszłości?

Nagle odwzajemniła pocałunek Patricka, a wtedy wszystko inne zniknęło z jej świadomości. Długo całowali się, spleceni ramionami jak dwoje tonących. W końcu Patrick wypuścił ją z objęć, popatrzył na nią ze smutkiem i powiedział to, czego powinna być świadoma od samego początku:

- Edwino, niezależnie od tego, co między nami zajdzie, nie mogę się z tobą ożenić. Mówię ci to teraz, zanim się w sobie zakochamy. Ja już w pewnym sensie nie istnieję.

Jestem żonaty, dopóki nas śmierć nie rozłączy, i nie chcę niszczyć twojego życia. Przymierzam, że jeśli pozwolisz mi się kochać, w stosownym czasie uwolnię cię... dla twojego dobra i mojego... Rozumiesz mnie?

- Tak - powiedziała ochryple, wdzięczna za szczerość. Od pierwszego wejrzenia czuła, że Patrick jest człowiekiem wyjątkowo prostolinijnym, dlatego rozmawiała z nim tak otwarcie i dlatego wiedziała już teraz, że go pokochała. Jej uczucie nadeszło absurdalnie szybko, ledwo go przecież знаła, a jednak miała pewność, że nie minie.

- Nie pozwolę ci zadrezczać się miłością, jak to czyniłaś po śmierci Charlesa... Chcę cię kochać i zabrać w nowe życie, uleczoną z dramatów przeszłości i szczęśliwą. A jeżeli kiedyś stwierdzisz, że i ty mnie kochasz, będzie to znak, że możesz wyjść za innego i zrobić to, o czym ci mówiłem.

- Niepotrzebnie się martwisz z góry - oświadczyła Edwina. - Nie możesz wszystkiego przewidzieć. A jeżeli Philippa umrze albo zostawi cię, albo zdecyduje się wyjechać?

- Nie będę na takich przypuszczeniach budował mojego życia ani tobie na to nie pozwolę. Pamiętaj, kochana, pewnego dnia uwolnię cię jak ptaszka z klatki...

Słuchając go, Edwina poczuła budzącą się w jej sercu tęsknotę, już teraz, zanim cokolwiek między nimi zaszło. Przywarła do Patricka i szepnęła:

- Nie rozstawajmy się jeszcze, proszę.

- Nie, jeszcze nie teraz-odparł tak samo cicho, po czym, jak we wspomnieniu z odległego snu, dotknął ustami jej włosów i wyszeptał: - Kocham cię.

Byli sobie obcy, połączyły ich jednak wyznania najskrytszych uczuć, Charles i wspomnienie przeszłości.

`tc

Rozdział trzydziesty szósty

`tc

Ich miłość była z tych, jakie zdarzają się tylko w książkach albo filmach: spotkali się, zakochali w sobie i żyli jakby w zawieszeniu pomiędzy dwoma światami. Edwina odkryła doznania, których nigdy nie było dane jej doświadczyć, a jeżeli nawet ongiś je

przeżywała, przez ostatnie jedenaście lat zdążyła o nich zapomnieć. Rozmawiali, śmiali się, odbywali długie spacery, aż przyszła chwila, gdy pozbyła się paraliżującego strachu, że statek może w każdej chwili zatonać. Na ćwiczeniach z łodziami ratunkowymi Patrick, mimo że przypisany do innego stanowiska, za zgodą oficera dołączył do niej. Obserwujący ich pasażerowie życzliwymi uśmiechami i pełnymi podziwu spojrzeniami wyrażali aprobatę dla ich związku. Zakochani starali się wyszukiwać miejsca zaciszne i odosobnione, aby swobodnie gawędzić, czule trzymając się za ręce. Od dawna obojgu brakowało chwil tkliwej czułości, a choć Edwina przypuszczała, że od czasu do czasu Patrick miał intymne kontakty z kobietami, wierzyła, że odkąd się ożenił, nikogo nie pokochał.

- Jaka byłaś w dzieciństwie? - wypytywał, chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o niej.

- Nie wiem - odpowiedziała i radośnie się uśmiechnęła. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek się nad tym zastanawiała. Chyba byłam szczęśliwa i dopóki "oni" nie umarli, wiedliśmy całkiem zwyczajne życie. Przedtem chodziłam do szkoły, walczyłam z Filipem o zabawki... Bardzo lubiłam pomagać mamie w ogrodzie... I zaraz po jej śmierci - przypomniała sobie - gdy wróciliśmy do domu, zwykle właśnie tam z nią rozmawiałam, jak przycinałam róże i plewiłam chwasty. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak postąpiła, i czasami byłam na nią zła. Chciałam wiedzieć, czemu została z nim, a nas porzuciła.

- I co? Znalazłaś odpowiedź? - zapytał.

Edwina potrząsnęła głową.

- Nie, ale te rozmowy przynosiły mi ulgę.

- Pewno tak właśnie należało zrobić. A wiesz? Jak mam wolny czas, też lubię popracować w ogrodzie, chociaż nie uważa się tego za męskie zajęcie...

Rozmawiali o wszystkim: o przyjaciółach z dzieciństwa, o ulubionych sportach i o pisarzach, którzy najbardziej ich zajmowali. Patrick był zwolennikiem poważnej klasyki, Edwina wolała modnych autorów, takich jak F. Scott Fitzgerald i John Dos Passos. Obydwoje lubili poezję, zachody słońca, światło księżyca i tańce. Ze łzami wzruszenia Edwina wyznała, że jest niezmiernie dumna z George'a i jego sukcesów zawodowych i że bardzo lubi Helen. Opowiedziała nawet o podarowanym bratowej welonie, który miała włożyć w dniu ślubu z Charlesem. Patrick, chociaż opanowany, wzruszył się do łez.

- Jaka szkoda, że nie możesz go włożyć dla mnie!...

- Ja też żałuję - szepnęła, ocierając mu łzę z policzka.

Następnego wieczoru po tym, jak się poznali, poszli potańczyć. Edwina nie bardzo chciała, nie miała bowiem stosownej sukni, lecz Patrickowi udało się jakimś cudem nakłonić stewardesę, by znalazła dla niej odpowiedni strój. Sukienka miała metkę Chanel i leżała, jakby była uszyta na miarę. Przez cały czas Edwina się obawiała, że któraś z pasażerek zerwie ją z niej, na szczęście nic takiego nie nastąpiło, tak że cudownie się bawili w salonie pierwszej klasy. Edwina już dawno nie spędziła równie udanego wieczoru.

Statek wprawdzie nie zatonął, jednakże stanowczo za szybko dotarł do celu. Wydawało im się, że podróż do Cherbourga, a potem do Southampton, trwała jedną chwilę.

- Co teraz będzie? - spytała żałośnie Edwina.

Zastanawiali się nad tym ze sto razy: ona wciąż na nowo wyobrażała sobie rozstanie, lecz gdy do niego doszło, nie mogła się zdecydować. Patrick jeszcze raz przypomniał jej plan, który już omawiali:

- Odnajdziesz w Londynie Alexis, potem zjemy lunch, żeby to uczcić, i wrócisz do Kalifornii, by zacząć życie na nowo: znajdziesz szczęście wychodząc za jakiegoś miłego dżentelmena.

Kiedy to mówił, aż się zachnęła.

- A jak to sobie wyobrazasz? Mam dać ogłoszenie do gazety, że szukam męża?

- Nie, po prostu przestaniesz wyglądać jak wdowa w żałobie i wyjdiesz między ludzi. Wystarczy kwadrans, a przynajmniej tuzin mężczyzn będzie leżało u twych stóp. Zapamiętaj moje słowa.

- Bzdura - powiedziała. Wcale jej nie zależało, by przepowiednia Patricka się spełniła. Pragnęła tylko jego.

Już dawno wyznała mu, jaki jest cel jej podróży do Londynu. Zareagował gwałtownie, gdy opisała mu uwodziciela, i natychmiast zaproponował pomoc w odnalezieniu siostry. Wiedział o kilku podrzędnych hotelikach, w których zwykle zatrzymywali się aktorzy, postanowili je więc w pierwszym rzędzie przeczesać. Przypuszczał, że odnalezienie uciekinierów nie będzie nastroczało trudności.

Tego dnia wybierał się do biura załatwić kilka spraw, a późnym popołudniem mieli się spotkać i rozpocząć poszukiwania. Edwina nie zapomniała o swoim zadaniu, jakim było odnalezienie Alexis, z Patrickiem jednak niechętnie się rozstawała nawet na krótką chwilę.

Przez ostatnie trzy dni na statku byli prawie nierozłączni, toteż przykra jej była perspektywa spędzenia bez niego choćby kilku godzin. Podczas rejsu tylko nocami nie byli razem. Za dnia całowali się i pieścili, Patrick wszakże nie chciał wykorzystać Edwiny, która co prawda przyznawała mu rację, ale w głębi serca żałowała, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Czuła się nieswojo na myśl, że jej siedemnastoletnia siostra miała romantyczną przygodę, ona zaś wróci do Stanów jako stara panna-dziewica. Uśmiechnęła się do swych nieskromnych myśli, a Patrick, nie znający przyczyny iskierek migoczących w jej oczach, zapytał:

- Co tam knujesz, niegrzeczna dziewczynko?

- Uświadomiłam sobie, jak dziwnie życie się plecie: Alexis ma romans z tym pasożytem, a ja jestem wciąż taka roztropna. Zupełnie mi ten scenariusz nie odpowiada!

Zaśmiali się oboje, świadomi, że gdyby postanowili inaczej, pewnie dawno tak by się stało. Uznali jednak, że nie chcą, aby to, co ich spotkało, przerodziło się w pospolity romans. Swoją przygodę uważali za przeżycie szczególne i cenne.

Razem wsiedli do pociągu jadącego do Londynu. Kiedy zajęli miejsca w przedziale, Patrick oświadczył, że Philippa nie wie o jego powrocie i prawdę mówiąc niewiele ją to obchodzi. Zapewne nie będzie jej w domu, bo prawdopodobnie przebywa w Szkocji na zawodach hippicznych.

Jeszcze przed południem Patrick ulokował Edwinę w hotelu Claridge obiecując, że przyjdzie po nią o piątej. Bez chwili zwłoki udała się do telegrafu i wysłała rodzeństwu wiadomość, że szczęśliwie dotarła do Londynu i gdzie się zatrzymała. Poprosiła, by powiadomili ją, jeżeli Alexis się odezwie. Miała nadzieję, że w domu wszystko jest w porządku, i spodziewała się nazajutrz depeszy z San Francisco.

Potem poszła do Harrodsa. Jeszcze nigdy nie kupiła tak wielu sukienek w tak krótkim czasie. Następnie odwiedziła salon fryzjerski nie opodal sklepu z odzieżą, po czym świeżo uczesana, obładowana pudłami na kapelusze i strojami, pojechała taksówką do hotelu. Gdy o piątej zjawił się Patrick, czekała na niego elegancka i uśmiechnięta, nie kryjąc, że jest uszczęśliwiona jego powrotem.

- Dobry Boże! - uśmiechnął się szeroko na jej widok. - Co porabiałaś przez całe popołudnie?

On także nie próżnował. Wręczył jej w prezencie cenny egzemplarz poezji Elizabeth

Barret Browning, po czym wyjął z kieszeni niewielkie etui. Gdyby Edwina lepiej znała londyńskie sklepy, poznałaby, że pochodzi ono od Wartskiego. Aż westchnęła z wrazenia i trochę wzbraniała się, by je otworzyć, a gdy w końcu to uczyniła, długą chwilę stała w milczeniu patrząc na otrzymane cacko. Była to wąska bransoletka z brylantami, o której legenda głosiła, że królowa Wiktorja otrzymała ją w prezencie od księcia Alberta. Takie rarytasy nieczęsto pojawiały się w sprzedaży, ale specjalnym klientom czasami je oferowano. Patrick wybrał ten właśnie klejnocik, ponieważ pragnął, aby jego ukochana mogła go nosić również na co dzień. Wkładając bransoletkę na rękę Edwina wiedziała, że nieczęsto będzie ją zdejmować, a ilekroć na nią spojrzy, wspomni Patricka.

Patrick przyniósł także butelkę szampana, lecz po jednym kieliszku zdecydowali, że czas wyruszyć na poszukiwanie Alexis. Zadanie to ułatwić im miał wynajęty samochód z kierowcą.

Zaczęli systematycznie przeszukiwać hotele w Soho. O ósmej wieczorem postanowili sprawdzić jeszcze jeden i na nim zakończyć poszukiwania. Jak gdzie indziej Edwina pokazała recepcjoniście fotografię siostry, Patrick zaś wsunął mu banknot pięćofuntowy.

- Czy widział pan tę pannę? - zapytała. - Podróżuje z wysokim przystojnym mężczyzną pod pięćdziesiątkę nazwiskiem Malcolm Stone.

Recepcjonista popatrzył na Edwinę, przeniósł wzrok na Patricka i wreszcie skinął potakująco głową.

- Tak, zatrzymali się tu. Co ona zrobiła? Czy coś państwu ukradła? To Amerykanie.

Najwyraźniej nie zauważył akcentu Edwiny, a ponieważ pieniądze otrzymał od Patricka, zwracał się do niego.

- Czy są w pokoju? - zapytał Patrick recepcjonistę.

- Akurat wczoraj wyjechali. Zatrzymali się tylko na kilka dni. Jeżeli pan sobie życzy, mogę sprawdzić dokładnie. To piękna dziewczyna o wspaniałych blond włosach.

Edwinie mocno zabiło serce. Teraz, gdy po przebyciu dalekiej drogi wpadła na trop Alexis, niemal żałowała, że odnalazła ją tak szybko. Oznaczało to, że będzie musiała wrócić do San Francisco i opuścić Patricka.

- Pojechali do Paryża na kilka dni, przynajmniej on tak powiedział. Zwolnili pokój na dwa tygodnie, ale obiecali, że wrócą. I na pewno się zjawią, bo zostawili u nas walizkę.

Patrick spojrział na Edwinę, a gdy skinęła głową, wsunął recepcjoniście następny banknot i poprosił, by pokazano im walizkę. Okazało się, że jest pełna męskich ubrań, na samym wierzchu jednak leżał biały kostium, ten sam, który Alexis miała na sobie, gdy opuszczała Los Angeles. Znaleźli w niej też damski kapelusz i choć był mocno sfatygowany, Edwina natychmiast go poznała.

- To jej kapelusz! - W oczach załśniły Edwinie łzy, gdy go dotykała zastanawiając się, co przeżyła jej siostra, odkąd uciekła. - Miała go na sobie tego dnia, gdy zniknęła nazajutrz po weselu George'a.

Edwinie zdawało się, że od tamtego czasu upłynęły całe wieki, i w pewnym sensie tak właśnie było. Minęły dwa tygodnie, które musiały zmienić życie Alexis. Spojrzawszy na swego towarzysza, Edwina pojęła, że myślą o tym samym.

- Co byś jeszcze chciała wiedzieć? - zapytał Patrick łagodnie, gdy recepcjonista wrócił za kontuar, by odebrać telefon.

- Sama nie wiem. Skoro zapowiedział, że nie będzie ich dwa tygodnie...

- Może pójdziemy na kolację i zastanowimy się, co dalej?

Z wdzięcznością przyjęła jego propozycję. Zanim wyszli, recepcjonista zapytał, czy ma powiedzieć państwu Stone, że mieli gości.

- Nie. Proszę nic nie mówić - pospiesznie odpowiedziała Edwina i kolejny banknot zmienił właściciela.

Wrócili do Claridge'a na kolację, później poszli do pokoju Edwiny. Patrick zapytał, czy chce jechać za siostrą do Paryża. Doszła do wniosku, że dalsze ściganie Alexis nie ma sensu, nie wiadomo bowiem, gdzie się zatrzymali, a walizka stanowiła rękojmię ich powrotu do Londynu.

- Myślę, że po prostu na nich zaczekam - odrzekła uświadamiając sobie, że oto ma przed sobą dwa tygodnie i spędzi je z Patrickiem.

- Czy chciałabyś zrobić coś szczególnego? - zapytał Patrick.

Owszem, Edwinie skonkretyzowały się plany, na razie jednak nie zamierzała o nich mówić.

- Właściwie nie - odparła z uśmiechem, wobec czego Patrick przedstawił jej swój pomysł. Otóż od lat marzył o podróży do Irlandii, do miejsca, za którym bardzo tęsknił. Nie był tam od dzieciństwa. Zakątek ten wydawał mu się najromantyczniejszym na świecie, a

gdy opowiedział o nim Edwinie przy kolacji, zapaliła się do wyjazdu.

- A będziesz mógł teraz wyjechać? - zapytała ostrożnie.

Uśmiechnął się łobuzersko, czując się jak wyrostek planujący zakazaną wyprawę. Edwina sprawiła, że odmłodził i był szczęśliwy, a ona patrząc na niego zrozumiała, czego jej brakowało w ciągu minionych lat. Wyjazd z Patrickiem zapowiadał się niezwykle romantycznie.

- Jedźmy tam, Edwino - szepnął jej do ucha, nachyliwszy się, aby ją pocałować.

Postanowili zatem wyruszyć w podróż do krainy dzieciństwa Patricka.

Następnego ranka Edwina zadzwoniła do Fannie i Teddy'ego z informacją, że czeka, aż Alexis wróci do Londynu, po czym całą uwagę poświęciła Patrickowi.

Pociągiem pojechali na wybrzeże, promem przeprawili się przez Morze Irlandzkie, potem wynajętym samochodem dotarli do Rock of Cashel. Znaleźli się tam tuż przed zachodem słońca. Rozległe ponure uroczysko, z rozciągającymi się w tle polami jałowca i wrzosu, robiło imponujące wrażenie. Edwina odnosiła wrażenie, że nawet o tej porze roku zieleńszego miejsca nie widziała.

Długo spacerowali w blasku słońca chylącego się na niebie, w końcu przystanęli objęci i Patrick delikatnie pocałował ją w usta.

- Jakże daleką drogę przebyłaś, żeby się ze mną spotkać - powiedział, gdy słońce zapadało za jeziorem, od którego powiało wieczornym chłodem.

- Tak widać było mi pisane - odparła cicho.

- Pewnie tak - rzekł z lekkim irlandzkim akcentem, z jakim mówiono w hrabstwie Tipperary, po czym normalnym, głosem dodał: - Na zawsze zapamiętam ten dzień, Edwino, a jak będę umierał, wspomnę tę właśnie chwilę. - Znów ją pocałował, tym razem namiętniej.

Powoli wracali do hotelu. Gdy weszli do pokoju, Edwina wiedziała, że takie jest przeznaczenie, że dla tej chwili i dla niego została stworzona. Nie oponowała, gdy Patrick wynajmował dla nich wspólny pokój. Pozostało im niewiele czasu dla siebie, musieli więc nadrobić czas utracony. Czekały ich wspólne doznania, wiele niewysłowionej rozkoszy.

Kiedy Patrick rozbierał ją delikatnie, a później niósł na łóżko, wiedziała, że mają sobie wiele do zaoferowania.

Do świtu leżeli spleceni w miłosnym uścisku. Dla Edwiny te chwile rozkoszy były

nocą poślubną, tą jedyną, która była jej pisana, nocą, którą ongiś miała dzielić z Charlesem. Pełne uniesień bezcenne dwa tygodnie spędzone z Patrickiem miały jej wystarczyć na całe życie.

`tc

Rozdział trzydziesty siódmy

`tc

Czas upływał niepostrzeżenie, gdy Patrick i Edwina wędrowali wśród wzgórz, wiosłowali po niewielkim jezioru, zrywali polne kwiaty. Robili mnóstwo zdjęć, jakby chcieli zatrzymać na kliszy ulotne chwile. Noce mijały im na miłosnych uniesieniach. Ich szczęście nie trwało jednak długo.

Wracali do Londynu pogrążeni w milczeniu pragnąc, by droga trwała w nieskończoność. Udało im się przedłużyć pobyt w Irlandii o dwa dni, ale rzeczywistość była nieubłagana - musieli wracać, by odszukać Alexis. Edwina czuła się odrobinę nieswojo, teraz bowiem miała powody przypuszczać, że siostra nie chce, aby ją odnaleziono. W liście, który zostawiła w Nowym Jorku, Alexis wielokrotnie powtarzała, że wyszła za mąż. Czytając te słowa Edwina chwilami jej zazdrościła, ponieważ odnosiła wrażenie, że jej siostra osiągnęła to, czego ona pragnęła. Chociaż trudno jej było sobie wyobrazić, że Malcolm Stone jest miłym mężczyzną, nie wykluczała, iż Alexis naprawdę go kocha.

Edwina wciąż nie wiedziała, co powie George'owi po powrocie do domu, jeśli będzie musiała mu wyjawiać postępek siostry. Tymczasem jednak nie myślała ani o Alexis, ani o George'u, jej myślami całkowicie zawładnął Patrick. Wsunęła dłoń w rękę ukochanego i zapragnęła, by mieli przed sobą długie i szczęśliwe życie, ale rozumiała równocześnie, że jej marzenia nigdy się nie spełnią. Wy tłumaczył jej to zaraz na początku znajomości, pogodziła się więc z myślą, że wróci do Stanów i będzie żyła jak dotąd. Na krótko wszakże przeniosła się w świat wyimaginowany i wiedziała, że oboje zachowają w pamięci swoje przeżycia jako coś drogiego i wyjątkowego.

Kiedy szli do hotelu, gdzie mieszkała Alexis, na ręce Edwiny lśniła brylantowa bransoletka - pamiątka wspólnych dni i miłości, która ich połączyła.

Tym razem Patrick zapytał wprost o Malcolma Stone'a. Inny niż poprzednio recepcjonista powiadomił go, że państwo Stone są u siebie. Patrick wsunął mu banknot prosząc, by nie dzwonił na górę.

- Chcesz iść ze mną czy najpierw mam porozmawiać z nim sam? - zwrócił się do Edwiny.

- Lepiej pójdę z tobą, bo Alexis może się wystraszyć - szepnęła, aczkolwiek nie potrafiła sobie wyobrazić, co by mogło przerazić Alexis po przejściach ostatnich czterech tygodni. Od jej ucieczki z Malcolmem Stone'em upłynął miesiąc, za dwa tygodnie George wraca do domu! Jeżeli wszystko ma pozostać w tajemnicy, musi jak najszybciej sprowadzić siostrę do San Francisco.

Edwinie drżały ręce, gdy czekała, aż Patrick zastuka w drzwi, które im wskazano. Nie wiedzieli, co zastaną wewnątrz, toteż Patrick uśmiechnął się, by dodać Edwinie otuchy, i energicznie zapukał. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki przystojny mężczyzna, bez butów, za to z cygarem w zębach i butelką whisky w ręce. Zza jego ramienia wyglądała śliczna młoda dziewczyna w atlasowej koszulce. Dopiero po chwili Edwina się zorientowała, że to jej siostra. Długie blond włosy Alexis zostały ostrzyżone i poddane ondulacji, jej twarz pokrywała gruba warstwa białego pudru, oczy miała mocno podkreślone czarną kredką, usta uszminowane na jaskrawy kolor. Ale nawet poprzez tę maskę Patrick dostrzegł, że Edwina miała rację - ta dziewczyna była piękną.

Na ich widok Alexis wybuchnęła płaczem, Stone natomiast skłonił się nisko i zaprosił gości do środka, wyraźnie rozbawiony tym, że dziewczyna siostra ukochanej przyprowadziła na odsiecz rycerza.

- No, no, kto by pomyślał. Rodzinna wizyta. - Rozgrzany irlandzką whisky, patrzył na Edwinę drwiąco. - Nie spodziewałem się, że będzie pani tak miła i odwiedzi nas w Londynie, panno Winfield.

Niewiele brakowało, a Patrick postąpiłby tak samo jak George w Rosita Beach przed kilkoma miesiącami, opanował się jednak w porę i puścił mimo uszu szyderczą uwagę.

Edwina spojrzała z powagą na siostrę. Patrick zauważył, że jej łagodność gdzieś uleciała. Niespodziewanie stała się stanowcza i wyniosła.

- Alexis, proszę grzecznie spakować rzeczy - powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu, po czym pełen pogardy wzrok zwróciła na Stone'a. Cuchnęło od niego

alkoholem i tanim tytoniem. Przeszedł ją dreszcz, gdy sobie uzmysłowiła, jak niskie życie musiała wieść z nim jej siostra. Odkąd weszli z Patrickiem do środka, Alexis ani drgnęła.

- Chce pani zabrać moją żonę? - zapytał drwiąco Malcolm.

- Pańska "żona" przypadkiem ma zaledwie siedemnaście lat i jeżeli nie chce pan odpowiadać za kidnaping i gwałt, proszę pozwolić jej wrócić ze mną, panie Stone - odparła chłodno Edwina.

- To nie Kalifornia, panno Winfield, tylko Anglia, a Alexis jest moją żoną. Nie ma pani nic do gadania.

Edwina popatrzyła na niego jak na powietrze i zwróciła się wprost do siostry.

- Idziesz, Alexis?

- A muszę, Edwino? Ja go kocham...

Słowa te uderzyły Edwinę jak obuchem. Patrick to wyczuł, niczego bowiem po sobie nie dała poznać. Jego podziw dla niej rósł z każdą chwilą. Jakże wspaniale radziła sobie z tym najwyraźniej zepsutym dzieckiem! I nie gorzej z tym obrzydliwym rozpustnikiem.

Choć Edwina była niezwykle zdenerwowana, nie traciła panowania nad sobą.

- I co? Tak zamierzasz żyć? - zapytała łagodnie. Zdążyła się rozejrzeć po pokoju i nic nie umknęło jej uwadze: zobaczyła otwarte drzwi toalety, ubrania leżące w nieładzie na podłodze, puste butelki po whisky, porozrzucane na stole niedopałki cygar... Na końcu zatrzymała wzrok na Malcolmie. - Czy właśnie tego pragnęłaś? - spytała z wyrzutem. Jej słowa zawstydziłyby każdego, zawstydziły więc także siedemnastoletnią dziewczynę. Edwina mówiła takim tonem, że nawet Patrick poczuł się nieswojo, nie mówiąc już o Stonie, który z trudem krył zmieszanie. - Tak ma wyglądać spełnienie twoich marzeń, Alexis? A co z resztą? Gdzie się podziała gwiazda filmowa, jej wysniony dom?... Gdzie ta miłość, którą była otoczona? W kogoś ty się zmieniła?

Alexis odwróciła głowę i cicho zapłakała. Edwinie zrobiło się żal siostry, której sprawiła przykrość. Przecież ona nie przypadkiem uciekła z domu w dzień po ślubie starszego brata! Szukała ojca, którego George jej zastępował i którego właśnie wtedy utraciła. Podobnie wcześniej chciała uciec po wyjeździe Filipa do Harvardu. Alexis potrzebowała po prostu opieki mężczyzny - jakiegokolwiek. Nie kochanka albo męża, szukała bowiem miłości ojcowskiej. Świadoma tego Edwina, patrząc na siostrę, bliska była łez.

- Edwino... - Alexis rozszlochała się na dobre. - Tak mi przykro...

Sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. Sądziła, że będzie cudownie i zabawnie uciec z Malcolmem, szybko jednak uświadomiła sobie prawdę. On przecież wykorzystywał ją tylko w każdy możliwy sposób. Życie z nim stało się przygnębiające i smutne. Nawet Paryż okazał się ponury, Malcolm bowiem był na okrągło pijany. Nie raz wychodził z innymi kobietami, ale wtedy wiedziała przynajmniej, że ją zostawi w spokoju. Czowała do niego niechęć, mimo to w głębi ducha pragnęła, aby ją kochał. Kiedy mówił do niej: "dziecino", gotowa była zrobić dlań wszystko, o czym Stone, niestety, świetnie wiedział.

- Ubieraj się - powiedziała spokojnie Edwina. Patrick obserwował tę scenę pełen podziwu dla niej.

- Panno Winfield, nie może pani zabrać mojej żony. - Stone postąpił krok w jej kierunku, przybierając groźną minę.

Edwina kątem oka dostrzegła, że Patrick zbliża się z odsieczą, lecz powstrzymała go ruchem dłoni. Przyszła jej do głowy pewna myśl. Nie miała zamiaru opuścić tego pokoju, dopóki nie pozna całej prawdy. Stone nie należał do mężczyzn skłonnych do ożenku z kimkolwiek, a już na pewno nie z siedemnastoletnim dziewczętakiem jak Alexis.

- Czy ma pan jakiś dowód na to, że ożenił się z moją siostrą? - zapytała uprzejmie. - Chyba pan nie sądzi, że uwierzę w to, nie widząc świadectwa ślubu. A przy okazji... - odwróciła się do siostry i z ulgą ujrzała, że Alexis się ubiera. Wkładała na siebie jakieś obrzydlistwo z czerwonego atłasu, na którego widok Edwinę aż przeszedł dreszcz wstrętu. Tyle dobrze, że w ogóle w coś się przyodziewała! - A przy okazji, Alexis, jak ci się udało dostać do Anglii i Francji bez paszportu? Może wyrobiłaś go sobie w Nowym Jorku? - Edwina mówiła tonem wymagającym natychmiastowej odpowiedzi.

- Malcolm mówił zawsze, że zgubiłam paszport. Na statkach tak chorowałam, że nie chcieli mnie męczyć.

- Chorowałaś na statku? - zapytała Edwina ze współczuciem. Wyobraziła sobie, jak straszna musiała być ta podróż dla Alexis, i zdziwiła się, że siostra w ogóle się na nią zdecydowała.

- Na "Bremenie" przez całą podróż trzymali mnie na środkach uspokajających - odparła niewinnie, wkładając buty.

- Na środkach uspokajających? - Edwina uniosła brwi i popatrzyła na Malcolma. - I jak zamierza pan zawieźć ją do Stanów, panie Stone?... Środki uspokajające, porwanie, gwałt... A wszystko na siedemnastoletniej dziewczynie... na nieletniej!... To zabrzmiało w sądzie nad wyraz interesująco.

- Czyżby? - Stone powoli otrząsał się z oszołomienia. - Naprawdę uważa pani, że wasz brat i jego luksusowa hollywoodzka żona będą chcieli, żeby wiadomość o przygodzie jego siostry stała się publiczną tajemnicą? Co będzie z jej reputacją?... O, nie, panno Winfield, ani on nie pójdzie do sądu, ani pani, ani sama Alexis. Wasz brat, a mój szwagier da mi pracę, ot co! A jeśli nie, to może po prostu jakąś okrągłą sumkę - powiedział i roześmiał się szyderczo.

Edwina z przerażeniem spojrzała na siostrę. Alexis płakała, ze wstydem słuchając słów człowieka, z którym nieopatrznie uciekła. Przez cały czas podejrzewała, że Malcolm jej nie kocha, teraz zaś, usłyszawszy, co powiedział, nie mogła dłużej udawać.

- Alexis, wyszłaś za niego? - Edwina spojrzała jej prosto w oczy. - Powiedz, jak było. Muszę to wiedzieć! Znasz już prawdę o panu Stonie, więc mów otwarcie - nalegała.

Ku uldze Edwiny i Patricka zapłakana Alexis pokręciła głową. Malcolm zaklął, wściekły, że zwlekał ze ślubem. Ale skąd mógł wiedzieć, że przyjadą po nią aż do Anglii!

- Najpierw powiedział, że wzięliśmy ślub, tylko byłem zbyt pijana, żeby to zapamiętać, a potem przyznał, że jeszcze nie. Mieliśmy

pobrać się w Paryżu, ale on był bez przerwy pijany. - Alexis płakała, Edwina zaś śmiała się radośnie, spoglądając triumfująco na Patricka.

- Nie możecie jej zabrać - nie dawał za wygraną Stone. - Według prawa zwyczajowego Alexis jest moją żoną. Nie pozwolę, żebyście mi ją zabrali!... - I po chwili dodał z nadzieją, widząc, że rozwiewają się jego nadzieje na beztrudne życie: - Niewykluczone, że jest w ciąży.

- Nie jestem - natychmiast oświadczyła Alexis ku uldze Edwiny. Przynajmniej tego mogła być pewna! Podeszła do siostry i ze smutkiem spojrzała na Malcolma. - Nigdy mnie nie kochałeś prawda? Nigdy nie byłem twoją małą dziewczynką...

- Ależ tak. - Był zmieszany, słuchając wyrzutów w obecności Edwiny i Patricka. Z uczuciem popatrzył na Alexis. - Wiesz, jeszcze moglibyśmy się pobrać, nie musisz z nimi iść. Chyba że chcesz.

Edwina wszakże wzięła sprawy w swoje ręce.

- Jeżeli będę musiała, zabiorę ją siłą - powiedziała zdecydowanie.

- Tego nie może pani zrobić. - Oburzony Malcolm postąpił krok do przodu. - A to kto? - zapytał, jakby dopiero teraz ujrzał Patricka.

Edwina chciała mu odpowiedzieć, ale przyjaciel ją uprzedził. Popatrzawszy groźnie na Malcolma oświadczył:

- Jestem sędzią. Jeżeli będzie pan dalej przetrzymywał to dziecko, aresztujemy pana i postaramy się o deportację.

Na te słowa Stone wyraźnie stracił pewność siebie. W milczeniu patrzył, jak Patrick otwiera drzwi, a Edwina wyprowadza Alexis, która obejrzała się, zanim wyszła bez słowa. Po chwili byli na dole. Koszmar się skończył.

Edwina dziękowała Bogu, że Alexis nie wzięła z Malcolmem ślubu. Teraz chciała jak najszybciej odwieźć ją do San Francisco, by nikt się nie połapał, co się wydarzyło. A z karierą filmową, postanowiła, Alexis może się na zawsze pożegnać! Edwina przyrzekła sobie, że odtąd jej siostra będzie siedzieć w domu z Fannie, ucząc się pieczenia chleba i ciastek. Najsmutniejsze było jednak to, że choć tyle miłości okazywała jej przez wszystkie te lata, Alexis to nie wystarczało i sprzedała się pierwszemu mężczyźnie, w którym dostrzegła namiastkę ojca.

Tego wieczoru, gdy Alexis spała już w hotelowym łóżku, Edwina długo rozmawiała z Patrickiem o nieszczęśliwym dzieciństwie siostry pozbawionej ojcowskiego uczucia i o tym, jak później wręcz obsesyjnie poszukiwała go u innych mężczyzn. Wcześniej Alexis histerycznie przepraszała Edwinę, błagając ją o wybaczenie. Ale ona wybaczyła siostrze już dawno, kiedy ujrzała ją w pokoju podrzędnego hoteliku ze Stone'em. Teraz utuliła Alexis w ramionach, obydwie sobie popłakały i w końcu dziewczyna usnęła, a Edwina mogła przejść do saloniku, by nareszcie spokojnie porozmawiać z Patrickiem.

- Jak ona się czuje? - zapytał zaniepokojony. Mieli za sobą wyczerpujący wieczór, choć poszło im łatwiej, niż się spodziewali. Alexis była cała i zdrowa, ze Stone'em zaś uporali się zaskakująco gładko.

- Dzięki Bogu zasnęła - odparła Edwina opadając na krzesło. - Co za dzień! - westchnęła.

Patrick podał jej kieliszek szampana.

- Co za typ! Myślisz, że będzie was jeszcze nachodził? - zapytał.

Edwina też się nad tym zastanawiała, na razie jednak musiała się zdać na bieg wydarzeń. W najgorszym razie postanowiła powiedzieć o wszystkim George'owi i prosić o dopilnowanie, aby Stone znalazł się w Hollywood na czarnej liście.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Dotąd nie przejawiał zbytnej bojowości. Na szczęście był też za leniwy, żeby się z nią ożenić

- odrzekła. - Gdyby do tego doszło, moglibyśmy unieważnić ślub, ale nie obesłoby się bez rozgłosu i na pewno sprawa trafiłaby do gazet.

- A co zrobisz teraz? - chciał wiedzieć Patrick.

- Przy odrobinie szczęścia przemycimy ją do kraju i nikt się o niczym nie dowie. Sądzisz, że mogłabym w Londynie wyrobić dla niej paszport?

- Jutro zapytam w ambasadzie.

Znał dobrze konsula amerykańskiego, liczył zatem, że uda mu się załatwić dla Alexis dokumenty i uniknąć kłopotliwych pytań. Ostatecznie tak jak przedtem Malcolm Stone, Alexis mogła mówić, że zgubiła dokumenty podróżując z siostrą.

- Czy mógłbyś coś jeszcze dla mnie zrobić? - Edwina chciała poprosić Patricka o te przysługę, odkąd się dowiedziała, że Charles był jego kuzynem. - Pozdrów ode mnie lady Fitzgerald. Jest już damą w podeszłym wieku. Gdyby chciała, mogłabym się z nią spotkać.

Patrick chwilę milczał, wreszcie skinął głową.

- Muszę się z nią pożegnać - dodała cicho Edwina. - Dotąd nie miałam okazji - wyjaśniła, nie dodając, że pragnie zarazem przy pomocy Patricka pożegnać na zawsze cień Charlesa, który przez te lata nie odstępował jej na krok.

- Zadzwoń do niej jutro - obiecał Patrick. Ociągał się z odejściem, wreszcie jednak pocałował ją na pożegnanie. - Zobaczymy się rano.

- Kocham cię - szepnęła, a on przytulił ją mocno.

- Ja też cię kocham.

Niestety, oboje wiedzieli, że zbliża się chwila rozstania. Chcąc utrzymać w tajemnicy eskapadę siostry, Edwina musiała wracać natychmiast. Wciąż jednak nie mogła pogodzić się z myślą o nieuchronnie nadchodzącej rozłące.

`tc

Rozdział trzydziesty ósmy

`tc

Następnego ranka Alexis okropnie się wystraszyła na widok Patricka. Otworzyła mu drzwi i zaraz pobiegła po Edwinę.

- Ten sędzia przyszedł! - szepnęła rozgorączkowana.

Edwina, nie rozumiawszy, o kogo chodzi, poszła do drzwi, a ujrzawszy Patricka, wybuchnęła śmiechem.

- To nie sędzia - chichocząc wyjaśniła siostrze - to Patrick Sparks-Kelly, mój przyjaciel. Jest kuzynem Charlesa-dodała czując, że powinna wyjaśnić siostrze, skąd zna go tak dobrze.

- A ja myślałam... mówiłaś...

Bez makijażu, z wyszczotkowanymi i ułożonymi w prostą fryzurę włosami Alexis znów wyglądała jak dziecko. Uśmiechnęła się, jak dawniej ufna i śliczna, gdy Edwina wytłumaczyła jej, że Patrick udawał sędziego, by nastraszyć Malcolma.

- Na wypadek gdyby twój przyjaciel stwarzał jakieś trudności - dodał Patrick, po czym oznajmił Edwinie, że ma odebrać paszport siostry w ambasadzie przy Grosvenor Gardens pod numerem

czwartym, ciszej zaś powiedział, iż lady Fitzgerald oczekuje ich o jedenastej.

- Zaskoczyła ją wiadomość ode mnie? - zaniepokoiła się Edwina. Obliczyła sobie, że starsza pani ma już dobrze po siedemdziesiątce.

Patrick pokręcił głową.

- Chyba bardziej zdziwiła się tym, że się znamy.

- Jak jej to wytłumaczyłeś? - Edwina spojrzała nań z obawą. Musieli ukrywać swoje uczucie, nawet przed Alexis!

- Powiedziałem, że spotkaliśmy się na statku - uśmiechnął się. - Przypadkiem... i na szczęście dla mnie.

- Nie boisz się, że moja wizyta może ją zdenerwować? - zapytała z troską.

- Na pewno nie. Myślę, że już dawno pogodziła się ze śmiercią syna, o wiele wcześniej niż ty.

Istotnie, na spotkaniu Edwina przekonała się, że Patrick miał słuszość. Lady

Fitzgerald powitała ją serdecznie, potem usiadły w fotelach i długo rozmawiały. W tym czasie Patrick i Alexis spacerowali po wypiełgnowanym ogrodzie.

- Zawsze miałam nadzieję, że któregoś dnia wyjdiesz za mąż, Edwino - rzekła ze smutkiem matka Charlesa i przyjrzała jej się uważnie. Pomyślała, że ta niegdyś młoda i śliczna dziewczyna jest obecnie piękną kobietą. Jej zdaniem Edwina zmarnowała życie. -Mając pod opieką gromadkę dzieci, pewno nie miałaś okazji poznać odpowiedniego kawalera. Jakie to straszne, że twoi rodzice utonęli!... Potworne... Tyle straconych istnień, tyle zmarnowanych nadziei tylko dlatego, że linie oceaniczne były lekkomyślne i nie zapewniły wystarczająco dużo łodzi ratunkowych. A kapitan z uporem maniaka utrzymywał dużą prędkość statku w okolicy, gdzie występują góry lodowe... Długo mnie to dręczyło, ale w końcu pojęłam, że taki los był nam pisany i że mój syn nie mógł się uratować. Takie było przeznaczenie. Dziękuj Bogu, kochanie, że żyjesz, i wykorzystaj każdą chwilę, jaką darował ci Stwórca.

Edwina uśmiechnęła się, powstrzymując łzy. Wspomniała chwilę, gdy w obecności Charlesa spotkały się po raz pierwszy, oraz welon ślubny, który lady Fitzgerald posłała do Stanów, gdy był gotowy, choć jej syna już dawno nie było wśród żyjących i Edwina nie miała go dla kogo włożyć. Jeszcze raz jej za to podziękowała.

- Czułam, że nie wolno mi go zatrzymać - wyjaśniła matka Charlesa. - I choć wiedziałam, że przypomnę ci straszne chwile, uważałam, że powinnaś go mieć.

- W zeszłym miesiącu dałam go mojej bratowej. Wyglądała na ślubie przepięknie - powiedziała Edwina i obiecała przysłać fotografie ze ślubu brata.

Lady Fitzgerald, która pochowała męża przed rokiem, uśmiechała się, choć wyglądała na zmęczoną rozmową. Zdrowie już jej niezbyt dopisywało, ale wizyta Edwiny bardzo ją ucieszyła.

- Twoja młodsza siostra jest śliczną panną, kochanie. Wygląda jak ty w jej wieku, tyle że ma o wiele jaśniejsze włosy.

- Tylko że ja chyba nie byłam równie lekkomyślna - zauważyła Edwina mile połączona komplementem.

- Ty nigdy nie byłaś lekkomyślna. Dowiodłaś w życiu wielkiego hartu ducha... Może teraz i ty znajdziesz swoje szczęście i kogoś, kto cię pokocha? Przez te wszystkie lata myślałaś tylko o moim synu, prawda? - Starsza pani wyczuła to od pierwszej chwili.

Edwina z oczami pełnymi łez skinęła głową. - Nadeszła pora, żeby zapomnieć - szepnęła lady Fitzgerald, serdecznie całując ją w policzek. W tym momencie Edwina dostrzegła jej uderzające podobieństwo do Charlesa i z największym trudem zdołała się opanować. - Gdziekolwiek Charles się teraz znajduje, jest szczęśliwszy, tak jak i twoi rodzice. Teraz twoja kolej na szczęście, Edwino. Oni by tego pragnęli. Wszyscy troje.

- Jestem zadowolona z życia - zaprotestowała Edwina, wycierając nos chusteczką Patricka i zastanowiła się, czy lady Fitzgerald poznała herb na niej wyszyty. Dama jednak była zbyt wiekowa, aby zwracać uwagę na takie drobiazgi. - Byłam szczęśliwa z dziećmi przez te wszystkie lata - podkreśliła z naciskiem.

- Ale już wystarczy - ofuknęła ją matka Charlesa - i dobrze o tym wiesz. Przyjedziesz jeszcze do Anglii? - zapytała.

Wstały i spacerem poszły w głąb ogrodu. Edwina poczuła w sobie pustkę, mimo to zadowolona była, że tu przyszła, i zrozumiała, że starsza dama ma rację. Rodzice i Charles na pewno by chcieli, aby los się do niej uśmiechnął. Dłużej nie wolno jej uciekać przed szczęściem. Nauczyła się tego od Patricka, ale przecież z nim też będzie musiała się pożegnać. Jakże więc ma osiągnąć szczęście, skoro jej życie w dalszym ciągu wypełniają bolesne rozstania?

Około południa pocałowała lady Fitzgerald na pożegnanie. Od dawna nie czuła się tak lekko i nie była taka szczęśliwa. Gdy przy lunchu z Patrickiem i Alexis rozmawiali o porannej wizycie, zgodzili się, że matka Charlesa jest przemiłą kobietą.

Patrick zabrał siostry na lunch do Ritza, potem w biurze armatora zarezerwowali dla Edwiny i Alexis miejsca na parowcu "Olympic", dwie sąsiednie kabiny w pierwszej klasie. Powiedziano im, że mają szczęście, gdyż statek wypływa następnego dnia i zdążyli nieomal w ostatniej chwili. Później poszli do ambasady odebrać paszport Alexis i wtedy Edwina poczuła nagły przyływ paniki na myśl o rozstaniu z Patrickiem. Wymieniali spojrzenia pełne żalu.

W ciągu kilku ostatnich tygodni Alexis niebywale wydołała. Rozumiała więcej niż poprzednio i tego ostatniego wieczora umyślnie zostawiła Patricka i Edwinę samych, wymawiając się zmęczeniem.

- Chyba nie chce się znowu wymknąć? - spytał zaniepokojony Patrick, gdy wychodzili na kolację do "Embassy Club", Edwina jednak zapewniła, że tym razem Alexis

otrzymała wystarczającą nauczkę.

Kolejny wieczór, który upłynął zbyt szybko! Wracali do hotelu, tej nocy wszakże nie mogli już spędzić razem. Edwina bardzo pragnęła Patricka, lecz obydwójce wiedzieli, że łatwiej będzie im pożegnać się już teraz niż następnego ranka.

- Jak ja mam się z tobą rozstać, Patricku? Przecież dopiero co cię znalazłam!... - Pożegnanie z Charlesem zabrało jej jedenaście lat, a teraz oto znowu jego kuzyn miał zniknąć z jej życia. - Pojedziesz z nami jutro do Southampton? - spytała.

Patrick ze smutkiem pokręcił głową.

- To by nas za wiele kosztowało. I mogłoby zdenerwować Alexis.

- Ona i tak chyba wie, co nas łączy.

- W takim razie obie jedziecie do domu z nieczystym sumieniem - zażartował i pocałował ją czule. Przeżyli piękną przygodę, która dobiegła końca i teraz oto Patrick, zgodnie z zapowiedzią, uwalniał Edwinę.

- Zobaczymy się jeszcze? - zapytała, gdy żegnał się z nią przed hotelem.

- Niewykluczone. Jeżeli ty przyjedziesz tutaj albo ja do Ameryki. Nigdy nie byłem w Kalifornii.

Edwina jednak nie wierzyła, by kiedykolwiek jeszcze się spotkali. Patrick przygotowywał ją na rozstanie od początku znajomości. Obydwójce mieli nawzajem uwolnić się z łączących ich więzów. Na przegubie dłoni czuła dotyk jego prezentu, który miała już zawsze nosić, tak samo jak zawsze miała nosić w sercu ślad jego miłości. Ale reszta zniknie, oddalą się szczęśliwe chwile, którymi obdarowywał ją przez dwa tygodnie, aby pomóc jej uwolnić się od ciężaru pamięci.

- Kocham cię - szepnęła, zanim się rozstali. - Kocham cię bardzo... Na wspomnienie o tobie będę się zawsze uśmiechała... I będę się uśmiechała, ilekroć pomyślę o Irlandii.

Wtedy pocałował ją po raz ostatni. Edwina rozplakała się, gdy nie oglądając się odjeżdżał swoim autem. Długą chwilę stała szlochając przed hotelem, w końcu otarła łzy i weszła do środka. Miłość do Patricka, od której chciała się uwolnić, podążyła za nią.

`tc

Rozdział trzydziesty dziewiąty

`tc

Nazajutrz o ósmej rano Edwina i Alexis wyjechały, tak jak przed laty, do Southampton, lecz tym razem tylko we dwie. Dwie siostry, dwie przyjaciółki, dwie kobiety, które przeżyły katastrofę. Milczały pogrążone w swoich myślach, spoglądając na krajobraz przesuwany się za oknem pociągu.

Na pokład "Olympica" weszły krótko przed odpłynięciem statku i od razu udały się do swoich kabin. Później Edwina zaskoczyła Alexis oświadczając, że idzie popatrzeć, jak odbijają od brzegu. Poszła sama, bo młodsza siostra nie miała ochoty opuszczać kabiny.

Edwina stała na pokładzie, gdy olbrzymi statek powoli oddalał się od nabrzeża. I wtedy go ujrzała! Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała: Patrick stał na brzegu machając jej ręką na pożegnanie. Zapłakana Edwina posłała mu całusa, potem dotknęła dłonią serca. Odwzajemnił ten gest. Później długo jeszcze widziała, jak niestrudzenie macha do niej ręką, aż wreszcie jego postać zamazała się i zniknęła. Edwina wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku ukochanego.

Po dłuższej chwili zeszła na dół, gdzie zastała Alexis pogrążoną we śnie. Podróż pociągiem okazała się wyczerpująca.

Tego dnia przeprowadzono ćwiczenia z łodziami ratunkowymi. Edwina, jak dawniej o Charlesie, teraz myślała tylko o Patricku, o ich spacerach po pokładzie, o rozmowach, o tym, jak dołączył do niej podczas ćwiczeń ratunkowych w czasie rejsu do Anglii, o nocy, gdy tańczyli po raz pierwszy - ona w pożyczonej sukience. Kiedy wspominała te chwile, uśmiechała się, a gdy spojrzawszy w górę ujrzała przelatującego ptaka, przyszły jej na myśl słowa Patricka: "Cokolwiek się między nami zdarzy, odejdziesz wolna". Żyli osobno, każde we własnym świecie, i nie było dla nich wspólnej przyszłości. W wieku trzydziestu dwóch lat Edwina miała za sobą dwie prawdziwe miłości - żadna nie zakończyła się szczęśliwie, toteż teraz, jadąc do domu, czuła się przedziwnie dojrzała.

- Zakochałaś się w nim, prawda? - zapytała ją Alexis drugiego dnia podróży.

Edwina przez chwilę wyglądała przez bulaj, nie odpowiadając siostrze.

- Był kuzynem Charlesa.

Alexis wiedziała, że nie jest to odpowiedź na jej pytanie, ale nie nalegała. Nauczyła się, drogo za tę naukę płacąc, że niektóre pytania lepiej pozostawić bez odpowiedzi.

- Myślisz, że George dowie się o Malcolmie? - spytała, wyraźnie przestraszona.

Edwina zastanawiała się przez chwilę.

- Może nie, jeżeli będziesz dyskretna i ty, i Fannie z Teddym.

- A jeżeli mu powiedzą? Albo dowie się w inny sposób?

- No to trudno, bo co on ci może w gruncie rzeczy zrobić? - odpowiedziała pytaniem Edwina, po raz pierwszy zwracając się do siostry jak do osoby dorosłej. -Przecież cię nie zabije. Źle się stało, ale ucierpiałś tylko ty, na ciele i duchu. Taka jest prawda. Jeżeli potrafisz o tym zapomnieć, będzie to znaczyło, że zwyciężyłaś. Dostałaś bolesną nauczkę i musisz się uporać z tym, co przeszłaś. I to jest najważniejsze. Reszta nie ma znaczenia.

Alexis uśmiechnęła się z ulgą, a Edwina pogłaskała ją czule.

- Dziękuję, że mi pomogłaś - powiedziała Alexis. Obydwie ta lekcja życia czegoś nauczyła, przy czym Edwina wdzięczna była losowi za to, co ją spotkało.

- Zawsze do usług - uśmiechnęła się, wyciągnęła na leżaku i zamknęła oczy, zaraz je wszakże otworzyła. - No nie, nie zawsze. W przyszłości lepiej oszczędź mi takich doświadczeń.

- Jasne, nie martw się, siostrzyczko-rzekła ze śmiechem Alexis.

Większość czasu spędzały w kabinach, czytając, grając w karty, śpiąc i rozmawiając, a jako dojrzalsze rozumiały się lepiej. Alexis stwierdziła, że poważnie myśli o karierze gwiazdy filmowej, Edwina jednak uważała, że powinna z tym poczekać, aż naprawdę będzie wiedziała, czego chce, i lepiej pozna życie. Siostra przyznała jej rację. Przygoda z Malcolmem Stone'em wystraszyła ją nie na żarty. Dzięki niej zrozumiała, z jakiego typu mężczyznami może mieć do czynienia, i oświadczyła, że chce mieć Edwinę zawsze przy sobie.

- Następnym razem sama dasz sobie radę - zaśmiała się Edwina, Alexis wszakże wcale nie była tego pewna. Doszła do wniosku, że w sumie zazdrości Fannie, która marzy tylko o własnym domu i dzieciach, o życiu, w którym najważniejsze jest przygotowanie mężowi kolacji.

- Wielkie wyzwania przeznaczone są tylko nielicznym - powiedziała Edwina. - A ludzie spoza tego magicznego kręgu często nie potrafią tej prawdy pojąć.

Podczas rejsu zaprzyjaźniły się z kilkoma osobami, lecz gdy statek wpłynął do nowojorskiego portu, odetchnęły z ulgą. Źłe doświadczenia trudno zapomnieć i to, co się z nimi wiąże, zawsze pozostaje w pamięci.

Edwina wciąż tęskniła za Patrickiem. Wspominała kwiaty, które przysłał jej na statek. Na dołączonej do nich karcie napisał: "Kocham cię, P." Na karcie przy kwiatkach, które czekały na nią w Nowym Jorku, widniało: "Je t'aime. Adieu." Przez chwilę patrzyła na te słowa, po czym dotknęła bransoletki na ręce i włożyła kartę do portmonetki.

W Nowym Jorku spędziły tylko jedną noc. Zadzwoiły do Teddy'ego i Fannie i dowiedziały się, że George telefonował dwa razy, a Fannie za każdym razem oznajmiała mu, że Alexis wyszła z domu, Edwina zaś ma straszną anginę i nie może podejść do aparatu. To samo mówiła Samowi Horowitzowi, gdy telefonował, wyglądało więc na to, że nikt się w niczym nie zorientował.

Cztery dni później Edwina z Alexis były już w domu. Pośród uścisków, pocałunków i łez Alexis uroczyście oznajmiała, że nigdy już ich nie opuści, nie pojedzie nawet do Hollywood. Słyszając tę obietnicę, Edwina się uśmiechnęła.

- Pewnego dnia odwołasz te słowa - przestrzegła.

Właśnie wtedy zadzwonił George, który tego dnia wrócił z żoną do domu po cudownej, jak powiedział, podróży poślubnej. Helen, rozmawiając z Edwiną, szepnęła do słuchawki, że być może jest w ciąży.

- Tak? Cudownie! - ucieszyła się Edwina, aczkolwiek zdumiało ją ukłucie zazdrości, które poczuła w sercu. Helen była dziesięć lat od niej młodsza, właśnie wróciła z podróży poślubnej i miała kochającego męża. Ona zaś znów była sama z dziećmi, o które trzeba się troszczyć.

Kiedy Helen skończyła rozmawiać z Edwiną, George odebrał od niej słuchawkę i zapytał:

- A przy okazji, jak twoje gardło?

- Dobrze. Czemu?... - ugryzła się w język, przypomniawszy sobie historyjkę opowiedzianą mu przez Fannie. - O, już w porządku... ale byłam strasznie przeziębiona. Bałam się, że to grypa albo zapalenie płuc, ale na szczęście przeszło - kłamała jak z nut.

- To dobrze. Wiesz? któreś nocy miałem przedziwny sen... - Nie powiedział jej, że śniła mu się na pokładzie statku, wiedział bowiem, że bardzo by ją tym zdenerwował. Sam tak się snem przejął, że aż obudził żonę i Helen była przekonana, że właśnie tamtej nocy zaszła w ciążę. - W każdym razie bardzo się cieszę, że wyzdrowiałaś. Kiedy do nas przyjedziecie?

Edwinie słabo się zrobiło na myśl, że znów miałyby wyjechać z domu. Przecież dopiero co przebyła pół świata! Tyle że o tym George nie mógł się dowiedzieć.

- A wy planujecie przyjazd do San Francisco na Święto Dziękczynienia? - zapytała.
George miał inną propozycję.

- Sam proponuje, żebyśmy się wszyscy zjeżdżali na święta raz u was, raz u niego. W tym roku zaprasza do siebie - mówił, obiecawszy Helen, że przekaze plan jej ojca Edwinie, aczkolwiek uprzedzał, że jeżeli siostrze nie spodoba się ten pomysł, będą musieli pojechać do San Francisco.

Edwina zgodziła się po chwili namysłu.

- Dobrze... - powiedziała. - Taka odmiana może być nawet ciekawa. Tyle że biedna Fannie chciała w tym roku samodzielnie przygotować indyka.

- Może to zrobić u Sama - podsunął George. Z uśmiechem poklepał żonę po płaskim jeszcze brzuchu i dodał: -Helen jej chętnie pomoże, prawda, kochanie? - zażartował, jego żona bowiem nie odróżniała jednego końca kuchni od drugiego.

- Pewnie w tej sprawie telefonował Sam - rzekła Edwina w zadumie. Nie zdążyła jeszcze do niego oddzwonić.

- Pewnie tak - zgodził się George. - No to do zobaczenia za parę tygodni.

Edwina powiedziała dzieciom, że jadą do Los Angeles na Święto Dziękczynienia, zapoczątkowując w ten sposób nową tradycję świąteczną. Wszyscy ogromnie się uradowali, najbardziej zaś Alexis, która powiedziała:

- Bałam się, że już nigdy mnie nie wypuścisz z domu.

Od przygody Alexis ze Stone'em siostry bardzo się zbliżyły. Teddy i Fannie, związani ze sobą jak bliźnięta, nie okazywali z tego powodu zazdrości. Cieszyli się po prostu, że siostry szczęśliwie wróciły do domu.

Kładąc się tego wieczoru do łóżka Edwina pomyślała, że dzieci jakby nagle wydorosłały. Gdy zasypiała, marzyła o Patricku. Wszystko, co się stało w Europie, wydawało jej się teraz snem - wycieczka do Irlandii, incydent ze Stone'em, brylantowa bransoletka, szampan, wiersze, wizyta u lady Fitzgerald...

Kilka tygodni później w pociągu jadącym do Los Angeles nadal jej myśli zaprzętały tamte wydarzenia.

Helen i George mieli się doskonale. Wiedzieli już na pewno, że wkrótce przyjdzie na

świat ich potomek. Wprawilo to w zachwyt Sama, który zlozył zamówienie na wnuka.

Fannie przygotowala na swięto "specjalnego" indyka. Kiedy siedzieli przy nakrytym stole, zapytala Helen, czy kiedy urodzi się dziecko, będzie mogła do nich przyjechać i pomagać jej przy malcu. Pomysł Fannie zaskoczył Edwinę, szybko jednak obliczyła, że dziecko urodzi się w czerwcu, gdy siostra będzie miała wakacje.

- A co ja będę robił przez całe lato, jak ty będziesz zmieniać pieluszki? - zmartwił się Teddy.

Ten problem nieoczekiwanie rozwiązał George.

- Wiesz co? Latem mógłbyś popracować jako pomocnik w studiu - powiedział. Już od jakiegoś czasu chciał to zaproponować bratu, teraz więc Teddy szalał z radości.

Na deser tego dnia był placek z dyni, dzieło Fannie, która świetnie radziła sobie w kuchni. Horowitz bardzo wychwalał przyrządzone przez nią potrawy, co wzruszyło Edwinę. Ojciec Helen nadzwyczaj serdecznie odnosił się do swoich gości, będących teraz jego rodziną. Dla Edwiny stosunek Sama do jej rodzeństwa wiele znaczył.

Później, gdy Alexis rozmawiała z George'em o nowym filmie, a Fannie, Teddy i Helen grali w karty, wybrała się z Samem do ogrodu.

- Bardzo dziękuję, że tak miło nas wszystkich przyjąłeś. Dla mnie to bardzo ważne.

- Poświęciłaś im wiele lat życia, ale możesz być z nich dumna. - Popatrzył na nią uśmiechając się ciepło. - Edwino, co będziesz robić, jak oni dorosną?

- To samo co ty, kiedy Helen wyszła za mąż - odparła, jakby należeli do tego samego pokolenia. A przecież było inaczej. Ona miała trzydzieści dwa lata, Sam Horowitz pięćdziesiąt siedem. - Ty czekasz teraz na wnuki, a ja na chwilę, kiedy zostanę ciotką.

Horowitz pokręcił głową.

- To nie to samo - rzekł cicho. Spacerowali rozkoszując się rześkim wieczornym powietrzem. Edwina doskonale się czuła w jego towarzystwie, zupełnie jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy mogą się sobie zwierzyć ze wszystkiego. Bez zastrzeżeń polubiła Sama i Helen. - Ja przeżyłem, co było mi pisane, dawno temu z kobietą, którą kochałem i która mocno mnie zraniła. Ty miałaś z życia niewiele, za to dużo dawałaś z siebie innym. A kiedy pomyślisz o sobie? Co ci zostanie, jak oni cię opuszczą? Mówisz, że będziesz ciotką... Ale tobie należy się więcej! Powinnaś mieć własne dzieci - mówił poważnym tonem, co nieomal ją rozbawiło.

Dlaczego ostatnio wszyscy powtarzają mi to samo? pomyślała. Patrick, lady Fitzgerald, a teraz Sam...

- Wychowałam pięcioro dzieci jak własne. Nie sądzisz, że to wystarczy?

- Być może. Ale to nie to samo. Przynajmniej ja tak uważam.

- A ja uważam, że nie masz racji - rzekła równie poważnie. - Kocham te dzieci, jakby były moje... - przerwała na chwilę, po czym mówiła dalej: - Czasami wydaje mi się, że dałam im więcej miłości niż matka...

Edwina wiedziała już na pewno, że matka nie kochała ich na tyle mocno, aby wybrać życie, aby dla nich opuścić męża. Teraz jednak, po rozmowie na ten temat z Patrickiem, myśląc o latach spędzonych z rodzeństwem nie odczuwała już gniewu.

Przypomniała sobie coś i postanowiła zapytać o to Sama, skoro gawędzili tak szczerze.

- Dlaczego powiedziałaś, że żona głęboko cię zraniła? Myślałam, że umarła.

- Bo umarła. - Popatrzył poważnie na swoją młodą przyjaciółkę, tak mądrą i tak mu bliską. - Jak uciekała ode mnie z innym mężczyzną, zginęła w katastrofie kolejowej. Helen miała wtedy dziewięć miesięcy. Nie wie, jak było naprawdę.

Edwina milczała przez chwilę, ogłuszona jego wyznaniem.

- To musiało być dla ciebie straszne - rzekła, pełna podziwu, że nigdy nie wyznał córce prawdy. Był dobrym i przyzwoitym człowiekiem, ale nie tylko dlatego tak go polubiła. Podziwiała go i szanowała od początku znajomości, wysoko ceniąc jego przyjaźń.

- Owszem, to było straszne. Bardzo długo czułem gniew - mówił Sam. - I skrywałem go tak głęboko, że prawie mnie zniszczył. Ale pewnego dnia postanowiłem się pogodzić z nieuchronnością losu, bo już nie mogłem tak dalej żyć. Uznałem, że skoro dała mi Helen, wypełniła swój obowiązek względem mnie. Teraz wiem, że tak na pewno było...

Edwina pomyślała, że powinien był ożenić się ponownie. Minęło przecież dwadzieścia jeden lat! Niewątpliwie czuł się przeraźliwie samotny. Wiedziała, że od czasu do czasu spędzał wieczory ze znanymi hollywoodzkimi aktorkami, lecz ani ona, ani George nigdy nie słyszeli, by miał z którąś poważniejszy romans. Samuel Horowitz poświęcił się karierze i córce.

Niespodziewanie zaskoczył Edwinę pytaniem:

- Przy okazji, jak było w Europie?

Stała jak wryta i popatrzyła nań zdumiona.

- Dlaczego sądzisz, że byłam w Europie? - Przecież Fannie mówiła jej, że gdy zadzwonił, powtórzyła mu historię o anginie.

- Dzwoniłem kilka razy, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz. W dniu ślubu zachowywałaś się wobec Helen niemal jak matka, chciałem więc podziękować ci raz jeszcze. A mała Fannie kłamała jak najęta, jaka to jesteś strasznie przeziębiona i nie możesz mówić.

Wspaniale naśladował głos jej siostry, toteż Edwina wybuchnęła śmiechem. Patrzyła na jego mocno zarysowany profil i siwe włosy lśniące w świetle księżyca. Po raz kolejny uderzyło ją, jaki jest przystojny.

- W każdym razie odgadłem, że coś jest nie w porządku. Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że nie tylko Malcolm Stone zniknął z miasta, ale i panna Alexis. I wtedy domyśliłem się, dokąd mogłaś pojechać. Nawet zamierzałem ruszyć za tobą, ale w końcu uznałem, że jak będziesz potrzebowała pomocy, to mnie wezwiesz. Prawdę mówiąc miałem taką nadzieję, bo przecież jesteśmy przyjaciółmi... - zawiesił pytająco głos. - Byłem trochę rozczarowany, że nie zadzwoniłaś - dodał z wyrzutem, po czym spojrzał na nią czule. - Wsiadłaś na statek sama, prawda?

Owszem, przytaknęła w duchu Edwina, ale moja samotność nie trwała długo. Bez słowa skinęła głową, Horowitz zaś mówił dalej:

- To wymagało nie lada odwagi, ale w końcu znalazłaś siostrę. Dokąd pojechała?

- Do Londynu. - Edwina uśmiechnęła się na wspomnienie "sędziego" Patricka i sceny, jaka się rozegrała, gdy ich odnaleźli.

- Była ze Stone'em?

Edwina zawahała się, potem skinęła głową.

- Ale George o tym nie wie i przyrzekłam Alexis, że mu nie powiem - zerknęła z niepokojem na Sama, który potrząsnął głową ze smutkiem. Ją zaś ogarnął podziw, że niemal od początku wiedział o ich wyprawie do Europy i nikomu tego nie zdradził. No cóż, Samuel Horowitz był mądry i dyskretny. I niesłychanie troskliwy.

- Nie do mnie należy informowanie mojego zięcia i partnera o wyskokach jego siostry. Dopóki będziesz trzymać rękę na pulsie, uszanuję twoją tajemnicę. A gdzie Stone się teraz podziewa?

- Myślę, że został w Londynie, i nie sędzę, żeby się spieszył z powrotem do Hollywood. Za bardzo boi się George'a.

- I dobrze zrobił. Twój brat chyba by go zabił, gdyby się dowiedział. Dzięki mojej zmarłej żonie poznałem parę sztuczek, które nie przysporzyły mi radości, dlatego podejrzewałem, że Alexis wyjechała z miasta. Ale zdaje się, że teraz sprawuje się jak należy?

- O, tak!... Chce wrócić do Hollywood na wiosnę, jak skończy osiemnaście lat, żeby zagrać w następnym filmie. Może George pozwoli jej, jeżeli dalej będzie chciała - rzekła Edwina, choć była pewna, że Alexis nie zmieni zdania: nie mówiła o niczym innym, tylko o karierze filmowej.

- A ty? - zapytał z naciskiem. - Co ty masz zamiar teraz ze sobą zrobić?

Patrzył prosto w oczy Edwinie, która nie odwracała wzroku. Tyle pytań chciałby jej zadać, tyle o sobie opowiedzieć!...

- Nie wiem - westchnęła, ale nie wydawała się zmartwiona. - Zrobię to, czego będą ode mnie oczekiwali: pojadę z nimi albo zostanę w domu, albo... sama nie wiem.

W ogóle się tym nie przejmowała. Przez jedenaście lat wszystko obracało się wokół rodzeństwa, nie wyobrażała sobie zatem, że mogłoby być inaczej. Poza tym kochała ich.

Horowitz chciał spytać o coś zupełnie innego, lecz nie wiedział, jak zacząć. Nosił się z tym zamiarem już od dłuższego czasu, tyle że dotychczas nie starczało mu odwagi. Po raz pierwszy od bardzo dawna wyglądał na zakłopotanego.

Przystanęli na chwilę i znów popatrzył na nią. Zwrócona ku niemu twarz Edwiny błyszczała w poświacie księżyca, jej niebieskie oczy nabrały granatowego odcienia, a biała cera ostro kontrastowała z ciemnymi włosami.

- Co będzie z tobą, dziewczyno? Kiedy zaczniesz żyć?... Twoi bracia i siostry mają swoje życie. Zaczynają wyfruwać z gniazda, a ty jakbyś tego nie zauważała. Wiesz, kiedy sobie uświadomiłem, że Helen odeszła? W dniu jej ślubu. Stałem tu, pośrodku ogrodu, i oddawałem ją George'owi. Zbudowałem dla niej imperium, a ona odeszła... A wiesz, co jeszcze zrozumiałem tego dnia, gdy ty krzątałaś się koło Helen, poprawiałaś jej welon... ten sam, który powinnaś była włożyć, gdyby twój narzeczony nie utonął... Otóż odkryłem, że zbudowałem imperium także dla siebie, tylko że nie mam go z kim dzielić. Przez tyle lat pracowałem, przez tyle lat kochałem Helen, a przedtem jej matkę... i nagle zostałem sam.

Pewnie, że przyjdą na świat wnuki, Helen będzie w pobliżu, ale to nie to samo. Nie mam nikogo, kto by trzymał mnie za rękę, kto by żył tylko dla mnie i o mnie się troszczył... Nie mam nikogo, na kim by mi zależało, tylko jedyną córkę. Tamtego dnia obserwowałem cię - powiedział, delikatnie ujmując jej rękę w swoje o wiele większe dłonie, przysuwając twarz blisko jej twarzy.

Edwina wyraźnie ujrzała to, co spodobało się jej w nim od samego początku: łagodność, siłę, serdeczność i mądrość. Był taki jak niegdyś jej ojciec. Był człowiekiem, z którym można się pośmiać i porozmawiać, którego kocha się bez zastrzeżeń. Był naturalny i szczery i przez chwilę wydawało się jej, że go kocha. Kiedy walczyła z tą myślą, uśmiechnął się do niej.

- Wiesz, czego pragnę? Życ dla ciebie, trzymać twoją dłoń, tulić cię, gdy płaczesz, i śmiać się z tobą, kiedy się radujesz, Edwino. I chcę, żebyś zawsze była przy mnie. Mamy do tego prawo, ja i ty - uśmiechnął się ze smutkiem. - Właśnie tego zabrakło w naszym życiu.

Milczała długo nie wiedząc, co ma powiedzieć. Nie był Patrickiem ani Charlesem i nie był młody. Jednakże ona też nie należała do najmłodszych, a wiedziała, że w pewnym sensie go kocha. Samuel Horowitz był mężczyzną, za którym tęskniła od lat i którego nie spotkała. Mężczyzną, z którym mogła spędzić resztę życia.

Naraz pojęła, że z tym człowiekiem może być na dobre i na złe, w szczęściu i nieszczęściu, dopóki... jak jej matka. Kate Winfield umarła razem z Bertem, bo kochała go ponad wszystko, bardziej niż dzieci... Tak Edwina zawsze kochała rodzeństwo. Może ona i Sam też podobnie się pokochają i pokochają dzieci, które Bóg im ześle?...

Edwina poczuła, że czeka ją miłość przypominająca tę, którą darzyli się jej rodzice. Miłość, którą trzeba budować, pielęgnować, dbać o nią. Miłość, dla której można żyć i umierać. Łączyć ich będzie cicha, spokojna więź, ale Edwina czuła, że zbudują swe szczęście na solidnych podstawach, na których można oprzeć całe życie.

- Nie wiem, co powiedzieć... - uśmiechnęła się niemal wstydliwie. Nigdy nie myślała o nim jako kandydacie na męża. Zawsze był dla niej tylko ojcem Heleny... Naraz przypomniała sobie, że zwróciła się do niego o pomoc, gdy Alexis zniknęła, on zaś natychmiast przybył na wezwanie. Zawsze wiedziała, że w potrzebie może na niego liczyć. Był przede wszystkim przyjacielem, z czego ogromnie się cieszyła. Prawdę mówiąc,

wszystko w nim się jej podobało. - A co pomyśli o tym Helen?... I George... i inni... - wyraziła na głos swoje wątpliwości, chociaż przypuszczała, że będą zadowoleni.

- Moim zdaniem George będzie uważał, że mam wyjątkowe szczęście. Ja też tak zresztą sędzę. - Czule tulił jej dłonie. - Edwino, nie mów nic, jeżeli jeszcze na to za wcześnie. Chcę tylko wiedzieć, czy to możliwe, czy nie uważasz, że zwariowałem - patrzył na nią niepewnie niczym chłopiec.

Edwina roześmiała się, bo przypomniał jej braci.

- Myślę, że obydwójce zwariowaliśmy, Samuelu, ale nie mam nic przeciwko odrobinie szaleństwa.

Przysunęła się bliżej, Sam zaś uśmiechnął się i przytulił ją mocno, po czym namiętnie pocałował.